

Ekspedycja mikro

Kroger Aleksander



calibre 0.9.27

ALEKSANDER KROGER

Ekspedycja

Mikro

(Przełożył : Mieczysław Dutkiewicz)

I

- A ja uważam, że narazimy się na jeszcze większe niebezpieczeństwo, jeżeli wyruszymy z powrotem do domu! - powiedziała gniewnie Gela Nylf. Przesunęła palcami po krawędzi stołu. Na jej twarzy wystąpiły rumieńce, oczy przypominały dwie szparki, na wysokim czole pojawiły się zmarszczki. Patrzyła jakby obok swego rozmówcy, biologa Charles'a Ennila. On zresztą również starał się nie patrzeć na nią wprost. Gela Nylf nieznacznie zezowała. Może dlatego w jej spojrzeniu nie było bystrości, a rozmawiającym z nią zdawało się, że błądzi myślami gdzieś bardzo daleko.

- Właściwie, płynąc tutaj, nie przeżyliśmy żadnych prawdziwych niebezpieczeństw - odparł lekceważąco. - Cóż może grozić naszemu statkowi! Trzy razy połykały nas lososie i inne ryby, no i co z tego? Nic się nie stało, tylko widoczność nie była już tak dobra i straciliśmy całkowicie orientację. Jeżeli natomiast zostaniemy tu... - Nie dokończył zdania, ale wszyscy doskonale wiedzieli, co miał na myśli.

Gela spuściła oczy. Znowu przeszedł ją dreszcz, jak wtedy, kiedy ów morski potwór połknął statek. Potem ta otaczająca ich całymi dniami ciemność, statek oblepiony rozkładającymi się szczątkami zwierząt i roślin. Gdyby te bestie nie łykały swojej zdobyczy, ale ją gryzły, zostałyby z nas... A kto zaręczy, że nie istnieją inne, które to robią? Ocean roi się od potworów! A Charles mówi zwyczajnie: "To jeszcze nic". Jednak ma rację, że czyhają na nas większe niebezpieczeństwa.

- No, kończmy tę dyskusję! - powiedział energicznie Robert Tocs,

dowódca ekspedycji. Przesunął na czoło okulary i spojrzał na Ennila w sposób, który Wykluczał dalszy spór. - Oprócz ciebie, Charles, wszyscy są za tym, żeby nawet w tych okolicznościach wykonać zadanie. Wiem doskonale, że nie będzie to łatwe. Być może pociągnie to za sobą ofiary. Ale ostatecznie liczyliśmy się z tym od samego początku.

- Ale... - wtrącił Ennil.

Robert Tocs nieznacznie podniósł głos.

- Charles, wiem, że nie boisz się o własne życie. Zbyt dobrze cię znam.

Chodzi ci głównie o nas, pozostałych dwudziestu dziewięciu członków wyprawy. To ci się oczywiście chwali. Ale Gela, najmłodsza, powiedziała ci, co myśli o twojej opiece wyraziła zdanie nas wszystkich. A więc: jutro wyruszy w głąb kraju wyprawa w poszukiwaniu miejsca dogodnego na bazę.

Tocs przesunął wzrokiem po zebranych. Jens Relpek, fizyk, patrzył na niego przejrzystymi jak woda oczyma. Nie, on jest zbyt miękki i ostrożny.

Każdą z decyzję rozważałby na tysiąc różnych sposobów, nawet gdyby liczyły się sekundy. Gela ma niewielkie doświadczenie, a więc jeszcze nie teraz. Z pewnością chciałaby, ale tak nominacja byłaby niestuszną. Na kierownika wyprawy przewidziany był Ennil. Ale czy może nim zostać po tej jego wypowiedzi? Jeżeli zostanie kierownikiem, zbyt dużo czasu poświęci swoim zainteresowaniom zawodowym i w ferworze rejestrowania i klasyfikowania gotów zapomnieć kierowaniu. Chris Noloc, nie patrz na mnie tak wyzywająco. Wiem, że kiedyś będziesz się do tego nadawał, ale teraz jesteś jeszcze zbyt nierozważny mógłbyś narazić swoich towarzyszy

na niebezpieczeństwo. Mieh, lekarz, jest niezbędnym na miejscu. Ostatecznie zostaje tu prawie cała załoga. Jego żona weźmie udział w wyprawie, ale nie może nią dowodzić. A więc kto? Ja! Ale to by było niezgodne z rozsądkiem i instrukcją...

Tocs jeszcze raz powiódł, wzrokiem po wszystkich. Potem przetarł oczy i powiedział:

- Wyprawę poprowadzi Charles Ennil. Polecicie naszym małym helikopterem. O składzie załogi zdecydujesz sam, Charles. Dziękuję wszystkim, dobranoc. Chris, zostań na chwilę.

Tocs wstał razem z innymi. Kiedy wyszli, podszedł do dużego, okrągłego okienka i spojrzał na brzeg. Reflektory były już wygaszone. Skrawek nieba nad nimi wisiał w bladej poświacie, przez którą przenikało światło tylko dużych gwiazd. Tuż przed statkiem piętrzyło się ponure żwirowisko.

Dowódca Tocs uśmiechnął się. Myślał w tej chwili o trudnym manewrze wyjścia na ląd. Wszystkich ogarnęła niecierpliwość, kiedy dostrzegli wreszcie ziemię, tylko ja zwlekałem. Ty również, Chris, początkowo tego nie rozumiałeś.

Tocs odwrócił się i spojrzał z boku na Chrisa, który stał przy oknie, wpatrując się w ciemność. A jednak to był dobry sposób: najpierw poczekać na najwyższą falę, potem poddać się jej, osiąść i trzymać się mocno tego miejsca. Tą metodą, drogi Chris, można było posunąć się od razu spory kawał w głąb lądu i nie bać się, że następna fala porwie nas ze sobą. Chris Noloc czuł przyływ dumy. Nareszcie jakieś zadanie, pomyślał.

Co za ogłupiająca wędrówka, mimo tych potworów! Właściwie było szalenie nudno...

Ciekawe, dlaczego Robert wahał się, wyznaczając dowódcę wyprawy?

Przecież dla wszystkich było jasne, że funkcję tę obejmie Ennil albo Gela. Co prawda pesymizm Ennila nie wpływa na innych zbyt budująco. Chris

wyteżył wzrok, aby dostrzec coś na zewnątrz w nikłym oświetleniu mostka.

Żwirowisko i stosy wygładzonych kamieni, pomiędzy nimi olbrzymie ślady pozostawione przez jakieś płazy. Zwyczajne wybrzeże, pomyślał, podobne do brzegu na naszej wyspie.

- Chris, poleciałem Ennilowi, żeby wziął cię ze sobą - odezwał się nagle

Tocs, patrząc ciągle w przestrzeń.

- Tak - odpowiedział spokojnie Chris. - Ennil rozmawiał ze mną. Carol pojedzie jako lekarka, a Karl Nilpach jako pilot i mechanik.

- Co sądzisz o wyborze Charles'a na kierownika? - zapytał Tocs.

Pytanie zaskoczyło Chrisa. Regulamin nie zezwalał na krytykę czy nawet ustosunkowywanie się do decyzji dowódcy. Wzruszył ramionami, po czym odparł niepewnie:

- To, że ostrzega przed niebezpieczeństwem, nie jest według mnie niewłaściwe. Szkoda tylko, że nie znalazł sobie ku temu lepszej okazji.

Wydaje mi się, że kierownik nie powinien wyliczać w kółko znanych wszystkim trudności. Trzeba jednak przyznać, że nie trzyma się utartych dróg i jest bardzo dobrym fachowcem.

- Wydaje mi się, że ostatnio jest trochę roztargniony... - mruknął Tocs.

- Dobrze - powiedział po chwili, podejmując ostateczną decyzję. - Uważam

też, że powinniście zabrać ze sobą Gelę. Niech zdobywa doświadczenie.

Chris poczuł, że krew uderza mu do głowy. Dopiero po chwili zdobył się na odpowiedź.

- Wolałbym, abys ty ją o tym powiadomił. Wiesz przecież, że i tak gadają już na nasz temat.

- Nie widzę w tym nic złego, jeżeli, no... kogoś się lubi, jak ty Gelę - powiedział Tocs, a Chris odgadł, że się uśmiecha.

- O ile to uczucie nie jest jednostronne - odparł głosem zdradzającym wątpliwość.

- A więc nie chcesz, żeby była z wami? - zapytał Tocs patrząc z uśmiechem na Chrisa.

- Oczywiście, że chcę - zawołał spiesznie Chris. - Przecież przede wszystkim chodzi o dobro sprawy. A Gela musi kiedyś zacząć!

Robert Tocs roześmiał się.

- Mówisz, jak gdybyś miał już za sobą dwadzieścia pięć takich akcji, a nie dwie. Zresztą tamte dwie odbyłeś na wybrzeże naszej wyspy i nie możesz ich porównywać z obecną. Skoro już o tym mowa - Tocs spojrzał mu w oczy - będziesz uważał, prawda?

- Ależ oczywiście! Dotychczas nic mi się nie stało - odparł Chris, a w jego zapewnieniu zabrzmiała nuta oburzenia.

- To o niczym nie świadczy - nie ustępował Tocs. - Musicie wykonać dużą pętlę. Kurs południowo-wschodni, potem południowo-zachodni i powrót najpóźniej po trzech dniach. Jeżeli znajdziecie miejsce odpowiednie na bazę, natychmiast zawróćcie! Baza powinna zostać założona, o ile wam

się to uda, jak najbliżej nich.

Zapanowała cisza.

Wreszcie odezwał się Chris.

- A wiać wierzysz w to? Jesteś o tym przekonany?

Robert Tocs zwlekał długo, wreszcie odparł:

- Nie! - Kiedy Chris poruszył się gwałtownie, zdradzając swoje

zaskoczenie, dodał: - Nie tylko wydaje mi się, że oni istnieją, ja to wiem.

- Czy mówisz to tylko po to, aby zainteresować nas tą sprawą i

bardziej zachęcić, czy też masz jakieś dowody?

Tocs milczał, dopiero po chwili odpowiedział:

- Niech ci się wydaje, że te dowody istnieją, tak będzie najlepiej. Więcej

nie mogę powiedzieć, byłoby to zresztą przedwczesne i niewskazane.

- Znowu coś, co nie nadaje się dla małych dzieci? - zapytał wyzywająco

Chris.

- Ja tego nie powiedziałem. Zresztą moje wiadomości również są

niepełne. Sam widziałeś fotoradiogramy z "Oceanu I", nic więcej nie mogę ci

powiedzieć.

- Dobrze, będę oczywiście ostrożny. Obiecuję ci to. Ale nie myśl, że

zmienię swój stosunek do tych waszych synów niebios. Nadal będę uważał

ich za widma. Przyznaj zresztą, że zdjęcia nie są zbyt wyraźne.

- Tego ci nikt nie zabroni. Zresztą, z ich strony - Tocs uśmiechnął się -

nie grozi nam chyba żadne niebezpieczeństwo. Bardziej niebezpieczna jest

sama przyroda, a przede wszystkim fauna, jej gigantyczne okazy. Musicie

nastawić się na zupełnie nieznane gatunki!

W pomieszczeniu rozblýsło sufitowe oświetenie.

W drzwiach stał Karl Nilpach, niski, krępy, białowłosy, o

szelmowskim wyrazie twarzy, czego nie była w stanie zamaskować nawet poważna mina.

- Przepraszam - zaczął - ale skąd miałem wiedzieć, że siedzicie tu sobie po ciemku? Ja na przykład wolałbym spędzić czas z kobietą.

- Przydałoby się, żebyś miał trochę więcej szacunku dla kierownictwa - odgryzł się Chris.

- Karl, jutro wyruszysz z Ennilem na wyprawę - powiedział Tocs.

- No, nareszcie coś pocieszającego! - wykrzyknął Nilpach.

Demonstracyjnie rozluźnił jedną nogę, potem drugą, jak po ćwiczeniach, gimnastycznych. - W tej puszcze można zupełnie zdrętwieć.

- Czy to znaczy, że zanedbujesz swoje obowiązki? - zapytał Tocs.

- Taki obchód statku, nawet dwa razy dziennie, to dopiero tysiąc czterysta stóp. Cóż to znaczy dla takiego chłopaka jak ja! - Uderzył się w pierś, po czym wybuchnął śmiechem.

- Jeszcze jedno... - Robert Tocs zwrócił się zniecierliwie do swoich towarzyszy. - Łączność radiowa tylko w razie konieczności. Decyzję o jej nawiązaniu pozostawiam do waszego uznania. - Podeszedł do drzwi. - Położę się już spać, dobranoc!

- Co mu się stało? - zapytał Karl, kiedy zamknęły się drzwi. - Zdaje się, że ma jakieś wątpliwości.

- Do tej pory wszystko przebiega jak ha "Oceanie I". A wiesz przecież, że oprócz kilku radiotelegramów nic więcej nie dotarło od nich do bazy.

- Nie kracz! Zresztą "Ocean I" znalazł się chyba w zupełnie innym miejscu.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - zaproponował Chris, czując nagle, że Tocs wcale nie żartował, przestrzegając go. Ale gdy szedł przez długie korytarze do kajuty, nurtowały go inne pytania: dlaczego z całej załogi wziął akurat mnie na spytki? Przez sympatię czy z braku zaufania?

A może to tylko sentymentalny odruch? Tocs zna mojego ojca. Przecież starszerek jest dozorcą w instytucie od chwili, gdy został inwalidą.

Widocznie spotkał Tocsa i poprosił go, żeby trochę się mną zajął.

Tylko na chwilę Chris przywołał w swych myślach obraz ojca. I znowu zdał sobie sprawę, że ojciec nigdy już nie wyzdrowieje, nawet gdyby uporczywe pogłoski o synach niebios, których przybycie oznaczałoby ratunek, miały się sprawdzić. Nikogo jeszcze nie zdołano wyleczyć z tego straszliwego zaniku pamięci, przeklętej plagi ludzkości.

Chris wszedł do kajuty, otrząsnął się z przykrych myśli i gorączkowo zaczął wybierać rzeczy, które mogłyby mu się przydać na wycieczce. Tak nazwał oczekującą go wyprawę. Dopiero potem położył się do łóżka.

Słońce czerwoną plamą wyłoniło się zza piaszczystych gór. Nie czuło się nawet najłżejszego podmuchu wiatru, niebo było już o tak wczesnej porze błękitne aż po horyzont.

Chris Noloc stał na pokładzie, wdychając w radosnym nastroju świeże, pachnące wilgocią morskie powietrze. Szczęścia Chrisa nie zdołało zmącić nawet podniecenie, jakie odczuwał przed tym doniosłym startem.

Sam nie wiedział, co wpłynęło na ten wspaniały humor: zadanie, na które

czekał tak długo, czy też świadomość, że Gela będzie razem z nim? Chyba jedno i drugie. Gela! Gdyby tylko nie była tak uparta! Przecież nie można przez całe życie oplakiwać zaginionego przyjaciela. Nie, jej nie chodzi o to. Ona stara się mu dorównać, chce osiągnąć to, czego tamten nie zdołał dokonać, i zapomina, że jest kobietą. Tak, przejrzał ją. Chris uśmiechnął się z satysfakcją. A przecież ona jest przede wszystkim kobietą! To nic, spędzimy teraz razem długie chwile. Będziemy blisko siebie.

Tuż obok na kolumnie sygnalizacyjnej zapaliło się czerwone światelko, równocześnie odezwał się brzęczyk. Po chwili otworzył się luk pokładowy, a podnośnik wysunął do góry helikopter. Z jego kabiny wymachiwał ręką Karl Nilpach.

Wkrótce przed helikopterem zgromadziła się cała załoga "Oceanu II". Znowu, jak poprzedniego wieczoru, Chrisa opanowało jakieś dziwne uczucie. Dlaczego oni robią tyle szumu! To przecież całkiem zwyczajna, powszednia rzecz taki lot rozpoznawczy. Zgoda, chodzi o nie znane jeszcze tereny, może nawet grozi im niebezpieczeństwo, ale na to byli przecież przygotowani od samego początku.

Nilpach zeskoczył z helikoptera i podszedł do Chrisa.

- Widziałeś? - zapytał, wskazując nieznacznym ruchem głowy do góry.

- Miejmy nadzieję, że są syte albo wypatrują czegoś większego - zażartował makabrycznie.

Chris spojrzał w górę. Nad nimi krążyły dwa ptaszyska o gigantycznych rozmiarach.

- Niezbyt piękny widok, co? - odezwał się nagle tuż obok niego Robert

Tocs.

Chris wzruszył ramionami, po czym zaczął ścisnąć dłonie tych, którzy przyszli pożegnać załogę helikoptera. Nagle poczuł zniecierpliwienie. Cała ta sytuacja zaczęła go męczyć, chociaż jednocześnie zainteresowanie towarzyszy sprawiało mu przyjemność. Pomagając kobietom przy wsiadaniu szukał spojrzenia Geli, ona jednak patrzyła prosto przed siebie. Była bardzo blada. Pożegnała się tak, jak gdyby myślami wybiegła już o kilka dni naprzód.

Tocs również nie przedłużał tej ceremonii. Powiedział kilka oficjalnych zdań, których uczestnicy wyprawy wysłuchali stojąc już w drzwiach. Jego życzenia szczęśliwego lotu zginęły w huku przedwcześnie uruchomionych motorów. Maszyna uniosła się do góry i wzięła kurs na południe, pozostawiając w dole wymachujące rękami postacie.

Zgromadzeni na pokładzie zaczęli się już rozchodzić, gdy nagle rozległ się czyjś przeraźliwy krzyk.

Tocs, który właśnie zniknął w luku, odwrócił się, zrobił kilka kroków, po czym pobiegł tam, dekad pędzili inni. Było już jednak za późno, aby cokolwiek dostrzec.

- Co się stało? - zapytał blady, nie mogąc złapać tchu.

Dziewczyna, mechanik pokładowy, z przewieszoną jeszcze przez ramię cumą helikoptera, nie patrzyła na niego. Na jej twarzy widniało przerażenie. Potem się ocknęła i wyszeptała:

- Jeden ruch dziobem i już po helikopterze! Taka jaskółka przemknęła obok... - Po chwili dodała: - To już pierwsi! - Jej słowa zabrzmiały jak

wyrzut.

Tocs poczuł, że krew uderza mu do głowy. Wskoczył na podstawę kolumny sygnalizacyjnej i zawołał:

- Uwaga, przyjaciele, posłuchajcie! - Jeszcze dwa razy musiał powtórzyć swoje wezwanie, zanim uciszył rozgorączkowanych towarzyszy.

- Nie ma żadnego powodu do paniki ani rezygnacji! Przypomnijcie sobie: podczas naszej podróży zdarzyło to się nam już trzykrotnie i nikomu nie spadł nawet włos z głowy! Helikopter jest hermetyczny, wytrzyma więc tę przygodę bez trudu! Oczywiście zboczy przez to z kursu, ale przecież...

- Tego nie można porównać z lososiami! - zawołała dziewczyna. - Tu nie ma wody. Jeżeli to bydlę wydali z siebie uszkodzony helikopter, to maszyna może się roztrzaskać.

Wrzawa znów narastała.

- Przyjaciele, poczekać chwilę! - krzyknął gniewnie Tocs. - Przecież Ennil wie o tym. W końcu takie ptaszysko nie leci wiecznie. A Ennil może wpływać na czas wydalania. Ostatecznie ma kotwicę chwytakową! Ja...

Nagle przerwał im głośnik:

- Halo, dowódco, tu centrala, proszę przyjść natychmiast. Mam łączność z helikopterem!

Tocs spojrzął na uradowane twarze. - A więc jednak - mruknął, po czym szybko zeskoczył na pokład i długimi susami pobiegł w stronę drzwi.

Karl Nilpach przejął stery. Kiedy tylko helikopter oderwał się od pokładu "Oceanu II", skierował go poziomo.

- Zostaniemy na tej wysokości - zawołał wskazując kciukiem ku górze.

Ennil skinął głową. Zrozumiał. W pobliżu ziemi nie groziło im już tak wielkie niebezpieczeństwo ze strony mew.

Statek był jeszcze widoczny, kiedy nagle Carol krzyknęła przeraźliwie.

W milczeniu wskazywała ręką przed siebie. Coś czarnego pędziło im na spotkanie, rosnąc błyskawicznie w oczach. Ujrzeni jeszcze szeroko rozwartą, ogromną czerwoną paszczę, potem ogarnęła ich ciemność. Gramolili się jeden przez drugiego, kiedy silnik zasapał po raz ostatni i zapadła cisza.

Jednak ruch nie ustał. Kilka szybko po sobie następujących momentów przyspieszenia zmusiło załogę do uchwycenia się czegokolwiek.

- Hej - stęknął Karl. - Zdumiewająco krótka była ta podróż. Czy nikomu nic się nie stało?

Chris, zajmujący obok niego miejsce drugiego pilota, wymacał kontakt awaryjny. Kiedy żarówki zabłyśły, oczom ich ukazał się obraz, który w mniej groźnych okolicznościach wywołałby na pewno salwę śmiechu: Nilpach i Noloc wisieli w swych fotelach. Czterej pozostali, nienaturalnie wykrzywieni, trzymali się wzajemnie z całych sił lub obejmowali nogi foteli.

Kołysanie ustało. Jednocześnie rozległ się jakiś niesamowity dźwięk podobny do krakania. Powtarzał się co pewien czas, a po nim zawsze następowało szarpnięcie.

- Czy to obżarstwo nigdy się nie skończy? Już po raz czwarty przeżywamy coś podobnego! - zawołał Karl. Znowu rozległ się ten sam dźwięk, a kolejne szarpnięcie wyrzuciło go niemal z siedzenia, gdyż mówiąc puścił się oparcia. Kiedy odzyskał równowagę, krzyknął energicznie:

- No, panie i panowie, nie ma powodów do paniki, wstawajcie szybko!

- Lepiej sprawdź, czy maszyna jest szczelna! - zawołał Charles.

Opanował już przerażenie, wynikłe raczej z nagłego obrotu wydarzeń, niż z rzeczywistej groźby. Myślał podobnie jak Nilpach, ale helikoptera nie można było porównać do stabilnego "Oceanu II".

Kolejny dźwięk, na który tym razem nie zwrócono uwagi. Szarpnięcie było prawie niewyczuwalne.

- Kabina jest szczelna - zameldował Karl. - Nie ma spadku ciśnienia.

- A widzicie! - triumfował Chris.

- A ty, kierowniku wyprawy, nie gadaj tyle! - Gela Nylf filuternie

pogroziła Ennilowi palcem. - Powinniśmy raczej ustalić, kto jest naszym gospodarzem, a do tego ty się nadajesz najlepiej. Wtedy będzie nam łatwiej odgadnąć jego dalsze zamiary.

- Czy... czy ktoś jest ranny? - spytała lekarka, Carol Mieh. Nie doszła

jeszcze całkowicie do siebie, a teraz siedziała na ławce wodząc po nich oczyma.

Chris nacisnął kilka przycisków. Potem ujął mikrofon i zawołał:

- Centrala, halo, centrala, tu "Orzeł". Słyszysz mnie?

Widoczna w oscylografie linia drgnęła.

Karl zaśmiał się radośnie.

- No, proszę! Wszystko w porządku. Niech Tocs podejdzie - zażądał

Chris. Podłączył dodatkowo głośnik pokładowy. Wkrótce w kabinie rozległ się przytłumiony głos:

- Tu dowódca Tocs. Cieszę się, że was słyszę! - Tocs nie mógł jeszcze

złapać tchu.

Karl zwiększył maksymalnie siłę głosu. - Nieźle ekranuje to bydlę - narzekał cicho.

Charles balansował po przechylonej podłodze kabiny. Chris podał mu mikrofon.

- Robert, będę się streszczał - powiedział Ennil. - Chodzi o oszczędność energii. Chciałbym, żebyś dał mi nieograniczone pełnomocnictwo w podejmowaniu decyzji. Wydaje mi się, że śruba zakleszczyła się w gardzieli.

Trzeba będzie użyć siły, żeby wyjść na wolność. Czy wiecie, jakie to zwierzę?

- Jaskółka - poinformował go Tocs.

- Widzicie ją jeszcze?

Tocs milczał przez chwilę. Potem, jak gdyby nieco skonsternowany, oświadczył:

- Nie. - Normalnym głosem dodał: - Rób, co uważasz za stosowne.

- Dziękuję - odparł Ennil. - Zameldujemy się znowu, kiedy w naszej sytuacji coś się zmieni. Skończyłem.

Chris wyłączył nadajnik, a Ennil zwrócił się do Nilpacha:

- Karl, włącz reflektor dziobowy!

Stłoczyli się przy szybie. Tuż przed nimi światło odbijało się od różowej, lśniącej wilgocią ściany. Gigantyczna rura, w której utknęli, składała się prawdopodobnie z elastycznych włókien; ściana wykazywała strukturę pierścieniową.

Chris stanął na fotelu. W ten sposób mógł widzieć, co dzieje się w górze. Karl włączył pozostałe reflektory.

Przez otaczającą ich ścianę przeszło drżenie. Chris usiłował

przekrzyczeć narastający ponownie hałas:

- A więc jest tak, jak przypuszczaliśmy. Ugrzęźliśmy na amen. Śruba sterownicza odcięta, koniec ugrzązł w tej rurze. Być może jest to przetyk. -

Chris opadł z powrotem na fotel i dodał szyderczo: - Dla naszego gospodarza nie jest to zbyt przyjemne.

Kolejno stawali na fotelach, oceniając sytuację, w jakiej się znaleźli.

- Chyba nie uda się nam prześliznąć - powątpiewał Karl.

- I tak byłoby to zbyt niebezpieczne - zauważył Ennil. - Nie znajdujemy się w wodzie. Jeżeli to zwierzę wywali nas w locie, nie wiem...

- Przecież nie może latać wiecznie - wtrąciła Carol.

- Wiecznie nie, ale długo - wyjaśnił Ennil. - One odżywiają się niemal wyłącznie tym, co schwytają w locie...

- Niestety to prawda - przerwał mu Karl.

- Lecą zwinnie i szybko - mówił dalej Ennil, nie dając się zbić z tropu. -

Swoje gniazda budują na skałach, przeważnie w górze pod występami, a więc i tam niebezpieczeństwo nie zmniejsza się... No, dobrze - urwał. Potem zapytał: - Co proponujecie? Co o tym myślisz, Gela?

Dziewczyna zawahała się przez moment, potem zaczęła wyliczać:

- Wysiąść, wyrąbać sobie wolną drogę, odczekać, zamocować w kabinie porządne uchwyty, które pomogłyby nam znieść upadek z dużej wysokości.

- A ty, Chris?

- Ja... chwileczkę... - Chris nie bardzo wiedział, o co chodzi. Właśnie

pytał o coś Carol.

- Carol?

- Właściwie jestem tego samego zdania co Gela. Wydaje mi się, że moglibyśmy zupełnie dobrze znieść upadek z dużej wysokości, jeżeli zastosujemy się co propozycji Geli. Poza tym odchody prawdopodobnie zamortyzują wstrząs. - Nie zwracając uwagi na wykrzywione grymasem wstrętu twarze towarzyszy, dodała rzeczowo: - To łagodzi upadek. - Tu uśmiechnęła się po raz pierwszy od momentu katastrofy.

- Karl, ile żywności mamy na pokładzie? - zapytał Chris.

- No cóż, lot miał potrwać siedem dni. Prowiantu starczy na dziesięć - odparł Nilpach. - To samo jest z tlenem.

- A co ty o tym sądzisz? - zapytał Ennil trochę gniewnie, bo pytanie Chrisa przerwało mu rozmowę.

- No cóż - zaczął przeciągle Nilpach i podrapał się po gęstej, siwej czuprynie. Potem spojrział na Chrisa i skinął z namysłem głową. - Jeżeli utkniemy tam dalej - wskazał kciukiem za siebie - a można przypuszczać, że droga jest jeszcze długa, to nie zdołamy wydostać się na wolność, a wtedy...

- wywrócił zabawnie oczyma. - Byłbym raczej za jakimś działaniem.

- Sytuacja jest już i tak dosyć poważna - powiedział Ennil z naganą w głosie.

- Właśnie - skinął głową Chris, ale nie było to poparcie zarzutu Ennila, lecz wypowiedzi Nilpacha. - Dlatego proponuję, żeby Carol przyrządziła odpowiednią dawkę trucizny. Wiesz - zwrócił się do niej - taką o wysokim stężeniu. Karl i ja wyjdziemy na zewnątrz i wstrzykniemy ją.

Ennil i Gela zaprotestowali. Przez chwilę sprzeciw Geli sprawił

Chrisowi przyjemność, ale nie dał się zbić z tropu i mówił dalej:

- Gdyby coś nam się stało, można jeszcze zawsze zastosować drugi wariant: oczekiwanie.

- Nie podoba mi się twój projekt - powiedziała z naciskiem Gela. -

Uważam, że ryzyko jest zbyt duże.

- Dziś ryzykujemy w ten, jutro w inny sposób. Nie zawsze można sobie pozwolić na bierne wyczekiwanie - mówił stanowczo Chris. - Wydaje mi się, że do takiego zadania nadajemy się najbardziej Karl i ja. Bo chyba nie Charles ani Carol albo ty?

Gela zacisnęła wargi, potem spojrzała na niego i powiedziała z przekorą w głosie:

- Dobrze, pójdę!

- Zostaniesz! - zawołał Chris gwałtowniej, niż zamierzał. - Charles, nie pozwól jej! - Jego prośące spojrzenie kontrastowało z rozkazującym tonem.

Gela spuściła oczy i odwróciła się. Tego tylko brakuje, żeby przeze mnie i w mojej obecności "coś ci się stało, pomyślał Chris.

- Ta propozycja nie jest zła - powiedział z wahaniem Ennil. -

Oczywiście wykluczone, żeby zrobiła to Gela, ale sam rozumiesz, Chris, że nie mogę wam czegoś takiego zlecić...

Daj spokój, Charles - odparł sucho Chris. - Pomóż nam lepiej!

Założyli skafandry i maski ochronne. Karl porozumiał się szeptem z Chrisem, po czym zawiesił sobie na pasie sporą paczkę z materiałem wybuchowym.

- Strzykawka - oświadczył żartobliwie.

Przesłona w helmie Chrisa nie była jeszcze domknięta. Carol

manipulowała przy kilku pojemnikach, zwrócona do reszty załogi plecami.

Chris podszedł do niej.

- Już? - zapytał.

W milczeniu podała mu kanister, unikając jego wzroku.

- Co się stało? - szepnął Chris. Ujął ją pod brodę, zmuszając, aby

spojrzała na niego. Jej oczy zaszkliły łzy.

- Boisz się? - zapytał.

Skinęła głową, ale już po chwili zmusiła się do uśmiechu, przy którym

zadrżały jej wargi.

Chris przyciągnął ją szybko do siebie i pogłaskał po głowie. - Już

dobrze - powiedział - wkrótce wrócimy.

Jedynie Gela była świadkiem tej sceny. Karl Nilpach znajdował się już

w wąskiej śluzie. Chris zaniknął przesłonę helmu, ale przedtem podszedł

jeszcze do Geli i szepnął:

- Proszę cię, pomóż jej. Ona jest nowicjuszką. Gela skinęła głową. Chris

wyciągnął do niej rękę.

Odwzajemniła uścisk i nareszcie spojrzała mu prosto w oczy.

To ładnie z jego strony, że troszczy się o Carol, pomyślała. Raptem

zrobiło jej się przykro. Jak by zachował się Harold w podobnej sytuacji? Tak

samo, to pewne! Tylko że on nie wrócił z takiej wyprawy... Zatrokana

spojrzała na Chrisa, który zamierzał już wejść do śluzy.

Nie każdy miał kogoś bliskiego na "Oceanie I", a jednak była

przekonana, że nie tylko ona nie mogła zapomnieć zaginionych towarzyszy.

Łączyło ich zbyt wiele wspólnych przeżyć, w szkole, podczas przygotowań do ekspedycji. Niektórzy z obecnej załogi powinni byli już wtedy wziąć udział w wyprawie, ale z niewiadomych przyczyn przesunięto ich na późniejszy termin... A nie minęły nawet jeszcze trzy lata.

Gela postąpiła krok ku śluzie, uklękła obok Chrisa, sprawdziła szczelność jego przestony, po czym szepnęła: - Uważaj na siebie, Chris...

- Uważaj, Chris! - krzyknął zupełnie innym tonem Karl, kiedy jego przyjaciel usiłował wydostać się ze śluzy. Chris odniósł nagle wrażenie, jak gdyby podcięto mu nogi, po czym runął jak długi. Poorane bruzdami podłoże okazało się niezwykle śliskie i nierówne. Ze wzmacniacza rozległ się śmiech Nilpacha.

- Wybacz - powiedział wreszcie - ale to naprawdę wyglądało śmiesznie. - Podeszedł do Chrisa, aby mu pomóc, ale jaskółka wykonała w tym momencie ostry skręt i obaj runęli.

- Co za cholerna bestia! - zaklął Karl. - No, poczekaj!

Sięgnął ręką do otwartej jeszcze śluzy i wydobył z niej dwie laski.

Chris wskazał przed siebie. Przedłużenie przetyku ginęło w ciemnościach.

Karl skinął głową i skierował tam światło lampy. Przetyk zwięzał się stopniowo.

Powoli posuwali się do przodu.

Wkrótce Karl dał przyjacielowi do zrozumienia, żeby nie szedł po dnie, lecz bardziej bokiem, gdzie nie było tak ślisko. Zaledwie Chris zdążył

usłuchać tej rady, wydarzyło się coś nieoczekiwanego: we wnętrzu przetyku zamigotało nagle światło. Śliskie dno zadygotało, włókna i pierścienie przesunęły się elastycznie.

- Trzymaj się! - krzyknął Chris. Wbił swoją laskę między pierścienie i wsunął się w powstałe wgłębienie. Poczul, że coś przycisnęło go na moment do ściany, po czym przemknęło dalej. Wstał spiesźnie, zaświecił lampę i przetarł rękawem przesłone hełmu. Ogarnęło go przerażenie. To, co rozpoznał w świetle lampy, było ogromnym, zgniecionym ciałem skrzydlatego zwierzęcia, które szybko przesuwało się w kierunku helikoptera.

- Karl! Karl! - krzyczał Chris.

- Tak - usłyszał sapanie i odetchnął z ulgą. - Idę już... pociągnęło mnie kawałek... Nic ci się nie stało, Chris? - Karl przedzierał się do niego z trudem.

- Ta bestia żre nadal, nie przeszkadza jej nawet to, że tkwimy w jej przetyku.

Skierowali światło na helikopter. Chris ścisnął Karla za ramię, wstrzymując ze strachu oddech. Ostatni łup jaskółki widniał nie opodal, zaczepiony o maszynę. Ruchy przewodu przybrały na sile i po chwili były tak intensywne, że mężczyźni musieli się mocno trzymać.

- Mam nadzieję, że kotwica wytrzyma! - Chris zgrzytnął zębami.

- Pomyśl, co by było, gdybyśmy jej nie zarzucili - Karl poruszył ramieniem imitując lot ślizgowy.

Wtem na skutek gwałtownego ruchu ciało zwierzęcia przesunęło się w ich kierunku, zatrzymało, po czym zniknęło w ciemnościach.

- Uff - jęknął z ulgą Karl.

- Chodź, musimy się spieszyć - nalegał Chris. - Jeszcze sto kroków,

dopiero taka odległość od helikoptera jest bezpieczna.

Przewód zwęzał się coraz bardziej.

- Tak, to tu - oświadczył wreszcie Chris. W tym miejscu mogli stać

wyprostowani. Na dnie widoczna była szczególnie wypukła wiązka włókien.

Tam założyli ładunek wybuchowy. Następnie pobiegli z powrotem. Karl

pośliznął się, przewrócił i znieruchomiał w jakimś wgłębieniu.

Tuż po eksplozji nastąpiło znowu gwałtowne przyśpieszenie. Jaskółka

zmieniła widocznie kierunek lotu, bo znaleźli się przez chwilę niemal w

pionowym położeniu.

- No - odezwał się Karl. - Teraz przygotuj się do wielkiego lotu! -

Chwycili pojemniki z trucizną i przeszli znów do przodu. Krater odznaczał

się wyraźnie ciemną plamą. Wiązka włókien rozerwana była na szerokość

dziesięciu stóp, z postrzępionych brzegów ciekła krew.

- Ciekawe, czy ona w ogóle coś poczuła? - zainteresował się Chris.

- Może przez chwilę lekkie podrażnienie oskrzeli - zgadywał Karl.

- A więc, do roboty - powiedział zdecydowanie Chris. Otworzył

kanister i wylał zawartość tam, gdzie w rozerwanej wiązce włókien silnie

pulsowały liczne naczynia krwionośne. - Wracamy. Powinniśmy być w

helikopterze, zanim to się zacznie.

- Jeżeli w ogóle się zacznie - zauważył Karl.

- Jak to?

- Po prostu. Przecież działanie tego środka nie zostało sprawdzone w

praktyce. - Karl zatoczył ręką półkole. - Średnica tego przewodu ma prawie

dwadzieścia stóp. Możesz sobie wyobrazić, jak olbrzymia jest cała bestia?

Wśród załogi helikoptera panowało nerwowe podniecenie i dopiero, kiedy obaj mężczyźni wyszli ze śluzy i zrzucili z siebie zabrudzone skafandry, ich towarzysze uspokoili się.

- Nie zazdrościłem wam, kiedy ta padlina przemknęła koło was -

zauważył Charles. Zwrócił się do Chrisa: - Co według ciebie teraz nastąpi?

- Przede wszystkim zobaczymy, czy ten koktajl przyrządzony przez

Carol działa - odparł spokojnie Chris.

- Na pewno działa! - Carol ruchem ręki nakazała milczenie. Wyglądała na opanowaną, widocznie przewyciężyła już chwilę słabości. - Spójrzcie, wydaje mi się, że to już!

Istotnie, siły przyspieszenia jakby osłabły. Naraz dał się słyszeć

głuchy odgłos uderzenia, wszystko dokoła zadygotało, potem poczuli szarpnięcie. Włókna mięśni rozciągały się, zmieniając radykalnie położenie helikoptera. Z trudem utrzymywali równowagę. Kabina zaczęła się przechylać, potem zatoczyła półkole, aby wreszcie znieruchomieć dnem do góry.

Zapanowała cisza. Członkowie ekspedycji wyprostowali się z ulgą, po czym stanęli na suficie kabiny, tworzącym obecnie podłogę, i zaczęli porządkować rozrzucone w nieładzie przedmioty.

Wydawało się, że śmierć ptaka nie była dla nich obojętna. Ostatecznie zniszczyli czyjeś życie i każdy z nich odczuwał teraz niesmak.

Dlatego zabrzmiało nieco sztucznie, ale jednocześnie rozładowało ponury nastrój, kiedy Karl odezwał się:

- Przytulnie, prawda?

- No i co teraz - zapytała Carol. - Jak się stąd wydostaniemy?

- Pieszko, a jak inaczej? - odparła Gela.

- A helikopter? W jaki sposób chcesz dotrzeć do statku? - nie

ustępowała Carol. - Gdyby nie wasz upór, może byśmy zdołali uratować maszynę. Kto wie, gdzie zawlókł nas ten ptak i czy w ogóle uda się nam jeszcze nawiązać kontakt z "Oceanem".

Chris był najbliżej nadajnika. Wyprostował się, chwycił za oparcie wiszącego nad nim fotela, podciągnął się do góry, po czym włączył nadajnik. Po kilku chwilach odezwała się centrala. Wszyscy ode - j tchnęli z ulgą. Chris przedstawił sytuację, potem poprosił o dokonanie namiaru położenia i wkrótce zakomunikował:

- Znajdujemy się w odległości trzydziestu dwóch mil od statku. Na razie nie mogą nam pomóc, bo nadciąga burza. Duży helikopter ratowniczy jest jeszcze nie zmontowany, pomoc nadejdzie więc nie wcześniej niż jutro rano. Tocs zarządził, żebyśmy spokojnie czekali. Uważa, że nic nam nie grozi. Ale mnie się wydaje, że powinniśmy spróbować ustawić helikopter.

- Tocsowi łatwo mówić, jest o trzydzieści dwie mile stąd - odezwał się Ennil. - A my nie wiemy, co może się stać z ciałem jaskółki.

Pominęli milczeniem tę uwagę.

- Powinniśmy postawić helikopter - powiedziała Gela.

Zadanie okazało się wcale nie tak trudne, jak się wydawało. Po mozolnym rozdzieleniu siekierami włókien mięśni, które więziły śrubę sterowniczą, maszyna przesunęła się na środek przewodu i wysunęła z niej,

po czym używszy wielokrążka i podpórek pod koła ustawiono ją bez większego trudu. Tym razem śliskie podłoże okazało się przydatne. Bardziej skomplikowane było zdjęcie zakrzywionej łopaty wirnika, ponieważ elastyczna ściana przewodu ograniczała ruchy. Wreszcie uruchomiono silnik. Ku ogólnej radości zaskoczył od razu.

- Jeżeli uda nam się wydostać stąd maszynę, to za dwie godziny polecimy bez pomocy "Oceanu" - powiedział Karl.

Po kolacji Ennil zarządził ciszę nocną.

W pierwszej chwili Gela nie zorientowała się, co ją zbudziło.

Nastuchiwała

przez

moment,

ale

dochodził

ją

tylko

oddech

współtowarzyszy. Ennil pochrapywał cicho. Ale co to, czy nie jest to odgłos skrobania, jak gdyby pocierano czymś o metal? Serce skoczyło jej do gardła.

Nagle zapanowała znowu cisza. Gela leżała jeszcze długo, nie mogąc usnąć.

Potem ujrzała wielkie potwory, które pełzły w jej stronę. Chris ogromnym

mieczem zadawał im ciosy. Teraz Chris miał twarz Harolda, potem był to

znowu Chris. Naraz zobaczyła ich obu z identycznymi mieczami w dłoniach.

Walczyli jak opętani, ale bestie stawały się coraz bardziej zażarte i

przybywało ich coraz więcej. Wtem pochwyciły Chrisa, nie, to był Harold.

Kleszcze objęły go, zgrzytając o pancerz.

Gela poderwała się z miejsca. Nie było wątpliwości, teraz rzeczywiście

usłyszała czyjeś stąpanie, skrobanie i - a więc to nie był sen - ten przenikliwy zgrzyt.

- Chris, Karl, słyszycie? - zawołała przytłumionym głosem. Nie mogła opanować drżenia ciała.

- Tak, Gela - doszedł ją szept od strony Chrisa. Poczula nagle tuż obok siebie ruch. - To ja - szepnął Chris.

Chwyciła go za rękę. Czuł jej podniecenie.

- Nie bój się - mówił cicho. - Kabina jest dosyć mocna. Słyszę to już od dłuższego czasu.

- Co to może być? Przecież jesteśmy jeszcze we wnętrzu tego ptaka.

Chris nie odpowiedział. Po chwili błysnął promień światła latarki, przesunął się po oparciach foteli i nagle oświetlił łeb ogromnej bestii.

Gela stłumiła okrzyk. Z całej siły, aż do bólu, ścisnęła ramię Chrisa.

- Nie bój się. On się tu nie dostanie - szepnął Chris.

Wtedy puściła jego ramię, a nawet odsunęła się nieco.

Chris spokojnie, jak tylko to było możliwe, powiedział:

- Ciekaw jestem, skąd ten potwór tu się znalazł!

Oświetlił głowę zwierza. Wydawało się, że potwór w ogóle nie zwraca na to uwagi. Dwa pokryte szczeciną czułki przesuwały się po szybie okna tam i z powrotem, ale największe wrażenie robiły uzębione, rozwarte szeroko żuchwy, za którymi nieprzerwanie poruszały się twarde płyty. Ich

zadaniem było widocznie rozdrabnianie zdobyczy.

- To mrówka - oświadczył Chris niedbale, jak gdyby mieli przed sobą

wyłącznie okaz do nauki biologii. - Dawniej występowały również u nas.

Znane są różne gatunki - teraz mówił tonem profesorskim i z lekką ironią -

różniące się od siebie kolorem i wielkością, a nieraz nawet sposobem

odżywiania. Sądząc po głowie bestia ma z pewnością dwadzieścia stóp

długości. - Chris mówił znowu poważnie. - Ale i tak nie przejdzie przez tę

pancerną szybę. Mnie najbardziej ciekawi jedno: skąd ona się tu wzięła?

- Czy nie powinniśmy obudzić innych? - zapytała Gela.

- W żadnym wypadku! - odparł Chris. - My też pójdziemy zaraz spać.

Teraz nic nam nie grozi, ale kto wie, co czeka nas jutro. Chciałbym się tylko

jeszcze przekonać, czy ta mrówka jest sama.

Ostrożnie wdrapał się na fotel i wyjrzał przez wypukłą szybę okienka.

Kiedy podniósł głowę do góry, omal nie krzyknął ze zdziwienia: pomiędzy

dwiema czarnymi, trudnymi do zidentyfikowania bryłami połyskiwało

matowe światelko. Gdyby nie był przekonany, że są teraz we wnętrzu ptaka,

mógłby przysiąc, że w górze świeci gwiazda.

Włączył reflektor dziobowy. Mrówki, oślepione jaskrawym światłem,

na chwilę znieruchomiały. Było ich wiele, upiornie odcinały się od ciemnego

tła. Niektóre taszczyły szczątki włókien mięśni, inne zatapiały swoje żuchwy

w miękkich częściach przetyku. Wydawało się, że helikopter nie przeszkadza

im w ogóle i - co bardziej ucieszyło Chrisa - nie interesuje.

Cofnął się. Ścisnął dłoń Geli i szepnął: - Spij, ona chyba zablądziła. Nic

więcej nie zauważyłem.

Położył się tuż obok. Gela była mu za to wdzięczna. Ostrożnie

cofnęła rękę.

To chyba była jednak gwiazda, myślał Chris, i zrobiło mu się lżej na

duszy. Zасыpiając już, poczuł lekkie drżenie podłogi. Macie rację, bierzcie się

do pracy, pomyślał jeszcze, zanim zapadł w głęboki sen.

II

Res Strogel wyciągnęła przed siebie długie nogi i oparła się wygodnie o tył ławki.

Większość przechodniów uważała ją na pewno za próżniaka, wygrzewającego się w ciepłe zimowego słońca, którego promienie przenikały nawet przez kopułę dachu.

Istotnie Res rozkoszowała się błogim ciepłem, wdychała woń jaśminu, który widocznie kwitł gdzieś w pobliżu, i wsłuchiwała się w świergot wróbli.

Wodziła wzrokiem dokoła, obserwując przechodniów; i kilka matek z dziećmi, kwiaty, kwitnące krzewy i drzewa. Wysoko w górze połyskiwały kopuły osłaniające ten mały świat przed mrozem i zimowymi burzami.

Ale na dalszym planie, między słupkami kwiatów kasztanowca, rdzawo lśnił sześcian, w którym mieścił się instytut. Przez krótką chwilę Res uświadamiała sobie kontrast między przyjemnością siedzenia na tej ławce a tym, czego niedawno dokonała. Teraz czuła wewnętrzną pustkę i wydało jej się, że mogłaby siedzieć tak bez końca, rozkoszować się otaczającą ją przyrodą, nie myśleć o niczym.

Uniosła głowę. Jeden z wróbli przemknął obok i wylądował tuż przed nią. Spojrzał na nią przekrzywiając łepkę, zbliżył się, a przekonawszy się, że ta nieruchoma postać, która siedzi tak wygodnie, nie ma wobec niego złych zamiarów, dziobnął zakrzywione piórko, leżące na trawniku tuż przy wyłożonej miękkim plastykiem drodze. Widocznie chciał zdobyć je za wszelką cenę, aby wypościć swoje gniazdo. Jego starania nie dawały

jednak rezultatów, nawet kiedy zaczął pomagać sobie skrzydłami.

Widok ten rozweselił Res. Wszystko inne, poza tym wróblem, przestało dla niej istnieć.

Wróbel rozzłościł się widocznie nie na żarty, szarpał za piórko, rozrzucając strzępy trawy, ale. cel jego wysiłków tkwił nadal na swoim miejscu.

Res spojrzała gniewnie na jakiegoś przechodnia, który zbliżał się do nich. Ale ptak odskoczył tylko na chwilę i znowu wziął się do roboty.

Po chwili przebiegło jakieś dziecko. Wróbel odleciał na pobliskie drzewo i zniknął w gęstwinie.

Res znów oparła głowę o ławkę. Czowała się rozczarowana. Powróciły myśli natrętne i męczące. Pamięć podsunęła jej rozmowę z Mexerem, a raczej jego pouczenia sprzed niespełna piętnastu minut, i Res mimo woli zaczęła znowu wyszukiwać argumenty. Ale jednocześnie uświadomiła sobie z przykrością, że nawet najbardziej celne nie zdołają skłonić Mexera do podjęcia tej pracy.

Obiektywnie każdy przyzna, że nie zaniedbałam niczego, aby pomyślnie doprowadzić prace do końca, pomyślała. A co sądził Mexer? Że to tylko spekulacje, za słabo podbudowane naukowo. To, że rozwiązała wiele problemów w sposób możliwy do przyjęcia, nie ma chyba dla niego żadnego znaczenia. Grała o wysoką stawkę i przegrała. Res uśmiechnęła się gorzko.

Głupie powiedzenie, pomyślała z ironią.

Ten strach Mexera przed najmniejszym nawet ryzykiem! Ha!

Chciałabym wiedzieć, co jego instytut ma zamiar zrobić, aby zniszczyć

zalew bakterii. Zniszczyć! Tak jak gdyby to rozwiązywało sprawę.

Przez chwilę Res przypomniała sobie, jak sama usiłowała podejść do tych mikrobow przemocą. Była szczęśliwa, że jej się wtedy nie udało. A jednak...

Coś przemknęło obok niej. Znajomy wróbel siedział znowu nie opodal.

Upodobał sobie tamto piórko.

Res obserwując ptaka otrząsnęła się z przykrych myśli. Z trudem powstrzymywała się od śmiechu widząc, jak wróbel to szarpał, to znów dziobał, wreszcie stracił równowagę, kiedy udało mu się to piórko schwycić.

Teraz pofrunął na drzewo. Jego lot, mimo balastu, był lżejszy.

Masz rację, wróbelku, nie należy się poddawać, pomyślała i zerwała się z miejsca. Spojrzała na instytut, mruknęła: - Zobaczymy! - odgarnęła nogą źdźbła trawy i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę tarasu restauracji.

O tak wczesnej popołudniowej porze było tu spokojnie. Res wyszukała sobie miejsce, z którego mogła objąć wzrokiem salę, w roztargnieniu wodziła palcem po klawiaturze pulpitu dyspozycyjnego, po czym podjąwszy nagłą decyzję, zaprogramowała dosyć obfite menu.

Dopiero teraz rozejrzała się wokół. Sala jadalna, urządzona z przepychem, robiła wrażenie zaniedbanej: kwiaty na stołach sprzed dwóch dni, poplamione tu i ówdzie taśmy obsługujące, śmieci na dywanie oddzielającym dwa rzędy stołów.

Res nie obejrzała jeszcze wszystkiego, kiedy obok niej odezwał się brzęczyk, a taśma obsługująca zatrzymała się.

Res spojrzała na potrawy i... osłupiała. Jeden talerz pusty. Na pstrągu z sąsiedniego półmiska piętrzył się bigos, w kompotierce znajdował się płyn, który przypominał raczej rozpuszczone masło, a na taśmie leżały polane sokiem kostki ananasa.

Pierwszym odruchem Res był gniew. Potem pomyślała, że to wszystko wygląda humorystycznie. Odszukała na klawiaturze odpowiedni przycisk i wcisnęła go, wzywając porządkowego.

Zadziwiająco szybko zjawił się blady, młody mężczyzna.

- Spójrz tylko, proszę - powiedziała uprzejmie Res, wskazując ręką na taśmę.

Mężczyzna popatrzył, zmarszczył czoło, po czym zauważył:

- Co za łajdak! Znowu staje dęba. Teraz przesuwam taśmę za szybko. To znaczy - w zamyśleniu przytknął palec do policzka - przekaźnik chyba nawalił...

- Tak, tak - przerwała mu Res niecierpliwie. - Ale mój przekaźnik jest w całkowitym porządku. I wyobraź sobie, że sygnalizuje głód. A więc postaraj się, żeby ten łajdak nie włożył teraz pstrąga do kompotu.

- Oczywiście, oczywiście - zapewnił porządkowy. Uruchomił taśmę, po czym zniknął.

Ten drobny incydent ożywił Res. To zadanie muszę jakoś doprowadzić do końca, pomyślała. Zobaczymy, kto ma rację. Szkoda tylko, że narazimy się na duże straty. Zapragnęła nagle porozmawiać z kimś, nie tylko o pracy i swojej porażce, ale tak po prostu.

Kiedy wrócę od dzieci, pogadam sobie z Ewą, postanowiła.

Taśma obok niej szarpnęła gwałtownie, potem jeszcze raz i jeszcze. Res uśmiechnęła się. Była pewna, że bladolicy obsługuje teraz taśmę ręcznie.

Zresztą to, Co wkrótce podjechało, odpowiadało ściśle zamówieniu i smakowało bez zarzutu. Widocznie "ten łajdak" umiał jednak przygotować potrawy.

Nie odbierzesz mi apetytu, pomyślała złośliwie o Mexterze, który, jak wiedziała, cierpiał na rzadką już chorobę, chroniczny niezbyt żołądka. W tej chwili nie współczuła mu ani trochę.

Jeszcze raz przypomniała się jej dyskusja z nim. Jeżeli on przeforsuje ten swój plan zniszczenia, to mogę zapomnieć o swojej hipotezie... Odbierze mi materiały potwierdzające moje przypuszczenia. Głupia sprawa!

Ułynęła godzina, zanim uzyskano połączenie. Res specjalnie w tym celu wymieniła mały wideofon w pokoju hotelowym na aparat, który wyświetlał w naturalnych wymiarach.

Telekomputer zaanonsował ją już wcześniej, Ewa nie była więc zaskoczona.

- Cześć, Res - powitała ją. - Dobrze, że znowu cię widzę. Kiedy spotykaliśmy się ostatnim razem? W zeszłym roku, na Sylwestra, prawda? Co słychać u twoich pożeraczy betonu? Dobrze wyglądasz! Do twarzy ci w tych krótkich włosach, wiesz? Ja z moją płaską czaszką nie mogłabym sobie na to pozwolić. Ale powiedz, co słychać, jak dzieci?

- Uff! - jęknęła Res. - Czy twój Gwen... jesteście chyba jeszcze razem? -

Kiedy Ewa skinęła energicznie głową, Res mówiła dalej: - No wiesz, nigdy nic nie wiadomo! Był podobno lekkoduchem. A więc czy cię twój Gwen nie

uspokoił?

Ewa zaśmiała się.

- Pewnie moja praca sprawia, że mu się to jeszcze nie udało -

wyjaśniła.

Res skinęła głową.

- Musicie poprawić swoje usługi, żeby nie było tylu zażaleń. Czy te nowe automaty kulinarne nie są przypadkiem z waszej budy? Właśnie

miałam z nimi przygodę. Gwen jest w domu?

- Skądże! - odparła Ewa. - Razem z komisją ONZ przebywa gdzieś w

Algierze, a więc nie tak daleko od ciebie. Mają zatrzymać piasek, czy coś

takiego. Zupełnie oszalał na tym punkcie. Ale powiedz mi, jak dzieci? Co z pracą?

- Właśnie wracam od mojej dwójki. Czują się wspaniale. Spotkaliśmy

się po raz pierwszy od dwóch tygodni. Zobacz! - Res położyła przed

obiektyw zdjęcie stereoskopowe dwojga dzieci, ośmioletniego chłopca i

dziesięcioletniej dziewczynki. - Te nowe domy opieki to istny raj dla

dzieciaków. I zawsze korzystam z codziennej wideogodziny. Jesteśmy z tego

bardzo zadowoleni. A ty trzymasz swoją Maud nadal w domu?

Ewa znów skinęła głową.

- No tak, a jeżeli chodzi o pracę - opowiadała dalej Res - to właśnie

wyleciałam od Mexera. Skończyłam z tym, przynajmniej na razie.

- Co takiego? - Ewa była szczerze zdziwiona. - Oszalałaś? Tyle się nad

tym namęczyłaś. Przecież to, że Tom was opuścił, było też związane z twoim

obsesyjnym umiłowaniem pracy, musisz przyznać. A teraz co? Mexer to ten

karierowicz, teoretyk, tak? Czy to nie on napisał pracę dyplomową, z którą nikt nie wiedział, co robić?

- Stop, stop! - zawołała Res ubawiona. - Tak, to on. Ale widocznie jednak coś znaczy, skoro dostał awans. Akademia potrzebuje też ludzi superpilnych. Zresztą znam go lepiej niż ty. Studiowałam z nim razem przez pięć lat.

- Tak, wiem. I nic ci nie przychodzi do głowy? Nie sądzisz, że on widzi w tobie rywala? Tacy ludzie czują to na odległość! Gdyby twoja praca została oceniona pozytywnie, może i ty byś awansowała. Wszystko jasne! - Ewa stuknęła dłonią w czoło, jak gdyby odkryła akurat, w jaki sposób można pokonać prędkość światła.

- To absurd! - zaprotestowała bez przekonania Res. - Przecież żyjemy w dwudziestym drugim wieku!

- O, tak! - powiedziała Ewa z przekąsem. - Nikt teraz nie morduje ani nie kradnie. Ludzie przestali oszukiwać. Zboczeńcy seksualni i kleptomani zostali wyleczeni dzięki waszej słynnej metodzie oddziaływania na geny, wiem o tym. Nadal jednak brakuje leku na chorobliwą ambicję czy zawiść. I podobno nadal istnieją zazdrość, obraza i tym podobne zjawiska.

Ostatnie słowa Ewa wypowiedziała z żartobliwą ironią. Jej dosyć pełne policzki pokryły się rumieńcem, a włosy wydawały się jeszcze bardziej nastroszone niż na początku rozmowy.

- Nawet Gwen się wścieknie, kiedy opowiem mu o tym. A ty siedzisz jak gdyby nigdy nic i znosisz to wszystko - dodała.

- Mnie to też trochę złościło - przyznała Res.

- Czy jesteś uzależniona od Mexera?

- W tej chwili tak. Zresztą jeżeli chodzi o mój temat, to nie miałam dopracowanych do końca podstaw genetyki. Trzeba też przyznać, że praktycy z dziedziny genetyki nie mają jeszcze zbyt dużej wprawy. No i trochę byłam onieśmielona. Inny instytut, czy ja wiem...

- Zrezygnuj z tego, radzę ci. - Ewa uniosła dłonie do góry, jakby zaklinała przyjaciółkę.

- Może bym i tak zrobiła - powiedziała Res niepewnie. - Tylko, widzisz, po pierwsze, jestem przekonana, że mam rację, a po drugie, nie chwałę się, ale uważani, że ten problem ma znaczenie ponadregionalne. - Podniosła głos, jak gdyby odzyskała wiarę w siebie. - Wyobraź sobie, że zatamowaliśmy napływ mikrobow, pożeraczy betonu, jak je nazywasz.

Szerokość ich pochodzenia ograniczyliśmy do około pięćdziesięciu metrów. Nie możemy ich tylko zepchnąć z drogi, przynajmniej bez ogromnych nakładów. Oczyszcziliśmy ją, żeby pozbyć je pożywienia, usunęliśmy najdrobniejsze okruchy, ale one nie dają za wygraną. Tak jakby czuły, że przed nimi znajduje się miasto, w którym raz jeszcze mogą nażreć się do syta.

- A gdyby je zniszczyć? - Z twarzy Ewy zniknęła wreszcie typowa dla niej beztroska. - Ostatnio | opowiadałaś, że ogień i ten... jak nazywa się ten środek, którego dane wygrzebaliście w starych archiwach wojskowych?

- Napalm, okropna rzecz. Swego czasu wyrządził ludziom wiele złego - potwierdziła Res. Po jej twarzy przemknął cień.

- Właśnie, o to mi chodzi - powiedziała Ewa.

- Bez żadnego skutku, a raczej z odwrotnym - Res machnęła ręką. -

Jakoś to przetrwały, potem ożyły i zaczęły rozmnażać się w zawrotnym tempie, jakby musiały nadrobić stracony czas. Już wkrótce straciliśmy nad nimi kontrolę. Zdarzyło się, że daleko w tyle na trasie, tam gdzie myśleliśmy, że wszystko już jest wyjedzone, a dla nich nie ma żadnych warunków życia, uaktywniła się jakaś gromada. Nie pozostało nam nic innego, jak zwabić ją podstępem do grupy głównej, rozsypując po drodze pożywienie. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile to nas kosztowało wysiłku. W akcji znajdowały się stałe samochody i samoloty, zresztą używa się ich nadal, ale efekty są znikome. Jestem przekonana, że pomysł wyniszczenia mikrobów to nonsens. Raczej należałoby je objąć kontrolą i prowadzić nad nimi doświadczenia, niezależnie od związanych z tym kosztów. A potem wykorzystać wyniki badań. Na pewno to by się opłaciło.

- A więc nic nie można zrobić, tylko zatamować i kontrolować. A co ze źródłem tego wszystkiego? Przecież tym się zajmowałaś.

- I zajmuję się nadal. - Res uśmiechnęła się. - Przeprowadziłam już wiele doświadczeń. Struktura komórki, mechanizm rozmnażania, zdolność dostosowania się i odporności, to wszystko przestało już być dla nas tajemnicą. Zresztą opisałam to W swojej pracy. Nie znamy tylko ich ośrodka dyspozycyjnego i źródła. Obecnie istnieją na ten temat tylko hipotezy, ale Mexer traktuje je jako spekulacje. Jestem jednak przekonana, że moja hipoteza jest prawidłowa, trzeba tylko zmienić taktykę, żeby ją udowodnić. A bez poparcia Mexera... no, zostawmy to na razie. Poza tym on nie ma na pewno zielonego pojęcia, co to znaczy potrzymać te agresywne komórki pod mikroskopem i zbadać je, zanim nie przeżrą szkiełka. Czy wiesz, ile

*włożyliśmy pracy, aby znaleźć odpowiednie naczynie do ich przechowania,
to znaczy materiału, którego nie mogłyby zjeść?*

*- A więc wszelkie próby ocalenia Boutilimitu skazane są z góry na
niepowodzenie?*

*Res potrząsnęła energicznie głową, potem wstała, zdjęła z półki jakąś
kasetę. - Chcesz obejrzeć?*

Ewa skinęła głową.

*Res założyła kasetę do aparatu i wcisnęła wyłącznik. Ukazało się
widziane z lotu ptaka centrum Boutilimitu. Miasto powstało na przelomie
tysiąclecia, różniło się znacznie od niebotycznych kolumn z betonu i
płaskich budowli ciosowych. Fasady z licznymi oknami i balkonami były
urozmaicone ornamentyką i stylizowanymi rzeźbami. Pomiędzy budynkami
widniały betonowe płyty i wyłożone plastykiem drogi, zieleńce, fontanny i
trasy asfaltowe.*

*Nie było to jednak duże miasto z normalnie pulsującym życiem. Ludzi
wprawdzie nie brakowało, wprost przeciwnie: mieszkańcy stali w grupach,
dyskutując żywo. Uchwycone kamerą twarze wyrażały podniecenie,
oburzenie. Tu i ówdzie wylaniały się z tłumu pięści. Po ulicach jeździły tylko
nieliczne pojazdy. Wystawy sklepowe świeciły pustkami.*

*Obraz zmienił się. Znowu ulice. Przed domami mrowie ludzi. Na
transportowe taksówki powietrzne wrzucano różne przedmioty. Meble,
paczki. Kamera ukazywała płacząca dzieci, zdenerwowane matki,
zabieganych mężczyzn. Pomiędzy nimi grupy mundurowych. Powszechna
panika i chaos.*

Teraz ukazały się długie kolumny pojazdów. Otulone kłębami kurzu jechały na lotnisko, przeciążone taksówki powietrzne wzbijały się ku niebu.

Przed obiektywem migwały niespokojne i zapłakane twarze ludzi.

Kolejna scena: policja porządkowa wepchnęła żywo gestykulującą starszą kobietę do pojazdu. Znowu cięcie i zupełnie inny obraz. Nie, to było to samo miasto, ale całkowicie wyludnione. Zdjęcia, wykonywane w jaskrawym słońcu, wprost raziły złowieszczą ciszą. Śmigłowiec filmujący zatrzymał się na dłuższą chwilę w miejscu. Kamera ukazywała podstawę wieżowca, chyba trzydziestopiętrowego. Przed domem był trawnik, obok chodnik.

Obiektyw przesunął się na chodnik. Ale tam nie było już płyt, jedynie kotłująca się bladoszara masa.

Teraz ukazał się fragment pomalowanej ściany: kolor zmienił się, gładka niegdyś powierzchnia stała się porowata, skurczyła się, proces obejmował stopniowo całą ścianę, jak gdyby w bibułę wsiąkała szara woda.

Tumany pyłu stawały się coraz gęstsze, podstawa ściany zniknęła w chmurze.

Obraz zmniejszył się. Śmigłowiec oddalił się nieco. Po krótkiej chwili olbrzymi wieżowiec zapadł się przy akompaniamencie głuchego łoskotu, brzęku zrywających się zbrojeń stalowych i pękającego szkła...

Ogólny widok upiornie zapadających się domów. Niektóre z nich przewracały się. Narastający pył litościwym całunem okrywał coraz powszechniejszą śmierć miasta.

Nagle zupełnie inne ujęcie: ludzie w kombinezonach ochronnych na

cysternach i maszynach wznoszą tamy i rozpryskują pianę. Pracują spiesznie, ale nie chaotycznie, bez paniki.

W polu widzenia ukazał się inny śmigłowiec, który wisiał na wysokości około sześciu metrów, nieco na uboczu. Znajdował się w nim jakiś człowiek z mikrofonem, odziany również w kombinezon ochronny.

Obraz nagle urwał się.

- To byłem ja - powiedziała Res.

- Okropne - odezwała się Ewa. Twarz miała zaczerwienioną, wzrok zdradzał przerażenie.

- Tak - odparła lakonicznie Res. - Straszne i przytłaczające!

Ewa milczała przez chwilę, potem zapytała: A drugie miasto, które znajduje się na trasie ich marszu, Noua...?

- Nouakchott - podpowiedziała Res. Wzruszyła l nieznacznie

ramionami. - Na wszelki wypadek trzeba je będzie chyba również

ewakuować, ale bardziej planowo niż pierwsze. Próbuje wznieść tamy

bakteriologiczne i chemiczne dla ochrony większych dzielnic. Niestety te

stare miasta mają za dużo betonu, musimy więc zbudować masywne,

kilkumetrowe pasmo ochronne.

- Ale co potem? Co potem?

- Według mojej tezy, należy zbadać drugi aspekt ich pochodzenia.

- Jak to: drugi? - nie zrozumiała Ewa.

- Nie wierzą w naturalne powstanie tych mikroobów, przypadkowe,

musi być jakiś sprawca, rozumiesz? A to, oczywiście, nie odpowiada

Mexerowi. - W spojrzeniu Res malowała się teraz ironia i spryt. - No i

ostatnio przestało się mówić o tych wydarzeniach, żeby nie wywołać paniki.

A więc sprawa pochodzenia bakterii. Mam tu na myśli program, którym one się kierują. Musimy go odszyfrować, wtedy my będziemy mogli wydawać rozkazy. Co wydarzy się do tego momentu, nie wiadomo. Aktualnie pracujemy zgodnie z metodą "Uluda pochodu": za wszelką cenę prowadzić pochód w kółko. Mexer zgodził się z tym. Przed bakteriami trzeba stale usypywać jako pożywienie pasmo betonu, z którego nie zejść. To również pomysł mojego kolektywu.

- I w ten sposób odwrócić ich uwagę od miasta? - zapytała Ewa z powątpiewaniem.

- Z ekonomicznego punktu widzenia jest to oczywiście na dłużej nie do przyjęcia. Żeby ratować miasto zrobiliśmy bardzo dużo, wiele budynków wyburzyliśmy. Śródmieście i tak wymagało odbudowy. W ostatecznym rozrachunku taniej będzie zrezygnować teraz z całych dzielnic, a potem odbudować je nowocześnie. Jak to dawniej mówiono? Z konieczności uczynić cnotę. I pod tym względem ich pochód okaże się przydatny, jeżeli tylko odpowiednio nim pokierujemy. To wszystko jest skalkulowane.

Ewa przytaknęła ruchem głowy. Potem zreasumowała:

- A więc trzymacie w garści ten żarłoczny potok mikrobow, sądzicie albo ty sądzisz, że jest on zaprogramowany, nie macie jednak zielonego pojęcia, skąd się te mikroby wzięły, na czym polega ich program i - co najważniejsze - kto je zaprogramował. To niewiele. A więc dopóki one pozwolą sobą kierować, nie widzicie żadnego niebezpieczeństwa. A kiedy nagle przesycają się betonem albo na deser zasmakują im stal, zbudujecie im

linię kolejową w ładnym kółeczku...

Res zaśmiała się.

- Przestań już! - powiedziała. - Alp właściwie masz rację. I to jest właśnie ta słaba, ryzykowna strona mojej teorii. Jak już mówiłam, tymi mikroorganizmami powinien zająć się cały zespół. Może w ten sposób uda się zmienić ich program. Ale to może zająć mnóstwo czasu, a rezultat nie jest pewny. Nie każdy pójdzie na takie ryzyko, nikogo nie można też zmusić.

Poza tym Mexer nigdy nie zatwierdzi projektu, żeby wykorzystać te mikroorganizmy do naszych celów. On chce je zniszczyć. Oczywiście ryzyko jest w tym wypadku mniejsze.

- Słuchaj, czy to by nie było coś dla Gwena i jego komisji? - zawołała nagle Ewa. Zachwycona zerwała się z miejsca, nie zwracając uwagi na fakt, że jej głowa zniknęła z ekranu.

- Przepraszam - powiedziała po chwili, siadając z powrotem. -

Opowiedz mi coś więcej o swoich pomysłach. Już ja napuszczę Gwena.

I Res zaczęła opowiadać.

III

Kiedy Gela obudziła się, Chris spał jeszcze mocno. Nie wiedziała, jak to się stało, ale jej dłoń leżała pod jego twarzą. Czowała kłujący zarost.

Nagle przypomniało jej się pewne zdarzenie związane z Haroldem.

Mieli gdzieś wyjść, ale on nie chciał się ogolić. Chris jest taki sam, pomyślała. Robi tylko to, na co ma ochotę.

Wygląda, jakby całował moją rękę! Powoli cofnęła ją. Palce miała zdrętwiałe.

Nagle ogarnęło ją przerażenie. Dlaczego widzę to wszystko? Ktoś nie zgasił światła - na jak długo wystarczą jeszcze baterie? Ale w tym momencie zrozumiała, że nie jest to sztuczne światło: kabinę rozjaśniał brzask poranka.

- Halo! - zawołał ktoś cicho.

W fotelu pilota siedział Karl. Miał zadowolony minę. Oslaniając dłońmi usta, szepnął: - Dzień dobry, panienko. Prześpisz cały poranek! - Wskazał kciukiem do góry.

Gela podeszła cicho do niego i wyjrzała przez szybę.

Wokół helikoptera piętrzyły się górujące nad nimi białe, wielkie pierścienie, a pomiędzy nimi Gela dojrzała płynące po niebie chmury, szare, postrzępione. Szare chmury nastrajały ją zazwyczaj melancholijnie, teraz jednak podziały na nią jak najweselszy promień słońca.

- Jak to się stało? - szepnęła wreszcie.

- Nie wiem dokładnie - odparł tym samym tonem Karl. - Ale wydaje mi

się, że istnienie tu tylu gatunków tych bestii to nasze szczęście; jedna pożera drugą. Prawdopodobnie obrały jaskółkę z wszystkiego, co nadawało się do jedzenia.

- Zgadza się - zawołał głośno Chris. - To były mrówki, widziałem je.

Charles i Carol zerwali się na równe nogi. Byli jeszcze zaspani, ale otrzeźwieli momentalnie, kiedy dowiedzieli się, co się stało.

- Ciekawe, ciekawe - powiedział Ennil, rozglądając się po nowym otoczeniu. - A więc znajdujemy się we wnętrzu szkieletu.

Karl zaczął otwierać pokrywę śluzy.

- Oszalałeś! - krzyknęła Gela. - Tu są te okropne bestie, mrówki. Jesteś pewien, że nie czyhają gdzieś w pobliżu?

- Żadnych nieprzemyślanych kroków - rzekł zdecydowanie Charles. - Musimy uzgodnić to z "Oceanem II".

Po uzyskaniu kontaktu przedstawił Tocsowi ich aktualną sytuację.

- Za dwie godziny maszyna będzie u was. Z góry sprawdzimy, czy nic wam nie grozi. Do tego czasu nie ruszajcie się z miejsca - zarządził Tocs.

Stosunkowo szybko zostali oswobodzeni.

Jaskółka w swym pośmiertnym locie opuściła się na pustkowie, płaskie wzniesienie tuż na granicy strefy roślinności. Wokół pagórka wznosiły się ku niebu olbrzymie rośliny, których liście, podobne do długich wstęg, miały szerokość niemal trzydziestu stóp.

Po mrówkach i innych zwierzętach nie było na razie żadnego śladu.

Wzgórze dawało też pewne schronienie, ewentualne niebezpieczeństwo można było w porę zauważyć. Na wszelki wypadek Charles utworzył z

załogi helikoptera ratunkowego nieduży oddział wartowniczy. Potem zaczęto wyciągać uwięziony helikopter z tego osobliwego “hangaru pierścieniowego”, jak wyraził się Karl. Nie było to trudne zadanie: teren, na którym spoczywał szkielet, był spadzisty. Helikopter ratunkowy wzniósł się nad miejscem wypadku, a Karl, zawieszony na linie, przerwał wiązadła między kręgami. Było to niezbędne tylko tam, gdzie nie ubiegły ich kleszcze mrówek.

- To na pewno tchawica! - zawołał Karl ze swej wysokości.

Naprawa helikoptera potrwała niecałe dwie godziny i gdy Karl po próbnym starcie zaprosił całą załogę do środka, wszyscy wiedzieli, że wyprawa będzie kontynuowana.

Ennil jednak określił ten zamiar jako szaleństwo i stwierdził, że ryzyko przerasta ich możliwości. Kiedy Gela zaproponowała mu, żeby wrócił drugim helikopterem na “Ocean II”, odmówił z oburzeniem, tłumacząc, że jemu wyprawa odpowiada, a chodzi mu tylko o dobro załogi.

- Sam widzisz, że inni podjęli już decyzję - powiedziała Gela wskazując na helikopter, za którego szybą widać było twarze trzech osób.

Tuż po starcie Carol nagle wyciągnęła rękę w kierunku góry o kształcie stożka, wznoszącej się pomiędzy nabrzeżnym żwirowiskiem a strefą roślinną. Wydawało się, że cała góra składa się wyłącznie z mrówek.

Kłębily się jedna przez drugą, taszcząc pozornie bez celu jakieś przedmioty.

Nikt nie odezwał się nawet słowem, jak gdyby strach odebrał im mowę. Milczenie przerwał Karl.

- To nasi wybawcy - powiedział.

Pozostali przytaknęli mu z ulgą, ale nie kryli swej radości, kiedy stracili wreszcie tę górę z oczu.

Lecieli powoli i nisko, przesuając się niemal tuż nad wierzchołkami drzew, które Ennil określił jako olchy i topole. W dole rozpościerał się bezmiar dżungli; to miejsce nie nadawało się na bazę.

Od czasu do czasu dostrzegali w gąszczu jakieś poruszenie; najczęściej były to mrówki lub inne owady podobnej wielkości, które skakały po pniach i liściach. Również w powietrzu, wokół helikoptera, roilo się wprost od stworzeń. Tylko nieliczne z nich były mniejsze od maszyny.

Początkowo członkowie załogi instynktownie ściskali uchwyty, kiedy stworzenia te z ogłuszającym brzękiem przelatywały obok albo ich wyprzedzały. Karl usiłował rozpaczliwie wymijać je, ograniczał prędkość, wykonywał karkołomne loty nurkowe, które zapierały dech w piersiach.

Jedynie Charles nie posiadał się z zachwytem.

- Eldorado zwierząt! - wykrzykiwał. To kładł się na brzuchu, to znowu wykrzywił się dziwacznie nad fotelem drugiego pilota i fotografował przez cały czas śmigłych lotników. Podniecony zwracał uwagę wszystkich na migotliwe, zielonkawe pancerze, tęcze skrzydła, trąbki, długie odnóża - nie znajdując oczywiście u nikogo poparcia dla swego entuzjazmu. Każdy starał się łagodzić skutki wstrząsów maszyny.

- Teraz ja - odezwał się w końcu Chris. Siedział w fotelu drugiego pilota, wpatrując się z natężeniem przed siebie.

Karl wykonywał właśnie zwrot, chcąc wyminąć żółtawobrunatnego intruza, dosyć ciężkiego, dwukrotnie szerszego od helikoptera.

Bestia brzęczała nieprzyjemnie, miała olbrzymie, podzielone na regularne pola oczy i całe ciało pokryte szczecinką. Przy tylnych odnóżach widniały przytłaczających rozmiarów żółte wory. Nawiasem mówiąc, stwór nie zwracał na helikopter najmniejszej uwagi.

Karl spojrział pytająco na Chrisa.

- Tak, Karl, przejmuję stery - powtórzył Chris. - Uwaga... już!

Chris poderwał maszynę nieznacznie do góry, wziął kurs na południe, przeleciał tuż nad wierzchołkami roślin kierując się do ciemnego pasma nad horyzontem, po czym włączył autopilota. Dopiero teraz odprężył się i usadowił wygodniej w fotelu. Nadal jednak spoglądał bacznie przed siebie.

Reszta załogi reagowała różnie na postępowanie Chrisa. Charles sprawiał wrażenie, jakby to wszystko nie docierało do jego świadomości. Stał przy jednym z górnych okienek i czekał na czarnego owada., który szykował się do wyprzedzenia helikoptera.

Carol siedziała na ławce blada, ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w przeciwległą ścianę kabiny. Trudno było odgadnąć, o czym myśli.

Gela zerwała się z miejsca i podeszła od tyłu do Chrisa. Nilpach patrzył jakby nie rozumiejąc, co się dzieje.

Helikopter leciał z umiarkowaną prędkością swoim kursem, a na zewnątrz, jak przedtem, przemykały z furkotem najrozmaitsze stwory, niekiedy w licznych grupach, nadlatując poziomo i pionowo, czasem tak blisko, że niemal ocierały się o maszynę.

Właśnie zbliżało się ociężałe czarne monstrum pokryte szczecinką.

Miało olbrzymie szczęki i sześć długich, wieloczłonowych odnóży. Owad

buczał przeraźliwie.

Gela instynktownie skoczyła do przodu i uchwyciła drążek sterowy, gotowa poderwać helikopter do góry.

Chris ścisnął jej przegub niczym w imadle.

- Zostaw to! - syknął.

Tuż przed helikopterem czarny, buczący stwór lekko skręcił i minął ich z hałasem.

- Cudo! - zawołał Ennil. - Spójrzcie, na odwłoku ma żółte paski. To chyba trzmiel.

Chris puścił Gelę.

- Pamiętaj, że pilot prowadzący maszynę jest odpowiedzialny za lot. A więc nie wtrącaj się.

- A jeżeli twoja lekkomyślność spowodzi nieszczęście na całą załogę? - zawołała zirytowana Gela.

- Chodź! - zawołał Chris również rozgniewany. Podniósł się, ujął ją za ramiona i wcisnął w fotel. - A teraz siedź tu spokojnie i obserwuj.

Gela opierała się przez chwilę, ale chwyt Chrisa był silny. Gbur, arogancki prostak, na co on sobie pozwala, pomyślała obrażona.

Jednocześnie nie mogła się jednak oprzeć uczuciu podziwu: wydawało się, że

Chris ma szczególną umiejętność decydowania. Zadała sobie nagle pytanie,

jak by postąpiła, będąc na jego miejscu. On miał trzyletnie doświadczenie,

ale nigdy jeszcze nie opuścił swej rodzinnej wyspy. Nagle pomyślała o

Haroldzie; zginął podczas swej pierwszej ekspedycji oceanicznej.

To, co przeżyliśmy do tej pory, zapowiada jeszcze niejedno, pomyślała

Gela. Wiedziała, że napięcie nerwowe wcześniej czy później może źle wpłynąć na załogę. Jedyne Chris zdawał się nie podlegać wpływom. Jeszcze się przekona, że mnie nie docenił, myślała dalej. Ostatecznie ukończyłam wszystkie kursy tak samo dobrze jak on. I był jeszcze Harold, który mi pomagał. Harold wart jest dwóch takich jak Chris...

Czy na pewno?

Gela cofnęła machinalnie głowę, kiedy przed oknem kabiny pojawiło się na krótko potężne odnóże cicho brzęczącego owada.

Strach, jaki odczuwała, ustępował. Za nią stał Chris, gotów bronić jej w razie rzeczywistego niebezpieczeństwa. Carol podeszła do wieżyczki, aby popatrzeć.

Jedyne Charles jakby nie zauważył niczego. Biegał po kabinie i fotografował jak opętany, chcąc utrwalić możliwie jak najwięcej z tego świata zwierząt.

Gela czuła jeszcze lekki gniew. A na domiar wszystkiego pomyślała, że Chris ma chyba rację.

- Te zwierzęta nie są złośliwe - wyjaśnił Chris. - Lecą zwinnie niż nasz helikopter i wcale nie dążą do zderzenia. Spójrzcie, one reagują dziesięć razy szybciej niż my. - Urwał na moment, po czym zwrócił się wprost do Geli: - No jak, przekonałaś się?

Gela bez słowa wstała. Carol chwyciła ją za ramię i poszły razem na tył maszyny. Gela zatrzymała się.

- Czy... - zaczęła Carol - czy wśród tylu istot żywych nie może być też rozumnych?

Gełę zaskoczyło nieco to pytanie. Potem niepewnie wskazała ręką na

przednią szybę:

- Myślisz o nich?

- Nie - odparła Carol. - Oczywiście nie o nich. - Lekka ironia zawarta w głosie Geli nie zbiła jej z tropu.

- Właściwie może masz rację - powiedziała Gela poważnie.

- Co my o tym wiemy? - Carol mówiła jakby sama do siebie. -

Nauczono nas, że my, ludzie, jesteśmy jedynymi rozumnymi istotami. No dobrze! Wiesz, jak wielka jest nasza wyspa w porównaniu z tą krainą? To miniatura! - lekceważąco strzeliła palcami.

- A więc - uśmiechnęła się Gela - stwierdziliśmy, że te przelatujące obok istoty nie są rozumne, chociaż tak zręcznie omijają maszynę. Innych zuchów nie zauważyliśmy...

- Wiem o tym - powiedziała trochę gniewnie Carol. - Ale nasz świat jest w porównaniu do tego mikroskopijny, a jeżeli chodzi o liczbę gatunków, bardziej niż biedny. Uświadomiłam to sobie, widząc tu tę niewiarygodną różnorodność.

- Przerwałeś mi - powiedziała Gela, głaszcząc ją uspokajająco po ramieniu. - Nie mam żadnego powodu, żeby nie wierzyć relacjom z "Oceanu I". - Przy ostatnich słowach spojrzała wyzywająco na Chrisa, który już od dłuższej chwili przysłuchiwał się dyskusji.

- Synowie niebios - wtrącił ironicznie.

Nagle dołączył do nich również Ennil. - Ludzie z "Oceanu I" widzieli ich!

- Tak, jakieś zarysy w chmurach... - odparował Chris. - Owszem, znam te niewyraźne zdjęcia. Ale gdzie jest napisane, że ludzie z "Oceanu I" dowiedli, iż chodzi tu o życie rozumne równe naszemu?

- A co to jest według ciebie? - zapytał Ennil.

Chris wzruszył ramionami.

Karl wtrącił śpiewnym tonem:

- Fata morgana...

- Dajmy już temu spokój - powiedział Chris. - Spójrzmy lepiej, co się dzieje na zewnątrz.

Ciemne pasmo zbliżało się coraz bardziej i teraz okazało się, że jest to rozległy las o ogromnych drzewach.

- To są chyba te olbrzymie drzewa wymienione w raporcie, do... do... -

Ennil przyłożył dłoń do czoła i urwał zakłopotany. Przez chwilę w jego wzroku błysnęło jakby przerażenie.

- A to co? - zawołał nagle Karl. Siedział przechylony głęboko do przodu, wskazując na coś w dole.

Chris jednym szarpnięciem wyłączył autopilota i zatrzymał maszynę w miejscu.

- Gdzie? - zapytał.

- Tam z tyłu, coś białego - głos Karla drżał z podniecenia. - Są wypisane jakieś znaki, tam, na polanie.

- Coś takiego! - drwił Chris. - Widzę, że wziąłeś sobie do serca tę rozmowę... - zaczął i urwał raptownie.

W gęstwinie łodyg i liści gigantycznej trawy spoczywało skryte do

połowy coś białego, przybrudzonego, pogiętego. Widoczne były czarne i wielobarwne znaki. Z pewnością mogły to być litery, ale każda z nich dorównywała wielkością ich maszynie.

Chris ochłonął pierwszy.

- Wzniesiemy się trochę - powiedział. - Charles, masz przygotowany aparat, fotografuj.

Pozostali usiłowali odczytać napis, ale bezskutecznie.

- Nie rozumiem tego - powiedziała Carol, a w jej głosie zadźwięczała wyraźnie nuta żalu.

- A czego się spodziewałaś? - zapytał Ennil.

- Te litery nie różnią się prawie od naszych, z wyjątkiem kilku zakrętasów! - stwierdził Karl.

- Napis jest zamazany, trudno uchwycić sens wyrazu - zauważyła Carol.

- No, Chris - odezwał się Charles nieco wyniośle - powiedz mi, mój drogi, co to jest według ciebie? Złudzenie optyczne?

Chris znalazł najlepsze wyjście z sytuacji. Nie odpowiedział. Przekazał stery Karłowi, po czym wsunął do kamery nowy film.

- Nie - powiedział Karl. - To wygląda jak wydarty albo pognieciony skrawek czasopisma lub strony z książki.

- Filmowałeś? - zapytał Ennil.

- Oczywiście - odparł Chris.

- Łądujemy! - zarządził nagle Ennil. Gela, która akurat stała obok, spojrzała na niego zaskoczona, spodziewając się jakiegoś wyjaśnienia. Ale

twarz Ennila była nieprzenikniona.

Helikopter znajdował się bezpośrednio nad literą, która przypominała do złudzenia A.

- No, siadaj! - niecierpliwił się Ennil.

- Ale jak, wprost na to? - zapytał Karl.

- Oczywiście! - odparł niechętnie Ennil.

- Charles, to zbyt ryzykowne - powiedział Chris z namysłem.

- Ach, tak! - wykrzyknął Ennil. - A twoje poprzednie wyczyny? Może były bezpieczne, co?

- Ale widocznie były ci na rękę - wtrąciła Gela. - Nie przypominam sobie, abyś się sprzeciwiał.

- Ląduj wreszcie! - polecił Ennil Karłowi, który niezdecydowanie utrzymywał maszynę zawieszoną nad literą A.

- Jestem temu przeciwny - powiedział z naciskiem Chris.

- I ja - poparła go Gela.

- Aha! Zdziwiłbym się nawet, gdyby było inaczej. Karl, lądujemy!

Helikopter osiadł na białej równinie, skąd roztaczał się widok na wszystkie strony. Cały teren obfitował w nieregularne granie i dosyć ostre wręby.

Litery, oglądane z bliska, zlały się w ciemnoszare, szerokie pasy.

Całości nie można było ogarnąć wzrokiem. Tylko nieco dalej, gdzie powierzchnia po kolejnym załomie wznosiła się stromo ku górze, widać było kilka liter. Kiedy wysiedli, Chris tupnął nogą. Grunt był tu grubo-włóknisty, porowaty, poprzecinany bruzdami.

- Gdyby ktoś mnie o to zapytał - zauważył Karl - to powiedziałbym, że jakiś gigantyczny szkodnik, ale naprawdę olbrzymi, wyrzucił niedbale kawał papieru albo coś w tym rodzaju.

Charles spojrział na Chrisa znacząco, ale tamten obserwował uważnie rysujące się w oddali osobliwe krawędzie białej powierzchni.

- Uwaga! - zawołał nagle.

Grunt drgnął pod nimi znacznie, uniósł się i opadł z powrotem.

Powierzchnia, na której stał helikopter, przechyliła się.

- Tak też myślałem! - Karl zaklął. - Ale nikt mnie nie chciał słuchać! - I tak szybko, jak mógł, rzucił się w kierunku maszyny. Zanim jednak do niej dobiegł, zaczęła zsuwać się po zboczu. Carol krzyknęła rozpaczliwie. Sami musieli teraz wyteżyc wszystkie siły, aby nie ześliznąć się w dół.

Chris uchwycił się jakiegoś grubego włókna. Spojrzął na helikopter i krzyknął:

- Nie, Karl, zostaw to!

Helikopter zsunął się w stronę Karla, który również trzymał się nierównego gruntu. Maszyna ześlizgiwała się nieprzerwanie ku grani oddzielającej teren lądowiska od spadzistego stoku. Gdyby helikopter runął w przepaść, oznaczałoby to kres wyprawy, a być może również jej uczestników.

Karl na czworakach podczołgał się do helikoptera, chwycił za lewe koło, podciągnął się do góry i zdołał wejść do środka.

W chwilę później silnik zagrzmiał pełnym gazem i w odległości kilku metrów przed urwiskiem maszyna oderwała się od ziemi.

Chris oprzytomniał, gdy poczuł uderzenie fali powietrza, a maszyna zawisała nad nim. Uchwycił koniec liny i wspiął się. Potem pomógł pozostałym. Kiedy podtrzymywał Carol, poczuł, że dziewczyna drży na całym ciele.

Helikopter leciał znów na południe.

- Powinniśmy chyba wyszukać jakieś miejsce na nocleg, niedługo się ściemni - powiedział Ennil.

Lecieli teraz pomiędzy potężnymi formacjami, które z daleka wyglądały jak drzewa. Pnie były tak ogromne, że potrzeba by było około tysiąca ludzi, aby je opasać.

Przytłaczający, niesamowity świat. Niebo pociemniało, wysoko w górze widzieli zielony dach. Poszczególne liście były tak wielkie, że gdyby nie poruszały się bezustannie, mógłby na nich spokojnie wylądować helikopter.

Dotarli do miejsca, gdzie pnie nie rosły tak gęsto. W górze widniało błękitne niebo. Czekala tu ich następna niespodzianka: jeden z pni był równo ucięty na co najmniej trzysta stóp od ziemi. Na jego żółtawej powierzchni dostrzegli brązowe kręgi nierównej szerokości.

- Tu przenocujemy - postanowił Ennil. - Stąd jest dobry widok na całą okolicę.

Wysiedli z kabiny i dopiero teraz stwierdzili, że podłoże składa się z dużej ilości ściętych poprzecznie, elastycznych włókien. Szpary pomiędzy nimi sięgały daleka w głąb podłoża. Tu i ówdzie leżały porzrzucone jakieś nierównomierne bloki.

Z helikoptera widać było tylko krawędzie stromego urwiska, ale na północy, w niewielkiej odległości, wznosiła się na wysokość stu do stu pięćdziesięciu stóp dziwaczna góra, podobna do tej, na jakiej stali.

- Jeżeli uwzględnimy czynnik wielkości, to należy sądzić, że stoimy w tej chwili na zwykłym pniaku - odezwał się Charles z przesadnym ożywieniem, które oczywiście nie znalazło oddźwięku u pozostałych.

Jedynie Karl mruknął:

- Coś takiego!

- Jak wiadomo - ciągnął dalej nie zrażony tym Ennil - taki pniak powstaje wtedy, kiedy drzewo zostanie ścięte ostrym narzędziem, na przykład pilą. My też ścinamy drzewa od czasu do czasu. Chcę przez to powiedzieć, że ktoś musiał ściąć tego olbrzyma, na którego pniaku teraz stoimy! - Charles powiódł po nich wzrokiem.

Nie ulegało wątpliwości, że ów fakt poruszył wszystkich.

Chris wytaszczył z helikoptera małą skrzynkę konserw. Odwrócił się do współtowarzyszy i zapytał:

- Czy ktoś z was jest głodny?

Charles zaprzeczył. Gela zmarszczyła czoło.

- Jeżeli chodzi o mnie, to muszę coś zjeść! - zawołał Karl. - Niedobrze jest filozofować o pustym brzuchu.

Chris skinął głową Karłowi, jakby dziękując za poparcie. Zaczęli wnosić z helikoptera lekkie, składane meble.

Rozmowa urwała się. Każde z nich czuło, że ta historia z napisem wymaga jeszcze epilogu, jedynie Ennil zachowywał się tak, jak gdyby nic się

nie stało.

Jedli milcząc.

Wreszcie Karl odchrząknął głośno i powiedział:

- Jestem tu chyba najstarszy wiekiem, dlatego ja zacznę. Charles, znamy się już od dawna, jesteś świetnym fachowcem, ale - wybacz mi - nie potrafisz już sprostać swemu zadaniu.

Charles spojrział na nich zdziwiony i zacisnął wargi. Potem zapytał z wahaniem:

- Czy wszyscy są tego zdania?

Carol spojrzała w bok. Gela, unikając jego wzroku, powiedziała:

- Zgadzam się z Karlem.

- A ty, Chris? - zapytał Charles.

- Ja też.

- W porządku - odparł Ennil, na pozór spokojnie. - Jeżeli tego chcecie, wrócimy.

- Wybacz, ale o tym nie było mowy - zaproponowała sucho Gela. - Jest sprawą oczywistą, że spełnimy naszą misję.

- Tak, ale... - Charles mówił cicho, nie patrząc przy tym na nikogo. -

Dlaczego...

Przez chwilę wydawało się, że pytanie zaskoczyło wszystkich. Potem

Gela odezwała się z oburzeniem:

- Dlaczego, dlaczego!

Carol, nie zwracając uwagi na wymówkę Geli, zapytała głosem, w którym wyraźnie brzmiało współczucie:

- Naprawdę nie wiesz, Charles?

Ennil spuścił wzrok i potrząsnął głową.

Zapanowała cisza, którą przerwały dopiero jego słowa, ciche, urywane.

- Tak, macie rację. Nie jestem już taki, jak dawniej. Nie nadaję się. Kto by się do tego przyznał... Zresztą nie zdarza mi się to pierwszy raz. Często, właśnie wtedy, kiedy muszę się skoncentrować, atakuje mnie ta przekłeta amnezja. Czy potraficie to zrozumieć? Brakuje mi słów, pojęć, czasem nie wiem, jak postępować. Chciałem zataić to przed wami... - Charles ukrył twarz w dłoniach.

- Obserwuję cię już od dłuższego czasu, Charles - powiedziała cicho Carol. - To jest istotnie amnezja, ale w początkowym stadium. Musisz się oszczędzać, to ci pomoże.

- Już dobrze, Carol - Ennil opanował się.

Gela czuła się skrępowana, ale przewyciężyła onieśmienie.

- Nie miej nam tego za złe, Charles - powiedziała - ale Carol ma rację. - Milczała przez chwilę. - Zgłaszam kandydaturę Karla.

Karl sprzeciwił się:

- Nic z tego, dziewczyno, nie mogę się tego podjąć, a zresztą taka funkcja byłaby dla mnie zbyt uciążliwa. Wy, młodzi, nadajecie się lepiej niż ja. Nie dlatego, że jesteście młodszy, nie. Mógłbym jeszcze zadziwić niejednego z was, ale macie inne doświadczenia. Jak wy to nazywacie? Doświadczenia bojowe. Już jako dzieci byliście inni niż ja. Kiedy młode pokolenie potępiło starszych, traktując ich nawet czasem jak trędowatych,

ja służyłem dzielnie Radzie Najstarszych, sądząc, że tak trzeba. Kiedy wasi rodzice zaczęli szukać drogi, która wiodłaby ku poprawie, ja wierzyłem nadal w trwałość naszego małego świata na wyspie. Krótko mówiąc, gdyby nie wasi rodzice i wy, nie byłoby nas tu dzisiaj, nie szukalibyśmy drogi, odmiany, która może okazać się dla nas ratunkiem.

- Już dobrze, Karl - przerwał mu Charles łagodnie.

- Nie, musimy to sobie uświadomić. Wtedy nie zdawałeś sobie z tego sprawy, ja również. Popieraliśmy stary porządek, nie zaprzeczaj! Jeszcze piętnaście lat temu wysyłałem takich jak Chris i Gela do Grate, gdzie był obóz dla internowanych. Wtedy sądziłem, że postępuję właściwie. Tak, Gela, również dlatego nie mogę przyjąć tej propozycji.

Gela milczała, poruszona do głębi. Potem powiedziała:

- Nikt nie czuje do ciebie żalu za tamto.

- O Boże! - wykrzyknął Karl. - To nie tylko moje sumienie każe mi mówić w ten sposób. Po prostu patrzycie na to zagadnienie szerzej niż ja, a tego nam właśnie trzeba.

- Karl, zgadzam się z tobą - powiedział Ennil z goryczą w głosie. -

Przykro mi.

- Spokojnie, spokojnie. - Gela uśmiechnęła się łagodnie. - Nie powinno być ci przykro. To się, niestety, zdarza.

- Jestem za kandydaturą Chrisa - powiedział nagle Ennil ku ogólnemu zaskoczeniu. Twarz miał nieprzeniknioną. - Należy jednak niezwłocznie powiadomić o tym Tocsą. Po twarzy Karla przemknął cień uśmiechu.

- Kto jest za Chrisem?

Cztery dłonie, w tym jedna, Carol, uniesiona niezdecydowanie,

świadczyły o jednomyślności.

- A ty, Chris? - zapytał Karl.

- Wiecie przecież, że nie mam wyższego wykształcenia.

- Za to jesteś kadrą wiodącą wśród pracowników, ukończyłeś kurs specjalny i dwukrotnie brałeś udział w wyprawach! - zdecydowanie uciął

Karl dalszą dyskusję.

- Gela również ukończyła kurs specjalny - upierał się Chris.

- Pamiętasz, jak przestraszyłam się mrówek? - przypomniała Gela z uśmiechem. - Nie dorosłam do takiej funkcji.

- A więc wszystko jasne - podsumował ostatecznie dyskusję Karl.

Chris wzruszył ramionami.

- Nie będę się opierał. Pomagajcie mi, a ja postaram się nie zawieść. -

Wyciągnął rękę do Charlesa. - Oby nam się dobrze współpracowało.

Charles uśmiechnął się z pewnym zakłopotaniem.

- No, to sprzątamy - zarządziła Gela, wskazując naczynia.

Nagle odezwał się Chris:

- Oczywiście, że Charles ma rację, niech to diabli! Pismo, te pniaki, raporty, które dotarły do nas, wszystko się zgadza. Przyznaję, że to jest dziwne, ale potwierdza wniosek Charles'a, którego on wprawdzie nie wypowiedział na głos, ale wyraźnie sugerował.

Zapanowała powszechna konsternacja i dopiero po chwili

rozumiano, że Chris kontynuuje przerwana dyskusję.

- Te istoty, o których mówił Charles, to podobno właśnie synowie

niebios. Nie rozmawialiśmy o tym jeszcze dokładnie. Ale jest chyba publiczną tajemnicą, że nasza wyprawa została wysłana przede wszystkim z ich powodu. Chodzi jednak również o zbadanie tego świata makro. - Chris ręką, w której trzymał kocher, zatoczył rozległy łuk. - A jeżeli ci synowie niebios istnieją rzeczywiście, to są częścią świata makro. Zresztą ludzie z "Oceanu I" wybrali tę nazwę nie dlatego, że mieli na myśli jakieś mityczne postacie, bogów albo coś w tym stylu, lecz dlatego, że te istoty są podobno tak wielkie, jakby sięgały niebios. A my musimy zbadać ten świat. To, czy ktoś osobiście wierzy w istnienie synów niebios, nie ma właściwie znaczenia. Jeżeli istnieją, to nie jest wykluczone, że ich znajdziemy.

- Ale nie możesz przecież sądzić, że badanie świata makro i jego wszystkich jaskółek, mrówek, trzmieli i drzew doprowadzi nas do wykrycia rozumnego życia! - zawołał Ennil. - A może jednak? Jeżeli założymy, że synowie niebios istnieją, to możemy uwzględnić ten fakt w naszym programie.

- To już sprawa Toca - odparł Chris. - Do nas należy założenie bazy.

- A baza ma znajdować się, o ile to możliwe, tam gdzie są ślady pobytu synów niebios. Tak przynajmniej określa to instrukcja - zauważył Charles.

Sprawiał teraz wrażenie, jak gdyby wsłuchiwał się we własne słowa.

- Patrz, Charles - odezwał się Karl - jest tu pełno zwierząt. Czy nie moglibyśmy nimi uzupełnić naszego jadłospisu?

- W przyszłości będziemy do tego zmuszeni...

- A to... co to jest? - krzyknęła nagle Carol, wskazując na południe.

Odwrócili się gwałtownie. Pomiędzy drzewami coś się ruszało,

kierując się w stronę ich obozowiska.

Charles znalazł się jednym susem w helikopterze.

- Ludzie! Startujemy - krzyczał - startujemy!

Karl, ociągając się, postąpił kilka kroków w stronę maszyny, zatrzymał się, potem spojrzał - na Chrisa.

Carol odrzuciła głowę do tyłu na oparcie krzesła i zakryła twarz dłońmi.

Gela zerwała się na równe nogi, przewracając przy tym krzesło, ale nie odchodziła od stołu.

Jedynie Chris siedział nadal na swoim miejscu. Przechylony wpatrywał się w to coś, co zbliżało się z boku, i dłonią nakazywał spokój.

Jednocześnie, nie patrząc w stronę helikoptera, wołał przytłumionym głosem.

- Spokój, do cholery!

Z pewnością miał na myśli Ennila, który najpierw z przerażoną miną stał w otwartym włazie helikoptera, a potem uciekł do kabiny.

To, co zbliżało się do nich, było niepojęte, wzbudzało strach, bo było trudne do zdefiniowania. Wydawało się, że pnie dwóch olbrzymich drzew odłączyły się i wyruszyły ciężkim krokiem w stronę helikoptera.

Dziwaczna istota była zielonkawa, czymś osłonięta. Jej górna część ginęła wśród gałęzi i liści drzew oraz krzewów. Owe cylindryczne pnie dołem rozłączały się niczym korzenie pniaka, tylko że te korzenie nie były połączone z ziemią: odrywały się od niej, przesuwały do przodu i z hałasem rozdeptywały poszycie dżungli.

Nagle pień podniósł się do góry, nad północnym krańcem pniaka

wyrosła czarna płyta. Nawet Chris uczynił ruch, jakby chciał uchronić się przed ciosem. Coś czarnego, węższego od pniaka, uniosło się nad nimi raz, potem drugi i zniknęło.

Chris i Gela odwrócili się. Obydwa słupy skryły się właśnie wśród loskotu i trzasków za helikopterem. Zniknęły tak, jak się pojawiły. Jeszcze tylko gałęzie i liście wygięły się, jak gdyby szalał tam straszliwy orkan, mimo iż nie czuło się nawet lekkiego podmuchu wiatru. Trochę liści spadło na dół i wszystko minęło.

- Coś podobnego! - W głosie Karla brzmiał podziw. Nikt nie wiedział, co właściwie Karl miał na myśli.

Charles wyszedł z helikoptera nieco zawstydzony. Mimo to powiedział:

- To niesłychana lekkomyślność nie kryć się, kiedy grozi takie niebezpieczeństwo. Zdążylibyśmy uciec!

- Niebezpieczeństwo, też coś! - odparł niechętnie Chris. - Nie możemy wszędzie widzieć niebezpieczeństw! To... ta istota nie zwróciła na nas najmniejszej uwagi. Rozumiecie? Dla tych olbrzymów w ogóle nie istniejemy.

- Charles ma rację - zaoponowała Gela. - Niebezpieczeństwo zagraża nam właśnie dlatego, że te olbrzymie istoty nie widzą nas. Nie muszą nas wcale atakować. Pomyśl tylko, co by się stało, gdybyśmy byli tam w dole. - Wskazała na krawędź pniaka. - To coś wtłoczyłoby nas po prostu w ziemię, zupełnie nieświadomie.

- A skąd wiesz, czy na przykład przedwczesny start i ustawiczna

ucieczka przed czymś nieznanym, nie są jeszcze bardziej niebezpieczne? Nie mówię już nawet o zużyciu się maszyny, ale weźmy na przykład te manewry wymijania dziś po południu. Czy one nie były groźne? A widzisz! Musimy poznać lepiej tutejsze życie. Musimy zbadać jego formy i zgodnie z tym postępować. - Chris chwycił jeden z talerzy i począł go wycierać.

- A gdyby taka czarna płyta opuściła się na nas? - zapytał Ennil.

Chris wzruszył ramionami. Potem, widząc bojaźliwy wzrok Carol, wyjaśnił:

- Powierzchnia jest tu tak nierówna, że każdy mógłby skryć się bezpiecznie w jednym z tych zagłębień. Oczywiście - uśmiechnął się ironicznie - jeżeli chodzi o helikopter, to zostałaby z niego miazga.

Gela spoglądała na Chrisa. On po prostu udaje, pomyślała.

Zauważyła, że bardzo zbladł i że jego ręka, w której trzyma nóż, drży. Nie stracił jednak przez to w jej oczach. Nagle wydało jej się, że to wszystko nie jest realne. Poczła ulgę, jak gdyby zbudziła się z męczącego snu. Gdyby to istniało naprawdę: niebezpieczeństwa, katastrofa "Oceanu I", śmierć Harolda, to co oni by tu robili? Czy nie powinni raczej wrócić jak najszybciej na swoją spokojną wyspę?

Gela, zbudź się! Nad czym tak dumasz? - zawołał Karl, któremu Gela przeszkadzała w sprzątaniu.

Odsunęła się na bok. Raptem ogarnął ją gniew na ludzi z ministerstwa, którzy zorganizowali wyprawę, na Tocsu, Chrisa... Ale w następnej chwili zadała sobie pytanie: A ty? Dlaczego tu jesteś? Nikt cię do tego nie zmuszał, chcesz kontynuować to, co rozpoczął Harold, chcesz tego

dokonać!

Ale przecież Chris, ten hazardzista, odczuwa na pewno to samo. Gdyby chociaż nie miał zawsze racji! Jak postąpiłby Harold? Z podobnej wyprawy on i jego towarzysze nie powrócili.

Harold z pewnością nie ryzykowałby tak bardzo, ale może właśnie to doprowadziło do zguby?

Całkiem nieoczekiwanie Chris zarządził:

- Przesuniemy nasz obóz. - Chwycił parę przedmiotów i zaniósł je do helikoptera. - Poszukamy jakiejś kotliny, która uchroni nas przed niepożądanymi niespodziankami, ale pozostaniemy w obrębie tego płaskowyzu. - Widocznie wolał nie używać określenia “pniak”. Wszyscy zrozumieli

też,

co

miał

na

myśli,

mówiąc

o

“niepożądanym

niespodziankach”.

Obrali kurs na wschód. W odległości pięciuset stóp od skraju

płaskowyzu odkryli niemal idealne miejsce. Było to małe wgłębienie,

którego dno wyglądało na całkowicie równe. Z góry widać było wyraźnie

słoje pniaka.

Helikopter był tym razem również zabezpieczony. Mimo to Chris rozstawił warty, które zajęły posterunki na górnej krawędzi zagłębienia.

Pierwszą wartą objęła Carol. Chris zorganizował to w ten sposób, że nie musiała pełnić służby po zapadnięciu zmroku.

Karl wykorzystał światło dzienne, aby napęlić maszynę paliwem z umocowanych tu zewnątrz kanistrów. Charles zajął się minikartotką i swoim materiałem filmowym. Spojrzał z roztargnieniem, kiedy Chris, z karabinem przewieszonym przez ramię, powiedział:

- Idę na godzinę na zwiad. Z Gelą.

- Oczywiście - skinął głową Charles. Zgodnie z instrukcją członkowie ekspedycji oddalali się dwójkami, nigdy pojedynczo. Do tej pory tylko Gela pozostała bezczynna.

Gela spojrzała na nich zaskoczona. A zresztą dlaczego nie, pomyślała po chwili, lepsze to niż takie przesiadywanie. Ten obfitujący w wydarzenia dzień dał się jej nieźle we znaki, nie odczuwała więc potrzeby zajęcia się czymś poważniejszym, na przykład przygotowaniem raportu dla "Oceanu II" lub skontrolowaniem oprzyrządowania, co należało właściwie do jej obowiązków. W pewnym sensie była zadowolona, że to właśnie ona ma mu towarzyszyć, a nie Carol albo Karl.

Chris zamienił z Carol kilka słów, określił cel zwiadu i uzgodnił z nią sygnał na wypadek czegoś nieprzewidzianego, po czym razem z Gelą wspięli się po łagodnym stoku kotliny. Wkrótce dotarli do skraju płaskowyżu. Po przekroczeniu rozpadliny spostrzegli, że podłoże jest tu ciemnobrunatne.

- To kora - zauważył Chris uśmiechając się na wspomnienie ojczystych drzew i kory, której nie można było nawet porównać z tutejszą ani pod względem wymiarów, ani pod względem struktury. Jego uwaga świadczyła wyraźnie o tym, że nadal nie traktuje poważnie tego makroświata.

Teraz to już naprawdę nie ma ku temu podstaw, pomyślała gniewnie Gela. Dlatego też słowa jej zabrzmiały bardziej szorstko, niżby tego pragnęła:

Chris, ekspedycja wysłana z "Oceanu II" ma konkretną misję do spełnienia. Między innymi powinien być wyjaśniony problem synów niebios. Wiesz równie dobrze jak ja, że z raportów "Oceanu I" wynika jednoznaczny wniosek, jakkolwiek techniczna strona jego przekazu pozostawiała nieraz wiele do życzenia. - Gela urwała, ale widząc, że Chris kroczy przed nią nadal bez słowa, mówiła dalej. - Wyśmiewając ten świat olbrzymów, dyskredytujesz całą ekspedycję, tak jest! A także załogę "Oceanu I"! Teraz, kiedy zostałeś kierownikiem, nie możesz pozwolić sobie na taką postawę! - Gela pomyślała nagle o Haroldzie, który podchodził do wszystkiego z rozważą i rezerwą, nie działając nigdy pochopnie.

Odżyło jej w pamięci pewne zdarzenie: trzymając się za ręce spacerowali z Haroldem po dobrze sobie znanych okolicach miasta, po swoich śladach, jak to nazywali. Było to na kilka dni przed jego wyjazdem. Dzień ten jeszcze dlatego zachował się tak wyraźnie w jej pamięci, że zdobyła właśnie kwalifikacje inżyniera badacza, a przebieg egzaminu, który miała już za sobą, opowiedziała ze szczegółami Haroldowi. Byli pełni radości i planów... Słyszała słowa Harolda: "Będę na siebie uważać. Za dwa

lata wrócimy tu z nowymi zadaniami dla następnych pokoleń. Świat makro uratuje nas. Nie będzie to łatwe, ale wspólnie dokonamy tego!” I Gela wykazała wielkie opanowanie, mimo że uzyskanie łączności stawało się coraz większym problemem, a rozłłka była ciężka do zniesienia. Wreszcie “Ocean I” po nie kończącej się tułaczce dobił szczęśliwie do celu, ale potem wieści docierały zniekształcone, gdyż zakłóciła je wzmożona aktywność Słońca, kiedy zaś ta ustala, przestały w ogóle dochodzić...

W ciągu następnych trzech lat nie dowiedziano się niczego nowego; “Ocean I” zaginął.

Jeszcze jedno wspomnienie stanęło przed oczami Geli jak żywe. Oto inni cieszyli się ze zdanych egzaminów, a ona krążyła po placu przed Akademią, ze skierowaniem na pokład “Oceanu II” w kieszeni, ale bez cienia radości, przepojona jednym tylko gorącym pragnieniem: pokazać temu niesamowitemu, wrogiemu ludziom światu makro, co potrafi; wydrzeć mu jego sekrety, również te związane z “Oceanem I” i losami Harolda.

- Jak sądzisz, co to mogło być? - zapytał Chris. Przystanął, czekając na nią.

Nagle pytanie wyrwało ją z zamyślenia. Upłynęła chwila, zanim zrozumiała, że Chrisowi chodzi o tamte zielonkawe słupy z tak nieprawdopodobnie wielkimi, ciemnymi płytami, które przeszły nad pniakiem.

- Nie wiem - odparła nieco zaskoczona, gdyż spodziewała się innej reakcji Ghrisa na swoje wyrzuty. - Może to jakieś zwierzę? Wydaje mi się, że istnieją tu zjawiska przekraczające zdolność naszego pojmowania.

Powinniśmy je zbadać. - Ostatnie słowa wypowiedziała bez przekonania.

Krótki pobyt w tym świecie, liczne i przede wszystkim niebezpieczne

przeżycia odebrały jej wiarę w zdobycie jakichś wieści o zaginionym

“Oceanie I”, tym bardziej że oni wylądowali w zupełnie innym miejscu.

Zgasła więc iskierka nadziei, że mimo wszystko Harold jeszcze żyje.

- Jestem niemal przekonany, że był to jeden z nich. - Chris przerwał

znowu tok jej rozmyślań. Musiała się skoncentrować.

- Co znaczy jeden z nich? - zapytała i raptem zawołała zaskoczona: -

Nie, to przecież niemożliwe!

Chris znowu przystanął.

- Więc co? - zapytał.

- Czyli: kolumny to były nogi, a płyty... płyty to były buty - krzyknęła

głośno. - Nieprawdopodobne!

Śmieszne, pomyślała. Właściwie dlaczego nie? Proporcje się zgadzają.

I nagle odczuła, że rodzi się w niej strach. W jaki sposób mamy się z

tym uporać? Jak w ogóle nawiązać jakikolwiek kontakt?

Jednocześnie opanowało ją jeszcze inne uczucie, coś jakby podziw dla

Chrisa. Wysuwa takie przypuszczenie, jakby była to najzwyczajniejsza rzecz

pod słońcem. Może pozbawiony jest wszelkich uczuć, może różni się pod tym

względem od innych ludzi. Potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

Przypomniała sobie jego spojrzenia, kiedy sądził, że nikt tego nie widzi,

czułe spojrzenia... Albo ma nerwy ze stali. W każdym razie odzyskała do

niego zaufanie, które utraciła po kilku jego posunięciach, na przykład

podczas lotu. Czuli, że coś ciągnie ją ku niemu, jak - dawno temu, kiedy była

jeszcze dzieckiem - do brata Sinclaira, kiedy bronił ją przed dokuczliwymi towarzyszami zabaw.

Szła teraz za Chrisem. Otrząsnęła się już ze wspomnień i skoncentrowała całkowicie na obserwacji okolicy.

Przed nimi ukazały się soczysto-zielone, zwężające się ku górze rośliny, wyrastające ponad krawędzie platformy.

- Spójrz - zawołała Gela. - Woda! Pomiędzy licznymi gigantycznymi żdźbłami lśniły olbrzymie wodne kule. Chris zatrzymał się.

- Nie skorzystamy? - zapytała, a jej wzrok zdradzał, że pragnie, aby powiedział "tak". Zrozumiał.

- Ale nie mam... - powiedział.

- Ja mam - przerwała mu Gela. - Zawsze noszę przy sobie. - Zaśmiała się, połyskując bielą zębów. Z torby zawieszanej u pasa wyciągnęła pojemnik z rozpylaczem, wspięła się na rosnące ukośnie żdźbło, którego wysokość umożliwiała jej dotarcie do największej kuli, po czym zaczęła opryskiwać jej górną powierzchnię. Lewą ręką rozpiniała już kombinezon.

- I to wytrzyma? - zapytał Chris.

- Pewnie, mam w tym wprawę! - Gela równomiernie spryskiwała powierzchnię, która w tych miejscach traciła momentalnie połysk i pojawiały się drobne fale. - No, starczy - stwierdziła wreszcie. - Możemy trochę popływać.

W mgnieniu oka rozebrała się.

Mimo ogarniającego go zakłopotania, za co n»wymyślał sobie od głupców, Chris również zaczął szybko zrzucać z siebie ubranie.

Gela, rozbawiona jak dziecko, wspięła się po leżącej ukośnie lodydze.

Jej sylwetka odcinała się wyraźnie od jasnego tła.

Chris, który zdejmował właśnie lewy but, zatrzymał się w pół ruchu i spojrzał na nią. Co za dziewczyna, pomyślał. I po raz któryś już z rzędu zadał sobie pytanie: Czy naprawdę muszę mieć wzgląd na jej zaginionego przyjaciela? Lubię ją! Czy ona nie może być dla mnie kimś więcej niż tylko koleżanką, członkiem wyprawy? Tylko czy ona w ogóle tego chce?

Powinienem jej to wyznaczyć. Teraz? Tu? Serce zabiło mu mocniej.

Gela dotarła już do celu. Uniósła ramiona do góry, wydała cichy okrzyk zadowolenia i głową naprzód wskoczyła do wodnej kuli. Skakała wprawdzie z wysokości około dziesięciu stóp, ale trafiła dokładnie w sam środek spryskanej powierzchni, pozbawionej elastycznej powłoki. Bryzgi wody doleciały aż do Chrisa, który śmiejąc się zrzucił z nogi but, ale znieruchomiał ponownie. Gela niczym ryba popłynęła w kierunku dna, wykonała zręcznie obrót i otulona falującym welonem włosów wynurzyła się tuż obok niego. Zadyszana wołała:

- Chris, jak cudownie, pośpiesz się!

Chris był już gotów. Wdrapał się na pień, gdzie wisiała kula, trafił w tę część jej powierzchni, której Gela nie opryskała, i zaczął kołysać się na elastycznej powłoce.

- Przestań - śmiała się Gela. - Jeżeli kula opadnie, nie będziesz mógł pływać.

Chris odbił się i głową naprzód wskoczył do wody.

Nurkowali, szaleli w wodzie, pływali w kółko po powierzchni.

Potem Gela zapragnęła zabawić się w skoki. Nie robiła tego zbyt wprawnie. Żeby utrzymać równowagę, wykonywała najkomiczniejsze ruchy.

Chris, nie wychodząc z wody, udzielał jej rad, rozkoszując się jednocześnie jej widokiem. Zdawało mu się, że ma przed sobą zupełnie nie znaną mu osobę. Była wesola i pełna życia. W oczach błyskały szelmowskie ogniki.

Opanowało go nagle pragnienie, aby podejść do niej, ująć jej głowę w dłonie i powiedzieć, że bardzo ją kocha. Zamiast tego zawołał:

- Podciągnij bardziej lewą nogę, ramiona do góry, złóż stopy...

- Chodź, poćwiczmy razem - zaproponowała Gela.

Chris znowu poczuł się niezręcznie. Jednak już po chwili wyszedł z wody na grube obrzeże otworu w kuli. Gela wyciągnęła ku niemu ręce i zaczęli podskakiwać razem.

- Na trzy skaczemy! - zawołała Gela zupełnie zadyszana, licząc w takt skoków: - Raz, dwa, trzy!

Woda prysnęła wysoko. Ale przyczepność kuli została widocznie wystawiona na zbyt ciężką próbę, gdyż zanim jeszcze nurkowie wynurzyli się na powierzchnię, kula zaczęła poruszać się powoli, zsunęła się po pniu, opadła na ziemię i pękła. Woda momentalnie wsiąkła w podłoże.

Siedzieli obok siebie. Nieoczekiwane zakończenie kąpieli ubawiło ich tak bardzo, że wybuchnęli śmiechem. Śmiejąc się patrzyli na siebie.

Pierwszy spoważniał Chris, patrząc Geli w oczy. Ona także spoważniała, po czym ostentacyjnie odwróciła od niego wzrok.

Przez kilka chwil siedzieli obok siebie w milczeniu. Potem Chris chwycił ją za rękę. Nie protestowała, ale nagle, zupełnie nieoczekiwanie, wstała, odeszła parę kroków i zatrzymała się ze spuszczoną głową.

- Gela - szepnął Chris - kocham cię...

Odwróciła się do niego. Jej wzrok był jakby nieco zamglony. Powoli potrząsnęła głową.

- Ja... przykro mi, Chris... wiesz... - Jej głos stał się bardziej zdecydowany. - Nie wiem, czy jestem jeszcze do tego zdolna. Znałeś Harolda, byliście nawet zaprzyjaźnieni... Przejęłam jego zadanie... - Spojrzeniem błędziła gdzieś daleko. - Od tego czasu nie myślałam w ogóle o tym, że jestem kobietą. Nie odczuwałam takiej potrzeby, nie wiem też, czy kiedykolwiek odczuję.

- Ależ Gela - zaproponował Chris rozczarowany. Postawa Geli wydała mu się melodramatyczna, nie pasowała w ogóle do jej żywiołowego charakteru.

Po prostu dostała bzika, pomyślał. I co komu z tego?

Podniósł się również, stanął za nią, po czym delikatnie, ale stanowczo ujął ją za ramiona i odwrócił do siebie. Na jej twarzy perlily się jeszcze krople wody. Popatrzyła na niego, unosząc głowę.

- Na to jesteś jeszcze za młoda - powiedział. Jej ramiona drgnęły. -

Powiedz mi tylko jedno - poprosił. - Czy tak bardzo ci się nie podobam, czy...

- Zmieształ się, opuścił wzrok.

Zupełnie nieoczekiwanie Gela uśmiechnęła się.

- Wiesz, jesteś głuptasek - powiedziała łagodnie i przesunęła dłonią po

jego ramieniu. Potem zręcznie wywinęła się z jego uścisku i dodała: - Robi się chłodno. Na nas już czas. Chodź! - Pobieгла po swoje ubranie, w które wskoczyła w mgnieniu oka.

Chris poszedł za jej przykładem. Zarzucili na ramiona strzelby, po czym ruszyli najkrótszą drogą, na przelaj przez płaskowyż, w stronę helikoptera. Chris kroczył za Gela. Czy zachowałem się głupio? - rozmyślał. Wszystko jedno. Teraz już wie. Ciekawe, co ona o tym sądzi? Przypominał sobie jej lekkie dotknięcie, rozpamiętywał je ze wzruszeniem.

Zameldowali się u Carol i zeszli na dół po gładkim zboczu.

- Przygotuję jeszcze raport - powiedziała Gela. Uniosła nogę na stopień helikoptera, ale Chris był już przy niej, podając rękę. Na górze zatrzymała się jeszcze przez chwilę, spojrzała na niego, poczuł lekki uścisk jej palców, potem ich dłonie rozłączyły się, a Gela szepnęła:

- To by nie miało sensu, Chris...

Skinął głową chcąc jej dodać otuchy i odszedł. Było mu trochę ciężko na duszy, ale jednocześnie tliła się w nim jeszcze wątła iskierka nadziei. Nagle odczuł potrzebę samotności.

Carol spojrzała na niego ze zdziwieniem, kiedy pojawił się obok niej ze strzelbą w dłoni i płaszczem pod pachą, gotów do objęcia warty.

- Jeszcze mam ponad godzinę - powiedziała.

- No to co? - odparł. - Pośpisz sobie godzinę dłużej. To ci dobrze zrobi po dzisiejszym dniu, prawda? - zapytał nieco uszczypliwie. - Zresztą lekarz powinien być wyspany. Kiedy sobie pomyślę, że miałabyś usuwać mi ślepką kışkę drżącą ręką...

Carol zaśmiała się.

- Przecież tobie usunięto już wyrostek profilaktycznie, wiem o tym. A więc nie jesteś zdany na moje sztuczki. Ale to miło z twojej strony, Chris.

Dobranoc.

Chris wdrapał się na jeden z gładów, skąd roztaczał się widok dookoła, usiadł wygodnie w zagłębieniu i położył strzelbę na kolanach, nastawiając się na trzygodzinną wartę.

Spoglądał na Carol, która powoli schodziła po zboczu. Zapadał już zmierzch. Z okien kabiny helikoptera przebijało światło. Gela przekazuje raport, pomyślał Chris. Co powie Tocs na tę całą sprawę z Ennilem?.

Amnezja to niebezpieczna choroba, to niebezpieczeństwo dla nas wszystkich...

Pomyślał o Geli. Najważniejsze, że go wysłuchała. Ale dlaczego powiedziała, że to by nie miało sensu? W jego pamięci odżył dzień, kiedy mieli wyruszyć w drogę na "Oceanie II". Znowu poczuł uścisk dłoni ojca, który powiedział z dumą w głosie: - Trzymaj się, chłopcze. - Matka i siostra płakały... Tak, ojciec jest ze mnie dumny. Jego chłopiec to chyba jeden z nielicznych obrazów, których amnezja mu nie odebrała... Będzie nadal czyścić klamki w instytucie, wykorzystując każdą okazję, aby porozmawiać o synu...

A rodzice Geli? Ojciec był raczej skłonny zatrzymać ją przy sobie, nie odczuwał dumy z powodu jej decyzji. Matka pewnie - przeplakała całą noc. Z pewnością martwiło ich zachowania Geli po wypadku z Haroldem, jej decyzja, aby pójść w jego ślady, jej nieustępliwość i rezerwa.

Rzeczywiście, Gela bardzo się wówczas zmieniła. Byli obiektem

dobrodusznych kpin przyjaciół. Poważny Harold z trzeciego roku i drobna, pełna życia Gela z pierwszego. Już wówczas podobała się Chrisowi.

Występowała w klubie młodzieżowym. Wiedziała, czego chce!

Dziś po południu była po prostu sobą, pomyślał Chris, uśmiechając się na wspomnienie jej igraszek w wodzie. I będzie taka znowu! Nie zrezygnuję, postanowił sobie w duchu. Ale dam jej trochę czasu...

Oparł się wygodniej. Było już ciemno, tylko hen, wysoko, od jasnego nieba odbijały się rozkołysane na wietrze gałęzie.

Co za świat! A jutro? Mamy za sobą dopiero jeden dzień, a ile groziło nam już niebezpieczeństw! Gela ma rację...

Może reszta jest przekonana, że jestem zbyt pewny siebie? Może nie powinienem był przyjąć tej funkcji? Ale Charles naprawdę już się do tego nie nadaje. Chyba nawet jest zadowolony, że nie ciąży na nim odpowiedzialność.

Ale czy ja się nadaję? Uświadomił sobie raptem, że jeszcze nigdy w

życiu nie wątpił w siebie bardziej niż właśnie teraz. Co powiedział Tocs?

Znaleźć miejsce na bazę możliwie blisko. Ale gdzie są - oni, ci tajemniczy

synowie niebios? Czy to naprawdę któryś z nich przeszedł dziś po południu

obok pniaka? Jeżeli tak, to muszą tu gdzieś być! Bo jeśli nie, to po co ten ktoś

miałby wałęsać się samotnie po tej niegościnniej okolicy? Ale czy ta okolica

jest niegościnna również dla synów niebios? Same pytania...

- Chris, Chris! - Bez wątpienia był to głos Charles'a.

- Słucham - odkrzyknął Chris. Wstał i zsunął się z glazu.

- A, tu jesteś! - Charles dyszał ciężko. Widocznie biegł pod górę. Zbliżył się jeszcze bardziej i wtedy Chris mimo skąpego światła dostrzegł w jego twarzy jakby radość odkrywcy.

- Spójrz - powiedział. Przez ramię miał przewieszony przyrząd, którego wskazówka skakała po całej skali tam i z powrotem.

- Co to jest? - zainteresował się Chris.

- A jak myślisz? - zapytał Charles takim tonem, jak gdyby bawił się teraz w zgadywanek dziecięcą. Dodał jednak rzeczowym głosem: - To jest natężenie szumów wokół nas.

Chris zastanowił się, przez chwilę.

- Z tego by wynikało, że panuje tu hałas? - zapytał.

- Tak. Wydaje mi się, że to odgłosy zwierząt. Mogę je wzmocnić, żeby były słyszalne.

- Przecież te latające istoty słyszeliśmy bezpośrednio.

- Owszem, ale z pewnością nie słyszeliśmy wszystkiego. Tylko dźwięki o wyższej częstotliwości.

Chris wpadł nagle na pewien pomysł.

- Charles - powiedział szybko - a jak by było z łącznością radiową? Czy nie moglibyśmy jej nawiązać na falach elektromagnetycznych?

- Nie wiem, czy będzie to możliwe technicznie, biorąc pod uwagę nasz sprzęt. Ale na "Oceania II" powinno się udać. Zaraz pomówię z Karlem. A więc i ty wierzysz, że oni istnieją?

- Nigdy nie wykluczałem tej możliwości - odparł ostrożnie Chris.

Ennil był zachwycony pomysłem Chrisa. Wydawało się nawet, że

zapomniał już o własnym udanym eksperymencie. Założył swój sprzęt na ramię i ruszył z powrotem.

- Ale jeżeli Karl już śpi, to nie budź go, słyszysz? - Chris śmiejąc się, pogroził mu palcem. - Potem ma wartę.

Chris postanowił obejść kotlinę, tym bardziej że zrobiło się zimno.

I właśnie wtedy postanowił, jak ma postąpić, aby nie narażać na niebezpieczeństwo całej załogi: pozostanie tu, a dwie osoby wyruszą helikopterem na zwiady. Dzięki temu można będzie uwolnić aparat od zbytniego balastu i zwiększyć zasięg akcji. Jeżeli wielcy są gdzieś w pobliżu, to w ten sposób można ich będzie znaleźć najszybciej.

Nadal panowała ciemność. W żółtej poświacie księżyca rozrzucone tu i ówdzie bryły rzucały długie cienie. Chris szedł powoli, rozglądając się uważnie dokoła. Kilkakrotnie wydawało mu się, że widzi jakiś ruch. Ale były to tylko nowe konfiguracje cieni od poruszających się na nocnym wietrze liści.

Wspiął się na jedną z brył i oto jego oczom ukazało się osobliwe widowisko: cały płaskowyż objęty był bezszelestnym ruchem. W końcu zrozumiał: bryły były tak wielkie, że wiatr wywracał je ustawicznie, za każdym zaś razem pojawiał się nowy cień. I tu tkwiło też niebezpieczeństwo.

Były wystarczająco ciężkie i duże, aby przygnieść człowieka. To się nigdy nie skończy, pomyślał Chris. Pilnie uważał teraz, aby znajdować się zawsze po nawietrznej stronie tych głazów.

Po chwili znowu dostrzegł przed sobą ruch. Był przekonany, że to cień liścia, ale ku swemu zdumieniu zauważył, że ciemna plama posuwa się stale

w jednym kierunku. Wtedy zrozumiał: obok pełnie jakieś ogromne zwierzę o długości ponad dziesięciu stóp. Tuż nad nim coś połyskiwało w poświacie księżycy. Ułynęła dłuższa chwila, zanim Chris domyślił się, że mogą to być złożone skrzydła. Stopniowo wylaniały się z ciemności trzy pary wieloczłonowych nóg, tułów, z którego wyrastały skrzydła, gruby, masywny odwłok i głowa z parą dużych, tępych oczu. Zwierzę poruszało się ociężale, powolnie. Chris nie wiedział, co robić. Zwierzę znajdowało się już w odległości trzydziestu stóp. Czy zaatakuje go?

Czuł bicie swego serca. Ruchome cienie, bezszelestnie wywracające się bryły i czarne, milczące zwierzę sprawiały niesamowite wrażenie.

Wreszcie wystrzelił. Celował w oko i prawdopodobnie trafił. Zwierzę znieruchomiało, potem przesunęło się nieco dalej, wpełzło na duży głaz, głaz wywrócił się, przygniatając sobą zwierzę, które objęło go nogami, uniosło do góry i tak znieruchomiało.

Z dołu rozległy się okrzyki towarzyszy zaalarmowanych wystrzałem.

- Wszystko w porządku! - zawołał Chris. Po chwili ujrzał przed sobą tańczące światelko, a wkrótce Nilpach i Ennil byli już przy nim.

- To tu - wyjaśnił Chris. - Nie wiem tylko, czy to było konieczne.

Ennil był zachwycony. Najchętniej sprowadziłby helikopter, aby przetransportować ubitego zwierza do obozu.

- Pomyślcie tylko - zawołał. - Jeżeli te istoty są rzeczywiście niegroźne, to takie trzy mogłyby zastąpić całe stado krów.

Karl nachylił się ostentacyjnie, oświetlił całe ciało zwierzęcia i powiedział:

- Nie widzę tu wymion.

- To zjesz samo mięso - odparł Charles. - A w ogóle wydaje mi się, że aparaturę radiową na helikopterze można by dostosować do prowadzenia nasłuchu. Tylko że wtedy musielibyśmy zrezygnować ze stałej łączności z "Oceanem".

- Jutro porozmawiam o tym z Tocsem - obiecał Chris.

Tocs nie chciał w ogóle słyszeć o przebudowie aparatury, sam jednak pomysł zachwycił go, obiecał też, że na "Oceanie II" natychmiast takie urządzenie skonstruuje. Wprawdzie Chris i jego ludzie nie wyobrażali sobie tego, bowiem odbiór sygnałów z "Oceanu" był już i tak niedobry, jak więc miał być prowadzony jeszcze nasłuch otoczenia?

- Jeszcze kilka mil na południe i skończy się nadawanie z ziemi - zauważył Karl.

Chrisa ogarnęło szczególne napięcie, obce mu do tej pory.

Jednocześnie czuł wyraźnie, że wkrótce nastąpi decydujący moment.

Jego propozycja dalszego prowadzenia rozpoznania została przyjęta.

Jedynie Charles obawiał się, że mogą wpaść w tarapaty przez te latające olbrzymy, a nie chciał znaleźć się znowu w ich organach trawiennych.

W odpowiedzi na to Chris wyznaczył mu dyżur przy nadajniku, gdyż cała aparatura radiowa miała być wymontowana z helikoptera, aby zmniejszyć jego masę. Ennil zgodził się natychmiast - Chris domyślił się dlaczego: Ennil wyprosił sobie ciało zabitego zwierzęcia jako obiekt badań.

Gela również domyśliła się, o co chodzi Ennilowi. - Dla mnie soczysty kawałek mięsa - zawołała już w drzwiach helikoptera. Wyruszyła z Karlem

na pierwszy lot zwiadowczy.

Helikopter wzniósł się do góry i wkrótce zniknął za wierzchołkami olbrzymich drzew.

Gela rozkoszowała się lotem. Przez pewien czas widzieli w dole płataninę olbrzymich liści wirujących na wietrze, co stwarzało istotne niebezpieczeństwo dla małego śmigłowca. Kilkakrotnie dostrzegła mrówki i inne zwierzęta, również podobne do tego, którego ubił Chris.

Las w dole przerzedził się trochę. Helikopter leciał nad wierzchołkami tonącymi w morzu rozkołysanej zieleni. W górze przemykały olbrzymie owady. Geli przypomniały się obawy Ennila i poczuła się jakoś nieswojo. Wpatrywała się z napięciem przed siebie. Tylko raz spojrzała do tyłu. Las sięgał aż po horyzont.

Znajdowali się w pobliżu obozu na wysokości niemal sześciuset stóp.

Silnik huczał na najwyższych obrotach, hałas stawał się nie do zniesienia.

Maszyna wznosiła się powoli, jak gdyby osiągnęła już granicę swoich możliwości.

Las urywał się na wschodzie. Okolica była tu bardziej górzysta i pokryta jakby różnobarwnymi figurami geometrycznymi.

- Karl, zobacz, co to może być?

Nilpach wzruszył ramionami. On też patrzył uważnie przed siebie.

Potem powiedział powoli:

- Tam w tyle, obok żółtej powierzchni, to wygląda jak... rząd drzew...

- Rząd drzew? - Gela spojrzała przez lornetkę. - Dwa rzędy, jak...

aleja...

- Spójrz tam - głos Karla zdradzał silne podniecenie. Powoli kierował maszyną.

Za pasmem zieleni, niemal dokładnie na południu, stały skąpane w blasku słońca, dziwacznie ułożone jedne na drugich sześciany i prostopadłościanny, wysmukłe cylindry i maszty, pomiędzy którymi sterczały soczysto-zielone korony drzew.

- Trochę dziwne - rzekł z namysłem Karl, tym razem bez tak charakterystycznego dla siebie kpiącego tonu. - Powiedziałbym, że to miasto, osiedle. A co ty o tym sądzisz?

Maszyna zadrżała. Karl wyrównał kierunek. Gela spoglądała przez lornetkę tak długo, że Karl zaczynał już tracić cierpliwość.

- Miasto - powiedziała cicho, a jej głos zginął w huku silnika. - Nie możesz jej utrzymać? - dodała szorstko, kiedy maszyna opadła ponownie.

- Do diabła! - zaklął głośno Karl. - Musimy zejść na ziemię. Spójrz!

Dopiero teraz Gela spojrzała uważnie w kierunku, który wskazywał Karl: nad miastem świeciło jeszcze słońce, ale od zachodu nadciągała ciemna ściana, wydawało się, że prze szybko do przodu, goniąc rozwiane strzępy chmur...

W mgnieniu oka nastąpiła ciemność. Równinę rozciągającą się przed miastem i obszar pomiędzy pasmem zieleni a skrajem lasu zaległa gęsta mgła, w której zniknęły kontury osobliwych budowli.

- Do licha - zawołała Gela. - Jeszcze chwileczkę, Karl, tylko dane... -

Zaczęła odczytywać przyrządy.

- Dziewczyno, musimy lądować! - wołał Karl. Spojrzała na niego:

twarz wyrażała zaniepokojenie.

Nowe, potężne uderzenie wichury sprawiło, że maszyna opadła o kilka stóp i przyjęła niebezpieczne ukośne położenie. Karl zmniejszył obroty silnika. Maszyna gwałtownie traciła wysokość.

Wtem błysnęło, a potem przetoczył się głuchy grzmot, zagłuszając hałas silnika. Karl walczył z burzą. Maszyna wisiała ukośnie i wbrew woli pilota kontynuowała lot.

Opadali na wierzchołki drzew. Burza przybrała na sile. Obok helikoptera przelatowały oderwane liście, które zasłoniły całkowicie widoczność.

Gela zacisnęła zęby. Trzymając się mocno fotela drugiego pilota usiłowała dostrzec coś w dole. Trzeba było znaleźć miejsce dogodne do lądowania.

- Nie dam rady! - wykrzyknął Karl. Na czole wystąpiły mu obficie krople potu.

Śmigło broniło się rozpaczliwie przed atakami burzy. Przedarli się przez wierzchołki, coś podrzuciło ich do góry, a potem wokół nastąpiła noc.

Maszyna leciała jeszcze. Silne uderzenie, jeszcze jedno. To koniec, pomyślała Gela. A więc to tak wygląda. Była zupełnie spokojna.

Silnik umilkł, ale maszyna nie runęła. Z głuchym łoskotem opadła na coś miękkiego, została podrzucona do góry, potem przechyliła się, uderzyła o coś silnie i znowu zaczęła spadać.

Zupełnie nieoczekiwanie w kabinie przejaśniało. Tak jakby zdjęto z szyb zasłony. Czyżby na oknie do tej pory leżał jakiś liść? - przemknęło Geli

przez głowę.

Wkrótce rozszalała się burza. Na ziemię runęły strumienie wody, wielkie krople gnały wraz z maszyną w jednym kierunku, rozbijając się gdzieś z pluskiem. Nic poza tym nie można było dostrzec.

Gela siedziała okrakiem na fotelu, zaciskając na oparciu ręce i nogi i znosząc względnie dobrze przechyły i silne wstrząsy maszyny.

Karl zapiął wprawdzie pasy, ale chyba za bardzo zaufał ich mocy.

Niekiedy ciśnienie przygniatało go do siedzenia, to znów wisiał w fotelu jak skoczek spadochronowy zaplątany w linach.

Nagle nastąpiło uderzenie, a potem - niespodzianka - maszyna zaczęła się toczyć!

Gela poczuła, że robi jej się niedobrze. Zanim jednak jej żołądek zbuntował się na dobre, zapanował nagle spokój. Helikopter leżał na boku, ale za to przestało im grozić śmiertelne niebezpieczeństwo.

Gela podniosła wzrok na swego towarzysza.

- Karl - powiedziała. - Karl, udało się. - Mówiła tak, jakby sama w to nie wierzyła.

Uśmiechnął się do niej i zaczął rozplątywać opasujące go rzemienie.

Rozejrzała się wokół.

- Woda! - zawołała. - Do środka dostała się kropla wody, to znaczy, że kabina jest nieszczelna.

- Nic dziwnego - zauważył Karl, wskazując za okno. Nie wiadomo było, co miał na myśli: nieszczelną kabinę czy mętną ciecz, sięgającą do górnych krawędzi okien.

Wody w kabinie nie przybywało; zawdzięczali to prawdopodobnie ciśnieniu panującemu wewnątrz.

Dopiero po stwierdzeniu tego faktu Gela poczuła się naprawdę bezpieczna. Po chwili jednak zaczęła dręczyć ją myśl: w jaki sposób przetrzymają burzę tamci na płaskowyżu? Nie mają do dyspozycji zbawczej kabiny helikoptera. Namiot zaś nie sprostą zadaniu.

Szybko odegnęła od siebie te wątpliwości. Pomyślała o Chrisie i to ją uspokoiło. Na pewno coś zrobi, upewniała się w duchu. Żeby tylko i nam wpadł do głowy jakiś pomysł... Własna bezradność przytłaczała ją. Co będzie, kiedy już burza ustanie?

Karl również sprawiał wrażenie przybitego. Kiedy jednak poczuł na sobie wzrok Geli, zsunął się z wiszącego ukośnie siedzenia i powiedział niemal wesoło:

- Wszystko znosi się łatwiej z pełnym żołądkiem. - A kiedy Gela ruchem ręki zaprzeczyła, dodał: - Tak, tak. Zresztą nie wiemy, co nas jeszcze czeka. - Starając się iść równo po przechylonej podłodze, podszedł do pojemnika z zapasami i wrócił z paroma puszkami i z pieczywem.

Gelę nurtowało kilka pytań: ile jeszcze mają prowiantu? Jakie są jeszcze szanse na odnalezienie towarzyszy? Jak daleko są od tamtego pniaka? Czy nadajnik bliskiego zasięgu zda tu egzamin? Czy w ogóle nadaje się jeszcze do czegoś po tym upadku?

To dobrze, że Karl tu jest, pomyślała. Zawsze potrafił sobie radzić. Zadawała sobie te pytania w myśli, podczas gdy Karl przyrządzał kanapki w tempie graniczącym z czarami.

Zrobiło się jaśniej. Dochodzący z zewnątrz szum cichł stopniowo.

Woda przed oknami kabiny gwałtownie opadała.

*- Zaraz będzie po wszystkim - skomentował to Karl, nie przerywając
jedzenia. - No widzisz, już niedługo będziemy mogli zacząć obserwacje.*

- I na tym pewnie się skończy? - rzuciła pytająco Gela.

Karl zrozumiał jej obawę. Lekko oparł dłoń na jej ramieniu.

*- Jednego nie wolno nam zrobić: zrezygnować! - Nie zabrzmiało to
patetycznie, raczej naturalnie.*

*Gela poczuła do niego wdzięczność. Znowu nabrała otuchy. Żeby ta
burza wreszcie ustała, pomyślała. Wtedy moglibyśmy zabrać się znowu do
roboty.*

IV

- To są bloki z tego specjalnego betonu, o takim kształcie - Res Strogel za pomocą świetlnego rejestratora wykonała niezbyt udany szkic sześcianu.

- Ułożymy je jedne na drugich po prostu tak, bez żadnego spoiwa. Chyba jasne jest, co to może oznaczać dla nas: potok żywych ustrojów, rozciągający się teraz na szerokość niemal pięćdziesięciu metrów, zostałby stłoczony na obszarze jednego metra kwadratowego. Poza tym budowa tych, nazwijmy to, ulic do żarcia, nie stanowi problemu. Ten specjalny beton wymaga waszego gazu, to jest tego, który w sześćdziesięciu procentach pochodzi ze złóż krajowych, a w czterdziestu z Syberii. Nie udało nam się jeszcze ustalić, które składniki gazu wywierają właściwy skutek, ale faktem jest - i to ma dla nas decydujące znaczenie - że te drobnoustroje przekładają ten rodzaj betonu nad wszystko inne: syci je i jednocześnie rozleniwia, hamując ich rozmnażanie. Krótko mówiąc, po takim posiłku są mniej agresywne. Pod tym względem nie różnią się od wielu naszych ziomeków. - Res uśmiechnęła się posepnie i powiodła wzrokiem po zebranych. Na sali rozległ się śmiech. - Dopóki nie wykryjemy ich genetycznego klucza, wasz gaz będzie najskuteczniejszym środkiem...

Hal Reon nie włączał się do dyskusji. Od samego początku uważnie się przysłuchiwał. Nie tylko dlatego, że ta kobieta, która tak władczo wtargnęła do ich zakładu, organizując zebranie dyrekcji, była bardzo pociągająca. W jej wywodach tkwiło wiele istotnych problemów. Chyba nie wszyscy zebrani zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji. Świadczyły o tym stawiane

pytania.

Res Strogel odpowiadała cierpliwie i wyczerpująco. Wygląda na znużoną, pomyślał Hal. Na jej szczupłej twarzy widniał wokół ust jakiś cierpki rys, kilkakrotnie sprawiała też wrażenie, jakby znajdowała się myślami daleko stąd.

Hal czuł coś w rodzaju satysfakcji. Czy obecność tej Res oraz sprawa, z którą zwróciła się do nich, to nie potwierdzenie jego własnej teorii? Zaraz wezmę się za to od nowa, kochany kolego Royle, postanowił w duchu.

Upłynęło jednak jeszcze trochę czasu, zanim mógł wykonać swoje zamierzenie: na razie stawiano pytania dotyczące genezy tego żarłocznego potoku drobnoustrojów.

Dyrektor Royle uciął dyskusję. Bardzo uprzejmie zwrócił Res uwagę, że byłoby dobrze, gdyby już teraz udała się do hotelu zakładowego, ponieważ służba porządkowa czeka na nią. Nie chciał bowiem zlecić opieki nad tak czarującym gościem zwykłemu robotowi.

- To jednak tylko robot - zażartował - ze wszystkimi swoimi wadami.

Ustalono, że Res zostanie powiadomiona o decyzji dyrekcji nazajutrz.

Royle odprowadził gościa do drzwi, dając zebranym do zrozumienia, że mają pozostać na miejscach. Po powrocie zapytał:

- A więc jakie jest wasze zdanie, zrobimy to?

Hal poprosił o głos. Powiódł wzrokiem dokoła, odchrząknął i zapytał:

- Czy mogę powiedzieć coś, co według mnie ma zasadnicze znaczenie?

Dyrektor Royle skinął głową:

- Ale proszę się streszczać!

- Powinniśmy zastanowić się poważnie nad tym, co przedstawiła nam koleżanka Strogel. Co do mnie, to zostałem utwierdzony w przekonaniu, że ani ja, ani koledzy z mojej grupy nie bujamy wcale w obłokach, jak to niektórzy chcieliby przedstawić. - Ktoś na sali zaśmiał się. - Ten potok drobnoustrojów, chociaż zachowuje się teraz tak niszczycielsko - mówił dalej Hal, nie dając zbić się z tropu - nasunął mi pomysł, aby bakterie albo wirusy wykorzystać w produkcji, oczywiście po zmianie ich cech dziedzicznych. Spodziewam się, że dyrekcja przychyli się wreszcie do naszego wniosku i wyrazi zgodę na zajęcie się tą pracą. Powtórzę raz jeszcze: produkcję naszego gazu syntezowego, z którą związanych jest tyle zakładów pracy, utrudniają i hamują katalizatory. Zamiast grzebać się w tym bez końca, powinniśmy zastosować nową technologię. Oto kompletna dokumentacja na ten temat.

- To ciekawe - Royle uśmiechnął się ironicznie. - Kompletna dokumentacja! A ja się dziwię, że ciągle jeszcze nie otrzymałem projektu ulepszonych katalizatorów. Ale jeżeli wy zamiast tego zajmujecie się obszernym studium... Osobliwa dyscyplina, mój drogi Hal.

Hal Reon machnął gniewnie ręką.

- Zrobiliśmy to w trójkę w czasie wolnym od pracy - odparł. - Mogę to udowodnić!

- W taką pogodę, jaka była ostatnio? Przyjaciele, powinniście otrzymać za to ordery! - zawołał ktoś z sali. Niektórzy roześmieli się.

- To twoje, studium możesz mi kiedyś podrzucić, a przy okazji porozmawiamy sobie o tym - odezwał się Royle z nieprzeniknioną miną. - Nie

chciałbym, żeby ktoś mówił o mnie, że hamuję twórczy polot. - Kilka osób

zaśmiało się znowu. Hal przygryzł dolną wargę.

- A więc - Royl nie dawał za wygraną - co robimy? Oczekuję propozycji.

- Sama produkcja nie jest tu istotna - zaczął kierownik produkcji tonem, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że można ją podjąć,

- I dlatego, jak sądzę, nie wchodzi ona w rachubę - przerwał mu dyrektor ekonomiczny.

- Wie to miałem na myśli - odparł kierownik produkcji z rozdrażnieniem.

- A możliwości techniczne, Hal? - zapytał Royl. Nie zwrócił nawet uwagi na rodzącą się sprzeczkę.

Hal potrząsnął głową.

- Tu nie ma żadnych problemów. Potrzebne by nam były jedynie skraplacz, dodatkowa komora i chyba z tysiąc kontenerów, żeby puścić to wszystko w obieg.

- Mówiłem przecież - wtrącił się znowu dyrektor ekonomiczny. - To nie ma sensu. - Zaczął wyliczać niezbędne koszty i wynikię przez to straty. - Nie mówię już nawet o zablokowanym transporcie - dodał na zakończenie.

- A gdyby użyć statku i rurociągu? - zwrócił się szef produkcji do Hala.

- To by było możliwe - odparł tamten - tylko że wiązałyby się z tym pewne kłopoty. Im na pewno zależy na produkcji ciągłej. A kontenery można w razie konieczności przetransportować szybko nawet drogą lotniczą.

- Poza tym - argumentował ekonomista - musimy zadbać o

uporządkowanie własnego kramu, a oni niech zajmą się swoim. Nie, Hal, nie mówię w tej chwili wyłącznie w imieniu swojego resortu - uprzedził reakcję Hala - ale nareszcie nasza produkcja ruszyła pełną parą. Nie możemy sobie pozwolić na jakieś eksperymenty, nawet jeżeli teraz nie przewidujemy żadnych trudności. Wszystko wskazuje na to, że przez najbliższe dziesięć lat możemy produkować to, co teraz. Nikt by nie zrozumiał, dlaczego nagle przestawiliśmy się na coś niepewnego. Dostyc się już nasłuchałem w swoim czasie przy rozliczaniu bonów za wydajność...

- Tak, masz rację, produkujemy kosztem astronomicznych nakładów - burknął Hal. - Patrz: katalizatory.

- Na tak olbrzymim kontynencie, jak Afryka, znajdzie się na pewno wystarczająco dużo betonu, żeby wykarmić te stwory. Po prostu muszą zrezygnować z wariantu optymalnego - wtrącił inżynier do spraw gazu.

- Ta Strogel chce sobie ułatwić sprawę - argumentował z uporem ekonomista. - Wątpię, żeby przebadala już pod kątem przydatności wszystkie zasoby gazu w Afryce.

- Chyba jej nie doceniasz - potrząsnął głową szef produkcji.

- Gdyby istniały inne, bardziej korzystne możliwości, nia przyjechałaby do nas - zauważył Hal.

- Jak już powiedziałem, niektórzy ułatwiają sobie sprawę. - Ekonomista zdawał się tracić spokój.

- A co na to ekspedycja? - zapytał Royle.

- Chce, żeby nam dali spokój. Dziś to, jutro tamto. Całą naszą produkcję diabli wezmą.

- Wiecie co, nie mogę już tego słuchać! - Niewysoka, nieco przysadzista kobieta powiedziała to z oburzeniem. - Oczywiście zależy nam na produkcji ciągłej. Jestem też pewna, że każdy z was ma rację. Ale tam ktoś potrzebuje pomocy!

- Nie mieszajmy dwóch różnych spraw - inżynier do spraw gazu bronił swego z przekonaniem. - Pomoc potrzebna jest nie komuś, ale pewnej sprawie, i nie dlatego, że nie ma innego wyjścia, tylko żeby uzyskać lepsze efekty. A to już jest różnica.

- Koleżanka z komitetu produkcyjnego ma rację - powiedział z naciskiem Hal. - Jeżeli nasz gaz przyhamuje pochod tych mikrobow, zmniejszy się niebezpieczeństwo, a tym samym będzie więcej czasu na badania.

- Dawniej - odezwała się znowu niewysoka kobieta - nikt by nie dyskutował nad taką sprawą. Po prostu zostalibyśmy do tego zobowiązani. Wydaje mi się, że ta zintegrowana odpowiedzialność też ma swoje wady. Dziś pod byle pozorem ukrywa się własne lenistwo...

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że jesteśmy leniwi? - zapytał ostrym tonem kierownik zbytu.

Kobieta nie odpowiedziała. Wzruszyła ramionami, a twarz jej zdawała się mówić: Kto wie? Ekonomista przeszedł energiczniej do ataku.

- Przecież ona sama mówiła, ta Strogel, że pochod drobnoustrojów ma też swoje dobre strony, stwarza bowiem okazję do przesiedlenia części ludności. A to przecież wyjdzie im na dobre. Nie można więc mówić o bezpośrednim zagrożeniu.

- Tak, to był jej błąd taktyczny, że powiedziała to również tobie -

odparł szyderczo Hal, mszcząc się w ten sposób za niedawne drwiny.

- Niebezpieczeństwo, też coś! Każde nie wyjaśnione zjawisko kryje za

sobą niebezpieczeństwo. A co się stanie, jeżeli ludzie nie opanują tych

drobnoustrojów? Ale zostawmy to na razie - szef produkcji zerwał się

podniecony. - Nawet jeżeli ekonomiści są temu przeciwni, koleżance Strogel

zlecono poprowadzenie sprawy. Przybyła do nas osobiście. Jestem niemal

przekonany, że to sprawa o szczególnym znaczeniu. Jedno miasto zostało

już ewakuowane i w większej części zniszczone. Drugiemu grozi to samo.

Aby uniknąć paniki, należy koniecznie ogłosić w tej sprawie komunikat... A

poza tym: czy nie sądzicie, że jesteśmy jakby pod presją? Jeżeli powiemy

jutro "nie", zjawi się tu pojutrze delegacja ONZ.

- No to po co w ogóle ta cała dyskusja! - odparł niechętnie ekonomista.

- Jeżeli ten argument zadecydował - powiedział Hal - nie świadczy to

dobrze o naszej załodze. No, ale ważny jest wynik dyskusji. Chciałbym,

żebyśmy zwrócili uwagę przede wszystkim na znaczenie tego kroku dla

nauki. To się może stać nawet wydarzeniem epokowym.

- Wiecie co, koledzy, absolutnie nie zgadzam się z waszą postawą. -

Przedstawicielka komitetu produkcyjnego wstała z miejsca. - Poruszę tę

sprawę na posiedzeniu komitetu. Co za przelewanie z pustego w próżne! W

końcu w tym tkwi problem, który dotyczy nas wszystkich!

Hal odetchnął z ulgą i skinął głową. Wreszcie znalazł się tu ktoś

rozsądny, pomyślał.

Royl rzucił mu karcące spojrzenie, potem zabrał głos:

- Niech będzie. Nie mogę zabronić ci postawienia tego na zebraniu komitetu. Koleżanka Strogel zostanie powiadomiona, że... Hal, od października? - Hal zawahał się przez chwilę, potem kiwnął głową - ...że od października rozpoczniemy produkcję potrzebnego im gazu płynnego. Ty - zwrócił się do szefa zbytu - przygotujesz do jutra odpowiednie umowy.

- Ale... - wtrącił ekonomista. Szef zbytu również otworzył usta, jak gdyby chciał zaprotestować.

- Powiedziałem, że zaczniemy produkcję - kontynuował niewzruszenie Royle, a jego głos stał się o ton ostrzejszy. - Chciałbym jeszcze zaznaczyć, że ta decyzja jest podyktowana wyłącznie przez zdrowy rozsądek. To, co Hal określa mianem epokowe, to czysta spekulacja. Straty możemy chyba wyrównać dalszym obniżeniem produkcji letniej, a zresztą... może będziemy mieli łagodną zimę. - Tą uwagą Royle rozładował napiętą sytuację.

Szef produkcji odezwał się już przy drzwiach:

- Poza tym nie wydaje mi się, aby to miało trwać wiecznie. Kiedyś wreszcie te... te bestie zostaną ujarzmione.

- Tym gorzej dla nas - odburknął ekonomista. - Ciekawe, co wtedy zrobimy z tym tysiącem kontenerów chłodniczych.

- Hal - zarządził Royle, stojąc już w progu - przekażesz koleżance Strogel naszą decyzję.

Hal zapowiedział Res swoją wizytę. Chciał odwiedzić ją w hotelu osobiście. Może nadarzy się okazja do dłuższej rozmowy.

Kiedy przechodził przez hali gmachu zarządu, zamigotał właśnie ekran informatora zakładowego.

Hal przystanął i zaczął czytać: Oświadczenie komitetu produkcyjnego.

W wyniku porannych obrad komitet uchwalił jednomyślnie, co następuje:

Kolektywowi kierowniczemu udziela się nagany z powodu wykroczenia przeciw zasadzie solidarności. Potrącanie bonów za wydajność będzie zróżnicowane, ponieważ kierownicy działów rozwoju i produkcji wykazali się pozytywną postawą.

Dalej następował krótki komentarz dotyczący wydarzenia, z pominięciem sprawcy wszystkiego: armii drobnoustrojów.

Ów tekst jak również przebieg wczorajszej narady w pewnym stopniu zadowalały również Hala. Royl, a zwłaszcza ekonomista będą wściekli. Pod koniec roku Nastaną mniej bonów za wydajność i nie starczy i«t ich na zakup superbatyskafu. Dobrze im tak, pomyślał Hal ze złośliwą satysfakcją, niech nurkują jak inni. W ogóle po co istnieją ci niedzielni nurkowie?

Miał wrażenie, że jego plany mają teraz lepsze perspektywy. Bez wątpienia wiązało się to z osobą owej Res Strogel.

Ale kiedy wkrótce stanął przed nią, zaczęły ogarniać go wątpliwości.

Res nie była jeszcze ubrana. Siedziała skulona na piankowym fotelu, owinięta włochatą pelerynką. Poprosiła, żeby usiadł. Wiadomość o tym, że kombinat zacznie dostarczać od października gaz, przyjęła jak rzecz oczywistą.

- Nie spodziewałam się niczego innego - powiedziała.

Dzisiaj wygląda lepiej, pomyślał Hal. Z jej twarzy zniknęło zmęczenie, wydawała się za to bardziej chłodna i oficjalna niż poprzedniego dnia.

Dlatego przedstawił swą sprawę z wahaniem. Było to wahanie

praktyka wobec teoretyka, wynikające z nie zawsze słusznego przekonania, że ten drugi lepiej orientuje się w sprawie.

Ostrożnie zapytał, czy według niej jest możliwe praktyczne zastosowanie całych kolonii drobnoustrojów w produkcji.

Uśmiechnąwszy się jakby trochę sarkastycznie, powiedziała:

- Nie, niestety nie. Nie można się również tego spodziewać w najbliższym czasie. Ale - tu ożywiła się trochę - to nie jest wykluczone. -

Wstała powoli. - Jeżeli jednak zajmujecie się tą sprawą poważnie, radziłabym zwrócić się z tym jak najszybciej do profesora Mexera. Tylko on jest kompetentny w tej dziedzinie. Dam ci jego adres. - Niedbalym krokiem podeszła do biurka. Szeroka pelerynka nadawała jej wygląd szarego stożka.

Halowi

nasunęło

się

porównanie:

Res

przypomina

antycznych,

ascetycznych uczonych. A potem ni stąd, ni zowąd przyszło mu do głowy, że powinna jeszcze nosić niklowane okulary, takie z dziewiętnastego wieku.

Uśmiechnął się, choć równocześnie zapragnął pracować razem z tą kobietą.

- Proszę - przerwała tok jego rozmyślań. Podala mu małą kartkę. - Czy

przyniosłeś umowę? Spiesznie wyjął potrzebny dokument. Res przeczytała

go dokładnie, kiwając od czasu do czasu głową, następnie podpisała,

przyciskając pod spodem swój osobisty kod.

Hal spojrział z uznaniem. Pieczęć z osobistym kodem otrzymywały z Sekretariatu ONZ jedynie wybitne osobistości. Zrozumiał teraz, że Res otrzymałaby swój gaz nawet bez zgody kombinatu.

Kiedy stał już w progu gotowy do wyjścia, Res przypomniała mu:

- Nie zapomnij zwrócić się do Mexera. - Wydało mu się, że mówiąc to uśmiechnęła się.

Kiedy drzwi się zamknęły, Res w zamyśleniu strzeliła palcami. Ten

Hal wygląda na takiego, który konsekwentnie kroczy raz obraną drogą.

Ciekawe, jak zachowa się Mexer, czy zdobędzie się na to, aby zbyć również projekty praktyka jako spekulacje. Do tej pory raczej płaszczył się przed praktykami. Res była zadowolona z rezultatów podróży. Chciała też przy okazji wpaść na krótko do Ewy, a w drodze powrotnej na trzy dni do dzieci.

Propozycja Royla, aby przesunąć podjęcie decyzji o dzień, zaskoczyła ją trochę. To mogło oznaczać tylko jedno: istniały zastrzeżenia co do produkcji gazu płynnego.

Res wiedziała doskonale, że mimo kontrargumentów udałoby się jej i tak z pomocą komisji doprowadzić do rozpoczęcia tej produkcji. Musiała przyznać w duchu, że w dużej mierze kieruje się egoizmem. Chciała udowodnić wreszcie słuszność swojej tezy. Dopiero kiedy gaz ograniczy tempo procesów życiowych tych drobnoustrojów, zaistnieją odpowiednie warunki, aby gruntownie zbadać brakujące ogniwa.

Res sięgnęła do przycisku wideofonu, aby zgłosić się u Ewy.

Z nadciągającej burzy zdali sobie sprawę niemal w ostatniej chwili.

Charles, wbrew instrukcji kierownika ekspedycji, Toca, zmienił zakres częstotliwości aparatury radiowej, chcąc w ten prosty sposób odebrać ewentualne sygnały. Kiedy wśród szumów wyłowił jakieś piski, rozpoczęły się zakłócenia. W odbiorniku trzeszczało, jakby lada chwila miał rozlecieć się w kawałki.

Charles spiesznie przestawił potencjometr na pozycję zerową, ale zakłócenia nie ustały. Impuls zakłócenia spowodował na ekranie oscylografu znaczne odchylenia, i to już po ustawieniu przez Ennila normalnej długości fal. Zakłócenia przybrały nawet na sile.

Charles zawołał Chrisa, zapoznając go z tym dziwnym zjawiskiem. Nie powiedział mu jednak, dlaczego włączył aparaturę poza ustalonym czasem łączności.

Chris stał przed oscylografem i intensywnie myślał. Ani on, ani Carol, która dołączyła się do obu mężczyzn tkwiących nieruchomo przed przyrządem, nie mieli pojęcia, co mają sądzić o tych sygnałach.

Nagle Carol wydało się, że ekran oscylografu stał się jaśniejszy.

- Robi się ciemno! - krzyknęła.

Chris zrozumiał wszystko. Chwycił za antenę i zdjął ją z masztu, wołając przy tym: - Szybko, pakujcie się, przymocujcie wszystko linami, pośpieszcie się! Burza!

Oboje zareagowali błyskawicznie. Ale podczas gdy Carol, idąc za

przykładem Chrisa, gorliwie zbierała porozrzucany dokoła sprzęt, Ennil zachowywał się początkowo tak, jakby uważał ostrzeżenie Chrisa za przesadzone. Dopiero kiedy niebo przybrało raptownie siną barwę, a powietrze zadrgało, Charles ożywił się. Energicznie wziął się do roboty. Wszystkie swoje rzeczy spakowali do dużych worków z folii, po czym ułożyli je pod plandeką, którą przymocowali do ziemi dużymi metalowymi bolcami.

Ściemniło się gwałtownie. Nagle zaczęło szumieć. Hen w górze, na tle szarego nieba pokrytego ruchomymi strzępami chmur, wierzchołki drzew kołysały się, zataczając rozległe kręgi. Ciemne liście o niespotykanych rozmiarach przelatowały nad ludźmi, grożąc zwaleniem z nóg. Za każdym razem, kiedy przesuwały się tuż nad płytkim zagłębieniem, robiło się na moment ciemno jak w grobie. Troje rozbitków skryło głowy.

Inicjatywę podjął Chris.

- Musimy się stąd wydostać, ten dół może zamienić się w jezioro! -

Wczołgał się pod plandekę i coś wyciągnął: - Trzymajcie tę linę! - Rzucił ją Carol, która naśladując go, owinęła się nią wokół talii. Ennil chwycił pospiesznie za drugi koniec, przywiązał się mocno.

O potrzebie tego zabiegu przekonali się wkrótce, kiedy nie mogąc jeszcze złapać tchu, wdrapali się na krawędź dołu. Chris, który pierwszy stanął na górze, został przewrócony przez podmuch wiatru. Z największym wysiłkiem zdołali utrzymać się na nogach.

Obawa Chrisa przed wędrującymi głazami okazała się bezpodstawna: głazów już nie było. Najwidoczniej porwała je ze sobą szalejąca wichura.

Opierali się burzy, jak mogli, starając się wykorzystać każdą

najmniejszą wypukłość terenu jako osłonę.

Chris myślał z trwogą o helikopterze i o Geli. Poczul, że się o nią boi.

Przypomniat sobie teraz, że na skraju pniaka dostrzegł duże otwory czy też jaskinie, wygrzyzione przez zwierzęta.

Kiedy pierwsze kule deszczu uderzyły o ziemię, znajdowali się już przy owych jaskiniach. Z trudem dotarli do miejsca, w którym kora była odlupana, a wtedy ich oczom ukazała się otchłań o dziwacznych ścianach.

Tuż przy krawędzi gigantyczny tunel na kształt szybu schodził w dół, i na głębokości około dwunastu stóp skręcał, tworząc coś w rodzaju sztolni.

- To tu - dyszał Chris. - Schodzimy tędy. Opierając się atakom wiatru, stali nad krawędzią szybu. Olbrzymie kule deszczu zaczęły padać przerażająco blisko. Chris uwolnił się od liny i skoczył na dół.

- Pośpieszcie się! - krzyknął.

Prąd powietrza, który wtargnął z zewnątrz przez szparę w ścianie szybu, zakręcił Carol w koło. Przewróciła się na wznak, chciała się podnieść, gdy nagle ściemniło się. Krawędź szybu zniknęła, a z góry spłynęła powoli elastyczna, wygięta silnie ku dołowi ściana wody.

Carol leżała jak sparaliżowana, niezdolna na razie do żadnego ruchu.

Tuż nad nią niby lustro zawisło odbijające każdy obraz sklepienie. Przez chwilę ujrzała swoje wykrzywione odbicie, upiorne w mroku.

Raptem ktoś chwycił ją pod pachy i niemal boleśnie szarpnął,

wciągając do sztolni. Tu było jeszcze ciemniej. Jedyne krawędź wylotu sztolni rysowała się szarą plamą. Nad sobą Carol dostrzegła jasną czuprynę

Chrisa.

- To się mogło źle skończyć - przerwał milczenie Ennil.

Carol skinęła głową. Coś dławiło ją w gardle. Potem poczuła, że odętwienie z wolna ją opuszcza.

Chris włączył latarkę, jedyłą, jaką mieli, i oświetlił wejście. Woda wpływała już łukiem do sztolni.

- Musimy wejść głębiej! - zawołał Chris, myśląc z przerażeniem o tym, co by się stało, gdyby zwierz, który wygryzł tę sztolnię, zaczął się na nich w głębi.

Nagle rozległ się jakiś śpiewny dźwięk, po czym nastąpiło uderzenie.

Elastyczna powłoka na powierzchni wody pękła, a ciecz momentalnie została wessana przez porowate kanały pniaka.

Chris odetchnął z widoczną ulgą.

- Najgorsze mamy już chyba za sobą - powiedział. - Dopóki woda wsiąka w podłoże, nic nam nie grozi. Gorzej będzie, kiedy nasączy się nią cały pniak. Ale przy tej masie drewna... - Usiadł na występie ściany, zapraszając gestem Carol i Charles'a, aby poszli w jego ślady. Potem dodał: - Trzeba oszczędzać - i zgasił lampę.

Carol przysunęła się do niego. Czuł drżenie jej ciała. Może z zimna, a może ze strachu...

I teraz, w tej głuchej ciemności, w warunkach przymusowego bezruchu, Chrisa znów opanowały natrętne myśli. Gela i Karl są gdzieś tam zamknięci w kabinie, od której większa była każda z tych kul deszczu.

Wątpliwe było, czy zdołają wytrzymać napór wody. Jeżeli nie zdążyli

schronić się w porę przed burzą i spadli na ziemię?

Chris zdawał sobie sprawę, że upadek helikoptera na ziemię podczas burzy, która z pewnością gnała go przed sobą raczej horyzontalnie niż pionowo, nie musi skończyć się tragicznie. Dlatego też nie obawiał się o życie przyjaciół. Troską napętniała go przyszłość.

W jaki sposób mieli się odnaleźć w tym świecie bezdroży i gigantów?

Jak unikać nieznanych i jakże licznych niebezpieczeństw? Każde z nich zagrażało życiu!

Na moment wrócił myślą do poprzedniego dnia, do kąpieli z Gelą.

Znowu widział jej delikatne ciało. Przypuszczał, że nawet jeżeli tamci uratowali się, helikopter z pewnością nie przetrzymał upadku. A może?

*W równym stopniu dręczyła go własna bezsilność. Nie mógł nic zrobić dla ratowania swoich towarzyszy. Poszukiwania nie miałyby sensu. Zresztą wiedział doskonale, że przy tak nikłych szansach powodzenia nie wolno mu wyruszać na poszukiwania. Oparł się wygodniej o ścianę. A więc, pomyślał, krótkie, radosne pożegnanie i jej nieznaczne kiwnięcie dłonią zza okna helikoptera mogły pozostać już na zawsze ostatnim wspomnieniem o Geli...
Może już jej nigdy nie zobaczę...*

Czuł ogarniające go zwątpienie i wyrzuty sumienia. W gardle coś go dławiło. Zaciśnął zęby i po kilku chwilach zdołał się opanować. Wdzięczny był panującym wokół ciemnościom.

Tego tylko brakowało, żeby obok bojaźliwej Carol i zręczącego

Charles'a w grupie znalazł się jeszcze zrozpaczony kierownik.

Nieoczekiwanie przejaśniało, jednocześnie poczuli chłodny powiew od

strony wylotu. Woda na dnie szybu wsiąkła już w podłoże.

Chris otrząsnął się ze swych rozmyślań. Ostrożnie podszedł do szybu i spojrzał w górę. Przez prawie idealnie okrągły otwór dostrzegł skrawek nieco przejaśnionego nieba.

Pomyślał jeszcze, że nie powinien był pozwalać na wymontowanie z helikoptera dużej radiostacji. Nawet gdyby uległa uszkodzeniu w wyniku katastrofy, Karl mógłby ją może naprawić. Chris wiedział, że będzie musiał odpowiadać za swoje niedopatrzenia. Krzyknął do towarzyszy:

- Rozejrzę się trochę - po czym ujął linę i zaczął wspinać się po stromej, ale obfitującej w liczne występy i zagłębienia ścianie.

VI

Karl od razu wiedział, że środki, jakimi dysponowali, były niewystarczające, żeby przygotować maszynę do lotu i naprawić podręczną radiostację. Nie tylko dlatego, że obydwa śmigła, pocięte i wyrwane z łożysk, zwisały po bokach, ale na dodatek helikopter leżał uwięziony w płataninie najprzeróżniejszych źdźbeł, szczątków liści i grud ziemi. Wokoło wznosiły się olbrzymie łodygi i podłużne, podobne do desek liście gigantycznej trawy. Poprzez szczeliny widać było gałęzie drzew. Sytuacja, w jakiej się znaleźli, nie odebrała Geli otuchy. Sama nie wiedziała dlaczego. Może zdawała sobie sprawę, że musi podtrzymać na duchu Karla, zazwyczaj tak dziarskiego, a teraz małowównego i jakby przybitego.

Pomyślała o Chrisie, o ich zadaniu i - ku własnemu zdziwieniu - dopiero na końcu o Haroldzie. Harold przypominał jej się zresztą tylko jako pewnego rodzaju przestroga przed losem, jakiego chciała uniknąć.

Nazajutrz po awarii, z samego rana, Gela wdrapała się na wysokie, wysmukłe źdźbło trawy, znacznie przerastającej sąsiednie rośliny.

Wierzchołek, który składał się z niezliczonej liczby skupionych kiosków, chwiał się na wietrze.

Widoczność nie była najlepsza. W pobliżu rosły takie same źdźbła, które kołysząc się na wszystkie strony zasłaniały widok. W oddali Gela dostrzegła olbrzymie drzewa i - tu jej serce zabiło mocniej - pniaki. Czyżby jeden z nich?... A jeżeli tak, to który?

Wiedziała, że marsz choćby do najbliższego - odległość oceniała w przybliżeniu na trzy mile - mógłby potrwać kilka dni, biorąc pod uwagę ukształtowanie terenu. Na wszelki wypadek Gela zapamiętała sobie kierunek, a dopiero potem, nieco rozczarowana, opuściła się na ziemię. Karl pracował zawzięcie obok helikoptera. Podnosił łodyżki wysokiej trawy i układał je na ziemi przed maszyną. Podłoże było jeszcze rozmiękle i przy wyskakiwaniu z kabiny przyklejały się za każdym razem do butów grudy i kamienie.

- Karl - zwróciła się do niego Gela, kiedy odpoczęła już trochę po wspinaczce - spróbuj ustalić położenie naszego pniaka, z zapisu albo z pamięci.

A kiedy Karl skinął jedynie głową, nie przerywając swojego zajęcia, dodała bardziej zdecydowanie:

- Proszę cię, zrób to od razu. Karl podniósł się.

- Już biegnę - odparł, wpadając ku radości Geli w swój dawny ton. - Może to coś da - dodał. Z jego miny łatwo było odgadnąć, że wątpi w powodzenie tego przedsięwzięcia.

- Chcesz może do końca swego życia zajmować się tą trawą? - zapytała drwiąco.

Podczas gdy Karl wspinał się do kabiny, Gela ustalała kierunki z położenia słońca. Po chwili usłyszała okrzyk Karla:

- Południowo-południowy zachód w odległości... około dwudziestu mil.

- No widzisz - triumfowała Gela. - To by się zgadzało z moimi obliczeniami. A więc szykujemy się!

- Poważnie?

- Poważnie.

- Ale tak przecież nie można - protestował słabo Karl. - Helikopter.

- Nie ma czegoś takiego jak "nie można" - obruszyła się Gela. - Sądysz, że uda ci się uruchomić ten wrak?

Karl uśmiechnął się.

- No to pakujmy się - zdecydował.

Już wkrótce jednak stało się jasne, że trudy marszu przerastają ich siły.

Ziemia była tu poprzerynana rozpadlinami i usiana głazami krzemowymi, pomiędzy nimi rozlewała się kleista masa. Długie korzenie ciągnęły się daleko na kształt grubych lin, gdzieś tam zaś sterczały pojedynczo lub w kępach olbrzymie trawy. Wielokrotnie napotykali mrówki, pająki oraz inne nieznanne zwierzęta o przerażających rozmiarach. Widywali też mniejsze istoty, równe im samym, a nawet jeszcze mniejsze, o sześciu kończynach, z wyraźnym podziałem na człony, niezgrabne.

Przeważnie sprawiały wrażenie bezbarwnych, niemal przezroczystych.

- To chyba kleszcze - zauważył Karl. - Daw? niej widywano je również u nas.

Tylko nieliczne z napotykaných zwierząt przyjmowały postawę agresywną. Większość z nich siedziała nieruchomo w swych norach i na pniach lub poruszała się ociężale, spożywając jakiś pokarm.

Gela czuła, że nie sprostą trudom wyczerpującego marszu. Paczki, które nieśli na plecach, zawierające przede wszystkim prowiant, odzież i

drobny sprzęt, jak kocher, aparat fotograficzny, liny, ciążyły coraz bardziej.

Karabin ciążył jej, ale nie chcąc się skompromitować nie proponowała odpoczynku. Karl jednak dostrzegł znużenie swojej towarzyszki. Udając, że jest zmęczony, zaproponował odpoczynek. Gela zaprotestowała, jakkolwiek bez przekonania, ale była mu wdzięczna.

Istotnie, przedsięwzięcie było syzyfowe. Często musieli długo obchodzić ogromne, zwalone pnie, bryły splątanych korzeni, skały lub też groźnie wyglądające albo istotnie niebezpieczne stwory. Z trudem wdrapywali się na tarasujące im drogę przeszkody.

W ten sposób przebyli pierwszego dnia marszu zaledwie jedną czwartą drogi, którą w normalnych warunkach mogliby przejść w ciągu jednego dnia.

Wieczorem Gela odczuwała już tylko potrzebę snu. Odpowiadała półsłówkami, a z konserw, które Karl podgrzał nad płomieniem, zjadła tyle co nic.

Po doświadczeniach pierwszego dnia stało się jasne, że muszą teraz nadzwyczaj ostrożnie gospodarować zapasami, jakie wzięli ze sobą. Dotyczyło to również dwóch butelek wysoko sprężonego gazu palnego. Odpoczęli w kryjówce, którą tworzyły dwa, rosnące jeden nad drugim, liście. Ognisko rozpalili tuż przed wejściem.

Od razu po posiłku Gela wpadła do swojego śpiwora i momentalnie zapadła w sen. Karl sprzątał jeszcze i szykował sobie postanie.

Nie mógł się zdecydować: czy zostawić tak ognisko, czy też zgasić je.

Czasem panującą wokół ciszę zakłócał świst, jeszcze częściej zdawało mu się,

że dostrzeżę przemykające obok cienie. Co jeszcze groziło im w tym okropnym, nieprzyjaznym świecie?

Ognisko rozjaśni przynajmniej ciemności przed wejściem, zwierzę, które chciałoby się podkraść nie zauważone, nie miałyby łatwej sprawy. Może ogień odstraszy intruzów...

Karl dołożył do ognia wilgotnych szczap, potem umieścił w zasięgu ręki obydwie karabiny, swój i Geli, i wczółgał się wreszcie do śpiwora.

Wiedział, że nie będzie w stanie czuwać przez całą noc i że pozostaną bez ochrony. Zerknął na Gelę. Obudzić ją za dwie godziny? To by było okrutne i może niepotrzebne. Ona też nie wytrzyma długo bez snu...

Na twarzy Geli, już odprężonej, migotał odblask płomieni. Od czasu do czasu mruczała coś we śnie.

Karl naraz poczuł dla niej dziwną tkliwość. Musimy dojść, pomyślał z zawziętością. Tak, Gela, Elsbeth byłaby teraz w twoim wieku. To tak bardzo upragnione, niezdolne do życia dziecko zabrało ze sobą życie jego żony... I jaka to była pociecha, że inni też przeżywają tragedie. Odkąd zaczęła szaleć ta przeklęta amnezja? Karl potarł sobie czoło.

Gdzieś w górze rozległo się brzęczenie. Karl uniósł z wysiłkiem powieki.

Cisza.

Od strony ogniska dobiegł go trzask.

Musimy sobie dać radę. A teraz czas spać, jutro czeka nas męczący dzień. Obrócił się na bok i raptem drgnął. Znowu rozległo się brzęczenie, tym razem bardziej donośne niż poprzednio i groźne. Przez moment

plomienie ogniska zasłoniło jakieś duże, przelatujące ciało.

Karl ostrożnie oswobodził się ze śpiwora. Był już zupełnie przytomny.

Chwycił karabin, odbezpieczył go i z bronią gotową do strzału wyszedł spod okrywającego go liścia. Brzęczenie nasiliło się, a w następnej chwili rozległ się nad nim trzask, coś uderzyło o tworzący dach liść i z donośnym pluskiem upadło tuż obok na ziemię głośno chrobocząc.

Teraz, kiedy chwila grozy minęła, Karl wskoczył z powrotem pod liść.

Jego pierwszą myślą było: obudzić Gelę. Potem opanował się. Na to miał jeszcze czas!

Na zewnątrz panował hałas. Obydwa liście - dolny i ten spełniający rolę dachu - dygotały pod ciosami ciemnego kolosa, który zmieniał ustawicznie położenie, zasłaniając sobą ognisko.

Karl powoli zbliżył się do wejścia i wtedy oczom jego ukazał się przerażający widok: przed ogniskiem tarzało się jakieś czerwone, nieforemne monstrum, pięciokrotnie wyższe od człowieka.

Upłynęła długa chwila, zanim Karl zorientował się w sytuacji. Potem z trudem powstrzymał się od śmiechu: zwierzę leżało na grzbiecie i najwidoczniej nie było w stanie stanąć na swych niezdarnie poruszających się w górze sześciu owłosionych i zakończonych pazurami odnóżach.

Machając ogromnymi czułkami przewalało się z boku na bok i obijało gwałtownie o liść. Wypukły chitynowy grzbiet zwierza sprawiał wrażenie twardego. Karl wywnioskował to z trzasków, zgrzytów i skrobienia po podłożu. Skorupa, pokryta dużymi, czarnymi plamami, połyskiwała ciemno-czerwono w świetle ogniska. Głowa i widoczna teraz część brzuszna

lśniły gładką czernią. Może to chrząszcz, pomyślał Karl. Powinienem był wtedy lepiej uważać, kiedy w szkole omawiano wymarłe zwierzęta...

Raptem osłupiał: pokrywająca odwłok pierwsza para skrzydeł rozwarła się. Owad wyprężył się i podrzucił do góry, po czym nagle powrócił do pozycji brzusznej i znieruchomiał. Po chwili pokrywy rozwarły się po raz drugi tak nieoczekiwanie, że Karl, jakkolwiek trzymał się przezornie w bezpiecznej odległości, odskoczył przerażony do tyłu. Nie wiedział, co robić. Szczęki i pazury świadczyły o tym, że owad może być niebezpieczny. Karl rzucił przelotne spojrzenie na Gełę. Spała spokojnie i mocno.

Zwierzę działało teraz szybko. W górę wystrzeliły cztery okazałej wielkości skrzydła, które nagle zawirowały donośnie i w następnej chwili, pozornie wbrew wszelkim prawom fizyki, ciężkie zwierzę uniosło się w powietrze. Po chwili nadleciało ponownie, ocierając się niemal o płomień i znowu zniżyło lot.

To zastanowiło Karla. Ciągnie w stronę ognia. Bez namysłu przesunął skrawek liścia nad niebieskimi językami płomieni. Momentalnie zapadła głucha ciemność. Brzęczenie zamarło w oddali.

Nie wątpił już teraz, że zwierzę zostało zwabione blaskiem płomieni.

Przypomniał sobie dawne wydarzenie, kiedy to wypuścili pierwsze sztuczne słońce. Cały rój skrzydlatych istot wpadłby na nie, gdyby nie górna osłona.

Wreszcie ułożył się do snu. Śnił o turkoczących, skrzydlatych potworach, które okrężały go, potem sam brał udział w jakimś szaleńczym locie, wreszcie zapadł w głęboki sen, z którego zbudziły go dopiero słońce i

pełne zachwyty parskanie Geli. Kiedy z trudem otworzył oczy, śmiała się do niego radośnie z wodnej kuli, wiszącej na źdźble tuż przed wejściem.

Przygoda z bajkowym stworzeniem wydała mu się tak nierealna, zwłaszcza teraz, w słoneczny poranek, że postanowił na razie nie mówić o tym. Dopiero kiedy zobaczył liść w miejscu, gdzie w nocy płonęło ognisko, uwierzył, że nie był to sen.

Ranek był chłodny. Gela zeskoczyła ze źdźbła i chcąc się rozgrzać przebiegła kilkaset stóp po żółtym liściu. Podczas trzeciego okrążenia zbliżyła się do podwiniętego brzegu i zatrzymała się nagle.

Karl spojrział na nią z natężoną uwagą. Podeszła na palcach do wysokiej na około osiemdziesiąt stóp łodygi i skinęła na Karla. Kiedy zbliżył się do niej, zasłoniła usta dłońmi i szepnęła:

- Co za fantastyczne stworzenie! - Karl zrobił ruch, jakby zamierzał pobiec po broń, ale Gela dodała: - Ono śpi, chodź!

Był to ten sam owalny owad. Widocznie wciągnął teraz zupełnie odnóża, bo sprawiał wrażenie, jakby przylegał częścią brzuszną bezpośrednio do podłoża.

- Czy nie jest piękny? - szepnęła Gela. Podeszła jeszcze bliżej i zapukała w czerwony, sterczący jak góra pancierz. - Zachwycający!

Karl zbliżył się również i przesunął otwartą dłoń po skorupie. Pod palcami poczuł faliste, podłużne spoiny. Cała powierzchnia lśniła jak glazurowana ceramika.

- Chodźmy stąd - powiedział. Przypomniat sobie, jak szybko zwierzę manipulowało swymi ciężkimi pokrywami, które mogłyby ich zmiażdżyć.

Chwycił Gelę za rękę: była chłodna. Pomyślał, jaki to pełen harmonii

kontrast: jej jasne ciało na tle połyskującej czerwieni zwierzęcia, potem

powiedział tonem wykluczającym sprzeciw: - Ubieraj się, szybko!

Gela, rozbawiona, oddaliła się szybko. Karl wiedział, że i cna nie ma

złudzeń co do sytuacji, w jakiej się znaleźli, tym bardziej więc cieszył go jej

spokój i zachwycała odwaga.

Kiedy się ubierała, Karl przyrządzał śniadanie i niespostrzeżenie

przepakował jej bagaż. Najcięższe rzeczy przeznaczył dla siebie.

Gdy wyruszyli w drogę, z twarzy dziewczyny zniknęła jednak radość.

Wyglądała na wypoczętą, ale myślała o marszu i związanych z nim trudach.

Już po pierwszej godzinie Karl zaproponował przerwę na odpoczynek.

Gela była mu za to wdzięczna, ale sprzeciwiła się.

- W ten sposób nigdy nie dojdziemy! - powiedziała z wyrzutem, jednak

usiadła na zdjętym bagażu.

- Wiesz, moglibyśmy tu żyć jako pustelnicy - zauważył Karl. - Ale

znaleźć drogę, dojść do celu, to już inna sprawa.

Sposób, w jaki to powiedział, wyostrzył jej uwagę.

- Chyba masz coś na sercu. Jeżeli tak, wykrztuś to wreszcie -

zapropnowała.

- To chyba zwariowany pomysł - zaczął wycofywać się Karl.

- Myślę, że nie ma bardziej zwariowanego pomysłu, niż ta piesza

wędrownka - powiedziała cicho Gela.

- No, dobrze - Karl usiadł obok niej. - Tego czerwonego olbrzyma

widziałem już poprzedniej nocy, zupełnie dziarskiego. Jeżeli nie był to ten

sam, to przynajmniej taki sam. On fruwał. Tak, tak, ma skrzydła. To chyba chrząszcz - wyjaśnił, widząc jej zdziwione spojrzenie. - Leciał ciągle do ognia, rozumiesz? Gdyby ognisko było większe, spaliłby się. A jaki był ruchliwy, mówię ci! Żebyś widziała, jak szybko przelatywał z miejsca na miejsce... - Urwał i spojrzał na Gelę z chytrym uśmiechem. - Powinniśmy zastanowić się, czy nie poprosić któreś z tych stworzeń, żeby nas przetransportowało - dodał wreszcie.

- I sądzisz, że wyświadczy nam tę przysługę? - Gela podjęła ten żartobliwy w jej mniemaniu ton.

- Jeżeli bardzo go poprosimy... - Karl wzruszył ramionami. - Obmyśliłem już nawet sposób.

- A jak ugryzie? - zapytała Gela. - Jedno kłapnięcie szczękami i już po tobie.

- No cóż - powiedział przeciągle Karl. - Możemy oczywiście żałować, że jest tak zwinny.

- A więc co proponujesz? - Gela spoważniała.

- Mamy ten specjalny klej - zaczął wyjaśniać Karl. - Przykleimy do pancerza coś w rodzaju siedzenia...

- Człowieku, dlaczego ci to wcześniej nie przyszło do głowy! Wracamy, szybko! Mam nadzieję, że on tam jeszcze siedzi. - Gela zaczęła traktować to wszystko serio.

- Gela, to był raczej żart. - Karla ogarnęły wątpliwości. - W jaki sposób skłonimy go, żeby poleciał w tym, a nie innym kierunku!

- Wymyślimy coś, no, pośpiesz się! - Gela wzięła na ramię swój tłumok.

Sprawiła teraz wrażenie, jakby całe jej zmęczenie gdzieś uleciało.

- Gela - upomniał ją Karl.

- Jeżeli nic z tego nie wyjdzie, stracimy dwie godziny. Cóż to jest wobec tych kilkudziesięciu, jakie mamy jeszcze przed sobą.

Karl uśmiechając się potrząsnął głową.

- Tym razem ty zwariowałaś - mruknął. Mimo wszystko wierzył jednak, że jego pomysł nie jest taki zły. To była ostatnia nadzieja.

Po trzech kwadransach dotarli do miejsca swojego ostatniego obozowiska. Gela puściła się pędem po żółtym liściu do jego zawiniętego w rurkę brzegu.

Czerwone zwierzę siedziało tam jeszcze w bezruchu. Gela była pewna, że śpi. A może było martwe?

Ostrożnie zbliżyła się do jego głowy. Czulki poruszały się ledwo dostrzegalnie. Dopiero teraz zauważyła, że pod błyszczącą czernią część pancerza ma dwie ruchome białe płyty.

Karl pozbył się wszelkich wątpliwości. Bacznie zlustrował roztaczający się wokół gąszcz i wkrótce znalazł to, czego szukał: na ziemi leżało kilka dużych baldachów. Karl wyciął z nich dwie rozwidlone szypułki kwiatowe w kształcie małych trójnogów. Gela mieszała w tym czasie klej.

Kiedy podeszła do czerwonej pokrywy, Karl przekonał się, że do przyklejenia uchwyty nadaje się bardziej przedplecze, które nie bierze udziału w otwieraniu i składaniu skrzydeł. Poza tym pancerz wydawał się tu bardziej masywny.

Trójnogi przykleili jeden za drugim, mniej więcej w odległości ośmiu

stóp za głową zwierza. Byli przekonani, że potwór nie zauważy ich obecności ani nie poczuje dodatkowego ciężaru.

Gela dygotała z podniecenia i ze strachu, że zwierzę rnoże się obudzić, zanim skończą przygotowania. Kiedy tylko klej zasechł, powiesili bagaż, następnie Karl wsunął się na tylne siedzenie i pomógł Geli zająć miejsce przed sobą.

Siedzieli tak przez pewien czas, ale kolos nie poruszał się wcale. Karl krzyczał, stukał dosyć bezceremonialnie w pancierz, potem usiłowali obudzić go wspólnie - bez skutku.

- Może jest chory? - rzekła z obawą Gela.

- Jeżeli to jest ten z poprzedniego wieczoru, to wykluczone - odparł

Karl.

Ich cierpliwość została jednak wystawiona na ciężką próbę. Nie mieli odwagi też zsiąść na ziemię, bo owad mógłby się nagle obudzić i odlecieć bez nich.

Gela zaczęła już się zastanawiać, czy nie postąpili zbyt pochopnie.

Zwinięty liść był w kilku miejscach popękany. Przez jedną z takich szczelin wśliznął się teraz promień, trafiając Czerwońca, jak Gela ochrzciła zwierzę, prosto w głowę.

- Uwaga! - krzyknęła Gela, dosłownie w ostatniej chwili. Potężne szarpnięcie wywindowało ich w górę o jakieś siedem stóp. Karl stracił równowagę i zawisł, trzymając się żerdzi siedzenia.

Na szczęście zwierzę zatrzymało się na moment, a Karl wykorzystał to, aby usadowić się pewniej.

A potem rozpoczął się ten niesamowity marsz.

Czerwonec zaczął przeciskać się przez skręcony w rurkę liść.

Wędrowcy skryli głowy w ramionach. Pokrywy pancerza szorowały donośnie o liść. Kiedy zwierzę wydostało się już na zewnątrz, zatrzymało się znowu, badając przez chwilę kierunek, a potem popędziło żwawo w stronę dwa razy cieńszego od siebie źdźbła i w tym samym szaleńczym tempie zaczęło się wspinać po nim na górę.

Trójnogi zdały egzamin. Teraz Gela znajdowała się nad Karlem: czuli się jak na diabelskim młynie. Niemal całkowicie stracili już zmysł orientacji.

Czerwonec wdrapywał się coraz wyżej.

- Jeżeli on nie przestanie, to nigdy nie dojdziemy do naszego pniaka! - zawołała Gela.

- Poczekajmy! - odkrzyknął Karl. A potem podniecony dodał: - Uwaga, trzymaj się!

Źdźbło, kołysząc się już od dłuższego czasu, zaczęło pochylać się najpierw powoli, potem coraz szybciej. Ciężar Czerwońca przeważył. Źdźbło opadło na ziemię.

- No, widzisz! - zawołał Karl. - W ten sposób posunęliśmy się od razu o kilkaset stóp w kierunku naszego pniaka. - Twarz mu promieniowała radością.

- Poczekajmy! - zawołała tym razem Gela.

Ich wierzchołek zaczął tak samo zapalczywie, jak poprzednio, wspinać się na najbliższe, grubsze tym razem źdźbło. Szybko wdrapał się na samą górę, po czym stanął, kiwając się osobiwie.

- Co teraz? - zapytała Gela, odwracając się do Karla. Nagle zamarła z

przerażenia. Karl również odwrócił się do tyłu: za nimi rozwierał się czerwony pancierz.

- Szybko na ziemię albo trzymajmy się mocno! - zawołał Karl. - On chce pofrunąć w górę!

- A więc trzymajmy się mocno! - odrzyknęła Gela. Uczepiła się dwóch przyklejonych do owada nówek taboreciku, sprawdzając jednocześnie wzrokiem węzeł przy linie bezpieczeństwa.

Teraz nabrała otuchy i odwróciła się. Za pokrywą, która sterczała jak ogromna, wypukła brama, wyłoniły się szybko migotliwe skrzydła.

Błyskawiczny start wyniósł ich od razu do góry, potem Czerwoniec zaczął tracić wysokość, jakby miał runąć na ziemię, zakreślił błyskawicznie spiralę

i

nie

zmniejszając

szybkości

pomknął

w

kierunku

południowo-południowo-wschodnim.

Gela otrząsnęła się ze strachu. Podniebny lot, duża prędkość i bardziej niż niepewny cel lotu przestały ją niepokoić. Była całkowicie pod wrażeniem krajobrazu.

Widok rozciągający się w dole nie różnił się zasadniczo od tego, jaki oglądali poprzedniego dnia z helikoptera. Przelatywali nad przerzedzonym

lasem niebotycznych drzew, nad morzem zieleni, wśród której tu i ówdzie jaśniały pniaki. Daremnie wypatrywała ich pniaka. Pamiętała jednak, że tuż obok niego leżał olbrzymi pień dziwacznie rozłupany.

Karla interesowały inne sprawy. Określał prędkość, co wymagało w tych warunkach nie lada wysiłku, oraz ustalał na wymontowanym z helikoptera kompasie kierunek lotu. Właśnie chciał przekazać Geli swoje wątpliwości, kiedy lot został raptownie przerwany. Niemal w ostatniej chwili uchwycili się lin.

Czerwonec opuścił się na nierówne, strome zbocze, przybierając pozycję pionową.

Zaledwie Gela i Karl zdołali usadowić się wygodniej, znowu zmienił kierunek, oni zaś o mały włos nie runęli na ziemię; Czerwonec opuścił się na dół i żwawo zaczął schodzić po zboczu. Najwidoczniej nie potrafił poruszać się powoli.

Wkrótce dotarł do podnóża wzniesienia. Pomiędzy brązowymi, beładnie porozrzucanymi balami gdzieś wystrzeliwały w górę rośliny. Czerwonec kroczył z zapalem przed siebie, wykonując niemal karkołomne ćwiczenia akrobatyczne.

W oddali wznosiły się skały, od czasu do czasu coś przelatywało nad nimi, raz natknęli się również na mrówkę.

Pod sześcioma nogami Czerwońca bale drżały i unosiły się do góry.

Karl określił je jako "olbrzymie igły drzew".

Czerwonec kroczył prosto jak strzała. Wspinął się na wzniesienia, to znów się zsuwał, kilka razy omal się nie wywrócił. Uporczywie dążył do

światlistej plamy, którą wymalowało na ziemi słońce. Kiedy dotarł do niej, zatrzymał się na chwilę, po czym rzucił się na coś, kłapiąc donośnie szczękami. Gela nachyliła się do przodu, wzdrygnęła się i szepnęła do Karla:

- On pożera takie duże zwierzę, jakie przedwczoraj ustrzelił Chris. I nawet dobrze mu to idzie!

Potem zapadła cisza. Czerwonec zrezygnował widocznie z dalszej wędrówki.

Naraz świetlista plama zniknęła. Prawdopodobnie chmury zakryły słońce. Nie mogli się jednak upewnić, gdyż korony olbrzymich drzew przysłaniały widok.

- Jak myślisz, gdzie jesteśmy? - zapytała Gela.

- Coraz trudniej jest odpowiadać na to pytanie - odparł Karl. - Ale wydaje mi się, że jakieś dwanaście mil na zachód od naszego celu.

Dopiero po dłuższej chwili Gela odezwała się, ze źle ukrywaną radością:

- Karl, chyba już wiem, w jaki sposób moglibyśmy kierować

Czerwońcem. Myślę, że warto spróbować...

Karl spojrział na nią wyczekująco.

- On przez cały czas leciał ku słońcu - wyjaśniła pośpiesznie Gela - a ty opowiadałeś przecież, że w nocy jak głupi pchał się do ogniska. Moglibyśmy to wykorzystać. Podaj mi swój bagaż i przytrzymaj mnie mocno!

Karl chwycił ją za ramiona. Przez chwilę szukała czegoś gorliwie, aż wreszcie wyciągnęła wszystko, co było jej potrzebne.

Brakowało tylko możliwie jak najdłuższego kija, którego zdobycie

następowało

trudności,

gdyż

Czerwonec

mógł

w

każdej

chwili

nieoczekiwanie ruszyć.

W końcu Karl, trzymając się jedną ręką liny, podniósł z ziemi

odpowiednią gałąź, którą wypatrzył z góry. Pomysł Geli intrygował go, ale

ponieważ zachowywała się tajemniczo, nie zadawał pytań.

Przez pewien czas manipulowała przy kiju. Karl nie był w stanie

dokładnie jej obserwować, gdyż zasłaniała mu sobą widok.

Wreszcie odezwała się z triumfem w głosie:

- No, to już.

I wtedy Karl zrozumiał: Gela przymocowała latarkę gazową do kija, a

pojemnik ciśnieniowy do trójnogu, zapaliła teraz lampę i wysunęła ją przed

głowę Czerwońca.

Karla opanowało podniecenie. On też przecież wiedział, że Czerwonec

zdąży do światła i że jest to wyjątkowo głupie stworzenie. Pod tym

względem plan Geli miał duże szanse powodzenia.

Czerwonec początkowo nie ruszał się z miejsca. Tylko jego lewy

czulek, widoczny doskonale, drżał nerwowo. A potem rzucił się do przodu.

Gela wymachiwała lampą, chcąc się przekonać o skuteczności swojego pomysłu, a powodzenie rozzuchwalało ją. Śmiała się, wykrzykiwała coś bez związku do Czerwońca, który posłusznie skręcał w żądanym kierunku, w zależności od tego czy lampa znajdowała się z lewej, czy też z prawej strony przed jego głową.

Jego bieg zdawał się nie mieć końca. W ciągu godziny pokonał trasę, która odpowiadała normie południowej. Jazda nie należała jednak do najwygodniejszych. Taboreciki, na których siedzieli, pozostawiały wiele do życzenia, a ponieważ Czerwoniec pokonywał wszystkie przeszkody, to wspinając się na nie pionowo, to znów pędząc poziomo, jeźdźcy byli zmuszeni do wykonywania niemal akrobatycznych figur. Nie tracili jednak humoru.

Dotarli do miejsca pokrytego bujną trawą. Kiedy Gela, sądząc, że znajdują się już blisko celu, zwabiła Czerwońca po raz drugi na szczyt ogromnego żdźbła, słońce wyjrzało zza chmur. Czerwoniec przyśpieszył. I w tej samej chwili, kiedy Geli wydało się, że widzi w oddali zwalone drzewo, zwierzę uniosło się w powietrze i prędko, jak to było w jego zwyczaju, poszybowało na południe, wprost ku słońcu.

Daremnie Gela krzyczała, wymachując mu przed głową lampą. Jej światło nie mogło się równać z intensywnymi promieniami słońca. Na szczęście nie trwało to długo. Już wkrótce Czerwoniec zaniechał swego lotu i po karkołomnej spirali, która omal nie wyrzuciła jego pasażerów z siedzeń, osiadł na jakiejś dziwnej, pionowej, poruszającej się do przodu płaszczyźnie. W polu ich widzenia ukazały się teraz grube,

przecinające się wzajemnie zielone prążki.

Nim zdążyli określić dokładnie swoje położenie, Gela wykrzyknęła:

- Nasze miejsce, tam w dole!

Karl drgnął gwałtownie. Rzeczywiście, nie było wątpliwości. Sam niejednokrotnie obserwował to miejsce z góry. Przesuwali się teraz na dużej wysokości nad swoim pniakiem.

- Na ziemię, szybko! - krzyknął Karl. Znowu oddalili się od celu o tysiąc stóp. Karl chwycił za rękę Gelę, która zrozumiała, odczepiła liny i zsunęła się ze swego siedzenia.

Przez pewien czas spadali w dół po dziwacznej, pofalowanej stromej ścianie, która potem oddaliła się od nich nagłymi i wielkimi skokami.

Jeszcze chwila - i w ich polu widzenia pojawiły się dwie ogromne kolumny, których widok zbudził w Geli niejasne wspomnienia.

Wkrótce znaleźli się znowu w tej aż zanadto już znanej im dżungli traw, królestwie szerokich, podłużnych liści i łodyg, zielonych i żółtobrązowych.

Za każdym razem, kiedy odstaniał się przed nimi horyzont, widzieli wznoszący się opodal masyw pniaka.

Mimo iż marsz nie był wcale mniej uciążliwy, niż poprzedniego dnia, pokonywali przeszkody pełni zapału. Wkrótce oboje byli mokrzy od potu, nie tracili jednak humoru i wyobrażali sobie zdziwienie pozostałych współtowarzyszy.

Zastanawiali się też nad ową dziwną wędrującą przeszkodą, która na szczęście powstrzymała Czerwońca przed dalszym lotem. Gela nabrała

już niemal pewności, że było to zjawisko podobne do tego, którego świadkami byli niedawno, ale oczywiście widziane z innej perspektywy.

Syn niebios! Czyżby ten sam, który niedawno przeszedł obok helikoptera?

- Czy to znaczy, że my, a raczej Czerwonec siedział na jego ubraniu? - rozwijał dalej tę myśl Karl Nietrudno było wyczuć w jego głosie niedowierzanie. - Trzeba przyznać, że to by wyjaśniało osobliwą strukturę powierzchni - dodał po chwili. - Zobaczymy, co powiedzą na to inni, Chris, Charles i Carol. Ostatecznie oni też widzieli chyba to zjawisko - zakończył dyskusję Karl.

Kiedy w końcu znaleźli się u podnóża pniaka, wyłonił się nowy problem; w jaki sposób dostać się na platformę. Wznosząca się stopniowo, ale potem raptownie stroma ściana była wprawdzie chropowata i obfitowała w szczeliny i występy, ale wspinaczka po niej wymagała doskonałych umiejętności alpinistycznych, a przede wszystkim wysiłku.

- Królestwo za Czerwońca! - wykrzyknął Karl.

- I za chmurę - uzupełniła Gela, wskazując na rozpalone słońce, które właśnie osiągnęło swój punkt kulminacyjny.

Przez pewien czas szli wokół pniaka.

- O! - zawołał Karl. - To może się nam przydać.

Oparta o pniak leżała długa gałąź.

Zapowiadało się na długą i mozolną, ale jednocześnie owocną pracę.

Gałąź miała podłużne bruzdy, których mogli się przytrzymać. Mimo to

Karl obstawał zdecydowanie przy tym, żeby przywiązać się liną.

Po dwugodzinnej nieprzerwanej wspinaczce dotarli do płaskowyżu.

Gela wdrapała się jeszcze o kilka stóp wyżej na źdźbło. Stojąc w słonecznej aureoli, przysłoniła oczy dłonią i zaczęła rozglądać się po okolicy. Nagle wykrzyknęła:

- Widzę ich, tam! - Wyciągniętą ręką wskazywała kierunek, tracąc nieomal równowagę. - Tam jest ten duży helikopter z "Oceanu II". - Szybko zeskoczyła na pniak, biegnąc z Karlem co sił w tamtym kierunku.

Ale jej porywczosć została wkrótce przyhamowana: olbrzymie stopnie prowadzące to w górę, to w dół, wymagały kondycji, jaką wyczerpani wędrowcy nie byli już w stanie się wykazać.

W końcu jednak dotarli na skraj kotliny, w której znajdował się ich mały obóz.

Stali na górze, krzycząc i machając rękami.

VII

Nawet nieoczekiwany wybuch tuż obok nie wywołałby większego wrażenia: dziesięć osób stało na dnie kotliny przy swoim prowizorycznym obozowisku. Natychmiast rzucili się im naprzeciw. Każdy z nich pragnął uścisnąć Gelę i Karla.

Wkrótce triumfalny pochód schodził na dół, prowadząc dwójkę odzyskanych rozbitków, którzy musieli teraz podzielić się swoimi wrażeniami.

Kiedy wszyscy ochłonęli z podniecenia i zajęli się znowu swoimi obowiązkami, Chris podszedł do Geli.

- Jestem szczęśliwy - powiedział, ścisnąwszy przelotnie jej lewą dłoń. -

Bardzo było ciężko?

Nie patrzyła na niego.

- Najgorsza była świadomość, że może już nigdy się z wami nie zobaczymy. Na pewno można by tu żyć, przystosować się do tego okropnego środowiska, ale w samotności byłoby to nie do zniesienia...

- Sądysz, że można tu przeżyć? - Chris zadał to pytanie cicho, z wahaniem. - Czyżbyś odzyskała nadzieję...

- Nie! - przerwała mu Gela twardo, niemal gwałtownie. - Harold i jego współtowarzysze nie żyją!

Ze sposobu, w jaki to powiedziała, Chris wywnioskował, że Gela po intensywne rozmyślaniach wyrobiła już sobie własną koncepcję na temat losu załogi "Oceanu I". Chris nie śmiał nawet przypuszczać, że jego sobą

miała wpływ na kierunek tych rozmyślań. Ale czy ona wierzy w to naprawdę - pytał sam siebie. I jak dalece można tę decyzję traktować poważnie?

Kontakt z "Oceanem I" urwał się raptownie, prawdopodobnie żadna ekspedycja nie została w tym czasie wysłana na ląd. Wszystko wskazywało na nagłą katastrofę.

Raz jeszcze Chris postanowił nie nalegać, dać Geli czas, aby doszła z samą sobą do ładu.

Stali obok siebie w milczeniu. Pierwszy odezwał się Chris:

- Jutro zbadamy odkryte przez was formacje.

- Ty też uważasz, że to są ich mieszkania - powiedziała Gela,

zmieniając szybko i chętnie temat rozmowy. Potwierdzało to jego

przypuszczenie, że Gela wbrew temu, co powiedziała, nie uporała się jeszcze ze swoim problemem.

- Widziałaś te budowle - odparł Chris.

- Czyżbyś w dalszym ciągu miał wątpliwości, że już wkrótce

natkniemy się na tych synów niebios? A co było przedtem? Wydaje mi się, że

Karl i ja siedzieliśmy na jednym z nich, na tym, który przeszedł nad wami.

Według mnie tędy prowadzi jakiś szlak albo ścieżka. W końcu to już drugi, jakiego widzieliśmy.

- Może jutrzejszy dzień przyniesie rozwiązanie - odparł z namysłem

Chris.

Następny dzień istotnie przyniósł rozwiązanie, i to pod dwoma

Względami: z samego rana z "Oceanu II" nadano meldunek, że postępując

zgodnie z projektem Ennila, za pomocą aparatury okrętowej odkryto całe morze fal radiowych, co rozwiało ostatnie wątpliwości na temat istnienia istot rozumnych. I okazało się, że Gela i Karl odkryli gigantyczne miasto.

Skoro świt wyruszyli w radosnym nastroju, do czego przyczyniła się wiadomość z "Oceanu II". Tocs przysłał im duży helikopter i drugi mniejszy, którym poleciała grupa poszukiwaczy.

Załoga wyruszyła więc ze zwłoką zaledwie jednodniową, ale za to wzbogacona o nowe wiadomości i doświadczenia oraz mając przed sobą określony cel.

Już po kilku minutach ujrzeli na południu kompleks osobliwych formacji. Sprawiało to wrażenie całej masy prostopadłościanów, ustawionych wzwyż i obok siebie, z wieloma występami i otworami. Bryły znajdowały się pomiędzy zielenią a połyskującymi w słońcu masztami i błyszczącymi linami. Nic jednak nie zdradzało tam życia z wyjątkiem drobnych istot, przemykających w powietrzu.

Wywiązała się krótka dyskusja nad sposobem zbliżenia się do zabudowań. Chris zdecydował w końcu, wyrażając tym samym zdanie ogółu:

- Polecimy prosto do celu. Jeżeli oni rzeczywiście są tak olbrzymi, jak przypuszczamy, to wydaje mi się, że jesteśmy dla nich praktycznie niewidzialni. Niestety - mówił Chris z ubolewaniem - nie możemy się spodziewać, że tamci wiedzą o naszym istnieniu. Dlatego będziemy działać w ukryciu albo wśród nich, jeżeli to będzie konieczne. A więc Karl, pełen gaz, kierunek miasto!

Sprzeciw Ennila, który obawiał się związanych z tym krokiem

niebezpieczeństw, odrzucono. Wydawało się, że całą załogę ogarnęła jakaś gorączka.

Słońce świeciło intensywnie na błękitnym niebie. Na przesuwających się tuż pod nimi wierzchołkach olbrzymich drzew błyszczały w odblaskach światła niezliczone krople wody. Przestrzeń wokół helikoptera tętniła znowu życiem, przetwornik Ennila rozbrzmiewał setkami głosów. Karl tym razem nie zmieniał ani na włos kursu lotu. Wypatrywali tylko bojaźliwie jaskółek, tych latających olbrzymów.

Im bardziej zbliżali się do zabudowań, które uważali za mieszkania synów niebios, tym wydawały im się one dziwniejsze. Niepostrzeżenie prędkość lotu zmalała. Karl zmniejszył obroty silnika w cichym porozumieniu z resztą załogi.

Mieli pod sobą bez wątpienia miasto. Można to było wywnioskować porównując je z rodzimymi skupiskami osiedli, chociaż to porównanie było tu zupełnie nie na miejscu.

Kiedy rozciągający się pod nimi las został już z tyłu, ustępując miejsca rozległej równinie, ujrzeni to wyraźnie: miasto składało się co najmniej z dwóch poziomów, różniących się od siebie zasadniczo. Poziom dolny, zrośnięty z ziemią, tworzyły przede wszystkim drzewa i bujna zieleń. Tylko nieliczne budynki stykały się z ziemią. Znacznie większa część unosiła się jakby nad roślinami.

Pomiędzy kompleksami budynków przechodziły jakieś rury. Nad całością, nie wyłączając nawet najwyższych budowli, wznosiły się smukłe

wieżę, które - jak raczej można się było domyślić, niż dostrzec z tej odległości

- były połączone ze sobą siecią lin.

Sporo lśniących nici wychodziło stąd na dół, do poszczególnych

*budynków. Nad całym obszarem rozpościerał się słoneczny, nie zmacony
niczym błękit nieba.*

*- Czy to wymarłe miasto? - zapytała Gela tak, jakby rozmawiała z sobą
samą.*

- A te istoty latające? - zaproponowała Carol.

- Może to automaty - odparła Gela z wahaniem.

*- Skąd przyszedł ci do głowy ten absurdalny pomysł, że miasto jest
wymarłe? - zapytał Ennil.*

- Żadnej pary, żadnego dymu ani smogu. - Gela wzruszyła ramionami.

*- Dym jest od niepamiętnych czasów pewną oznaką ludzkich domostw, o
tym wiedzieli już nasi przodkowie! - Ton głosu Geli był tylko częściowo
poważny.*

*- Tak, jeszcze przed potopem - zauważył Ennil. - Ostatecznie my
również staramy się od lat utrzymać nasze miasta w czystości!*

- Ale bez rezultatu - dodała zjadliwie Carol. Zaczęła deklamować

ironicznie: - Wymogi perspektywiczne ciągle jeszcze ustępują miejsca

powszednim potrzebom. Karl przez swoją maszynę marnuje w ciągu jednej

sekundy tyle tlenu, ile dziesięciu ludzi wdycha w ciągu kilku minut. Nie

wspomnę już nawet o tych szkodliwych gazach, które helikopter zostawia za

sobą. A ty, Charles, nawet palisz! Podczas gdy maszyna Karla jest niestety

niezbędna, ty szkodzisz sam sobie, a nawet więcej, zarażasz też swoje

*otoczenie. Może spotkamy wreszcie istoty - tu Carol w komicznym błaganiu
przewróciła oczyma i załamała ręce - które nie tylko dysponują techniką
przyjazną naturze, ale są również wolne od takich wstrętnych nałogów!*

- Wstrzymaj się - zawołał Ennil ubawiony i przerażony zarazem. -

Żałuję tego. Nie wiedziałem wcale, że jestem takim złym człowiekiem.

Obiecuję ci jednak...

- Coś zbliża się do nas - przerwał ich przekomarzania Chris. - Karl,

*opuszcz się trochę, żebyśmy mogli w razie konieczności skryć się w tamtych
krzakach.*

*Równina, która początkowo wydawała się żółtawozielonym i dosyć
monotonnym obszarem, w miarę zbliżania się do miasta przekształcała się
w pas krzaków, przechodząc stopniowo od niższych zarośli do coraz
wyższych i obejmując najwidoczniej całe osiedle. Karl skierował maszynę
ku wysokiej grupie krzewów.*

*To, co Chris zauważył, zbliżało się szybko. Prawdopodobnie był to
aparat lotniczy o olbrzymich rozmiarach. Połyskując metalicznie, nabierał
wysokości. Wyglądał teraz jak rozciągnięty trójkąt równoramienny, lecący
wierzchołkiem do przodu. Kadłub przechodzący wzdłuż całego trójkąta miał
szpary w kształcie okien.*

- Im nie chodzi o nas! - powiedział Karl.

- Przeleć nad nami, i to bardzo wysoko - dodał Ennil.

*Maszyna rosła w oczach, wreszcie wypełniła sobą całe pole widzenia i
przesłaniając niebo przemknęła nad nimi. Dopiero teraz dał się słyszeć ryk
silników, które zagłuszyły lecący na niskich obrotach helikopter.*

Maszyna dość szybko zniknęła w oddali, ale grzmot rozbrzmiewał

jeszcze przez jakiś czas w powietrzu.

- O Boże - szepnęła Carol.

- Tak - powiedział Ennil - dym i wyziewy, które zostawił za sobą, są całkiem niezłe. - I Ennil pokiwał głową, jakby z uznaniem.

- Cicho bądź! - syknęła Carol.

- No, Chris, co powiesz o naszym mieście? Gela nie mogła się powstrzymać od zadania tego pytania.

Chris uśmiechnął się.

- Nie widziałem jeszcze ani jednego mieszkańca.

Gela dała mu po koleżeńsku kuksańca pod żebra.

- Uparciuch! - powiedziała.

Karl obrał właściwy kurs. Im bardziej zbliżali się do miasta, tym więcej dostrzegali szczegółów, ale jednocześnie coraz mniej wyraźne stawały się budynki stojące z lewej i z prawej strony. Miasto rosło w oczach.

- Spróbujemy przelecieć górą - zawołał Chris. Stał z przygotowaną kamerą.

Znajdowali się już tak blisko, że najbliższy budynek wypełniał sobą całe pole widzenia, zasłaniając tło.

- Mam nadzieję, że się nam uda - zastanawiał się Karl. - Wieziemy duży ładunek paliwa.

Udało się. Kiedy z boku wyłoniła się przed nimi ogromna, porośnięta kępami roślin powierzchnia - widocznie dach budynku - Karl chciał wyrównać lot, ale Chris zawołał: - Spróbuj wznieść się jeszcze wyżej, teraz

jeszcze za mało widać.

Maszyna wzbiła się o następne tysiąc stóp, ale potem odmówiła posłuszeństwa. Silnik pracował z wysiłkiem.

- To oni! - wykrzyknął pierwszy Charles z twarzą przyklejoną do okna i zastukał w szybę.

Istotnie, nie ulegało wątpliwości, że przed nimi, w odległości mniej więcej dziesięciu tysięcy stóp, znajdowali się ludzie, tacy jak oni, wprawdzie niewyraźni jak cienie, bo zbyt odlegli, ale jednak ludzie. Siedzieli przy stole, jeden z nich tyłem do helikoptera, dwaj profilem, ostatni przodem.

- Oni jedzą - szepnęła Carol. - Tak, oni jedzą!

Rzeczywiście, sprawiali wrażenie, jakby jedli śniadanie.

Helikopter, warcząc, wisiał w powietrzu.

Ludzie olbrzymy, synowie niebios, siedzieli za sztuczną, przezroczystą przegrodą ze śliskiego materiału. Nagrzane powietrze migotało w słońcu.

Chris wziął lornetkę i spoglądał przez nią długo. - Tak, to ludzie - orzekł wreszcie, oddając lornetkę Geli.

- Muszę zejść niżej - przypomniał im Karl.

- Jeszcze trochę - upierał się Chris.

Gela przyglądała się twarzom olbrzymów. Efekt falującego, zniekształcającego ruchu powietrza powiększało drżenie jej rąk. Ale w twarzach olbrzymów poruszało się coś jeszcze; oni żyli! Usta poruszały się po to, aby coś powiedzieć lub przełknąć i wypić.

- To ludzie - powtórzyła Gela szeptem. - Ludzie olbrzymy... - Podała lornetkę Karłowi.

Carol i Charles spoglądali na zmianę przez drugą lornetkę. W kabinie zapadło całkowite milczenie.

Po chwili pomiędzy nimi a olbrzymami znalazła się grupa krzewów.

Karl utrzymywał nadal helikopter na nie zmienionym pułapie. Poprzez gałęzie widoczne były fragmenty całej scenerii.

- Możesz lądować - Chris powiedział to tonem, jakby przebywał w tej chwili myślami daleko. On również spoglądał na stół w oddali.

Silnik umilkł. Nagła cisza wzbudziła w nich niepokój.

Na lewo od krzewów, które nawet nie dawały się ogarnąć wzrokiem, można było dostrzec ludzi. Różnili się między sobą tylko kolorami, podobni do migocącego obrazu na ekranie telewizora.

Carol, która do tej pory opierała się o przednie okienko kabiny, opadła na fotel drugiego pilota. Przetarła dłońmi twarz, po czym spojrzała przed siebie w zamyśleniu.

- Co się stało, pani doktor? - zawołał Charles. - Nie cieszysz się? Mamy dużych, no, olbrzymich braci. Jedno z podań urzeczywistniło się, to wielkie wydarzenie w naszej historii! Oni tam siedzą i jedzą śniadanie!

- Oni są po prostu za ogromni, rozumiesz? Za ogromni! - Carol wykrzyknęła to tonem, który zwrócił uwagę innych. Jej głos wyrażał rozpacz albo bezsilną kapitulację przed zadaniem przewyższającym ludzkie siły.

- Co ci się stało, Carol? - zapytała Gela. - Charles ma rację. To jest chwila, jakiej nikt inny nie przeżył do tej pory, to jest... - przez chwilę szukała odpowiednich słów - to jest tak, jakby do naszych przodków zstąpił

sam Bóg albo coś w tym rodzaju.

- Przecież wiem o tym i cieszę się tak samo jak wy. Tytko... - Carol

mówiła z wahaniem - boję się, że to wszystko może skończyć się na samej radości, rozumiecie? Platoniczna radość, dla nas i dla naszych potomków. A może wiecie, w jaki sposób moglibyśmy nawiązać z nimi kontakt, porozmawiać, nauczyć się czegoś od nich? W jaki sposób? - Carol wzruszyła ramionami. - Spójrzcie tylko. Jesteśmy oddaleni od nich o wiele mil, a już wypełniają sobą całe nasze pole widzenia. Im bliżej podejdziemy, tym mniej będziemy właściwie widzieli. Wtedy nie będą to dla nas ludzie, tylko płaszczyzny o gruboziarnistej strukturze lub czarne, przesłaniające słońce plamy. Przypomnijcie sobie ich podeszwy! Możemy stać na ich dłoniach, nie wiedząc o tym. Możemy patrzeć na ich skórę, myśląc, że jest to, powiedzmy, krajobraz wulkaniczny czy też pustynia. A oni? Jeżeli nie zachowamy odpowiednich środków ostrożności, mogą wciągnąć nas do nosa przy oddychaniu i nawet przy tym nie kichnąć...

- Co ty opowiadasz! - przerwał jej Karl tonem, który zatarł wrażenie wywołane słowami Carol. Uderzył się w pierś. - Też coś! Połknąć mnie i nawet nie kichnąć!

- Wiesz - Gela podjęła ten kpiący ton - sama myśl o tym, że mogłabym znaleźć się w czyimś nosie, wcale mnie nie zachwyca! - Zaśmiała się.

- Masz rację - potwierdził Karl i pokiwał głową z pełną powagą. -

Gdyby taki człowiek akurat wtedy wycierał na przykład nos... Na samą myśl o tym przechodzi mnie dreszcz.

- Karl! - zawołała z wyrzutem Gela, śmiejąc się.

Carol również roześmiała się.

*- Naprawdę zastanawiam się, co zrobić, żeby oni nas mogli dostrzec -
powiedziała.*

- Przyjdzie pora, przyjdzie rada - mruknął Charles.

- Daj spokój z tym przysłowiami! - Carol wyglądała na rozżłoszczoną.

Widocznie drażniło ją to, że inni nie traktowali jej poważnie.

Do rozmowy wmieszał się Chris.

- Carol ma jednak rację. Nie rozwiążemy tego z dnia na dzień, jeżeli nie

pomoże nam przypadek. Ale na to liczyć nie można. Czekają nas

systematyczna praca badawcza, przy czym jesteśmy w korzystnej sytuacji:

możemy obserwować ich przynajmniej z daleka, patrzeć, jak się zachowują.

Tylko w ten sposób możemy ustalić program nawiązania z nimi kontaktu.

To oczywiście potrwa jakiś czas, ale chyba przez to nie stracisz odwagi, co?

- Odwagi nie stracę - powiedziała Carol bez większego przekonania -

ale chciałabym dożyć tej chwili, wiesz? A to wydaje mi się nieco wątpliwe.

- Obym nigdy nie zachorował, będąc pod twoją opieką - zadrwił Karl. -

Przy takim optymizmie moja choroba stałaby się nieuleczalna...

- Czekaj no, następny ząb wyrwę ci bez znieczulenia, zobaczysz! -

zagroziła Carol, budząc powszechną wesołość. W końcu i ona się roześmiała.

Przez cały ten czas nie spuszczała z oczu tamtych ludzi. Jeden z nich,

mniejszy, wstał. Wkrótce biegł za jakąś kulą czy piłką, która toczyła się w

stronę helikoptera.

Karl chwycił nerwowo za rozrusznik.

- Spokojnie - powstrzymał go Chris - nic nam nie grozi!

Biegący człowiek był jeszcze daleko, a jednak już teraz nie można go było widzieć w całości. Sterczał tak wysoko, że dach helikoptera zasłaniał widok. Za to poszczególne części jego ubrania można było dojrzeć dokładniej. Oto naszyte kieszenie, które swobodnie pomieściłyby średniej wielkości osiedle. Wyraźnie odróżniały się od siebie kolorowe pasma, biegnące poziomo i pionowo.

W pewnym momencie uchwycili wzrokiem jego twarz, parę roześmianych oczu, wpólotwarte z uciechy usta; nadal jeszcze niezbyt dokładnie, ale wyraźniej niż wtedy, kiedy patrzyli przez lornetkę. W następnej chwili człowiek podniósł piłkę, odwrócił się i pobiegł z powrotem do stołu.

- To było dziecko... - szepnęła Gela. - Dziecko z piłką.

- Potrzebne nam będzie urządzenie, przekształtnik, żeby przynajmniej trochę wyrównać różnicę w rozmiarach - rozmyślał głośno Charles.

- Karl - odezwał się Chris - nawiąż łączność z "Oceanem".

VIII

Taksówka powietrzna leciała ze średnią prędkością. Kiedy na horyzoncie pojawiło się miasto, zaczął padać deszcz.

Res Strogel leżała na fotelu. Uprzednio włączyła autopilota. Fakt, że krople deszczu rozbijające się o szyby pogorszyły widoczność, docierał do niej powoli.

Res marzyła na jawie. Szkoda, że nie było w domu Gwena, pomyślała.

Musiła przyznać w duchu, że przyjaciel Ewy zainteresował ją. Była ciekawa, co to za człowiek, który pragnie żyć u boku jej wesołej, łagodnie mówiącej, rozmownej, niezastąpionej przyjaciółki. Korciło ją również, aby porozmawiać z mężczyzną, który, jak to bywało dawniej, związał się już z trzecią towarzyszką życia. Trzeba przyznać, że to rzadki przypadek.

Uśmiechnęła się lekko. Czy i ja znajdę drugiego? Trzydzieści siedem lat to nie jest jeszcze za późno.

Nie była całkowicie pewna, czy pragnie poznać Gwena Kaspera po prostu dlatego, że jest podobno zdolny, może nawet dosyć wybitny, czy też dlatego, że chciałaby bardzo usłyszeć od niego, co sądzi o jej zaniechanym na razie zamiarze i jak ocenia ze swojego punktu widzenia jej pracę i wiążące się z nią kłopoty. Wiedziała, że opinia człowieka takiego jak on, może pobudzić jej zapał lub skłonić do rezygnacji.

Jednocześnie uświadomiła sobie, że ostatnio - a do tego przyznawała się niechętnie - zajmuje się zbyt często sprawami zawodowymi.

Najwyższy czas, pomyślała, żebym pojechała do dzieci, przy tych

urwisach zaczęły wreszcie myśleć czymś innym.

Przesunęła dłonią po czole, a potem spojrzała w bok, na swego towarzysza. On również siedział w fotelu skulony, z zamkniętymi oczami.

Res uśmiechnęła się.

I ona odczuwała zmęczenie. Nie było to jednak raptowne wyczerpanie, które ogarnia ludzi po nie przespanej nocy i pracowitym dniu, ale rodzaj zniechęcenia, z którego można sobie zdać sprawę dopiero po dłuższym czasie, bo przychodzi niepostrzeżenie, a rodzi się wtedy, kiedy konflikt pomiędzy obowiązkiem a realnymi możliwościami staje się zbyt ostry.

Przez chwilę pomyślała o Halu Reonie. I jednocześnie z tą myślą ustąpił zły nastrój i zmęczenie. Ten Hal i Gwen, przyjaciel Ewy i sama Ewa i ty, Mar - ku Carpa, chociaż teraz śpisz, i twoi chłopcy, tak, ja, ja również, jesteśmy na właściwej drodze. Uśmiechnęła się i przeciągnęła. Jaka szkoda, że nie zastała tego Gwena. Jego zdanie, jako kogoś z zewnątrz, miałoby duże znaczenie.

Spojrzała w dół. Miasto przysunęło się bliżej. W dole, nieco z tyłu, pomiędzy koronami drzew widniały małe domki. Krople deszczu osiadały leniwie na linach, nad którymi taksówka przelatywała niemal tuż, tuż.

Rozbijający się o szyby deszcz zatarał kontury domów. Wszystko lśniło od wilgoci, sprawiając nieprzyjemne wrażenie, mimo jasnych kolorów i zieleni. Trudno w takich warunkach starać się o lepszy nastrój, pomyślała

Res.

Ale co to jest? Res wstała wreszcie. Dlaczego właściwie pada? Co za cholerne niedbalstwo!

Odwróciła się i spojrzała za siebie. Byli już przecież od dłuższego czasu w granicach miasta! Przed taksówką rozpościerało się szare, zamglone niebo.

- Mark! - zawołała Res przytłumionym głosem.

Siedzący obok niej mężczyzna otworzył oczy, rozejrzał się, przez chwilę całkowicie oszołomiony, potem przesunął palcami po krótko ostrzyżonych, kędzierzawych włosach, usiłując doprowadzić je do porządku, i zapytał:

- A co to znowu za historia? - Zatoczył ręką łuk, wskazując na zewnątrz. - Dlaczego dopuścili do tego, żeby deszcz padał w jasny dzień? -

Podniósł się. - Chyba mają tu lokalną stację regulacyjną?

- Poczekaj - powiedziała Res. Nacisnęła przycisk miejscowego CENTIN-u.

W kontrolce zamigotało kilkakrotnie światelko.

- Zajęte, widocznie i inni chcą się czegoś dowiedzieć - powiedziała ironicznie Res.

- Słucham - odezwał się po chwili komputer.

- Dlaczego w ciągu dnia pada u was deszcz? - zapytała ostro Res.

- Awaria nadajnika impulsu - odparł lakonicznie centralny informator.

- No to co? Nie mogliście choć raz zrezygnować w ogóle z deszczu?

- Póle kondensacyjne zaczęło już działać - wyjaśnił spokojnie CENTIN.

- I dlatego mamy teraz zmarnować pod dachem cały nasz wolny dzień?

- Tego nie wiem - odparł komputer.

- Oczywiście - fuknęła Res.

Mark Carpa roześmiał się. Spór Res z elektroniką bawił go. Zęby

Marka odbijały się od jego ciemnej twarzy, połyskując w mroku kabiny.

- Ale może wiesz, jak długo potrwa jeszcze to paskudztwo? - zapytała

uszczypliwie Res.

- Czy mogę uznać wyraz "paskudztwo" za synonim "deszczu"? -

zapytał CENTIN.

Tym razem roześmiała się również Res.

- Oczywiście, przyjacielu - zgodziła się łaskawie.

- Deszcz do godziny ósmej trzydzieści pięć.

- A może będziesz tak uprzejmy i podasz mi prognozę pogody?

- Będę! - CENTIN uczynił wyraźną przerwę. Po chwili zawarczał: -

Dziewiąta godzina zakończenie działania pola kondensacyjnego. Słonecznie.

Dwadzieścia cztery stopnie, wiatry południowe jeden, wilgotność powietrza

pięćdziesiąt procent, zachód słońca dziewiętnasta dwadzieścia, nocą spadek

temperatury do osiemnastu stopni. Od pierwszej ponowne ożywienie pola

kondensacyjnego. Od trzeciej do czwartej trzy litry opadów w formie

deszczu na każdy metr kwadratowy, koniec!

- Jeżeli nie zawiedzie znowu nadajnik impulsu - odparła złośliwie Res,

po czym wyłączyła przycisk. - Jak to dobrze, że chociaż słońce wschodzi

wtedy, kiedy chce tego mechanika niebios, a nie jakiś nadajnik impulsu.

- A więc jeszcze pół godziny - stwierdził Mark.

- W takim razie polecę od razu do dzieci - zdecydowała Res. - A ty

przyjedź tam w południe, powiedzmy, około wpół do jedenastej. Do tego czasu uporasz się chyba ze swoimi sprawami? Będziemy na ciebie czekać. -

Przez ułamek sekundy pomyślała, że jeżeli Mark nie przyjedzie z jakiegoś powodu, popsuje jej tym humor.

Następnie wyłączyła autopilota i zaczęła obniżać fet

Siedzieli na stoku łąki, patrząc na rozłożone w dole miasto. Słońce wypilo właśnie z traw ostatnie krople deszczu, lekki wiatr orzeźwiał.

Dzieci Res, Tom i Anna, szalały, próbując chwycić motyle.

Zbocze, otoczone z lewej i z prawej strony soczystymi lasami, upstrzone kwieciami, przechodziło stopniowo ku dołowi w park i w miasto.

Nikt nie zdawał sobie sprawy, że ta harmonia była możliwa dzięki przezornym dłoniom zdolnych architektów krajobrazu.

Res zastanowiła się, co może nastąpić, co się stanie, kiedy dojdzie tu ów żarłoczny potok! Wzdrygała się na samą myśl o tym. Wszystko zamieni się w pas pustynny! Mimo wszelkich wysiłków będzie musiał upłynąć rok, zanim rana się zagoi. Tak jak po operacji kosmetycznej, pocieszała się, po operacji, która upiększa.

Przez chwilę w jej świadomości odżyły sceny paniki. Uśmiechnęła się.

Ostatecznie nauczyliśmy się już czegoś nowego.

Z lubością wystawiła twarz na słońce, nie otwierając oczu.

Przypomniała sobie miasto na północy, Mexera, kopułę, która chroniła zieleń parku przed mrozem, i - ku własnemu zdziwieniu - wróbla, który tak zawzięcie walczył o piórko.

- Mark - zapytała nieoczekiwanie - czy człowiek jest odpowiedzialny

przed społecznością, jeżeli zaprzepaści coś, co już rozpoczął i w co włożył sporo wysiłku? Powiedzmy, że w przypadku, kiedy nie wiążą się z tym żadne nakłady społeczne. I wtedy, kiedy robi to po prostu dlatego, że ma dość tych kłód, które inni rzucają mu pod nogi!

Przez chwilę Mark sprawiał wrażenie zaskoczonego. Leżał wyciągnięty na trawie, podkurczywszy jedną nogę, i obgryzał źdźbło.

- Wydaje mi się - powiedział wreszcie - że nikt nie ma prawa hamować rozwoju wiedzy. Każdy z nas powinien wzbogacać naukę o nowe odkrycia...

Ale dlaczego pytasz?

- Tak mi tylko coś chodziło po głowie...

- Jeżeli masz na myśli swoją pracę, to jesteś w błędzie. Wybacz, ale to by świadczyło o twoim egoizmie i zarozumialstwie, gdybyś dała za wygraną. Wiesz, że jesteśmy po twojej stronie. Poza tym... na razie respektujemy twoje życzenie i nie wtrącamy się w te rozgrywki, ale tylko dlatego, że miałaś wypróbować inne możliwości. Ale skoro tak!

- Nie, nie - zapewniła go żywo Res. Nagle odzyskała dobry humor.

Chwyciła Marka za rękę i uścisnęła ją przelotnie.

- Mamo, mamó, złapaliśmy pawika! - Anna, córka Res, przyleciała zadyszana, za nią chłopiec. Trzymała motyla na dłoni palcami za skrzydła.

Z dumą podsunęła go dorosłemu pod same oczy.

Mark podniósł się.

- Zuch, zuch - pochwalił dziewczynkę. - Ale czy nie myślisz, że byłby

>on jeszcze ładniejszy, gdyby mógł latać w powietrzu i siadać na kwiatach?

Spójrz tylko, on traci swój piękny kolor. Może byś go puściła? Szkoda go,

przecież został stworzony w tak cudowny sposób. - To powiedziawszy Mark

spojrzał z uśmiechem na Res. - To nie było naukowe, prawda?

Res odwzajemniła uśmiech.

- Co to znaczy "cudowny"? - zapytała szybko Anna. Jeszcze raz, ale tym razem dokładniej i jakby z żalem, przyjrzała się temu czemuś, co trzepotało się w jej dłoni, a następnie rozchyliła palce. Motyl nie ruszał się jeszcze przez chwilę, potem wzbił się ciężko w powietrze. Anna patrzyła za nim przez dłuższy czas.

- No więc, co w tym jest tak cudownego? - zapytał Tom, patrząc wyzywająco na Marka. - Jajo, gąsienica, poczwarka, motyl i znowu jajo. No i co?

- Mark chciał przez to powiedzieć - łagodziała Res - że to jest jednak godne uwagi, bo chodzi jednocześnie o dwie różne istoty...

- Niech Mark mówi sam - nadąsała się Anna.

- A więc - zaczął wyjaśniać Mark - Tom ma oczywiście rację. Ja jednak obstaję przy swoim. Bo to jest jak cud: oto gąsienica, stworzenie włochate i żarłoczne, mające sześć krótkich nóg tułowiowych i tyle samo odnóży dodatkowych, nagle się przepoczwarzą. Czy widzieliście kiedyś, jak szybko to się odbywa?

- Ja widziałam! - zawołała Anna.

- Ja też - chwalił się Tom.

- A więc - zaczął ponownie Mark - powstaje coś zupełnie nowego, co nie przypomina ani gąsienicy, ani motyla. Ale teraz wyobraźcie sobie taką poczwarkę. U pawików wylot następuje już po około dziesięciu dniach. Z

poczwarki wychodzi zupełnie nowa istota, która w ogóle nie jest podobna do gąsienicy. Tamta ma aparat gębowy gryzący, pełza po roślinach, a motyl ma aparat gębowy ssący, jest kapryśnym akrobatą powietrznym...

Tom spojrział na niego lekceważąco, przerywając mu:

- To dla mnie nic nowego! Sam już hodowałem motyle!

- Rusalki i pawiki, prawda mamo? - zawołała Anna.

- Owszem, to prawda - zgodził się Mark. - Ale zastanówcie się, co jest przyczyną tej zdumiewającej, cudownej i szybkiej przemiany. To drobne elementy

budowlane,

komórki,

które

są

jednocześnie

zegarem,

budowniczym, malarzem i silnikiem. Geny, rozumiecie? I właśnie ten

mechanizm funkcjonujący już od milionów lat zadziwia mnie zawsze i

zmusza do szacunku. Ja w każdym razie podziwiam wszystko, co żyje,

nawet jeżeli nie wydaje się to nam akurat pożyteczne. Trzeba to chronić, a

nie niszczyć, kochany Tomku. - Tu Mark objął ramionami dzieci, które

przysłuchując się jego słowom, przysiadły obok. - Ludzie poznali już wiele

rzeczy, potrafią dużo, ale jednak nie wszystko i na razie możemy dokonywać

niewielu zmian świadomych.

- Te drobne komórki sprawiają, że z gąsienicy powstaje motyl i staje

się tym, czym jest, dokładnie w odpowiednim czasie? Czy to, że powstaje człowiek, jest również zasługą tych komórek? - zapytał Tom.

- Tak - potwierdził Mark. - To też.

- Ho! ho! - zawołała Res z udanym przerażeniem. - Teraz nawarzyłeś sobie piwa, Marku!

Anna przysłuchiwała się dyskusji w milczeniu, natomiast Tom najwidoczniej zapalił się do tego tematu.

- Powiedziałeś przedtem, że można coś zmieniać świadomie. Czy w takim razie można by, na przykład, stworzyć gąsienicę ze skrzydłami albo rybę z nogami?

- Ryba z nogami! - Anna chichotała z uciechy.

- Właściwie można by to zrobić - potwierdził Mark, zachowując powagę. - Ale po co? Zmiany muszą mieć sens i przynosić wszystkim korzyści. Dawniej, wiesz przecież o tym, zwierzęta, które służą ludziom za pokarm, były o wiele mniejsze i rosły wolniej. Zmieniliśmy to. Ziarna zbóż są dziś trzykrotnie większe. Trzeba tylko uważać, żeby nie spowodować dysproporcji, żeby po zmianach wszystko pasowało do siebie jak dawniej.

- A w ludziach, co w nich można zmienić? - zapytał szybko Tom.

- Hm... a może opowie ci to mama? Ona to studiowała! - Mark usiłował wydostać się z matni.

- Nie, nie, opowiadaj - zachęcała go Res. - Sama chętnie posłucham.

- No tak - mruknął Mark. - A więc w ludziach. Posłuchajcie. Dawniej istniała cała masa chorób nieuleczalnych, które, a przynajmniej część z nich, dziedziczyły dzieci. To już minęło. Choroby te wytepiono, będące ich

przyczyną uszkodzone "cegiełki" mogliśmy zastąpić nowymi, normalnymi.

Jedna z takich chorób nazywała się rak. Zginęły przez nią setki tysięcy ludzi. Teraz już jej nie ma. A nawet, jeżeli pojawi się na nowo, nikt przez to nie umrze. Mózg człowieka, a przede wszystkim pamięć, stał się bardziej sprawny...

- A czy można zrobić coś, żeby człowiek... zapomniał o czymś? - zapytał

Tom. Widać było, że chłopiec nie zadał tego pytania przez zwykłą ciekawość.

- Owszem, ale i to nie byłoby rozsądne. Każde przeżycie czyni człowieka bardziej doświadczonym.

- Ale gdyby w ten sposób oszczędziło się komuś kłopotów, to wtedy byłby w tym sens! - upierał się Tom.

- A o czym ten ktoś miałby zapomnieć? - Ton głosu Res był ironiczny, a zarazem ostry i czujny.

- No, wiesz - Tom ociągał się wyraźnie. Potem się przełamał. - No, wiesz - powtórzył - skoro już zacząłem. A więc niedawno nadaliśmy do automatów szkoleniowych impulsy zakłócające, takie... - i tu Tom zaszlochał rozpaczliwie.

- Już dobrze, Tom, już dobrze - zawołała Res.

- Przez cały dzień szukano nadajnika. Oczywiście zajęcia się nie odbyły...

- Ach, Tom! - Mark z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Pani Fahr potem płakała. - Tom sposepniał znowu, jakby na samo wspomnienie tej sceny. wiedziała, że się bardzo rozczarowała. Zresztą my też zrozumieliśmy, że to było głupie. Chciałbym, żeby ona o tym

zapomniała...

- Jeżeli sami zrozumieliście, że to było głupie, to wszystko jest już zapomniane! - powiedziała Res. - Wiesz, mutację genów przeprowadza się tylko wtedy, kiedy człowiekowi grozi prawdziwe niebezpieczeństwo, ale i w takim przypadku nie podejmuje się decyzji samemu. Zresztą nie wszystko można przeprowadzić, przynajmniej na razie, a efekt nie jest pewny. Pomyśl tylko, jak drobne są owe geny, na których dokonuje się mutacji, nazwijmy to po imieniu: operacji... Zresztą usłyszysz jeszcze o tym później, na zajęciach...

- Dawniej - dodał Mark - kiedy te prace badawcze dopiero się zaczynały, byli ludzie, którzy też uważali się za naukowców. Oni to właśnie chcieli uczynić z ludzi istoty przeznaczone do pracy i do walki, ludzi o nieludzkich właściwościach...

- Wydaje mi się, że to wystarczy, Mark - przerwała mu Res. - Będzie się o tym uczył, kiedy do tego dojrzeje i będzie chciał wiedzieć. Nieraz jest lepiej, jeżeli o czymś się nie wie. Takie wiadomości przydają się tylko...

- Dalej, opowiadaj dalej - nalegał Tom.

- Koniec! - zawołał Mark. - Mama ma rację! Wiecie co, nazbierajcie teraz dużych łodyg, każde z was po sześć, a ja wam pokażę, jak się z tego robi trzepaczkę. Ruszcie się! - I wymierzył każdemu z nich lekkiego klapsa.

- Tak, tak! - zawołały dzieci, puszczając się pędem przed siebie.

- Ja chcę dwa! - zawołała jeszcze Anna.

- Po prostu brak mi wprawy w podejściu do dzieci - powiedział z żalem Mark.

- Bardzo ładnie mówiliś im o motylach, to podzielała na Annę, nie bój się. A ja... czuję to samo co ty. Właśnie młodzi ludzie niekiedy niszczą jakieś życie bez najmniejszego zastanowienia. A przecież jest ono naprawdę cudowne!

- Nawet ten twój potok drobnoustrojów?

- Oczywiście, zwłaszcza on. Nieraz wydaje mi się, że te drobnoustroje stworzą nową epokę. Taką bez hałasu, śmieci, odpadków. Pomyśl tylko, ile rezerw, które są teraz zaangażowane przy ochronie środowiska naturalnego, można by zwolnić dzięki tym mikrokom.

- Ach, Res, mam wrażenie, że śniesz! - Mark pogładził ją łagodnie po ramieniu.

- Dlaczego właściwie nie masz dzieci? - zapytała nieoczekiwanie Res.

Pytanie jakby go zaskoczyło. Potem odparł z wahaniem:

- Mogę to zaraz wyjaśnić. Chciałem najpierw przeżyć dużo, a o przeżycia na tej planecie lub w jej otoczeniu nie jest tak trudno, prawda?

Dlatego też jestem w twoim zespole. Lubię dzieci, tylko... zawsze czułem się za mało dojrzały do związku, rozumiesz? Zawsze mówiłem sobie: Jeżeli już, to tak naprawdę... Ale kiedy obserwuję twoje szkraby... Rodziłaś obydwójce?

- Tylko Tomka. Anna przyszła na świat metodą nowoczesną. - Res roześmiała się. - Ale są z jednego ojca, to zresztą widać.

- Proszę. Wystarczy tyle? - zawołała Anna jeszcze w biegu. Podsunęła Markowi pod nos całe naręczne lodyg.

- Tak. Chodź tu, usiądź i złóż ręce, ale rozsuń palce.

Anna uczyniła wszystko zgodnie z poleceniem.

*Wtedy Mark, pilnie obserwowany przez Toma, zaczął przeplatać
pomiędzy jej palcami łodygi, formując trzepaczkę.*

*Res w zamyśleniu przyglądała się tej scenie, a na jej twarzy pojawił
się uśmiech.*

IX

Zapowiadała się wczesna zima. Nikt z nich nie znał jeszcze tej pory roku. Mogli jedynie wyliczyć ją teoretycznie i nie dać się jej zaskoczyć.

Wiedzieli, że woda, a nawet deszcz zmieniają swój stan skupienia, zamarzają na twardą masę; udowodniły to eksperymenty laboratoryjne, z którymi zapoznano wszystkich członków ekspedycji.

Co najmniej na okres trzech miesięcy temperatura spadała poniżej punktu zamarzania. Na zebraniu całej ekspedycji "Oceanu II" rozważano projekt, aby, opuścić te okolice i przenieść wszystkie operacje na południe, a więc tam, gdzie nie trzeba było liczyć się z tak niską temperaturą. Osiedla ludzi makro z pewnością znajdowały się i w tamtych stronach.

W końcu uznano, że zima nie jest taka straszna, tym bardziej iż można się było do niej przygotować.

Tymczasowe miejsce na bazę, odkryte i zorganizowane przez grupę Chrisa Noloca, miało tak korzystne położenie, że zdecydowano się tu przezimować. Decyzję przypieczętował fakt niedużej, bo liczącej zaledwie pół dnia lotu helikopterem odległości do statku "Ocean II". Poza tym z miejsca postoju "Oceanu II" łączność z ojczyzną była zadowalająca, a to mogło mieć istotne znaczenie dla powodzenia misji.

Po podjęciu tej decyzji zaczęto w szybkim tempie urządzać bazę.

Przewieziono też do niej połowę załogi "Oceanu II". Na statku, po opróżnieniu go z niezbędnych do budowy bazy materiałów, miał być przeprowadzony przegląd techniczny, aby statek w każdej chwili był

gotowy do ruszenia. Poza tym miał być dla ich ojczyzny stacją nadawczo-odbiorczą, a dla bazy nadajnikiem dalekiego zasięgu i stacją przekaźnikową.

Trudno było znaleźć lepsze miejsce na bazę niż to, które odkryła grupa ekspedycyjna Chrisa.

Oblecieli już miasto makrosów. Na południu pasmo lasu z olbrzymimi drzewami rozciągało się prawie do samego osiedla. A na jednym z drzew, na skraju niedużej polany, odkryli platformę, podobną do płaskowyżu na pniaku, ale nie tak dużą. Teren był niemal idealnie poziomy i równy. Za to strefy obrzeża obfitowały w jaskinie, w których można było składować materiały.

Ennil wysunął teorię, że w przeszłości część tego ogromnego drzewa z niewiadomych powodów ucięto i w ten sposób powstała platforma. Miał on jednak

zastrzeżenia

co

do

wyboru

miejsca

na

bazę:

istniało

niebezpieczeństwo, że synowie niebios zetną również i to drzewo.

Nie ulegało wątpliwości, że taki czyn pociągnąłby za sobą

nieobliczalne skutki. Ponieważ jednak zarówno Tocs, jak i członkowie kolektywu kierowniczego byli zdania, że do momentu nawiązania kontaktu z makrosami nie upłynie już dużo czasu, przystali na to ryzyko. Podjęto jednak środek zapobiegawczy: po urządzeniu bazy właściwej miała zostać założona w pobliżu druga, rezerwowa.

Przede wszystkim wybudowano lotnisko, następnie pomieszczenia, warsztaty i hale magazynowe. Do budowy stosowano głównie elementy prefabrykowane, przewiezione z "Oceanu" helikopterem ciężarowym. Sześć z siedmiu znajdujących się na "Oceanie" helikopterów miało stacjonować w bazie, jeden pozostał na statku. Zmontowano również duży samolot dalekiego zasięgu, mogący pomieścić całą załogę bazy. Samolot miał stać zawsze w pogotowiu. i Już pierwsze mroźne noce pokazały, że zimą nie będzie żartów.

Chris jako kierownik "Highlife", jak żartobliwie nazwano bazę, udawał się codziennie z samego rana, jeszcze przed rozpoczęciem pracy, na obchód infekcyjny.

Pewnego ranka opuścił swoją sypialnię, przeszedł po cichu przez długi korytarz i zatrzymał się zaskoczony przed drzwiami wyjściowymi. Nie można ich było otworzyć! Jednocześnie zauważył, że światło z zewnątrz, wpadające przez okienko nad drzwiami, jest inne niż zwykle, jakby przytłumione. Chris wyłączył na chwilę skąpe oświetlenie korytarza i teraz widział wyraźnie, że światło z zewnątrz dziwnie się mieni, przypominając podświetlony kryształ. Jeszcze raz spróbował otworzyć drzwi, opierając prawą nogą o framugę i ciągnąc z całych sił za klamkę. Daremnie! Wrócił do

sypialni, gdzie również znajdowało się okno, ale i tam nie mógł go otworzyć, a widoczność była równa zeru.

Chris zrozumiał, że przed ich mieszkaniem coś leży, jakaś matowa powłoka, tak wytrzymała, że mogła skutecznie opierać się sile człowieka.

Kiedy fakt ten dotarł do jego świadomości, zrobiło mu się gorąco. Znowu wybiegł z sypialni. A w narzędziowni czekała kolejna niespodzianka:

zawartość tlenu w powietrzu wynosiła zaledwie dziewiętnaście procent.

Błyskawicznie wyłączył ogrzewanie gazowe. Potem pobiegł z powrotem do sypialni i zbudził telefonicznie dyspozytora. Oprócz niego nikt jeszcze nie zauważył chyba tej osobliwej i niebezpiecznej powłoki.

Chris rozumował w następujący sposób: im dłużej załoga będzie spać, tym mniej zużyje tlenu. Nie groziło im więc jeszcze bezpośrednio niebezpieczeństwo.

Ale wszyscy znajdowali się w jednym domu i to - i jak się teraz okazało - nie było rozsądne.

Wkrótce zjawił się dyspozytor, niosąc wąż gumowy i rurę.

- To chyba lód - powiedział. - Trzeba go będzie rozmrozić.

Ostrożnie podeszli do drzwi wyjściowych. Dyspozytor podłączył wąż do pobliskiego zaworu, a z przodu wetknął do niego rurę i zapalił ulatniający się gaz. Wylot rury zajął się równomiernym, kopącym płomieniem. W ten sposób rozpoczęło się systematyczne ogrzewanie metalowych drzwi. W miejscu, gdzie trafiał płomień, pojawiała się brzydka czarna plama, pachniało też spalenizną.

Wkrótce odnieśli pierwszy sukces. Drzwi ustąpiły pod silnym

naporem, przejście było jednak nadal zablokowane. Dyspozytor ogrzewał topniejący lód bez zbytniego pośpiechu. Krople wody, czarne, okopcone, toczyły się pod ich nogi. Minęło sporo czasu, zanim załoga wydostała się na zewnątrz.

Cały "Highlife" pokryty był równomierną warstwą lodu. Pojazdy samochodowe i samoloty tworzyły ponure, szkliste pagórki; teraz nie było co marzyć tym, aby wprowadzić je do jakiegokolwiek akcji. Również dostęp do magazynów i warsztatów trzeba było sobie utorować. Wyprawa została sparaliżowana uwięziona.

Ludzie krzżeli się, nie ukrywając zatroskania.

Dopiero koło południa lodowa obręcz zelżała. Na powierzchni ukazały się kałuże. Sytuacja poprawiła się jeszcze bardziej, kiedy słońce podniosło się wyżej. Lód zamienił się w wodę, która spływała gdzieś albo wsiąkała w liczne szpary i pory podłoża.

Przedsięwzięto środki zaradcze. Przede wszystkim zainstalowano podgrzewane rury, które miały zabezpieczać dopływ powietrza do pomieszczeń, poza tym zbudowano hale dla samolotów i samochodów.

Potrzebne do tego części sprowadzono z "Oceanu".

Już wkrótce okazało się, że praca na zewnątrz przy temperaturze poniżej punktu zamarzania może nawet zagrażać życiu. Jeden z techników znalazł się pewnej nocy wśród kryształów lodu, nieustępliwych i wysokich na kilka stóp. Kryształy wokół niego rosły nadal, odcinając dopływ powietrza. Pomoc nadeszła w ostatniej chwili.

Warstwa lodu tworzyła się tak gwałtownie, że Chris, w trosce o

swoich współtowarzyszy, wydał ścisły zakaz prowadzenia jakichkolwiek prac na zewnątrz już przy temperaturze zerowej.

Zanim zdołano ustalić, w jakim stopniu występujące tu bakterie mają działanie higroskopijne i ocieplające, co mogłoby zostać wykorzystane w ich bazie, wydarzyło się coś, co uniemożliwiło dalsze prace na zewnątrz. Wokół "Highlife'u" utworzyła się gęsta, biała warstwa z bezładnie porzrzucanych olbrzymich kryształów lodu.

Ennil określił tę warstwę jako atmosferyczny śnieg, w odróżnieniu od śniegu wytwarzanego sztucznie w laboratoriach.

Jak wykazała sonda akustyczna, warstwa śniegu wynosiła tu dziewięćset stóp.

Chociaż poruszanie się po oblodzonej powierzchni drewna między kryształami lodu wydawało się możliwe, to takie przedsięwzięcie kryło w sobie cały szereg niebezpieczeństw: kryształy mogły runąć w dół, a olbrzymie bryły lodu odłamywały się, wypełniając sobą jaskinie.

W ciągu dnia z góry ściekała woda, która zamarzała nocą, tworząc coraz to grubszą warstwę lodu. Innym niebezpieczeństwem była groźba zablądzenia. Wszelkie dźwięki były silnie tłumione, jaskinie tworzyły osobliwy labirynt. Z tego powodu ludzie regularnie wyrąbывali w lodzie sztolnie, które łączyły najważniejsze obiekty. Poprowadzono nawet szyb pionowy, nie zdołano jednak wyjść nim na zewnątrz: nastąpiły widocznie nowe opady śniegu. Rurę trzeba było przedłużyć o siedemdziesiąt stóp.

Jednak już na drugi dzień po przebiciu powłoki lodowej szyb wystawał ponad nią na wysokość trzydziestu stóp, tak bardzo zmniejszyła się w ciągu

dnia warstwa śniegu.

Chris odwiedził Gelę w jej izbie i poprosił ją, aby poszła z nim na pierwszą obserwację terenu ze śnieżnej włóczni, jak nazwał szyb. Gela zgodziła się chętnie. Każda odmiana w monotonnym rozkładzie dnia sprawiała przyjemność, chociaż roboty nie brakowało: sporządzono mapę topograficzną, wykorzystywano fotogrametryczne zdjęcia ludzi makro w celu uzyskania danych o ich rzeczywistych wymiarach, porównywano i katalogowano informacje o roślinach i zwierzętach, wykonywano też nowe zdjęcia.

Święta Bożego Narodzenia wniosły nieco urozmaicenia. Wprawdzie później Chris żałował, że nie zadbał o jeszcze lepszą atmosferę, ale w duchu przyznał, że i on znalazł się pod wpływem nastroju, jaki udzielił się wszystkim. Załodze potrzebne były optymizm i wiara w przyszłość mimo czyhających na nią stale niebezpieczeństw, mimo niepewności, z jaką wiązało się każde nowe przedsięwzięcie, i wreszcie mimo pozornie wrogo nastawionego wobec ludzi środowiska. Cel ich był bowiem szlachetny: nawiązać kontakt z innymi istotami rozumnymi, nawet jeżeli nie będzie to łatwe.

W śnieżnym pancerzu, pod warstwą dziwacznych kryształów, w blasku zmajstrowanej przez Karla imitacji choinki, nawiedzały ich myśli o domu i najbliższych. Przede wszystkim jednak o tych, którzy zginęli podczas podobnych wypraw. To właśnie martwiło Chrisa. Chodziło mu też o Gelę. Gela nie była w stanie ukryć, o czym myśli tego wieczoru. Jedyne Karl dbał, żeby uroczystość zakończyła się w radosnym nastroju. Poparty przez

Ennila, ogłosił, że ogromne, zielone dziwadło, które w kasynie powiesił u sufitu, to jemiola. Uparł się też, aby odświeżyć dawny angielski zwyczaj całowania się pod jemiolą. Był przekonany, że większość ich przodków pochodziła ze Starej Anglii, owego mitycznego kraju. Spojrzał na obecnych, jakby oczekiwał potwierdzenia swojej tezy, ale była ona w równej mierze śmiała, co nieprawdopodobna, gdyż właśnie pochodzenie ludzi można było zaliczyć do tego typu zagadek, które graniczyły już z legendą. Większość przyjęła jednak jego propozycję całowania chętnie, gdyż oznaczała ona prawdziwe urozmaicenie, a poza tym prawie wszyscy byli jeszcze młodzi. Codzienną monotonię przerywała łączność z "Oceanem II", dokąd przekazywali najrozmaitsze odkrycia i wyniki badań albo po prostu komunikaty o stanie bazy. Inna łączność ze światem nie istniała, nawet z najbliższą okolicą. Część zespołu pracowała z zapalem nad nadajnikiem. Była to z pewnością najbardziej istotna czynność. Toteż ci, którzy przy tym byli zajęci, już od kilku dni mieli niezmiernie ważne miny. Widocznie znajdowali się na właściwej drodze, aby zrozumieć programy radiowe makrosów.

Na zewnątrz panowała oślepiająca jasność.

- Jak tu pięknie, Haroldzie - rozmarzyła się Gela.

Rzeczywiście było ładnie. Wszędzie olśniewająca biel. Ale tylko w pobliżu szybu zdołali zidentyfikować ową białą masę: tworzyły ją niezliczone setki dużych, migotliwych kryształów o wspaniałej grze barw. Kryształy były porozrzucane w nieładzie, przekrój każdego z nich wynosił około dwudziestu stóp.

Pomiędzy nimi wisały olbrzymie igły z lodu. Co jakiś czas odrywały się od nich odłamki i wirując w powietrzu spadały na śnieżną powłokę. Żaden z nich się nie roztrzaskał, wzmacniały jedynie warstwę otaczającą "Highlife".

Nieopatrzne odezwanie się Geli dotknęło Chrisa. Poczul zimno, ale nie była to wina chłodnego powietrza. Powiedziała "Haroldzie", żyjącemu nadała imię zmarłego.

Nie - może o nim zapomnieć, pomyślał Chris, czując ogarniający go smutek. Święta Bożego Narodzenia! To nie ma sensu. Ona nie przezwycięży się chyba nigdy!

Z wahaniem sięgnął po jej dłoń. Chciał powiedzieć, jak bardzo ją kocha. Spojrzał na nią. Patrzyła gdzieś przed siebie, a jej twarz wyrażała przepelniające ją szczęście. Nawet nie zauważyła swego przejęzyczenia.

- Tak, Gela, to jest piękne - powiedział wreszcie. Po krótkiej chwili dodał gorzko, myśląc przy tym o Haroldzie: - Ale wyobraź sobie, że bylibyśmy gdzieś tam! - Nieokreślonym gestem wskazał na migoczącą w oddali biel. - To by oznaczało koniec.

- Piękność i niebezpieczeństwo są prawie nierozzerwalne! - Gela przysunęła się do niego. Objął ją ramieniem. - Zimo mi - powiedziała.

Wokół szybu spadły nagle liczne kryształy, łomocąc o dach. Jeden z nich, groźny w swych wymiarach, wspaniale połyskując, zaczepił o kant dachu chwiał się.

Mimo woli Gela przytuliła się do Chrisa, ale już po chwili odsunęła się nieco zakłopotana.

Chris usiłował rzucić kryształ nogą, ale osiągnął tylko to, że kryształ zakotłosał się jeszcze gwałtowniej.

Gela przyłączyła się ochoczo do zabawy, twarz jej nabrała rumieńców.

Nagle kryształ oderwał się ze śpiewnym dźwiękiem i runął w przepaść, odprowadzany ich wzrokiem.

Chris spojrział na Gelę. W jej oczach tańczyły wesole, figlarne ogniki.

Kiedy wyprostowała się, Chris przyciągnął ją do siebie i pocałował. Oddała pocałunek.

Potem milczeli przez chwilę i wtedy właśnie Chris zadał pytanie, którego natychmiast pożałował:

- Kogo teraz pocałowałaś, Gela? - Pragnął, żeby zdziwiła się i powiedziała: - Jak to kogo? Ciebie, Chris!

Ale Gela milczała. Spoglądała w dal, potem odwróciła się do niego, wspięła się na palce, pocałowała go szybko, ujęła za rękę i pociągnęła do klatki szybowej. Idąc już, powiedziała:

- Czy to nie wszystko jedno?

Było to coś więcej, niż tylko odpowiedź na niemądre pytanie. Było to coś, co bolało

Następne dni przyniosły dwa wydarzenia. Nadajnik na "Oceanie II" został włączony w system radiokomunikacji makrosów w paśmie fal ultrakrótkich, umożliwiając prowadzenie nasłuchu bezpośredniego.

Programy te "Ocean" transmitował również do bazy dwa razy dziennie w godzinnych odcinkach. Były to audycje słowno-muzyczne. Większość radiostacji nadawała w jakimś nie znanym, twardym języku. Niezmiernie

rzadko natomiast, i to z zakłóceniami, odbierali stację, której język wprowadzie rozumieli, ale sens wielu słów pozostawał dla nich zagadką. Nasłuch tej stacji prowadzony był na "Oceanie" bez przerwy, odbiór jednak był zły i pozbawiony ciągłości, ale właśnie ten program oznaczał dla załogi dwie godziny przerwy w pracy. Niemal wszyscy zbierali się codziennie w kasynie, aby wysłuchać strzępów audycji, nadawanych dla nich z "Oceanu". Często programy te stawały się podstawą żywych dyskusji, po których rodziły się najrozmaitsze przypuszczenia, co też to lub owo mogło znaczyć. Najbardziej jednak dręczyło ich pytanie, dlaczego część makrosów mówi po angielsku, a przynajmniej językiem zbliżonym do angielskiego? Dlaczego w ogóle ludzie ci mówią różnymi językami? Czy różnorodność języków świadczy o różnorodnym, a może nawet przeciwnym rozwoju makrosów? O sporach? Ale we wszystkich dyskusjach przeważał język angielski. Przypadek? Wykluczone.

Na jednym z takich zebrań Ennil wystąpił ze śmiałą, ale wyjaśniającą wiele wątpliwości hipotezą, według której prorok Nhak z owianych tajemnicą czasów prehistorycznych wiedział o istnieniu makrosów i przejął ich język. Pozostawało już tylko wyjaśnić, skąd pochodzą makrosi. Ennil snuł dalej swoje rozważania. Według niego nie można było wykluczyć, że makrosi pochodzą z odległych zakątków wszechświata, że po prostu odkryli i zasiedlili planetę, która wydała im się nie zamieszкана, w każdym razie jeżeli chodzi o istoty rozumne. Ennil liczył się nawet z tym, że w przyszłości, kiedy nawiążą stałe kontakty z makrosami, może zaistnieć problem, a nawet spór, kto ma prawo do tej planety.

Wielu członków ekspedycji, zwłaszcza młodszych, podchwyciło z zapalem pomysł, że makrosi są przybyszami z kosmosu. Zapowiadało się więc na to, że spotkanie przybierze charakter rozmowy, a nie dyskusji. Ale i tak tezie Ennila nie można było na razie przeciwstawić żadnej innej.

Zagadką pozostała różnorodność języków. Czyżby

- Ekspedycja Mikro z jakichś względów przestali żyć wspólnie? Bo chyba wylądowali tu razem!

Chris usiłował nie ulegać tej hipotezie, bronić się przed poglądem, według którego wszystko sprowadzało się do fikcyjnych kosmonautów.

Taka teoria była z pewnością wygodna, zwłaszcza dla tych, którzy godzili się z myślą, że dokładne zbadanie ewolucji człowieka jest sprawą niemożliwą. Dlaczego nie rozważano możliwości, że ludzie i istoty makro rozwijali się równoległe, obok siebie?

Chris nie ujawniał swoich przypuszczeń, zbyt wiele bowiem istniało kontrargumentów, do których za to idealnie pasowała hipoteza Ennila. Na przykład pytanie o zadaszenie w ich ojczystych osiedlach, które chroniło ich atmosferę i dobre warunki życia. Kto je zbudował? A wieczny stos atomowy, który

skutecznie

rozwiązywał

problem

energetyczny,

urządzenia

stanowiące zagadki historyczne, budowle, których ludzie nie mogli wznieść!

Udowodnione obecnie istnienie makrosów stawiało wszystkie te zagadki w zupełnie innym świetle, ale jeszcze ich nie rozwiązywało.

Drugie wydarzenie było bolesne, ale miało dla ekspedycji, a zwłaszcza dla Chrisa, większe znaczenie.

Była to noc z drugiego na trzeciego lutego, tuż przed północą, kiedy wyrwał go ze snu telefon. Dyżurny radiotelegrafista meldował w podnieceniu, że za godzinę przyleci helikopter dalekiego zasięgu, który w związku z pilną sprawą zabierze go na pokład "Oceanu II", gdzie Chris spędzi co najmniej tydzień.

Chris miał jeszcze pełną godzinę, mimo to narzucił na siebie szybko ubranie i spakował najważniejsze rzeczy. Myślami przebiegł ostatnie nie załatwione jeszcze sprawy, a kiedy minęło pierwsze zaskoczenie, połączył się ponownie z centralą. Radiotelegrafista nie wiedział jednak, o co chodzi, mógł jedynie powiedzieć, jak bardzo jest zadowolony, że Chris zrozumiał prawidłowo polecenie.

Chris podał dokładnie położenie śnieżnej włóczni, skąd miał zostać zabrany. Potem usiadł na łóżku, aby lepiej się skoncentrować, i spisał na kartce najważniejsze polecenia dla Geli.

Kierownictwo ekspedycji nie zdecydowałoby się na taki krok bez istotnej przyczyny. Ostatecznie już sam lot był sporym ryzykiem, choć miejsce postoju "Oceanu" było podobno wolne od śniegu.

W końcu Chris przerwał rozmyślenia i zawołał Karla. Nie licząc się z tym, że tamten był jeszcze półprzytomny ze snu, wyjaśnił wszystko, po czym dodał:

- Karl, tak jak to było ustalone, Gela będzie mnie zastępowała. Mam do ciebie prośbę: pomóż jej! Znasz ją dobrze, odbyłeś razem z nią podróż na Czerwońcu, wiesz, o co mi chodzi?

- Wiem, Chris - odparł Karl. - Możesz na mnie polegać. Wracaj szczęśliwie!

Chris udał się do kabiny Geli. Nie pukał, aby nie wywołać hałasu.

Zatrzymał się w progu. Jego wzrok przyzwyczajał się stopniowo do półmroku. Na zewnątrz widniało odległe, białe słońce. Zamknięta w lodzie lampa, przemknęło mu przez głowę.

- Tak? - Pytanie rozległo się z kąta, gdzie stało łóżko Geli, nie zabrzmiało jednak bojaźliwie, raczej niechętnie, jakby ten, kto je zadał, nie rozbudził się jeszcze całkowicie.

- To ja, Chris. Przepraszam cię, Gela.

- Chris!

Pstryknął wyłącznik i mała nocna lampa oświetliła pomieszczenie.

Chris widział właściwie jedynie prawą rękę Geli, aż po jej nagie, jaśniejące nieco wyżej ramię. Twarz pozostawała w cieniu.

Siedziała teraz w łóżku wyprostowana, przecierając sobie oczy lewą ręką. Nie miała nic na sobie.

Chris usiłował na nią nie patrzeć. W duchu wyzwalał siebie od głupców.

Ostatecznie kapali się już razem! Ale - tłumaczył sobie - tu nie basen.

- Przepraszam cię - powtórzył - ale chciałem ci to powiedzieć osobiście, że masz mnie zastąpić przez tydzień. Za piętnaście minut polecę helikopterem na "Ocean". Coś musiało się stać, coś bardzo ważnego, w

przeciwnym razie nie ryzykowałiby. - Poczul złość na samego siebie, że znowu wspomniał o niebezpieczeństwie, i chcąc odwrócić jej uwagę od tak drażliwego tematu dodał: - Niestety nie wiem nic więcej. Łączność też nie była dobra.

- Może to ma jakiś związek z istotami makro? - zastanawiała się Gela, widać było jednak, że nie spodziewa się odpowiedzi.

- Proszę, napisałem tu w skrócie, na co masz zwracać uwagę. -

Podszedł bliżej i podał jej kartkę.

Rzuciła na nią przelotne spojrzenie.

- Będzie dobrze - powiedziała po chwili. - Ostatecznie nie jestem tu sama. - Spojrzała na niego poważnie. - Ale ty, Chris? Co ciebie tam czeka?

Uważaj na siebie, dobrze?

- Warunki klimatyczne są sprzyjające - odparł sztywno Chris.

Podszedł bliżej do Geli i wyciągnął rękę. - Trzymaj się, Gela!

- Do widzenia, Chris! - powiedziała cicho, niemal czule, patrząc mu prosto w oczy.

Ociągając się, poszedł w stronę drzwi.

Nagle, kiedy zatrzymał się w progu, żeby pomachać na pożegnanie, zrzuciła z siebie koldrę, podbiegła do niego i przytuliła się do jego piersi.

Objął ją, czując pod dłońmi ciepło jej nagich, rozgrzanych snem pleców. Żałował, że ma na sobie gruby skafander podróżny. Pocałowali się.

Po chwili Gela odsunęła się od niego.

- A więc, trzymaj się, szefie. I wracaj szybko. - Objęła go jeszcze raz i puściła.

Skinął głową, jakby chciał jej dodać otuchy, wtedy odwróciła się i wolnym krokiem podeszła z powrotem do łóżka. Światło, zamknięte na zewnątrz w lodzie, migotało w jej włosach.

Chris czuł w głowie chaos. Zamknął za sobą drzwi, wrócił powoli do swojego pokoju, wziął bagaż i udał się do wyciągu. Musiał przejść przedtem przez kilka korytarzy wyrąbanych w lodzie i śniegu, i nagle wydało mu się, jakby to wszystko ni« działo się naprawdę. Czuł jeszcze na dłoniach ciepło Geli, zapragnął przechować je.

Czy chciała w ten sposób tylko dodać mu otuchy przed niebezpieczną podróżą, czy też przelamała się? Uciążliwa wędrówka przez lśniący korytarz stała się jakby lżejsza. Dopiero gdy włączył wyciąg, powrócił do rzeczywistości. Jedno wydawało się pewne: niezależnie od tego, co ci na "Oceanie" znów wymyślili albo odkryli, nic nie zdoła nim tak łatwo wstrząsnąć. Miał nadzieję, że Gela będzie czekała jego powrotu nie tylko ze względu na obowiązki, jakimi została obarczona.

Pilot śmigłowca był dziwnie poważny i milczący.

- Coś nowego? - zapytał z ożywieniem Chris, sadowiąc się w fotelu obok.

- Raczej tak - odpowiedział pilot. Nie wydawał się jednak skłonny do dzielenia się z nim nowinami.

Nie, to nie, pomyślał Chris, potrafię się opanować. Głośno powiedział tylko:

- Chciałbym rzucić jeszcze okiem na miasto.

Pilot machnął ręką, jakby miał powiedzieć: - Jeżeli to konieczne - po

czym dodał gazu.

Niebo było zasnute chmurami, nie panowała jednak całkowita

ciemność. Wydawało się, że lecą otoczeni zewsząd watą.

Śmigłowiec wzniósł się ponad wierzchołki olbrzymich drzew. Tam,

gdzie leżało miasto, wisiała nad horyzontem blada smuga światła. Po

chwili, tym wyraźniej, im wyżej wznosił się helikopter, wyłoniły się na

podobieństwo gwiazd światelka, pojedyncze, w rzędach i szeregach. Z

mniejszej odległości światła nie były już podobne do gwiazd, przybrały za to

konkretne kształty: prostokątów, kół, trójkątów. Były to okna mieszkań

makrosów.

Jeszcze trochę i z ciemności wynurzyły się jakieś bloki ustawione obok

siebie i na sobie, odbijające się od szarobiałego tła podłoża. Pomędzy nimi

było światło. Promienniki świetlne, przekazujące promienie słońca, wisiały

w niewidocznych sieciach, tworząc w powietrzu jasne stożki, a na ziemi

połyskliwe koła. Pojedyncze samoloty z jaskrawoczerwonymi światłami

pozycyjnymi i reflektorami przemykały pomiędzy blokami i drzewami jak

zjawy. Niektóre bardziej oddalone budynki były iluminowane. Centrum

miasta było widne jak za dnia: barwne światła migotały, to zapalając się, to

gasnąc.

Pilot trzymał maszynę na dużej wysokości. Przeleciał nad peryferiami,

zatonął rozległy łuk i wziął kurs na "Ocean". Chris nie prosił go już, żeby

przelecieli jeszcze nad centrum. Widocznie wskazany był pośpiech.

Oparł się wygodniej plecami o fotel. Silnik terkotał monotennie.

Z radością dostrzegł "Ocean". Świtało już, kiedy helikopter zniżył się

do lądowania. Ku zdziwieniu Chrisa panowała tu niemal całkowita ciemność. Jedyne na moment lądowania zapalono światła na pokładzie. Śniegu było istotnie niewiele, widocznie zmiotły go morskie wiatry. Tylko w kotlinach leżała brudnoszara warstwa zmieszana z kamieniami.

Jeżeli Chrisa zdziwiło milczenie pilota - chociaż uważał jego zachowanie się za cechę charakteru - to zupełnym zaskoczeniem dla niego byli ludzie spotkani teraz na "Oceanie" po trzymiesięcznej rozłące, zaaferowani, poważni, nieskorzy do żartów. Po drodze spotkał Jensa Relpeka, a widząc jego przygnębienie, zapytał:

- Powiedz, co się tu dzieje?

- Ty jeszcze o niczym nie wiesz... - stwierdził Jens. - Potem machnął ręką i dodał: - Tocs. Wypadek. Jest umierający.

Ta wiadomość spadła jak cios. Tocs! Podczas długiej podróży Chris poznał go jako doświadczonego, rozważnego i mądrego kierownika ekspedycji, i za to cenił go bardzo. Nie był to typ służbisty, postępował zawsze konsekwentnie i rzeczowo. Mimo kariery, jaką zrobił, pozostał człowiekiem, z którym dało się rozmawiać. Rewolucjonista Tocs, który jako jeden z pierwszych ujął się za ludźmi pozbawionymi praw.

Chris musiał też przyznać w duchu, że właśnie dzięki Tocsowi nabral otuchy, kiedy objął funkcję

Ennila. Mając pomoc Tocsa nie można wypaść źle,

To była jego dewiza. Tak samo myślało zresztą wielu innych,

Chris nie czuł się teraz na siłach, żeby zameldować swoje przybycie.

Usiadł w fotelu w przestronnym foyer i poprosił Jensa, żeby zajął miejsce

obok niego. Przez chwilę zbierał myśli, a następnie zapytał:

- Jak to się stało?

- Trudno dokładnie powiedzieć. Jechali dżipem na inspekcję, jak zwykle. Przeprowadziliśmy do wody ten podziemny kanał, żeby w razie czego móc dotrzeć na "Oceanie" do morza również zimą...

Chris skinął głową; wiedział o tym.

- Tocs chciał zobaczyć, jak postępują prace przy śluzie. Byli w czwórkę.

Oprócz Tocsy uratował się tylko jeden. Podobno góra, kanał i śluza zawaliły się, grzebiąc ich pod sobą. U kierowcy wszystko skończyło się na złamaniu kości. Dwaj towarzysze Tocsy, Rellim i Drof, zostali zasypani. On sam ma zmiażdżoną dolną część ciała. To tylko kwestia godzin... - Relpek urwał na chwilę, potem mówił dalej: - Badania przeprowadzone w ciągu dnia pozwoliły wykryć długi ślad o ostrych kantach. Zdjęcia lotnicze wykazały, że jest on podobny do tych, które ciągnęły się wzdłuż wybrzeża.

Najprawdopodobniej jest to ślad stopy makrosa. Wkrótce zobaczysz zdjęcia.

- A wy nie widzieliście go, jak nadchodził?

- Nie, "Ocean" jest w tej idiotycznej kotlinie. Teraz przenosimy miejsce postoju do jaskini na zboczu.

- Co nam jeszcze przyniosą kontakty z tymi potworami! - zawołał Chris w podnieceniu. - Nie wiemy nawet, w jaki sposób porozumieć się z nimi. A oni nie mają w ogóle pojęcia o naszym istnieniu, sam widzisz... - Potrząsnął głową. - Ale to nas nie odstraszy! Nie poddamy się, Jęjis!

- Nie trać czasu - przypomniał mu po chwili Relpek. - Chciał się z tobą zobaczyć. Jest przytomny i haruje jak wół. Mieh uśmierzył mu bóle, odżywia

go sztucznie. Nic więcej nie można zrobić. Tocs wie, co go czeka.

Chris musiał się przemóc, zanim zameldował się u Tocsy. Nic nie wskazywało na to, że leży tu ktoś śmiertelnie chory; żadnej pielęgniarki, żadnego zapachu lekarstw. Tylko referentka, zazwyczaj radosna i uśmiechnięta, siedziała z poważną miną.

- Wejź! - rozległ się głos z otwartego gabinetu.

Chris drgnął. To był głos Tocsy, brzmiał jak zwykle, może tylko bardziej szorstko. Czy rzeczywiście była to już kwestia kilku godzin?

Tocs pólleżał w fotelu. Ubrany był w swój ulubiony pulower. Wyglądał tak, jak go pamiętał Chris, jedynie twarz była może trochę bardziej pożółkła. Obok stały dwa dyktafony i kilka telefonów.

- Zbliź się, chłopcze, usiądź - powiedział. - Słyszałeś już chyba, że mi się dostało, chociaż zabroniłem na razie o tym rozpowiadać. I tak już za dużo ludzi się załamało. Ale teraz dajmy temu spokój. Nigdy jeszcze nie odczuwałem tak silnie, jak cenną rzeczą jest czas! - Uśmiechnął się. - No cóż, złóż mi krótkie sprawozdanie, co u was słychać, w jaki sposób chcecie wziąć się za tych cholernych, człapiących olbrzymów. Chciałbym dożyć tego... Ale nie zbliżajcie się do nich za bardzo, sam widzisz, czym to grozi!

Chris czuł się nieswojo. Nie mógł udawać, że wszystko jest w porządku, ani ukrywać, jak bardzo boleje nad Tocsem. Po raz pierwszy z trudem podporządkował się woli dowódcy. Wiedział, że tak trzeba i że właśnie taka postawa sprzyja działaniu Tocsy. Dowódca czynił to, co Chris zaniedbał w bazie podczas świąt Bożego Narodzenia: dawał innym przykład, robił wszystko, żeby ów nieszczęśliwy wypadek nie zaciążył na

losie całej ekspedycji. Chris zaczął niepewnie opowiadać, starając się przy tym, aby sprawozdanie było zwięzłe. Przede wszystkim poinformował, że projekt nawiązania kontaktu nie został jeszcze opracowany.

Tocs słuchał w milczeniu, a potem powiedział:

- Nie mogę dać ci żadnego przepisu, ale nie radziłbym robić cokolwiek teraz, zimą. Na razie jesteśmy unieruchomieni, bardziej niż zazwyczaj.

Pracujcie dalej, również nad sposobem łączności. I lepiej będzie, jeżeli poświęcicie dodatkowo jeszcze pół roku na poznanie tych makrosów.

Zawsze marzyłem o tym, żeby nawiązać kontakt z innymi istotami rozumnymi - Tocs mówił teraz cicho. - Nigdy jednak nie zastanawiałem się, czy tamci też sobie tego życzą i czy taki kontakt jest w ogóle możliwy. To jeszcze bardziej zwiększa ryzyko. O tym, jacy oni są, wiemy tyle co nic. -

Tocs uśmiechnął się chytrze: - Do ich przeszłości wrócimy jeszcze. Wiemy tylko, że język angielski odgrywa u nich nadal dużą rolę. Ich mieszkania są zawieszane na linach. Czy to świadczy już o wyższym stopniu rozwoju?

Część naszych specjalistów twierdzi, że to jest przyszłość budownictwa.

Istnieje wiele materiałów odpornych bardziej na rozciąganie niż na

ciśnienie. - Tocs uczynił ręką niezdecydowany gest. Po chwili włączył

magnetofon i zaczął mówić urzędowym tonem, który sprawił, że Chris

wyprostował się mimo woli:

- Chris Noloc, życzą sobie, żebyś został moim następcą, ale ze

zmienionym zakresem odpowiedzialności: Ty poprowadzisz akcję makro, a

tu, na "Oceanie", polecam ci zostawić swojego stałego zastępcę, powiedzmy

Relpeka. Sprawą dla nas najważniejszą jest nawiązanie kontaktu, przy

czym należy unikać zbędnego ryzyka, o ile to będzie w ogóle możliwe. Chris, niniejszym przekazuję ci funkcję i związaną z nią odpowiedzialność dowódcy ekspedycji. - Po tych słowach Tocs wyłączył magnetofon. - To by była część oficjalna. - Znowu spojrzął chytrze, zmarszczył czoło i zapytał: - Chyba zgadzasz się na to?

Chris czuł, że coś drapie go w gardle, ale uśmiechnął się i skinął głową. - To dobrze, chłopcze. A teraz słuchaj uważnie. Nie, najpierw wyjmij ze skarbca tą starą księgę. - Podał Chrisowi klucz i po chwili tamten wyciągnął z szafy pancерnej owinięty wstęgą folią. - Tajemnica państwowa wielkiej wagi - wyjaśnił Tocs, robiąc przy tym ważną, ale jednocześnie ubawioną minę. - Według mnie cały ten szum wokół tego to głupota. Ale zostałem zobowiązany do zachowania tajemnicy i tego samego powinienem był żądać od ciebie. Powiedziałem: powinienem był. Nie mówmy więcej o tym. A więc tu w środku - stuknął palcem w folię - kryje się nasza historia. Bo trzeba ci wiedzieć, że ona istnieje. Wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia. A kiedy skończę, zrozumiesz i ty, dlaczego potrzebny nam jest ten kontakt, tak bardzo potrzebny! - Przez chwilę spoglądał w milczeniu za okno. - To sprawa wielkiego znaczenia! - powtórzył cicho i z naciskiem. Potem opadł z powrotem na oparcie fotela i przymknął oczy, jakby wyczerpany. - Poczekaj - trochę, wydaje mi się, że powinienem najpierw coś zjeść.

Nacisnął przycisk dzwonka. Po chwili przez drzwi zajrzała jasnowłosa referentka. W jej wzroku widniała troska.

- Inez, muszę omówić z tym młodzieńcem mnóstwo spraw. Nie chciałbym przedwcześnie osłabnąć, ani żeby mi przeszkadzano. Podaj mi od

razu jeszcze jeden tyk.

Skinęła głową, zamknęła za sobą drzwi, ale wkrótce zjawiała się znowu z dużą strzykawką, podciągnęła Tocsowi rękaw i wbiła fachowo igłę.

- Tak lubiłem jeść! - poskarżył się żartobliwie Tocs, podczas gdy Inez wciskała powoli tłok strzykawki. - A teraz nie wolno mi nawet spróbować pożywienia. - Kiedy wyciągnęła z powrotem igłę, powiedział: - Dziękuję, Inez, i nie wpuszczaj teraz nikogo!

Znowu oparł się wygodniej w fotelu, odprężył się i półgłosem, oszczędzając sił, zaczął mówić.

Robert Tocs zmarł nazajutrz w południe. Umarł samotnie w fotelu, tak jak go widział Chris wieczorem poprzedniego dnia.

Dla Chrisa nastaly teraz ciężkie dni. Odpowiedzialność, spotęgowana przez wynurzenia Tocsy, spędzała mu sen z powiek. Potrzeba mu było kilku dni, aby ochłonąć, wyrobić sobie obraz dotychczasowych osiągnięć. Doszedł do przekonania, że do tej pory za bardzo przejmował się swoją misją zwiadowczą, tracąc przy tym trochę z oczu główny cel ekspedycji. Jego zadanie, które mu zlecił Tocs, nie należało do łatwych. Miał zostać nadal zwiadowcą, ale jednocześnie kierować całą ekspedycją. Nie ulegało chyba wątpliwości, że po tym, jak Tocs uczynił go swoim powiernikiem, a tym samym zaufanym rządu, musiał znajdować się w pierwszej linii przy nawiązywaniu kontaktu. Ale co miał zrobić z powierzoną mu tajemnicą? W ciągu pierwszych dni dręczyły go wątpliwości. Czy wolno mu zachować dla siebie tę straszliwą prawdę? Tu, na posterunku w świecie makro? Czy jego towarzysze nie mają prawa dowiedzieć się o wszystkim, skoro narażają dla

sprawy swoje życie? A może wiedza rozbudzi w każdym z nich wolę rozwiązania tego zadania?

Powoli dojrzewała w nim decyzja zerwania tego długiego łańcucha wtajemniczonych. Rozważał, jakie reakcje może wywołać wyjawienie prawdy. Po długich wahaniach doszedł do wniosku, że najpierw musi ustalić program działania.

Postanowił mianować Relpeka swoim zastępcą na "Oceanie". Jednocześnie uznał za niezbędne wtajemniczyć go we wszystko. Logicznym następstwem tego kroku byłoby poinformowanie w odpowiednim czasie reszty załogi.

Decyzja ta, będąca wynikiem długich zmagani wewnętrznych, zdjęła mu kamień z serca. Teraz uwierzył, że dorósł do swego zadania.

Rozmowa z Jensem utwierdziła go w tym przekonaniu. Postanowili wtajemniczyć całą załogę, nie bacząc na skutki tego wykroczenia przeciw obowiązującym ustaleniom rządu. Zresztą konsekwencje tego kroku mogły zaistnieć dopiero po powrocie do ojczyzny, a ta chwila była jeszcze zbyt odległa.

Chris postanowił wrócić jak najszybciej do bazy. Jego wyobrażenia o sposobie nawiązania kontaktu przybierały coraz bardziej konkretne kształty.

Na razie jednak nadzorował prace przy zmianie miejsca postoju "Oceanu". Nad jaskinią na zboczu, nowym miejscem postoju statku, można było, choć z trudem, zainstalować wysokiej jakości antenę. Spodziewano się po tym odczuwalnej poprawy łączności.

Po dziesięciu dniach pobytu na "Oceanie" Chris odleciał do bazy. W helikopterze znajdował się odbiornik, który miał umożliwić odbiór programów nadawanych przez ludzi makro, a poza tym miniaturowy nadajnik, którego przeznaczenia nie znał nawet Relpek. Zażyczył sobie, by odwiózł go pilot, który miał być mniej małomówny i "dosyć śmiały". Relpek spełnił to życzenie, ale dał do zrozumienia, że chętnie dowiedziałby się czegoś więcej o zamierzeniach Chrisa.

- Musisz uzbroić się w cierpliwość - odparł z uśmiechem Chris. - Nie wiem, czy to się uda, dlatego wolę o tym jeszcze nie mówić.

Pilot nazywał się Jack Siwel. Chris zdążył go poznać w czasie podróży jako dobrego szachistę i pieśniarza. Przy obecnych warunkach atmosferycznych lot wiązał się z dużym ryzykiem, ale Jack spoglądał tylko spod krzaczastych brwi, bez widocznych obaw. Miał gęste włosy, a twardy zarost sprawiał, że jego twarz nawet po goleniu połyskiwała czernią. To wszystko nadawało mu ponury wygląd, co kłóciło się z pełnymi humoru piosenkami, które śpiewał podczas towarzyskich wieczorów, czerpiąc ze swego nieprzebranego, jakby się mogło wydawać, repertuaru.

Przelatując tuż nad lasem, Chris wspomniiał swój pierwszy lot w tym kierunku. W powietrzu roilo się wtedy od żywych istot. Teraz nad tą bezkresną bielą wszystko wydawało się wymarłe. Tylko w oddali krążyły niesamowicie duże, czarne latające stwory, które jednak albo nie zauważyły helikoptera, albo też ignorowały go całkowicie.

Nagle osłupieli: po dużej leśnej polanie szło dwóch ludzi makro, to nie ulegało wątpliwości. Do nóg mieli przyłączone długie deski, którymi orali

gwałtownie śnieg. Posuwali się gęsiego, w równym rytmie, żłobiąc dwa głębokie, wyprofilowane rowy ostrych kantach.

- Opuść się niżej! - zawołał podniecony Chris.

Oczy Jacka zaiskrzyły się. Skinął głową i śmiało obniżył lot.

Ostatecznie miał po raz pierwszy zobaczyć na własne oczy makrosów.

O ile obydwaj wędrowcy wyglądali z góry jak zwykli ludzie i niemal całkowicie pasowali do obrazu, to obserwowani z coraz mniejszej wysokości zmieniali się gwałtownie.

W końcu pod helikopterem widać było tylko płaski ruch;

zniekształcenie perspektywiczne ukazywało osobliwe obrazy kołyszących się gór, błyszczących, ciągnących się w nieskończoność prostopadłościanów pagórków.

Chris zamachał ręką, dając znak Jackowi, aby zatoczył krąg wokół zamazanych, trudnych do uchwycenia wzrokiem formacji, które sam uważał za głowy makrosów. Jack z uznaniem opuścił kąciki ust; zadanie odpowiadało mu. Zataczał coraz mniejsze koła.

Raptem nastąpiło nowe zjawisko: z nie zidentyfikowanych początkowo źródeł zaczęły wznosić się rytmicznie ku górze obłoki pary, zasłaniając na pewien czas całkowicie widok.

A potem, niczym urojenie, pojawił się przed nimi dziwny obraz: w odległości około trzech tysięcy stóp zza mgły wyłoniło się oko, które wypełniło sobą całe ich pole widzenia. Najpierw ujrzeli dużą, błyszczącą kulistą gałkę, której biel przestaniało barwne koło niebieskoszarej, usłanej złotymi punkcikami tęczęwki. W środku tęczęwki znajdowała się duża,

czarna jak węgiel żrenica. Na górze i na dole sterczały rzęsy, na których wisały wodne kule. Oko jak u Geli, przemknęło Chrisowi przez głowę, tylko powiększone dwa tysiące razy. Piękne, porywające, budzące otuchę i równocześnie strach. Teraz z pewnością nas widzą!

Trwało to ułamek sekundy. Raptownie i z prędkością wykluczającą wszelką reakcję, runęła na helikopter jakaś zamazana góra, zaciemniając wieżyczkę, po czym nastąpiło zderzenie.

Jack odchylił się instynktownie do tyłu, przelecieli jeszcze trochę zupełnie na oślep, rozległ się zgrzyt, i nagle wokół nich zrobiło się białe, a potem wszystko poszarzało. Silnik zachłysnął się i ucichł. Obaj leżeli na wklęsłej szybie kabiny, śmigłowiec stał na dachu. Chris pierwszy wrócił do rzeczywistości. Nachylił się do Jacka. - Jesteś ranny?

- Żeby to szlag! - zaklął tamten i zreflektował się natychmiast. - Nie.

- Zachowujemy się jak ostatni naiwniacy - zauważył Chris.

- Czy to był ich atak? - zapytał Jack jakby samego siebie.

- Tak, ale chyba nie skierowany świadomie przeciw istotom

rozumnym! - Słowa Chrisa brzmiały pewnie. - Diabli wiedzą, za kogo wziął

nas ten olbrzym. Może zląkł się o swoje oko. Znajdowaliśmy się przecież

dokładnie na linii jego wzroku, prawdopodobnie w małej dla niego

odległości. Na pewno się zdziwił, że zimą coś leci w powietrzu. - Chris

uśmiechnął się.

- Hm - mruknął Jack. Nie zabrzmiało to jednak markotnie. - To mnie

cieszy. W każdym razie jestem pewien, że nie wydestaniemy się stąd tak

szybko.

Chris przeklinał się w duchu za własną nieostrożność. Jak daleko wolno mi się posunąć? - zastanawiał się. Narażam przecież na niebezpieczeństwo całą wyprawę. Ale czy istnieje inny sposób, żeby zetknąć się z ludźmi makro? Gdyby ów człowiek zorientował się, że przed jego okiem leci nie owad czy obce ciało, tylko helikopter, ryzyko by się opłacało.

No cóż, on nie miał o tym pojęcia, a rezultatem tego jest katastrofa.

Chris postanowił opracować program całej ekspedycji, który uwzględniałby prawdopodobieństwo wszystkich zaistniałych dotychczas wypadków. A potem, pomyślał, musimy pracować intensywniej, żeby poznać ludzi makro.

Powiódł wzrokiem po kabinie. W pasach wisiały nietknięte przyrządy elektroniczne. Przyszło mu na myśl oko i to, co powiedział mu Tocs. Na pewno porozumienie jest możliwe, nawet jeżeli na przeszkodzie stoją wieki!

Podczas gdy Chris usiłował dojść z samym sobą do ładu, Jack robił przegląd śmigłowca. Po chwili stwierdził:

- Zdaje się, że wszystko gra. Ale nie chciałbym ryzykować teraz startu.

Chyba utknęliśmy w śniegu. Jeżeli śmigło uderzy o kryształ, może się złamać. Najpierw trzeba helikopter uwolnić.

- Najpóźniej nastąpi to wtedy, kiedy stopnieje śnieg - zauważył z przekąsem Chris. - Nie wiem, czy starczy nam żywności na tak długi okres.

Jack zamyslił się.

- Powiedziałaś: "Kiedy stopnieje śnieg?" - zapytał, nie czekając w ogóle na odpowiedź. Wprawnie zapuścił silnik i wkrótce turbiny napędowe ruszyły z hukiem.

Chris zrozumiał jego zamiar. Jack wyłączył sprzęgło, a prąd ciepłego

powietrza z silnika zaczął ogrzewać śnieg.

- Wyjdę na zewnątrz - powiedział Chris. Wlaz odchylił się tylko

częściowo. Jack pomógł Chrisowi. Osiadłe na klapie kryształy lodu

ustępowały ze zgrzytem. Wreszcie Chris przecisnął się na zewnątrz.

Istniała jeszcze groźba ześlizgu. Helikopter utknął śniegu na głębokość

około pięćdziesięciu stóp.

Jedna z łopat śmigła tkwiła w białej masie. Pod helikopterem leżała

warstwa śniegu o grubości co najmniej czterystu stóp. Na sam widok

szczelin i rozpadlin pomiędzy kryształami Chrisa przeszedł dreszcz.

Minęło już południe, kiedy po niewymownych trudach i niebezpiecznej

pracy siedzieli wreszcie w swoich fotelach, gotowi do ciągle jeszcze

ryzykownego startu.

Jack nie tracił otuchy, ale westchnął z ulgą, kiedy sterowany przez

niego ostrożnie helikopter oderwał się od śniegu. Maszyna chwiała się

jeszcze, ale coraz szybciej nabierała wysokości.

- Śnieg nas uratował - przekrzykiwał huk silnika Chris. - Co by było,

gdyby tamten cisnął nami o twardą ziemią! Ale oko miał ładne, prawda? -

dodał.

Czuł, że musi rozładować sytuację. Sam nie wiedział, co ma o tym

myśleć: owszem, udało im się wystartować, ale równie dobrze próba mogła

się zakończyć fiaskiem.

Nie trzeba było zbliżać się do tamtych! A może pomysł był dobry, tylko

że mnie nie wolno tego robić? Z całej ekspedycji tylko Jens i ja znamy nasze

pochodzenie! Dopiero - teraz zdał sobie sprawę z ogromu odpowiedzialności,

jaka spoczywała na nim od chwili śmierci Toca. Zachował się

lekkomyślnie! Coś podobnego nie może się już nigdy powtórzyć!

W dole rozpościerała się nieprzejrzana biel. Jack utrzymywał maszynę na tak dużej wysokości, że olbrzymie drzewa pokryte śniegiem zdawały się zlewać z całą powierzchnią, pełną ciemnych pól.

Chris myślał o bazie zasypanej śniegiem. Nikt nie mógł przewidzieć, jak długo jeszcze będą musieli siedzieć beczynnie pod białym całunem.

Mam do dyspozycji mocny, zatankowany helikopter dalekiego zasięgu i odważnego pilota. Nie musielibyśmy nakładać dużo drogi, gdybyśmy odwiedzili miasto ludzi makro. Tam właśnie należałoby zainstalować nadajnik. To by chyba nie było tak bardzo skomplikowane.

Rozważał też możliwość wylądowania w bazie i przekazania tej misji komuś innemu, jednak byłoby to równoznaczne ze zmniejszeniem na pewien czas liczby członków załogi.

- Jack, wznies się wyżej, ile tylko możesz. Spróbuję przelać radiotelegram.

Jack skinął głową i chwycił za stery.

Uzyskanie łączności kosztowało Chrisa wiele trudu, w końcu jednak dowiedział się, że górna platforma szybu jest akurat na równym poziomie z warstwą śniegu. Zarządził przygotowania do rozładunku helikoptera, ale zapytany o czas lądowania zawahał się, po czym dał jakąś wymijającą odpowiedź.

Przed nimi ukazało się znowu miasto ludzi makro. Pomiedzy wiszącymi domami przelatowały samoloty. Drzewa na peryferiach

dźwigały na sobie gruby kożuch śniegu. W czasie nocnego lotu przed dziesięcioma dniami Chris przeoczył jedno: śnieg leżał tylko na skraju miasta, centrum zaś było czyste, tworząc na owej śnieżnej pustyni kolistą, równo wytyczoną plamę.

Porozumieli się wzrokiem. Chrisa znowu ogarnęły wątpliwości.

Wyzwał siebie w duchu od ludzi chwiejnych, niepewnych i lekkomyślnych, wreszcie skinął głową na znak zgody.

Z włączonym radarem maszyna poleciała w stronę najbliższego domu, wiszącego na skraju miasta. I znowu kontury domu, w miarę zbliżania się, rosły w nieskończoność.

W polu widzenia znalazła się teraz ściana odbijająca świetlne refleksy.

Wkrótce ukazało się pomieszczenie, co oznaczało, że ściana była przezroczysta. W urządzeniu radarowym odezwał się brzęczyk alarmowy.

Widocznie przekroczyli dopuszczalne minimum odległości do jakiejś przeszkody.

- To okno! - zawołał nagle Jack. - Tu jest szyba!

Chris nie odpowiadał. Na razie nic nam nie grozi, pomyślał, jeszcze nie mam sobie nic do zarzucenia, możemy przecież zawrócić. Nie wydawał jednak rozkazu.

Jack podciągnął maszynę tuż przed szklaną ścianą pionowo do góry.

Brzęczyk nagle ucichł; a wiać minęli już przeszkodę. Nie widać było również świetlnych refleksów. Mieli teraz przed sobą jak na dłoni ciemny pokój z jego konturami. Słupek rtęci w zewnętrznym termometrze wzniósł się do góry.

- Tędy moglibyśmy dostać się do środka - zauważył Jack, patrząc przed siebie. Zmniejszył obroty silnika i trzymał wyczekująco ręce na sterach.

Chris zawahał się. Gdyby nie ponosił odpowiedzialności za losy ekspedycji, nie traciłby nawet sekundy. Zerwał się z miejsca i przeszedł do tyłu, po czym w zamyśleniu spojrzął na nadajnik. Wystarczyłoby wcisnąć guzik, aby włączyć urządzenie na dłuższy czas. Całą operację można przeprowadzić w dziesięć minut.

Przypomniawszy sobie człowieka makro, który uderzył w ich helikopter.

Jednocześnie pogratulował sobie w duchu, że wtajemniczył Relpka w testament Toca.

Stał nadal za fotelem, zatopiony w myślach. Jack spoglądał na niego wyczekująco. Wiedział, o co chodzi. A potem Chris skinął głową, prawie niedostrzegalnie i jakby wbrew swej woli. Ale ten drobny gest sprawił, że helikopter przechylił się, sunąc ostrożnie w kierunku ciemnej powierzchni.

Znaleźli się nagle w dużym pomieszczeniu.

Jack wprowadził helikopter ponownie w stan spoczynku. Maszyna powoli obróciła się wokół swej osi. Ściśle geometryczny porządek pokoju.

Kontury czegoś, czego ich wzrok nie potrafił objąć. Może meble?

Chris poczuł zimno gdzieś w okolicy żołądka. Należało działać szybko.

W dalszym ciągu rozglądali się wokół. W kącie stał jakiś zielony, dziwaczny przedmiot, sięgający aż; do górnej krawędzi pomieszczenia.

- Tam - szepnął Chris do Jacka.

Była to liściasta roślina.

Kiwnęli na siebie porozumiewawczo, a po chwili helikopter

wylądował na jednym z liści. Chris wyskoczył na chwiejące się jeszcze podłoże, a Jack momentalnie wysunął przez właz nadajnik. Chris chwycił go z drugiej strony i położył ostrożnie na zielonym gruncie, w którym mogli zauważyć pulsację komórek. Jack wskazał miejsce nieco dalej. Była to jakaś blizna na powierzchni, zagłębienie, mogące swobodnie pomieścić cały nadajnik. Zanieśli tam sprzęt. Wprawnie zamocowali na liściu dwa uchwyty, po czym przywiązali do nich nadajnik, Jack trzymał przewód antenowy. Chris wskazał na górę. Olbrzymi liść rozpościerał się tam na kształt baldachimu.

- Umocujesz go tam, kiedy wystartujemy - powiedział.

- No, to szybko do helikoptera - szepnął Jack. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedzieli od momentu rozpoczęcia akcji.

Chris przesuwał w dłoni przewód antenowy, a Jack ostrożnie nabierał wysokości. Kiedy dotarli do górnego liścia, zauważyli odnóżkę rośliny.

Chris wskazał na nią. Maszyna wzbiła się jeszcze wyżej i wtedy Chris zarzucił pętlę. Nie był to szczególnie trudny wyczyn; Jack sterował tak dokładnie, że nawet ktoś mniej zręczny od Chrisa nie mógłby chybić.

- Koniec! - zawołał Chris,

Wystarczyło kilka sekund, aby zorientować się w położeniu. Tam, gdzie było najwidniej, znajdowało się zbawcze okno. Znowu przesuwali się wzdłuż szklanej ściany, która tym razem nie odbijała tak intensywnie światła. Po chwili ekran radaru zasygnalizował wolną drogę - i już byli na zewnątrz. Dopiero teraz Chris poczuł, że jest cały mokry od potu.

Jack skinął głową z uśmiechem, dał pełen gaz, śmiało poderwał

maszyną i skierowali się ku bazie.

Nadajnik podrzucony makrosom przez Chrisa i Jacka stał się źródłem informacji. Dzięki niemu załoga zapomniała, jaka przestrzeń dzieli ich od ojczyzny, a nawet od miejsca, które ją zastępowało: od "Oceanu". Nadajnik był dla nich motorem, który ożywiał jednostajne, pracowite dni w bazie nawet wtedy, kiedy wierzchołek śnieżnej włóczni znalazł się pod potężną warstwą śniegu o grubości stu stóp. Dostarczył im ciekawych informacji, choć nie od razu. Minęło sporo czasu, zanim rozszyfrowano język. Jeszcze bardziej czasochłonne okazało się formowanie z podsłuchanych rozmów i meldunków, pochodzących prawdopodobnie z komputera domowego, jakiejś sensownej całości. Wszystko to trwało długo, ale dawało temat do bardzo burzliwych dyskusji, intrygując jednocześnie obecnych. Nadajnik był ratunkiem przed beczynnością.

Chris gratulował sobie w duchu, usprawiedliwiając w ten sposób swój lekkomyślny czyn. Wspomnił święta Bożego Narodzenia i wyobrażał sobie, jak przytłaczający nastrój mógłby zapanować teraz pod śnieżną pokrywą. A tak każda informacja o istotnym znaczeniu stawała się czymś w rodzaju sensacji. Kiedy okazało się, że program trwa zazwyczaj do godziny dwudziestej drugiej, Chris polecił emitować go do pracowni. Wkrótce niemal wszyscy w bazie znali język ludzi makro z pobliskiego miasta; twardy, naszpikowany głoskami syczącymi, wykazujący jednak pewne pokrewieństwo z ich własnym.

Z dużym przejęciem spotkała się wiadomość o podboju przez ludzi

makro przestrzeni wokół planety. Wszystko wskazywało na to, że teoria Ennila jest słuszna: tamci przybyli z kosmosu i opanowali tę planetę - pozostało jeszcze do wyjaśnienia, dlaczego część z nich mówiła po angielsku. Tym jednak przestano się już interesować, jak stwierdzonym faktem, który po prostu przyjmuje się do wiadomości.

Informacje uzyskane za pośrednictwem nadajnika oraz pochodzące z nasłuchu radiokomunikacji makrosów świadczyły o tym, że tamci opanowali jedynie tę planetę, ale przecież istoty przybyłe na peryferie Układu Słonecznego nie musiały badać przestrzeni międzygwiazdnej. Chris czuł się przy tego typu dyskusjach nieswojo. Pamiętał przecież ostatnie słowa Tocsa i wiedział, kim są tamci. Ciągłe jednak nie mógł się zdecydować na wtajemniczenie całej załogi, jak swego czasu zamierzał uczynić. Obawiał się, że w danych warunkach, spotęgowanych przez dokuczliwy lód i śnieg, ludzi ogarnie przygnębienie i rozpacz, co mogłoby wpłynąć niekorzystnie na wynik przedsięwzięcia.

Wspólnie z Relpekiem postanowili poczekać z wyjawieniem tej ważnej tajemnicy do wiosny. Chris nie wspomniał o tym nawet Geli, chociaż przyszło mu to z trudem.

Jego powrót z "Oceanu" Gela przyjęła z zadowoleniem i ulgą, chociaż przez cały czas kierowała działalnością bazy bez zarzutu. Na jej twarzy malowała się szczerą radość ze spotkania, a w każdym razie coś więcej - tak przynajmniej sądził Chris - niż radość z powrotu kolegi z niebezpiecznej wyprawy.

Potem jednak, kiedy dowiedziała się, że został następcą Tocsa, zaczęła

odnosić się do niego z rezerwą. Wydawało mu się nawet, że dziewczyna unika go i stara się nie przebywać z nim sam na sam. Tak jakby bała się zarzutów, że pociąga ją jego stanowisko. Pragnął zbliżyć się do niej, tak jak owego wieczoru, kiedy udawał się w podróż, ale na przeszkodzie stał nie wyjawiony jeszcze sekret. Z wielu więc powodów z niecierpliwością czekał na dzień, w którym "Highlife" straci ostatecznie swój lodowy pancerz.

Wieczorem, dwudziestego siódmego lutego, Chris wyszedł z laboratorium, gdzie zbadał postęp prac nad emitorem ciepła, mogącym w razie konieczności przebić lód. Lśniącym korytarzem udał się do kasyna i tam zastał swoich współtowarzyszy, zawzięcie nad czymś dyskutujących. Chodziło o informację uzyskaną po południu za pośrednictwem "tajnego ucha", jak nazwano zainstalowany przez Chrisa nadajnik. Chris nie znał jeszcze treści informacji, ale im dłużej przysłuchiwał się dyskusji, tym poważniej się zastanawiał, czy tajne ucho nie koliduje z zasadami etyki, które zawsze obowiązują wśród istot rozumnych.

Nikt prawie nie zauważył, kiedy Chris wszedł i usiadł przy stole. Ennil wygłaszał płomienną mowę. Jego sąsiadem była Gela. Rumieńce na jej twarzy oznaczały, że i ją poruszyła dyskusja.

- ...dowodzi w każdym razie, że istoty makro, chociaż są do nas podobne, nie są ludźmi. Nie twierdzą oczywiście, że takie postępowanie jest nieludzkie, ale stoi ono w sprzeczności, i będzie stało zawsze, z naszym pojęciem moralności...

- Jakim prawem tak mówisz? - zawołała z oburzeniem Carol. - Może to nie odpowiada twojemu pojęciu moralności! Ale przecież nie ogłosisz się

chyba prorokiem przyszłych pokoleń. A zresztą w naszej historii istnieje wiele przykładów na to, jak z biegiem czasu zmieniają się zasady moralne.

- Ale nigdy tak radykalnie! - bronił się Ennil.

- Wolalabym, żebyśmy przedyskutowali korzyści płynące z takiej możliwości - wtrąciła Gela. - Zostawmy moralność na boku. Po prostu interesuje mnie, kto by wyszedł na tym najlepiej.

- Oczywiście, najlepiej wyszłoby na tym państwo - powiedział Ennil. -

Mogłoby produkować ludzi według własnego uznania; dziś więcej, jutro mniej.

- Bzdura! - zawołał Bili Nesnan, monter w średnim wieku. - To zależy od przepisów. Zresztą co wy, żółtodzioby, możecie powiedzieć na ten temat!

Ja mam czworo dzieci, wszystkie chciane, rozumiecie? Chociaż ustawa o przyroście naturalnym została zniesiona już więcej niż dziesięć lat temu. A każdy poród, mimo że nosi nazwę bezbolesnego, jest, mówiąc łagodnie, męczarnią. Musielibyście zapytać o to Susan, moją żonę, ona mogłaby wam opowiedzieć to i owo!

Chris nie wytrzymał dłużej.

- Może ktoś z was byłby tak uprzejmy i wyjaśnił, o co chodzi? - zapytał.

Ennil spojrział na niego zaskoczony, potem roześmiał się.

- Tajne ucho przekazało nam dziś po południu dyskusję między mężczyzną a kobietą - wyjaśnił Karl. - Chcesz posłuchać?

Wśród siedzących rozległ się szmer protestu, większość z nich wolała widocznie prowadzić nadal dyskusję.

- To wam nie zaszkodzi! - powiedział Nesnan. - Posłuchajcie jeszcze

raz. Może potem zmienicie zdanie.

Chris skinął głową. Jego życzeniu stało się zadość. Karl wcisnął klawisz.

- ...no, to wróćmy jeszcze raz do tej sprawy. - Z głośnika rozległ się męski głos. Wydawało się, że osoba mówiąca tłumi ziewanie, jakby tuż po przebudzeniu. - Czy dziecko przyjdzie na świat tradycyjnym sposobem, czy nowocześnie?

- No, proszę - zawołał Nesnan. - Sami widzicie. Oni mogą wybierać.

- Sama nie wiem - odparł z wahaniem głos kobiety.

- No, zdecydować musisz sama. Ostatecznie to ty byś je rodziła dawnym sposobem - mówił dalej mężczyzna.

- Musiałabym najpierw przyzwyczaić się do tej myśli - odparła kobieta. - Kiedy byłam niedawno u Franciszki, poczułam się jakoś dziwnie, widząc na półce inkubator. Sama myśl o tym, że leży tam nasze dziecko...

- Widzicie, ona powiedziała "nasze"! To nie jest pierwsze lepsze dziecko, tylko ich własne! - zawołał znowu Nesnan.

- Sam proces dojrzewania, jest może rzeczywiście trochę nieprzyjemny

- rozległ się znowu głos mężczyzny - ale nie można tego porównać z porodem i całym kramem. Popatrz tylko na naszych znajomych. Sama wiesz, u ilu z nich wystąpiły komplikacje przy normalnym porodzie. Oczywiście za każdym razem cierpiała matka. A tak minie jakiś czas, inkubator zostanie otwarty i będziemy mieli nasze dziecko. Ja byłbym za tym.

- Zastanowię się. Mamy przecież jeszcze czas - uspokajała go kobieta. - Napijesz się kawy?

W głośniku rozległy się czyjeś kroki, coś zaszeleściło. Karl wyłączył magnetofon.

- To wszystko - oznajmił niepotrzebnie.

Chrisa dręczyły jeszcze wyrzuty sumienia, że podsłuchali tak intymną rozmowę, ale dyskusja toczyła się dalej.

- Po prostu mają możliwość wyboru - stwierdziła Carol. - A płód rozwija się normalnie z komórek, bo co by w przeciwnym razie oznaczały słowa o nieprzyjemnym procesie dojrzewania? Moim zdaniem to nie jest takie złe.

- A czy nie jest okropna sama myśl o tym, że dziecko rozwija się nie w łonie matki? - Ennil powiódł po wszystkich nieco bezradnym wzrokiem.

- Bynajmniej - odparł przeciągle Karl, dodając z chytrym uśmiechem: - Zakładając oczywiście, że nie zostanie zniesiona również pierwsza część tego tradycyjnego sposobu, sam wstęp, że się tak wyrażę.

Jego słowa ubawiły chyba wszystkich zebranych, uśmiechnęła się również Gela. Ciekawe, jaką minę zrobiłby Ennil, gdyby dowiedział się całej prawdy, pomyślał Chris.

- Czy w łonie matki, czy też nie, o tym powinny decydować same kobiety - powiedziała stanowczo Gela.

- Posłuchaj, Charles - odezwał się Chris, któremu zaświtała nagle w głowie szczęśliwa myśl - może byśmy spróbowali, ewentualnie z pomocą Carol, połączyć wszystkie informacje na temat ludzi makro, jakie zebraliśmy do tej pory, w całość, która da nam wyobrażenie o tych istotach, o ich uczuciach, w ogóle o trybie ich życia. Ale bez subiektywnych dociekań i

uprzedzeń! Na tej podstawie moglibyśmy ustalić, jak nawiązać z nimi kontakt.

Propozycję przyjęto z uznaniem. Termin wyznaczono na piętnastego marca; dzień, który jak spodziewał się Chris - miał zapoczątkować nową, aktywną działalność.

Chris manewrował w ten sposób, że kiedy wszyscy zaczęli rozchodzić się do mieszkań, znalazł się obok Geli.

- Co ty na to? - zapytał, nie patrząc na nią.

Wzruszyła ramionami, a potem powiedziała:

- Nie mam pod tym względem doświadczenia,, wiesz? - Uśmiechnęła się. - Ale na szczęście nie są to nasze problemy.

Szli powoli wykutym w lodzie korytarzem. Za nimi nie było już nikogo. Z przodu dobiegały ich głosy Ennila i Nilpacha, sprzecząc się jeszcze zażarcie.

Chris zatrzymał się. Spojrzała na niego zaskoczona wzrokiem pozbawionym typowej dla niej pewności siebie. Oparł dłoń na jej ramieniu, potem ruszył dalej, mówiąc:

- Kto wie?

Zmarszczyła czoło.

- Jak to? - zapytała wprost. Ujęła go pod ramię, spoglądając na niego z boku.

Chris nie wytrzymał dłużej. Ostatecznie Gela jest moim zastępcą i ma prawo wiedzieć o wszystkim, a poza tym - kocham ją! Marzył, by została jego żoną, a to wymagało zaufania.

- Gela - powiedział dziwiąc się, jakie to łatwe - ludzie makro to my, oni są naszą przyszłością.

Gela stanęła jak wryta. Zmarszczki na jej czole pogłębiły się jeszcze bardziej. Spojrzała na niego uważnie, po czym powiedziała:

- Chris, jeżeli chcesz mi o czymś powiedzieć, to bądź łaskaw trochę wyraźniej, o ile to możliwe!

Wówczas, w tym lodowym korytarzu, Chris przekazał Geli testament Toca.

Już piątego marca ustąpił śnieg i lód. Od dziesiątego natomiast nastąpiła pogoda, która w ciągu kilku godzin pozwoliła zapomnieć o dokuczliwej zimie.

Słońce wchłonęło całą wilgoć. "Highlife" pokryło się zielenią, dywanem roślin o krótkich, przezroczystych łodygach, odsłaniających pulsujące w ich wnętrzu soki. Rozmnażały się tak szybko, że Chris postanowił przeprowadzić bariery bakteriologiczne, które przy dotyku niszczyły komórki roślinne.

Załogę ogarnął dziwny niepokój. Troskliwie przygotowywano do lotu helikoptery i kontrolowano je stale w oczekiwaniu na rozpoczęcie akcji.

Chris również nie mógł znaleźć sobie miejsca, postanowił jednak wytrzymać do piętnastego. Postanowił wysyłać codziennie na dwie godziny helikopter, którego załoga przeczesywała cały przyległy teren w poszukiwaniu bazy zastępczej. Właściwie należało zrobić to wcześniej, mogła bowiem zaistnieć konieczność ewakuacji "Highlife'u", nie zdołano jednak zająć się tym przed nastaniem zimy.

Już po czterech dniach nadeszła - pomyślna wiadomość. Karl określił ów odkryty obiekt jako "geometryczną stertę ruin", co w rzeczywistości było chyba - jak domyślił się ze zdjęć lotniczych Chris - pozostałością niedużego budynku, składającego się z poszczególnych prostopadłościanów. Jeden z nich, tkwiący wysoko na szczątkach muru, miał porowatą, ale równą powierzchnię o czerwonym zabarwieniu i widniejących po bokach dziwnych, pełnych jaskiń wypukłościach; środek wiążący, według słów Ennila. Istotne było jednak to, że stanowił doskonałą osłonę od wiatru. Nadszedł wreszcie dzień piętnasty marca, wielki dzień dla Ennila. Oprócz dyżurnego radiotelegrafisty i dyspozytora zgromadzili się wszyscy. Ennil opracował niezwykle starannie obraz świata makro, który pod względem wyrazistości nie pozostawiał nic do życzenia. Nie można było natomiast rozstrzygnąć teraz, czy jest to obraz dokładny. Ennil powstrzymywał się od wszelkich komentarzy. Według jego koncepcji, która w dziwny sposób została bez dyskusji zaakceptowana przez pozostałych - ku rozczarowaniu samego autora, uzbrojonego zapewne przezornie we wszystkie możliwe argumenty - istoty makro były olbrzymami człeko-podobnymi, ponad dwa tysiące razy większymi od ludzi. Istoty te, których pochodzenie było jeszcze nieznanne, do tego stopnia zapanowały nad tutejszą przynajmniej częścią powierzchni planety, że dopasowały do siebie całe środowisko naturalne, łącznie z fauną i florą. Dla Ennila stanowiło to podstawą do wyciągnięcia wniosku, że mają do czynienia z potężną i wysoce rozwiniętą cywilizacją. W przypuszczeniu tym utwierdzał go też fakt, że w ów proces adaptacji środowiska

naturalnego zostały wciągnięte zarówno kosmos, jak ocean.

- Z całą pewnością makrosi reprezentowali gatunek dwupłciowy, który rozmnażał się jak ludzie, jednak - tu Ennil spojrział znacząco na lekarkę - poza łonem matki, do czego służyła naukowo opracowana metoda.

Mimo dość luźnego systemu granic pomiędzy poszczególnymi państwami - uzyskane informacje świadczyły o nieprawdopodobnej wprost turystyce - istniało co najmniej pięć różnych języków. W programach radiowych przebijał wyraźnie i najczęściej występował znany im już "chropowaty" język, z czego można było wywnioskować, że ich baza znajdowała się w państwie makro, w którym ten właśnie język obowiązywał jako urzędowy.

Ennil pomijał w swych wywodach fakt, że jeden z pięciu wymienionych języków przypominał do złudzenia angielski. Czwarta część wszystkich regularnych

programów

radiowych

była

nadawana

w

języku

międzynarodowym; najwidoczniej więc istniała mocno rozwinięta

integracja państw. Istoty makro prowadziły prawdopodobnie życie

monogamiczne, ale z pominięciem instytucji małżeństwa, to znaczy

mężczyzna i kobieta łączyli się bez społecznego rytuału. Biorąc pod uwagę

zasady moralne, związek taki opierał się zatem na miłości i wzajemnym

respektowaniu swoich osobowości.

- Ale czy tak jest istotnie? - mówił dalej Ennil. - Biorąc pod uwagę drogi, jakimi doszły do nas te informacje, moja interpretacja może być dyskusyjna. Związki takie mogły być w razie pomyłki z powrotem unieważnione

bez

ingerencji

społeczeństwa.

Prawdopodobieństwo

występowania pomyłek przy tego rodzaju metodzie było chyba jednak minimalne.

Kiedy Ennil skończył, nikt nie podjął dyskusji. O głos poprosił Chris.

Bez żadnego wstępu oświadczył:

- Według mnie najpewniejszym sposobem nawiązania kontaktu jest jak najszybsze skonstruowanie takiego nadajnika, który umożliwiłby nadawania audycji w języku i na paśmie makrosów. To potrwa jeszcze około pół roku. Możemy też - co jest jednak bardziej niebezpieczne, mówię to z własnego doświadczenia - pokazać się. Jeżeli oni uznają nas za istoty rozumne, nawiązanie kontaktu nie będzie już rzeczą trudną, jednak - dodał ciszej - musielibyśmy liczyć się też przy tej metodzie ze stratami...

Zebrani, oprócz Ennila, który wstrzymał się od głosu, postanowili zastosować metodę drugą. Chris poczuł, że ogarnia go duma z takiego kolektywu. Co za wspaniali koledzy! Może różnili się w swych poglądach, ale mieli na względzie dobro wspólnej, łączącej ich sprawy.

Nagle wstał z miejsca: - Przyjaciele!

Z brzmienia jego głosu wszyscy domyślili się, że ma im do powiedzenia coś niezwykłego. Spojrzeli na niego, skupieni, niemal w napięciu. I wtedy Chris wyjawiał to, co od pokoleń stanowiło ścisłą tajemnicę państwową; informacje przekazane w testamencie przez Toca.

X

O ile Hal Reon dobrze sobie przypominał, przeżył do tej pory tylko raz podobną wiosnę - w roku 2171.

Było ciepło i błogo, a wonne powietrze nakłaniało do oddychania pełną piersią. Taki zapach wzbudza radość i żądzę czynu, może uszczęśliwić.

A przecież pora roku nie była jeszcze tak bardzo zaawansowana; pąki dopiero rozkwitały, a liście wyglądały tak delikatnie, że chciałoby się osłonić je od góry dłońmi. A ta trawa! Zielona i tak krucha, że deptanie jej wydawało się barbarzyństwem!

Ale dla dwojga ludzi własne samopoczucie było chyba ważniejsze, niż dobro trawy. Djamila i Hal rozpostarli swój nieprzemakalny koc na leśnej polanie pokrytej mchem, w miejscu, gdzie słońce miało świecić. Jeszcze przez dłuższy czas, zdjęli z siebie ubrania i zaczęli się opalać.

Hal leżał, podłożywszy ręce pod głowę. Wpatrywał się w bezkresny błękit, obserwował bezwiednie migotliwe niebo nad wierzchołkami drzew, ale myśli jego krążyły ustawicznie wokół kombinatu, który zaczynał stwarzać problemy.

Już od miesiąca wysilał swój umysł nad tym, w jaki sposób można by udoskonalić te przekłete katalizatory, które za wcześnie przestawały działać. Robił to wprawdzie bez zapału, ponieważ sądził, że zna bardziej efektywną drogę. Ostatecznie opracowałem elaborat na ten temat, pomyślał, interesujące studium, które pleśnieje teraz gdzieś w szufladzie w sali egzaminacyjnej. m

Niejednokrotnie zastanawiał się już nad tym, czy nie zaczyna ulegać występującej obecnie w placówkach badawczych tendencji nieuznawania nowości i akceptowania tego, co już istnieje. Ta metoda rozpowszechniała się tak, niczym dawniej przewlekła grypa, stawała się nawykiem, przyjmowana nieświadomie przez jednostki i nęcąca dzięki swej wygodzie. Gdyby niedawny zjazd psychologów nie ujawnił tego zjawiska, kto wie, jak dalej potoczyłyby się sprawy.

- Mila - odezwał się - czy muszę iść z tobą wieczorem?

- Jak to? - zapytała. - Przecież sam chciałeś.

- Tak, tylko... Widzisz, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Byłoby dobrze, gdybym jeszcze raz zajął się tym generatorem. Gdyby okazało się, że pomysł jest dobry, można by go jeszcze uwzględnić; jutro ustalamy plan...

- No, dobrze - odparła po chwili Djamila - dam sobie jakoś radę. -

Odwróciła się na wznak, rozrzucając szeroko ręce, po czym dodała leniwie: -

Ale właściwie to ty powinienes iść; te wszystkie wyglupy, które zaczniesz wyliczać wychowawczyni, nasz kochany syn odziedziczył po tobie!

Hal westchnął nienaturalnie głośno. Temat, który nie ma końca, na pewno starszy, niż nasz sześćioletni Dań, a może nawet istniejący tak długo, jak sama ludzkość. Ale Mila ma chyba rację. Hal poczuł wyrzuty sumienia.

Może jestem za bardzo wygodnicki? Ona też nie jest lepsza ode mnie, próbował się pocieszyć. Te kochane maleństwa wykazują nieraz taką samodzielność, jakbyśmy nie byli im już wcale potrzebni, a nasza pedagogiczna ingerencja przeszkadzała im.

Trzeba by po prostu wymyślać stale coś nowego, coś, co budziłoby ich

nieprzerwany zachwyty. Co za bzdura! Ale w Domu Wychowawczym jakoś sobie z tym poradzili. W końcu mogło to jednak doprowadzić do sytuacji, w której rodzice staliby się czymś drugorzędnym. W każdym razie kiedy ich Dań spoglądał na kogoś, mierząc wzrokiem od stóp do głów, można było odczuć, jak przestarzałe ma się poglądy. Przez chwilę leżeli w milczeniu. Hal zwrócił głowę w jej stronę. Djamila miała przymknięte oczy.

Wsparł się na łokciu. Jest tak cudowna, jak pierwszego dnia. To już siedem lat. I nie widzę żadnego powodu, dla którego nie mielibyśmy przeżyć wspólnie następnych siedemdziesięciu lat. Powinniśmy trochę częściej spędzać nasz wolny czas razem. Mała ma dopiero cztery latka, a już zaczyna prowadzić poza przedszkolem swoje własne życie. Jeżeli tak dalej pójdzie, to wkrótce nie będziemy się widzieli całymi dniami... Gdyby ktoś mnie zapytał, czy jestem szczęśliwy, odpowiedziałbym bez namysłu: tak. Na pewno nikt z nas nie zrezygnowałby chętnie ze swych dawnych nawyków. Warto jest żyć, tak jak teraz! Nawet mając do czynienia z tymi bezwartościowymi katalizatorami!

Popatrzył na Djamilę.

Całkowicie odprężona leżała na plecach, a między jej pełnymi piersiami połyskiwały drobne kropelki potu.

Zaczął rozglądać się właśnie za jakimś źdźbłem trawy, którym chciał ją polaskotać, kiedy tuż przy jego uchu coś zabrzęczało, delikatniej niż pszczoła.

Przedwiośnie nie zdążyło jeszcze powołać do życia zbyt wielu owadów, skąd więc wziął się ten natręt?

Owad krążył nad Djamila, zataczając to większe, to znów mniejsze

koła, i w końcu osiadł na jej lewej piersi.

Nie otwierając oczu, Djamila machnęła ręką. Mucha siedziała jednak nadal na swoim miejscu, nie drgnąwszy nawet.

Hal nachylił się trochę, chcąc zdmuchnąć intruza. Nagle osłupiał: mucha miała trzy drobne skrzydła o układzie symetrycznie promienistym.

Momentalnie oprzytomniał. Żeby tylko się nie poruszyła! Mila spała nadal.

Ostrożnie podpełzł bliżej. Szkoda, że ten zwierz nie usiadł na prawej piersi, pomyślał. Widział niewiele. Owad, nie większy od zwykłej muchy domowej, miał trzy skrzydła, ogon w kształcie żądła, zakończony kilkoma włosami i - co ostatecznie nie było rzeczą rzadką - błyszczał metalicznie.

Hal pochylił głowę; zwierzę miało jedynie trzy krótkie, niekształtne nogi.

Co za dziwny owad! W dodatku w ogóle się nie rusza!

Ponieważ Hal nie dostrzegł niczego, co wyglądałoby na wysunięte żądło, nie obawiał się uklucia.

Zastanawiał się właśnie, czy nie powinien schwytać tej osobliwości, kiedy wydarzyło się coś jeszcze bardziej dziwnego: od muchy odłączyły się dwie szare kropeczki i zaczęły poruszać się prawie niepostrzeżenie w kierunku najwyższego punktu. Nie miały nawet milimetra długości, ale Hal odniósł wrażenie, że są to raczej drobne przecinki, które - tu wstrzymał w podnieceniu oddech - przesuwały się do przodu w pozycji pionowej.

Wydawały się tak lekkie i tak ostrożnie się poruszały, że Djamila nie czuła

ich w ogóle. Oddychała teraz głęboko i równomiernie.

Hal, w przeciwieństwie do niej, bał się niemal odetchnąć. Ostrożnie przysunął się jeszcze bliżej, nie wstając, żeby nie spłoszyć przypadkiem tej dziwnej istoty.

Przecinki dotarły już do granicy między bielą a kakaowym brązem.

Tam znieruchomiały, odwróciły się w lewo, potem w prawo, nawet wykonały ruch, jakby się ugięły, po czym zajęły się kilkoma drobnymi włoskami, które rosły w tym miejscu.

Djamila poruszyła się, przyjmując wygodniejszą pozycję. Jej piersi drgnęły leciutko. Mucha zachwiała się!

Hal zaczął pocić się z podniecenia. Zanim jednak zdołał zareagować, wszystko minęło: kropeczki, a raczej drobne przecinki stały się nagle bardzo ruchliwe. Nie zdążył nawet zmienić swojej pozycji - leżał na brzuchu, z rękami skrzyżowanymi pod piersią, opierając się na nich całym tułowiem - gdy przecinki dotarły do muchy i zniknęły.

Nieoczekiwanie skrzydła owada zaczęły obracać się poziomo! Bardzo szybko. Owad wzbił się błyskawicznie do góry, zatoczył trzy, cztery coraz większe koła i oddalił się powoli.

Hala doszło jeszcze ciche brzęczenie. Wyteżył wzrok, aby możliwie jak najdłużej nie stracić owada z oczu.

Owad kierował się w stronę stojącego opodal drzewa, zwalniając lot jeszcze bardziej.

W górze, na wysokości około pięciu metrów, była kiedyś upiłowana dosyć gruba gałąź. Widocznie tam właśnie osiadł owad, gdyż zniknął z pola

widzenia Hala i nie pojawił się więcej.

Hal opadł do tyłu. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest podniecony.

Oblewał go pot, puls bił szybciej, oczy piekły.

Co to było? Na pewno nie mucha!

Ale jeżeli nie mucha, to co?

Jakiś nieznanany owad.

Bzdura! Owad z wirującymi skrzydłami! Wirowanie to ruch obrotowy na łożysku. Żaden organizm nie byłby chyba zdolny uczynić czegoś takiego.

Hal nie mógł zebrać myśli. Zmusił się do koncentracji, zastanawiając się gorączkowo, czy kiedykolwiek w życiu widział już taką istotę. Jego wiadomości z biologii elementarnej pozostawiały jednak sporo do życzenia.

Kto by sobie napychał głowę faktami, skoro komputer domowy w ciągu kilku

minut

mógł

dostarczyć

żądanych

informacji

z

centrali

encyklopedycznej. Ale Hal nie bardzo wierzył w istnienie takiego

organizmu. Czy to możliwe, że właśnie ja odkryłem na tym starym,

całkowicie przeczesanym i zmienionym świecie nieznanego do dziś owada,

w dodatku takiego dziwnego, rozmyślał. Co za idiotyzm! Znowu spocił się z

emocji, nie mógł już uleżeć w miejscu, usiadł na trawie.

Jeżeli to nie był żywy organizm, to co? Maszyna, mała maszynka.

Kiedy pomyślał o przecinkach, zakręciło mu się w głowie.

Zerwał się z miejsca. Tu leży Djamila pogrążona we śnie. Oto polana, a tu drzewa. Lekki powiew wiatru wśród liści. A więc jestem przytomny, to nie sen!

Położył się z powrotem. Coś niebywałego!

Jego następną myślą było obudzić Djamilę. Muszę wreszcie coś zrobić, nie mogę przecież leżeć tak beczynn timer!

Maszyna!

Maszyna? Chyba widziałem już kiedyś coś takiego. Zadumał się. Długo tak rozmyślał, aż wreszcie coś przyszło mu do głowy: zdjęcie w jakiejś starej encyklopedii. W ubiegłym wieku istniały takie maszyny latające, heli...

heliko... Nie mógł sobie przypomnieć. Zaraz - helikopter! Teraz pamiętał już wszystko: dwa do czterech przecinków, ach, bzdura - członkowie załogi.

- Mila!

Cisza.

- Djamila, wstawaj!

Jeżeli Hal, zwracając się do niej, używał pełnego imienia, oznaczało to, że sprawa była poważna. Tak też było tym razem!

Zwróciła ku niemu głowę, mrugając oczami.

- Nie śpisz już? - zapytał tonem inkwizytorskim.

Otworzyła oczy przesadnie szeroko i potrząsnęła głową.

- Przed chwilą na twojej piersi stał hel... helikopter. Wylądował tam -

zawołał Hal.

- Hm - mruknęła tonem zupełnie jednoznacznym.

- Naprawdę, tu!

- Przestań, to łaskocze - zachichotała.

Hal poczuł, że zaczyna ogarniać go złość. - Z pilotami, rozumiesz, takimi małymi. - Zmrużył oko, żeby lepiej ocenić odstęp między kciukiem a palcem wskazującym; w taki właśnie sposób zademonstrował wzrost pilotów.

Spojrzała na niego z politowaniem, z jakim spojrzałaby chyba na rozbitka ze statku kosmicznego, któremu lata samotności rzuciły się na mózg. Potem powoli, z prowokacyjnym spokojem puknęła się w czoło.

- Te twoje katalizatory załazły ci niezłe za skórę - powiedziała z przekonaniem.

- Bzdura! - zaprzeczył gwałtownie. - Czy przedtem, zanim zasnęłaś, poczułaś, że coś ci usiadło na piersi? Machnęłaś nawet ręką.

- Możliwe - przyznała niepewnie. Jeszcze nie udzieliło się jej jego podniecenie.

- To był właśnie on! - zawołał Hal.

- Kto?

- No, helikopter, do diabła! - Teraz rozzłościł się nie na żarty.

- Aha! - Skinęła głową. - A co to takiego helikopter?

- To taki niby samolot z ubiegłego wieku, z wirnikiem nośnym, startujący pionowo do góry - wyjaśniał niecierpliwie, zataczając palcem wskazującym kręgi przed jej nosem, które miały imitować obroty wirnika.

- Rozumiem - powiedziała. - I taki helikopter stał tu? - wskazała

palcem. - W dodatku z pilotami?

- No, nareszcie - odetchnął z ulgą. - Mam nadzieję, że rozumiesz też, co to oznacza!

- Owszem - odparła z udaną powagą i, nie unosząc głowy, skinęła nią z namysłem. Nadal leżała na wznak z prowokacyjnym spokojem. - Można by było oskarżyć ich przed radą rozjemczą o nieprzystojne dotknięcie.

Tym razem cierpliwość Hala się wyczerpała. Chwycił Djamilę za ramiona i poderwał do góry.

- Ja mówię poważnie! - zawołał.

- Naruszyłeś ich lotnisko - powiedziała z wyrzutem. Po chwili zrozumiała chyba jednak powagę sytuacji. Sam zresztą Hal czuł się podekscytowany jak jeszcze nigdy przedtem. To na pewno widać po mnie, pomyślał.

- Nie czujesz się dobrze? - zapytała przykładając mu dłoń do czoła.

- Posłuchaj - powiedział, zmuszając się do spokoju. - Nie przerywaj mi, to ci wszystko opowiem. - I zaczął opowiadać od początku.

Djamila słuchała uważnie. Kiedy skończył, zapytała rzeczowo:

- Czy to na pewno nie był sen? To się nieraz zdarza - dodała uspokajająco, widząc jego gwałtowny ruch ręką.

Zapadła cisza.

Raptem zapytała:

- Tam w górze? - To mówiąc, wskazała na brzozę z odciętym konarem.

Skinął głową.

- Może zobaczymy? - zaproponowała.

Poczuł wobec niej wdzięczność. Przynajmniej zachowuje się tak, jakby mi wierzyła, pomyślał.

Szybko narzucili coś na siebie. Hal zaczął wchodzić na drzewo, starając się nie trząść nim za bardzo.

Z wysiłkiem dotarł do gałęzi i spojrzął na miejsce jej odcięcia, tworzące platformę. To, co ujrzał, zaskoczyło go tak, że o mały włos nie spadł na dół.

Szybko skinął na Djamilę, żeby wdrapała się ostrożnie za nim. Sam wspiął się jeszcze wyżej, dotarł do widlastego konara, położył się brzuchem na gałęzi i w ten sposób miał niemal tuż przed sobą platformę.

Tymczasem Djamila usadowiła się w miejscu, z którego również mogła obserwować platformę. Krew napłynęła jej do twarzy, oczy latały nerwowo, usta były otwarte jak do krzyku.

Przed nimi znajdowało się lotnisko!

Wystarczyło spojrzeć na panujący tam porządek, żeby pozbyć się wątpliwości, czy ma się do czynienia z istotami rozumnymi. W idealnie równym szeregu stało siedem mini-helikopterów, przed nimi kilka filigranowych wózków podnośnych i reszta sprzętu. Helikoptery, wśród których znajdowały się maszyny różnego typu, znajdowały się na skraju gładkiego pasa startowego o szerokości około dwóch centymetrów. Hal domyślił się, że mogą tu startować i ladować również inne samoloty, nie tylko te startujące pionowo.

Niemal na skraju płaszczyzny stały czworokątne bryły, a właściwie

malutkie bryłki. Hal uznał je za budowle, ponieważ miały otwory, jakby po nakłuciu kanciastą igłą, które spełniały według niego rolę okien.

Pośrodku platformy wznosiła się czterocentymetrowej wysokości wieża, nie grubsza od zwykłej słomki do picia. Osobliwe wrażenie sprawiały rosnące tu jak pod sznurek glony i inne rośliny, które znalazły na starym drzewie dobrą pożywkę; wyglądały jak zieleńce.

Zdumiewające było to, że zarówno samoloty - o ile Hal mógł dostrzec coś na tych miniaturkach - jak również budowle wykazywały stan rozwoju nauki z ubiegłego stulecia. Hal szacował je na czwarte ćwierćwiecze.

W otworach przy korze drzewa wydrążonych przez osę albo jakiegoś robaka, dostrzegł drobne przedmioty w kształcie ziarna.

Musiał dobrze wyteżać wzrok, żeby na brudnoszarym podłożu dostrzec jeden z przecinków, który - jak mu się zdawało - pełzał tam i z powrotem tuż przy zieleńcu.

Porozumieli się wzrokiem. Djamila skinęła głową, po czym zaczęła schodzić z drzewa. Hal podążył ostrożnie za nią.

Na dole czekała na niego.

- Słuchaj - szepnęła - co teraz zrobimy?

Sam nie wiedział. Nie zdawał sobie sprawy z wagi swego odkrycia, czuł tylko, że gdzieś nad nimi zawisła lawina pełna wydarzeń i że wiatr, który ją poruszy, zaczął już wiać.

- Potrzebny jest nam jakiś dowód - odezwała się raptem głośno - w przeciwnym razie nikt nam nie uwierzy.

Hal klepnął się w czoło. Ona ma rację. Już szykował się do powtórnej

wspinaczki na drzewo, kiedy Djamila chwyciła go za rękę.

- Stój, poczekaj chwilę! Musimy się zastanowić. Nie pomyślałeś w ogóle o tych... przecinkach?

Znowu miała rację.

Usiedli na kocu, spoglądając co chwilę na brzozę, w obawie, że dojrzą ów drobny rój znikający stąd na zawsze. Wtedy pozostałaby jedynie wizja, nic więcej. Naradzali się gorączkowo.

Po pewnym czasie Hal zaczął wspinać się ponownie na brzozę. Usiadł na swoim poprzednim miejscu, ostrożnie przesunął kciuk i palec wskazujący po ściankach helikoptera i ścisnął go lekko obydwoma palcami. Następnie potrząsnął kilkakrotnie aparacikiem i postawił go z powrotem, nie wypuszczając jednak z ręki. Odczekał pełną minutę, starając się opanować drżenie.

Gdyby wbrew przewidywaniom w środku znajdowały się owe przecinki, miały teraz okazję do ucieczki. Każda istota rozumna postąpiłaby w ten sposób, gdyby groziło jej jakieś nieznane niebezpieczeństwo.

Następnie włożył helikopter do pudełeczka, które miał z sobą, zamknął je starannie i zszedł na dół. Ogarnęło go uczucie triumfu, mimo że nie dokonał przecież żadnego bohaterskiego czynu. Zabranie tego malutkiego przedmiotu było łatwiejsze niż schwywanie muchy.

Zaledwie zeskoczył na ziemię, coś zabrzęczało nad nim. Widocznie z platformy wystartowały pozostałe helikoptery. Nie był nawet w stanie ich policzyć, leciały bowiem szybko i w nieładzie. Nie wyglądało to jednak na ucieczkę; raczej na akcję poszukiwawczą.

Najpierw krążyły razem, potem rozproszyły się po okolicy. Wkrótce jeden z nich zafurczał obok Hala, który uświadomił sobie w tym momencie, że z łatwością mógłby strącić samolot na ziemię uderzeniem ręki. W chwilę później krążyły nad nimi pozostałe helikoptery.

Dla żartu Hal dmuchnął na jednego. - Nie! - zawołała Djamila.

Ale mały helikopter, porwany przez prąd powietrza, zaczął już spadać ruchem spiralnym. Na szczęście pilot stanął na wysokości zadania.

Pokierował maszynę tak, że śmigło podeszło pod wiatr, po czym, niesiony przez pęd powietrza, oddalił się.

Zniknęły również pozostałe helikoptery. Ku swej radości Hal i Djamila ujrzeli je w chwilę później, kiedy jeden po drugim zaczęły lądować na platformie.

Do domu postanowili wrócić koleją próżniową, aby nie tracić czasu.

Lot o tej porze dnia nie miał sensu. Ich trasa powietrzna przecinała całe miasto, a przecież nieraz już zdarzało się, że komputer do koordynacji lotów nie wywiązywał się ze swej funkcji. Dwuminutowe postoje przy każdym skrzyżowaniu tras nie należały wtedy do rzadkości. Tym samym samolotem, którym przybyli tu, dolecieli więc tylko do stacji. Po niecałej godzinie szli już drogą prowadzącą do ich mieszkania.

Tego dnia dla Hala katalizatory oczywiście nie istniały. Djamila udala się do Domu Wychowawczego. Mimo wszystko nie mogli zaniedbać syna.

Ostatnio zrobił się nieznośny.

Wspólnie ułożyli plan działania, którego pierwszą część Hal starał się teraz wykonać.

Najpierw zadzwonił do Gwena Kaspera.

Gwen wyglądał na nieco przemęczonego.

Wideofon wskutek defektu składnika X zniekształcał w dużym stopniu obraz na przeciąg jednej minuty od momentu włączenia, dlatego Hal odniósł wrażenie, że guz na głowie Gwena trafi go niemal prosto w nos.

- Co się stało? - zapytał.

- Uprawiaj sport, jeżeli nie zależy ci na zdrowiu - mruknął Gwen, przykładając sobie kostkę lodu.

Na ekranie pojawiła się twarz Ewy. - Nonsens, nie słuchaj go, Hal.

Tatuś wyglądał się po prostu ze swoją córką. Koniecznie chcieli wykonać samolotem pętlę, no i spadli z wysokości czterech metrów.

Gwen rozłożył bezradnie ręce, ale Hal, płonąąc z niecierpliwości, zmienił już temat.

- Znasz mnie dobrze? - zaczął przebiegle.

- Hm? - Twarz Gwena wyrażała całkowitą dezorientację.

- Czy według ciebie jestem normalny? - nalegał uporczywie Hal.

Gwen spojrzał na niego marszcząc brwi.

- Jeszcze godzinę temu odpowiedziałbym, że tak - odparł uszczypliwie.

Hal przeszedł do sedna sprawy.

- Jak sądzisz, co to jest? - Swoje pytanie poparł faktami. Postawił na stole mini-helikopter, z przodu ustawił czytnik i dla porównania przytknął do helikoptera swój mały palec.

Gwen wiedział, że jego przyjaciel Hal nie należy do ludzi zbyt poważnych, ale ogólnie rzecz biorąc można traktować go serio. Niejedną już

noc spędzili na dyskusjach. Była to prawdziwa przyjaźń, nie absorbująca za bardzo partnerów, ale za to trwała. Każdy z nich wiedział, co sądzić o drugim. Dlatego Gwen potraktował poważnie pytanie Hala.

- To jest zabawka, którą pewien zdolny widocznie majsterkowicz zrobił nie wiadomo po co w wolnych chwilach - odparł.

- Ale jeżeli dodam, że ta zabawka potrafi latać? - W głosie Hala brzmiało napięcie.

- Wtedy uznam, że twoje uciążliwe cechy dziedziczne jednak funkcjonują - odparł nie spieszony.

Wzmianka o cechach dziedzicznych jakby podziałała na Hala.

- Nie, bez wyglupów - obruszył się. - Djamila jest świadkiem.

To był argument. Mila była znana jako osoba bardzo konsekwentna i prostolinijna. Nigdy właściwie nie fantazjowała i Gwen wiedział o tym.

- No to puść go, niech poleci - ustąpił Gwen.

- W tej chwili nie mam odpowiednich pilotów - odparł z żalem Hal.

Gwen złapał się za głowę, ale w ostatniej chwili zapanował nad sobą.

Udając, że chciał tylko obmacać sobie guza, spoglądał wyczekująco na przyjaciela.

Hal zaczął opowiadać mu o wszystkim; tak precyzyjnie i zwięźle, jak to było możliwe.

- I jesteś pierwszą osobą, z którą rozmawiamy na ten temat -

zakończył. - Wydaje mi się, że powinieneś zainteresować tą sprawą komisję

ONZ. Innego sposobu nie widzę.

W swoim czasie Gwen i Hal przygotowywali się wspólnie na studia

produkcyjne. Hal wybrał automatyzację procesów technologicznych, a Gwen próbował swych sił przy ulepszaniu produkcji. Potem uświadomił sobie, że pociąga go raczej sama technika. Po odbyciu zwykłej praktyki produkcyjnej został zatrudniony w Radzie Terytorialnej 231, kilkakrotnie był odznaczony przez Centrum Koordynacji, zdobył też wpływy jako członek kilku między-terytorialnych gremiów, na przykład w Komisji ONZ do Spraw Obrony Poszczególnych Terytoriów. Należał do tych ludzi, którzy doprowadzają szczęśliwie do końca raz rozpoczętą sprawę.

Właściwie, tak jak i Hal, był zawsze skory do figłów. Nie miał tylko szczęścia do swoich partnerek, chociaż można było o nim powiedzieć, że jest człowiekiem zgodnym i zrównoważonym. Należało przyznać obiektywnie, że przede wszystkim winę ponosił tu istotnie przypadek: pierwsza z nich poczuła nagle pociąg do astro-archeologii i wygrzebywała teraz na Marsie pozostałości jakichś zagadkowych kultur, zresztą z dużym powodzeniem, ale również uporem. Drugiej przestały się podobać częste wyjazdy Gwena. Ewa natomiast trzymała go krótko.

- A może po prostu ulegliście psycho-złudzeniu? - zapytał Gwen po krótkiej chwili milczenia. Potem odpowiedział sam sobie: - Nie, bo skąd w takim razie mielibyście ten drobiazg?

Nie zastanawiał się dłużej.

- Słuchaj - powiedział - spróbuję skontaktować się z profesorem Agelem, nie, on wyjechał... No, to z profesorem Fontaine. To jest nasz ekspert. Potem przyjdę po ciebie i odwiedzimy go razem. Djamila też. Propozycja Gwena ucieszyła Hala; drugą osobą, z którą zaplanował

spotkanie, był właśnie profesor Fontaine.

Dyskusja trwała trzy godziny. Profesor Fontaine był człowiekiem praktycznym. Kiedy Hal postawił przed nim helikopter, zmarszczył tylko nos i wysłuchał wszystkiego do końca, również wyjaśnień Djamili.

- Kiedy to się stało? - zapytał wreszcie.

Potem zastanawiał się przez chwilę.

- Drzewo stoi tam jeszcze, no tak, oczywiście. - Mówił raczej do samego siebie. Wyjrzał przez okno.

Piękny, wiosenny dzień przechodził już w zimną, pogodną noc.

- Jutro o szóstej u mnie - zdecydował profesor. - Formalności w zakładach pracy załatwię sam. - Uświadomił sobie widocznie swą nadrzędną funkcję i spojrzał na nich jakby z góry. - Nie myślę się chyba przypuszczając, że chcą państwo wziąć w tym udział? - Uśmiechnął się. -

Kolego Kasper, najpóźniej pojutrze wasza komisja powinna się tym zająć.

Hal poczuł się trochę nieswojo. Myślał w tej chwili o swoich katalizatorach, ale jeszcze bardziej o minie, jaką robi Royl, jego szef. Na pewno nie wykaże żadnego zrozumienia dla pomysłu, żebym przez pewien nieokreślony czas zajmował się jakimś głupstwem. Dla niego wszystko, co rozgrywa się poza kombinatem, na forum jakichś komisji czy gremiów, jest głupstwem albo przynajmniej sprawą drugo - lub nawet trzeciorzędną, a więc prawie zbyteczną. Oczywiście i tym razem nie powie tego oficjalnie.

Właściwie to niezły facet, ale ma spore zadatki na technokratę i jest teraz na najlepszej drodze, aby stać się fachowym idiotą, snuł złośliwie swe rozważania Hal, niezupełnie obiektywne; przypomniał sobie własny

projekt. Ale mimo to dokonaliśmy już wiele w naszym - kombinacie, również w moim wydziale. Czy to umocniło Royla w przekonaniu, że jest kimś wybitnym? Jeżeli tak, to oczywiście moje dodatkowe zajęcie będzie dla niego solą w oku.

Pomyślał o zjeździe psychologów i jego niezadowolenie pogłębiło się.

Nietrudno było zgadnąć, że nie będzie go tu przez dłuższy czas, a wtedy może wysliznąć mu się z rąk wiele spraw. Ale ostatecznie takie odkrycie to też nie byle co!

Ciekawe, czy Royle uwierzyłby w istnienie tych malutkich ludzików, gdyby mu o nich powiedzieć? Żyjemy w czasach, kiedy wszystko jest możliwe, albo takie przynajmniej odnosi się wrażenie, zastanawiał się Hal.

W każdym razie każdy przejaw postępu technicznego jest realny, każda maszyna powstaje w wyniku myśli ludzkiej i nie jest uznawana za sensację.

Nawet nawiązanie kontaktu z inną cywilizacją we wszechświecie jest już tylko kwestią czasu. A Royla, ani nikogo innego nie zdziwiłaby wiadomość o wylądowaniu kosmonautów z innej planety.

Coś, co można przewidzieć, nie było w stanie zadziwić Royla. Jeżeli drogę wyznaczyła już nauka pozostawało tylko rozwiązać zadanie do końca. I jeżeli mam dokończyć tę myśl, to istnieje dziś wielu ludzi pokroju Royla. To oczywiście nie jest zbyt pocieszające, ale nic nie poradzimy.

Hal spojrział na Fontaine'a, na jego zaczerwienioną z podniecenia twarz, i uświadomił sobie, że z całego serca powie "tak", niezależnie od tego, jak to się odbije na jego opinii w kombinacie.

Profesor zwrócił się do Djamili i Hala.

- Wasze odkrycie jest rzeczywiście niesłychane - powiedział, po czym pokiwał głową.

- Kim oni mogą być, profesorze? - Hal zadał pytanie, nad którym wszyscy głowili się już od - kilku godzin. - Czy przybyli stamtąd? - Tu wskazał ręką jakiś nieokreślony punkt na roziskrzonym; gwiazdami niebie.

Profesor wzruszył ramionami.

- Poczekajcie do jutra - odparł.

XI

Dziewiąty dzień - wspaniały, wonny, słoneczny; dzień, który ożywił wschodzącą już zieleń olbrzymiego lasu i ubarwił polanę pod pełniącym rolę bazy; drzewem. Nawet odgłosy olbrzymich, ale w gruncie rzeczy nieszkodliwych ptaków, brzmiały radośniej.

Tego dnia dyspozytor zarządził alarm o godzinie dwunastej. Na lotnisku znajdował się tylko helikopter, pozostałe krążyły od dwóch dni nad miastem. Szukały okazji, aby zwrócić na siebie uwagę i prowadziły obserwację. Chris udał się z nimi, chcąc być pod ręką na wypadek, gdyby zaszła potrzeba podjęcia natychmiastowej decyzji. W bazie pozostali Gela, grupa zaopatrzeniowa i Karl jako pilot.

Krótki raport, przekazany Geli przez dyspozytora, brzmiał:

- Polana pod "Highlife" zmieniła nagle całkowicie swój wygląd. Część zielonej powierzchni pokrywa teraz jakaś biała, rozległa masa! - Z wahaniem dodał jeszcze: - To zjawisko może mieć coś wspólnego z istotami makro.

Po chwili Gela wbiegła po stopniach na szczyt wieży dyspozycyjnej "Południe", z której roztaczał się widok na polanę. Zanim jeszcze podeszła do okna, poprosiła dyspozytora, aby wezwał Karla.

Rzeczywiście: na polanie leżały dwa ciała o niewyraźnych konturach, wydatnych wypukłościach i wrębach. Ale dlaczego wszystko dookoła jest takie białe, zastanawiała się Gela. Istoty makro, które widywaliśmy do tej pory, wyglądały inaczej.

W zamyśleniu spoglądała na swoje dłonie, odcinające się bielą od szarego pulpitu sterowniczego. Nagle zrozumiała: oni są nie ubrani!

Widocznie wygrzewają się w wiosennym słońcu, mają czas.

Co za wspaniała okazja. Musimy zrobić wszystko, żeby ją wykorzystać, pomyślała. Odwróciła się do dyspozytora.

- Wezwij Chrisa i jego grupę. Powiedz mu, że spróbuję ściągnąć uwagę tamtych na bazę.

W tym momencie nadszedł Karl.

- Karl - powiedział Gela. - Przygotuj helikopter do startu.

Zaryzykujemy. Spójrz! - Wskazała ręką za okno. - To nasza szansa - dodała.

Karl skinął głową. Oczy mu błyszczały. - Masz jakiś plan? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Zbliżymy się do nich i wylądujemy, o ile to będzie możliwe, w ich polu widzenia. Sama nie wiem.

Poczuł dla niej podziw. Znali się od czasów, kiedy zaczęła studiować.

Ale jakie mogła mieć doświadczenie, kiedy w grę wchodziła tego rodzaju ekspedycja? Ma studia, zgoda. Ale tu, teraz? Po tych wszystkich niezbyt pocieszających próbach nawiązania kontaktu z istotami makro? Tamta katastrofa podczas burzy może wydawać się przy tym dziecięcą zabawą. Tym razem chodzi o śmierć i życie.

Jak ona to spokojnie powiedziała: "Zbliżymy się do nich..." Właściwie pasują do siebie z Chrisem. On też by się długo nie zastanawiał.

Karl wyjrzał jeszcze raz przez okno. Dwie białe góry wyglądały tak, jakby się wcale nie zmieniły.

- No, to czas na mnie - powiedział. - Przygotuję helikopter, a ty nie spuszczaaj ich z oka.

Wkrótce wystartowali. Początkowo zamierzali zbliżyć się lotem koszącym, kiedy jednak dotarli do podnóża drzewa, okazało się, że istoty makro, dające się z góry ogarnąć wzrokiem, zmieniły się teraz w masę o mglistych zarysach, odcinającą się od zieleni leśnej polany. W miarę zbliżania kontury zacierały się coraz bardziej, a biel zalewała już jakby cały horyzont.

- Karl, wylądujemy na nich - odezwała się nagle Gela. Siedziała w fotelu drugiego pilota i nachylona do przodu wpatrywała się przed siebie, podniecona, z zaróżowionymi policzkami, bębniąc nerwowe palcami o tablicę rozdzielczą. - Wyszukaj jakiś wysoko położony punkt, miejsce na tej białej powierzchni, gdzie będziemy widoczni, rozumiesz? Żeby nas dostrzegli!

Skinął głową. Helikopter zatoczył kilkakrotnie kręgi, pod nimi przemknął mocno zróżnicowany teren. Zieleń podłoża i biel ciał istot makro zmieniały się jak w kalejdoskopie.

Najpierw

widzieli

tylko

trudny

do

zidentyfikowania

teren

poprzerynany rozpadlinami i dopiero przy trzecim okrążeniu Gela

zawołała:

- To są chyba ich głowy. Tam nie ląduj w żadnym razie. Nie byłoby tym zachwyceni, pamiętasz o niedawnym wypadku Chrisa? Nie zbliżaj się też za bardzo do ich oczu! - Gela oparła lewą ręką na ramieniu Karla. Drżała z podniecenia. Potem spojrzała mu prosto w oczy. - Bądź ostrożny, Karl - powiedziała cicho.

Karl zmienił promień koła. Lotem koszącym zakręcił ostro. Ziemia zniknęła z ich pola widzenia, przez chwilę stracili całkowicie orientację, a potem przed ich oczyma pojawiło się coś w rodzaju płaskowyżu: białego z błyszczącymi cętkami. Powierzchnia terenu opadała jakby na wszystkie strony, tworząc duży, regularny, spłaszczony pagórek. Opodal wznosił się stożek zakończony silnie popękany, przypominającym cylinder szczytem. Tam również podłoże miało wyraźnie brunatne zabarwienie, odcinając się w ten sposób dosyć ostro od bieli.

Geli przyszła do głowy absurdalna, jak jej się początkowo wydawało, myśl. Zerknęła z boku na Karla, ale ten był akurat zajęty przy sterach. - Lądujemy - zdecydowała.

Im niżej opuszczał się helikopter, tym więcej widać było szczegółów podłoża. Rowy i rozpadliny tworzyły osobliwą mozaikę, gdzieś tam połyskiwały matowe pasma, przezroczyste, niebieskawe płytki leżały porozrzucane chaotycznie w większych odstępach, a tu i ówdzie błyszczały krople wody.

Karl sterował wprawnie, kierując się ku niewielkiemu wzniesieniu.

Osiadł ostrożnie. Silnik stanął.

Cisza, jaka zapadła, wzmogła jeszcze bardziej niesamowity nastrój.

Przez dłuższy czas czekali.

Gela poczuła nagle namacalnie zbierające się nad nimi chmury, uświadomiła sobie, jak niewiele potrzeba, żeby zmieść z powierzchni helikopter i jego załogę, zmiażdżyć ich. Otarła sobie czoło dłonią.

- Słyszysz? - zapytał Karl.

Teraz i ona usłyszała: głuche, rytmiczne dudnienie, po którym każdorazowo następował lekki wstrząs. Odetchnęła głęboko i zawołała z ulgą:

- Puls, Karl! Tak, to puls... - Nastuchiwała przez chwilę. - Jaki spokojny. Ona chyba śpi, szkoda!

Dopiero po pewnym czasie Karl zdał sobie sprawę z sensu jej słów.

- Jak to "ona"?

Gela uśmiechnęła się.

- A dlaczego nie? - zapytała nieco ironicznie. - Tu jest tyle samo "za" co i "przeciw".

Karl mrugnął do niej.

- Na pewno masz podstawy, żeby tak mówić.

Spoważniała nagle.

- Wsiądźmy lepiej. Czuję się jakoś nieswojo! - dodała, rozglądając się dokoła.

Karl skinął głową.

Gela wyskoczyła pierwsza i o mały włos byłaby się pośliznęła.

- Karl, uważaj! - ostrzegła go.

Odwrócili się. Wokół nich panował spokój, nic nie wskazywało na niebezpieczeństwo. Podłoże było niemal idealnie równe, zagłębienia nie stanowiły poważnej przeszkody.

- I co teraz? - zapytał Karl. Potem dodał: - Jak myślisz, gdzie jesteśmy?

Gela milczała.

- Przejdziemy się trochę - odparła wreszcie. - W tamtą stronę. -

Wskazała ręką na stożek, wznoszący się łagodnie w odległości około stu pięćdziesięciu stóp.

- Spróbujemy coś zrobić, żeby nas zauważyli. Chyba teraz powinno się udać, jeżeli mnie wzrok nie myli. - Uśmiechnęła się znowu. - Ciągle jeszcze nie wiesz, gdzie się znajdujemy?

Karl zatrzymał się i powiódł wzrokiem dokoła. Tam stoi helikopter, a za nim, trochę dalej, czy to nie jest przypadkiem taki sam pagórek zakończony stożkiem? Nagle coś zaświtało mu w głowie. Pomysł wydał się tak nieprawdopodobny, że nie mógł w to uwierzyć.

- Co! - zawołał. - Czy to możliwe? - Przez chwilę sprawiał wrażenie zakłopotanego, potem potrząsnął głową. - To jest ciekawe, ale jednocześnie trochę nieprzyzwoite, prawda?

Roześmiała się.

- Ona nam na pewno wybaczy, a ty jakoś to przebolejesz!

- No wiesz! - mruknął Karl. - Nigdy bym nie przypuszczał, że będę sobie chodził po... Z tobą przeżywa się zawsze jakieś emocje, ale nawet jazda na Czerwońcu wydaje się teraz niczym w porównaniu z tym! - Z całej siły

uderzył obcasem o podłoże.

Gela poczuła przyływ odwagi.

- Chodź ze mną. Widzisz te wielkie źdźbła? To włosy. Zaraz zwrócimy na siebie jej uwagę. To miejsce jest bardzo łaskotliwe; wiem coś o tym! -

Spojrzała na niego przebiegle.

Jedyną odpowiedzią Karla był grymas na twarzy; wolał pominąć jej uwagę milczeniem.

Pierwszy włos znajdował się dokładnie na linii, gdzie biel podłoża przechodziła w brąz.

- No, na co czekasz? - Gela zaparła się nogami tam, gdzie włos wyrastał z podłoża, i zaczęła szarpać go z całej siły.

Karl podbiegł z drugiej strony i na komendę "Hoop!" pociągnęli razem.

Niezwykłe lądowisko, cisza panująca wokół i niefrasobliwa rozmowa sprawiły, że zapomnieli o ostrożności. Do rzeczywistości przywołał ich dopiero potężny wstrząs. Momentalnie puścili włos i podnieśli się.

- Helikopter! - zawołał nagle z przerażeniem Karl.

Gela spojrzała we wskazanym przez niego kierunku.

Maszyna chwiała się, jakby w każdej chwili miała się przewrócić.

Drgania nie ustawały.

- Szybko! zawołała Gela. Karl pobiegł za nią.

Wstrząsy ustały wprawdzie, zanim zdążyli dobiec do śmigłowca, ale to nie powstrzymało ich; strach działał w dalszym ciągu.

Dopiero kiedy unieśli się w powietrze, Gela przyszła do siebie. Karl

musiał się skoncentrować na błyskawicznym starcie.

- Zrób jeszcze kilka okrążeń - powiedziała Gela. Wydało jej się nagle, że białe, plamy w dole poruszyły się.

- Jeszcze masz nadzieję? - zapytał Karl. Wzruszyła ramionami. Po trzecim okrążeniu porozumieli się wzrokiem, po czym Karl wziął kurs na "Highlife".

Cała załoga czekała już na nich. Dwa śmigłowce stały w pełnej gotowości.

Chris pomógł Geli wsiąść. Zanim jeszcze silnik stanął, zawołał:

- Gela, szczęściaro, chyba się udało! Mamy zdjęcia. Ten drugi jakby się wam przypatrywał. Po waszym lądowaniu zmienił pozycję i tak pozostał do końca.

Gela roześmiała się uradowana.

- Nawet jeżeli się nie udało - powiedział Karl z uśmiechem - to długo będę pamiętał tę wycieczkę. Czuję się tak, jakby jednego dnia wypadło kilka świąt.

Zebrani spojrzeli na niego ze zdziwieniem, ale zanim jeszcze Karl

zdążył im to wyjaśnić, rozległ się okrzyk dyspozytora z wieży:

- Jeden z nich wstał i chodzi tam i z powrotem! Załoga pobiegła na skraj płaskowyżu. Nie ulegało wątpliwości; widok zmienił się całkowicie, panował tam jakiś ruch. Ale już po chwili wszystko wyglądało tak jak przedtem.

Czekali jeszcze trochę. Potem Gela wypowiedziała na głos myśli wszystkich obecnych:

- Nic z tego! - Odwróciła się i ruszyła z powrotem. Część załogi

przylączyła się do niej, reszta stała niezdecydowana.

- Obserwuj dalej! - zawołał Chris do dyspozytora. - Melduj o każdej zmianie. Poczekamy pół godziny, a potem wystartujemy jeszcze raz, ale trzema helikopterami. - Wyznaczył jeszcze trzy załogi i odszedł. Nieliczni, ci najbardziej wytrwali, zostali obserwując polanę.

Po kilku minutach znowu zauważyli jakiś ruch. Chris pobiegł na wieżę. Już wkrótce stało się jasne, że próba nawiązania kontaktu nie powiodła się, mimo niezwykle korzystnych warunków. Makrosi zmienili swój kształt i kolor, a to oznaczało tylko jedno: ubierali się, a więc chcieli odejść. Po chwili wstali.

Wyglądało to tak, jakby pod drzewem poruszały się dwa olbrzymie kłęby grubych, potarganych włosów. Wkrótce obydwie głowy zbliżyły się do drzewa na tyle, że zniknęły z pola widzenia.

Na twarzach obserwatorów błyszczala jeszcze nadzieja. Potem Chris odszedł. Opuścili również swe miejsca na skraju płaskowyżu ci najbardziej wytrwali.

Kiedy Chris położył dłoń na klamce, znieruchomiał. Całe ich pomieszczenie wyraźnie zadygotało, ale nie tak, jak podczas wichury, zresztą pogoda była niemal bezwietrzna.

- Alarm! - zawołał. W dwóch susach znalazł się przy emiterze wizyjnym. - Uwaga, kryć się! Wszyscy opuszczają pomieszczenia! Nie zidentyfikowane niebezpieczeństwo!

Pośpiesznie zeszli z wieży. Zgodnie z instrukcją obowiązującą w razie

alarmu, każdy z nich miał schronić się teraz w odpowiedniej jaskini na skraju płaskowyżu.

Po drodze spotkał Karla i Gelę. Odniósł wrażenie, że Gela czekała na niego, i przez chwilę poczuł się szczęśliwy. Ostatni odcinek drogi przebiegli wspólnie.

- Chris, jak myślisz - Gela wykrzykiwała poszczególne słowa w rytm oddechu - czy to możliwe, że się nam uda?

Wstrząsy przybrały na sile, utrudniając poruszanie się. Chris nie odpowiedział. Zwolnił kroku i obejrzał się. W oddali stały helikoptery.

Powinniśmy byli zabezpieczyć przynajmniej jeden, pomyślał.

Gela pozostała w tyle, czekając na niego. Chwycił ją za rękę.

- Niedługo dowiemy się czegoś więcej, chodź!

Dotarli właśnie do schronu, kiedy niebo pociemniało. Nie było sensu trzymać teraz całej grupy w jaskini, jak nakazywał regulamin. Stanęli więc przy wyjściu, spoglądając w górę.

W odległości około tysiąca stóp widniała nad równiną, oświetlona od tyłu promieniami słońca, potężna kula. Źrenice dwojga olbrzymich oczu poruszały się, obejmując swym zasięgiem cały plac.

Stojący przed jaskinią mimo woli cofnęli się, kryjąc się w jej wnętrzu.

Chris, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi, ścisnął rękę Geli.

Przysunęła się do niego bliżej.

- Nareszcie - wykrztusił Chris.

Głowa nagle zniknęła. Kolejne wstrząsy zaniepokoiły wszystkich.

- Co teraz? - Takie i podobne pytania rozlegały się dokoła. Spoglądali

po sobie bezradnie.

- Poczekajmy - zawołał Chris, wymachując ręką, aby zwrócić na siebie uwagę. - Poczekajmy - powtórzył:

- Charles, przygotuj kamerę filmową. Karl, spróbuj sprowadzić tu pod schron helikopter, ale uważaj na siebie.

Czekanie stawało się nieznośne. Ennil upierał się, żeby podjąć na nowo obserwacje z wieży. Chris nie zgodził się na to.

- Co ty byś zrobił na ich miejscu? - zapytał. - Oni zetknęli się z nami po raz pierwszy, muszą najpierw otrząsnąć się z zaskoczenia i coś postanowić.

A jak myślisz, ile my byśmy potrzebowali na to czasu? No, widzisz!

Przed nimi wystartował helikopter. Właśnie wylądował przed schronem, a Nilpach wyskoczył z niego, meldując:

- Wziąłem pierwszy lepszy, który... - kiedy nastąpiły nowe wstrząsy.

- Nadchodzą - ostrzegł Chris. Nie wiedział, co się stanie. Przez chwilę przypomniał sobie Toca.

Czy istnieje jakieś niebezpieczeństwo? Wystarczy lekkie przyciśnięcie palcem, a zginie cała załoga, nawet jeżeli będzie to przypadek...

Ale teraz oni już wiedzą o naszym istnieniu! Chris poczuł narastający w nim niepokój. Nie polecił jednak innym wejść do schronu. Sam stał tuż przy wejściu starając się objąć wzrokiem cały płaskowyż.

Nagle zdrętwiał z przerażenia. Znowu pojawiła się w górze para oczu patrzących na plac, lekko zbieżnych, jak u Geli. i

Kiedy Chris uświadomił sobie, że wzrok makrosa skoncentrował się na czymś określonym, Gela krzyknęła. Odwrócił się błyskawicznie. Do schronu

zbliżała się różowa ściana o wysokości co najmniej sześćdziesięciu stóp, lśniąca i - jak się wydawało - mocna. Zatrzymała się przy helikopterze, objęła go do połowy od tyłu i znieruchomiła. W następnej chwili kolor się zmienił, to coś przypominające ścianę stało się bardziej białe.

Gela szturchnęła Chrisa lekko w żebra. Podsunęła mu pod oczy prawą dłoń i z całej siły ścisnęła końce kciuka i palca wskazującego.

- Widzisz, jak się zmienia kolor! - szepnęła. Pojął od razu i pokiwał głową.

Helikopter został ostrożnie uniesiony na wysokość około trzydziestu metrów, potem poddany gwałtownym obrotom i szarpnięciom. Wreszcie powrócił na swoje miejsce. Kolor kciuka makrosa nie zmienił się jednak ponownie na różowy; widocznie makros nadal ścisnął mocno śmigłowiec między palcami.

- Gdyby ktoś z nas siedział tam w środku, mógłby jeszcze wyjść - powiedziała Gela jakby do siebie samej. Wydawało się, że jej słowa rozładowały napięcie, które zawisło nad nimi jak pole siłowe. Zaczęto snuć przypuszczenia, wymieniać poglądy.

Raptem paznokiec i helikopter zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Kiedy Chris wspiął się na płaskowyż, zdołał jeszcze dojrzeć duży, splełtany kłęb znikający za krawędzią równiny.

- Zabrał helikopter, jako dowód dla innych, rozumiecie? - Chris promieniał ze szczęścia. W porywie radości przycisnął do siebie Gelę.

- Chris! - Jej okrzyk wyrażał zadowolenie, wyrzut i zakłopotanie

jednocześnie.

- Te nic, Gela! - zawołał. - Teraz wszystko się zmieni.

Uwolnił ją z uścisku, spojrzął na rozradowane twarze towarzyszy i spoważniał.

- Przyjaciele, oto moje polecenia: Do jutra, do dziewiątej rano, ewakuujemy bazę. Weźmiemy ze sobą tyle, ile zdołamy. A teraz, Charles, żadnych dyskusji, do maszyn, damy im eskortę honorową.

Załogi w radosnym nastroju rozbiegły się do swych maszyn, przygotowując się do startu.

Chris i Gela pobiegli na wieżę. Na ich oczach helikoptery jeden za drugim znikaly w dole za krawędzią, płaskowyżu.

Stali tak, dopóki wszystkie maszyny nie powróciły.

XII

Samolot pędził na sygnale i włączonym świetle alarmowym. W ciągu pół godziny dotarli do polany.

Trawa była świeża, nikt jednak nie zwracał uwagi ani na nią, ani na wonne, orzeźwiające powietrze.

Profesor Fontaine i Gwen obstawali przy przeprowadzeniu wizji lokalnej. Na szczęście nie zażądali, żeby Hal i Djamila się rozebrali, na to było zresztą za chłodno.

Profesor wykazywał nieprawdopodobny wprost zapał. Dopiero teraz

Hal zwrócił uwagę na jego figurę: był niski i krągły.

Fontaine mierzył odległość do drzewa, dotykał słówkiem piersi

Djamili, mówiąc przy tym "pardon". Hal musiał biec wokół rozłożonego koca, demonstrując w ten sposób tor lotu helikoptera. Przez cały ten czas profesor jadł z niewzruszonym spokojem jakieś okrągłe ciasteczka, które wyciągał z kieszeni spodni. Gwen zachowywał się bardziej powściągliwie.

Spoglądał na platformę przekrzywiając trochę głowę, bo w nocy spuchła mu prawa powieka.

Wreszcie profesor zakończył oględziny na ziemi i polecił Halowi wejść na brzozę. Oczywiście ja, pomyślał Hal. Ale tym razem mógł posłużyć się słupolazami, które ułatwiały zadanie.

Baza wyglądała na opuszczoną, w każdym razie na placu nie było ani jednego helikoptera. Nie było też śladu życia w czworokątnych bryłach, które Hal uznał za budynki.

Przekazał na dół swoje spostrzeżenia. Po krótkim namyśle Gwen

zawołał:

- Spuść linę!

*Do liny, którą Hal następnie wciągnął do góry, przywiązano ręczną
piłę i puszkę.*

*Jeszcze nigdy w życiu Hal nie piłował drzewa, do tego ręcznie i w tak
niewygodnej*

pozycji,

obarczony

olbrzymią

odpowiedzialnością

i

*przestrzegany bez przerwy okrzykami w rodzaju: “Bądź ostrożny” albo “Nie
trzęś tak”!*

Już po chwili, mimo porannego chłodu, poczuł się jak w saunie.

*Napomnienia z dołu przybrały jeszcze bardziej na sile pod koniec
piłowania, a kiedy zaczął wkładać upiłowaną szczapę drewna do puszek,
osiągnęły punkt kulminacyjny. Wreszcie opuścił na dół puszkę która
wylądowała szczęśliwie w trawie.*

*Wkrótce i Hal znalazł się pod drzewem, całkowicie wyczerpany. Nikt
mu jednak nie współczuł, nawet Djamila.*

*Profesor i Gwen klęczeli, obserwując bazę. Djamila wykonywała jakąś
dziwną gimnastykę głową. Siedzi coś wzrokiem, domyślił się Hal. Trącił
Gwena, a ten profesora.*

- Co się stało? - zapytał Hal Djamili.

- Obserwują nas - szepnęła. Znieruchomieli. Rzeczywiście, słychać było ciche brzęczenie. Jakieś drobne obiekty przelatwały nad ich głowami.

Hal poczuł się trochę nieswojo, mimo zalewającego polanę światła, mimo świeżej zieleni młodych pędów roślin i niezliczonych, błyszczących kropli rosy.

Fontaine, jakby nigdy nic, stękając schylił się, zamknął starannie pojemnik, po czym bez słowa ruszył w stronę samolotu. Pozostali, chcąc nie chcąc, poszli za nim.

Foniczną kopię raportu, sporządzonego na podstawie pierwszych badań przez profesora Fontaine'a dla Gwena, czyli dla komisji ONZ, przekazano Halowi.

Kiedy na ekranie pojawiła się zapowiedź, Hal i Djamila przerwali zajęcia i pełni napięcia usiedli. Po nadaniu cech dokumentacyjnych odezwał się mocny, dźwięczny głos kobiety:

W lesie, w okolicy... tu nastąpiły dane dotyczące miejsca, daty, a nawet współrzędnych technik automatyzacji Hal Reon i towarzysząca mu Djamila Buchay, projektantka włókiennictwa, odkryli sprawny helikopter o wymiarach: długość całkowita pięć i siedem dziesiątych milimetra, średnica wirnika łoputowego pięć i trzy dziesiąte milimetra. To dobre: odkryli, pomyślał Hal. Następnego dnia ekspedycja z udziałem profesora Fontaine'a zabezpieczyła w tym samym miejscu miniaturową bazę. Na ekranie ukazały się teraz duże powiększenia zdjęć helikoptera i miejsca jego dawnego postoju.

Zaskoczenie było kompletne: na helikopterze, który wypełnił sobą cały ekran, widniały wyraźnie litery.

A oto wyniki szczegółowych badań głós kobiety towarzyszył kolejnemu nagłówkowi. Chodzi tu o helikopter, który swym wyglądem przypomina do złudzenia typ... tu nastąpiła kombinacja numerów i liter używany w latach 1960 do 1975 przez siły zbrojne Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Skala pomniejszająca wynosi jeden do dwóch tysięcy pięćdziesiąt. Maszyna ma sterowanie ręczne i automatyczne.

Z kolei przedstawiono suchy, szczegółowy raport, a następnie podano długie i nudne opisy metali użytych do budowy helikoptera, silnika, wyniki analiz powłoki lakierniczej oraz mieszanki węglowodorowej stosowanej jako paliwo. Właściwie, nie licząc drobnych zmian, były to znane substancje i materiały. Nie zdołano jedynie zidentyfikować nielicznych, wykrytych pod mikroskopem urządzeń pomocniczych, nie występujących w prototypie historycznym. Były to głównie systemy zbiornikowe związane z doprowadzeniem materiału napędowego do silnika.

Profesor Fontaine wysunął teorię, według której obecność materiałów, zwłaszcza płynnych, w mikroobszarze, wymaga specyficznego postępowania. Podlegają one wprawdzie takim samym warunkom jak w makro-obszarze, ale w tym wypadku chodzi o znacznie mniejsze ilości. Po prostu kropla płynu paruje szybciej niż cały litr.

Kompletnym zaskoczeniem dla Hala i Djamili była ta część raportu, w której informowano o osobistych rzeczach pilotów, znalezionych w kabinie helikoptera, na przykład o pismach w języku antycznno-angielskim, a raczej

antyczo-amerykańskim.

Treść listów informował głos zostanie załączona pisemnie do raportu.

Listy dotyczą spraw osobistych żyjących istot rozumnych i nie są przeznaczone dla szerokiego ogółu.

Prawdę mówiąc, tak samo można potraktować cały raport, pomyślał

Hal. Całe postępowanie uważał za przesadnie taktowne.

Czy nie należało udostępnić natychmiast przynajmniej tym ludziom, którzy zajmowali się bezpośrednio wyjaśnieniem tych bardziej niż dziwnych wydarzeń, nie tylko całego materiału, ale również ocen naukowych? Na pewno upłyną następne trzy dni, zanim każdy z nich znajdzie się w posiadaniu tego, co miano załączyć na piśmie do raportu.

A czy właśnie te tak zwane osobiste sprawy nie mają istotnego znaczenia, jeżeli w grę wchodzi kontakt między dwiema cywilizacjami? Czy nie są to właśnie te względy, których lekkomyślne pominięcie może doprowadzić do nieporozumień i których istnienie dawni pisarze literatury fantastycznonaukowej traktowali niemal bez wyjątku jako czynnik wywołujący zatargi między mieszkańcami różnych planet? Czy nie jest wreszcie naszym obowiązkiem dokładne poznanie sfery osobistej tych istot?

Hal postanowił przeprowadzić rozmowę z profesorem Fontaine'em, autorem raportu, a więc również owych błazeńskich w oczach Hala fragmentów, i uzgodnić z nim stanowisko. Wiedział, że może tu liczyć na poparcie Gwena.

I nagle uświadomił sobie coś, co go zaskoczyło: hipoteza o pozaziemskim pochodzeniu drobnych istot stała się już dla niego

pewnikiem.

Pomiędzy jednym z pilotów a kobietą o imieniu Farmy istnieje związek małżeński informował dalej głos. Na ekranie ukazała się niezbyt wyraźna, bo powiększona tysiącrotnie fotografia młodej kobiety z dziwacznie poskręcanyimi włosami. Djamila przypomniała sobie nagle, że kiedyś noszono takie fryzury, których ułożenie, bardzo zresztą pracochłonne, wymagało środków chemiczno-fizycznych.

Komentatorka wyjaśniła zwięźle, co to jest małżeństwo, po czym mówiła dalej: Wszystko wskazuje na to, że Wykryte przedmioty pochodzą z okresu od roku 1960 do 1980. Zdjęcia i przedmioty osobiste świadczą bez wątpienia o tym, że istoty, które przybyły na tych maszynach, są niezwykle podobne do ludzi.

W tym miejscu na ekranie pojawiła się sama spikerka, krótko ostrzyżona, niebiesko-włosa, o surowym spojrzeniu. Usiłowała uśmiechnąć się mile. Niestety ze względu na brak czasu nie zdołano ustalić pochodzenia owych istot. Jeszcze raz spojrziała w ekran i zniknęła.

Siedzieli rozgorączkowani. Po chwili włączył się Gwen.

- Co wy na to? - zapytał, nie witając się nawet.

- Wizyta z kosmosu - odparła Djamila tak pewnie, że musiało to dyskwalifikować każdego, kto by wyraził jakąkolwiek wątpliwość. - To przecież zupełnie jasne - dodała. Zaczęła dowodzić, że mogą istnieć miniplanety, to proste.

- I wszędzie mówi się po angielsku? - wtrącił Gwen jakby od niechcienia.

Djamila podjęła wyzwanie i wygłosiła całą teorią, która sprawiała nawet wrażenie logicznej. Djamila mówiła o adaptacji zastanych warunków do potrzeb przybyszów, o stagnacji rozwoju z winy środowiska, którego wpływ mógł doprowadzić do wykształcenia się zwyrodniałych mutacji owych istot i tak dalej. Hal przysłuchiwał się tym wywodom jednym uchem. O ile początkowo był zadowolony, że znalazł w Djamili sojusznika, o tyle obecnie coraz bardziej dystansował się od własnej teorii. Lakoniczna uwaga Gwena uświadomiła mu fakt, że wszędzie mówi się po angielsku, a jego ironia obaliła momentalnie tezę o odwiedzinach z kosmosu. I jeszcze coś: w przeszłości zbyt często i zbyt pochopnie przypisywano wszystko to, czego nie dało się wyjaśnić, istotom pozaziemskim. Według owych głosów w dawnych wiekach na ziemi aż się od nich roiło. Nasuwało się jednak pytanie: gdzie oni się podzieli?

W tym miejscu Hal się trochę gubił. Czuł, że znowu zajmuje stanowisko zbliżone do teorii Djamili. W jaki sposób miałyby się zdegenerować tamte istoty z zamierzchłej przeszłości? W mitach i baśniach często występowały karły i gnomy. Czyżby to właśnie były stadia degeneracji? Przetrwali i byli niewidzialni? Co za bzdura!

W jego umyśle kielkował inny pomysł, dużo lepszy i bardziej fascynujący, ale na razie Hal wolał go zachować dla siebie. Pomysł był fantastyczny, intrygujący i zarazem tak niesamowity, że łatwo mógł ośmieszyć autora. Jednak pasował jak ulał. Hal znał siebie doskonale i wiedział, że nie odczepi się od niego tak długo, aż sam lub ktoś inny nie znajdzie Wystarczająco przekonujących kontrargumentów. Kiedy

Djamila przerwała, aby zaczerpnąć tchu,

Hal zapytał Gwena:

- Kiedy macie spotkanie?

- Za trzy dni. Dlaczego pytasz? Ale odlatują już jutro!

- Ekspedycja Mifcro

- Jak mogą się z tobą komunikować?

- Już ci podają.

Gwen zaczął koncentrować się przed wznowieniem dyskusji z Djamilą, prowadzonej, jak pomyślał Hal, tylko przez grzeczność. Wciągnęli w nią nawet profesora Fontaine'a, ale ten po dziesięciu minutach wyłączył się, wzruszywszy ramionami.

Wreszcie Gwen i Djamilą zrozumieli - a raczej zrozumiała to Djamilą - że nie dojdą teraz do żadnego porozumienia.

Zapytany o zdanie w tej sprawie, Hal odparł z roztargnieniem, że uważa, podobnie jak profesor, że należy poczekać na wyniki badań materiału, jaki spodziewano się znaleźć w bazie.

Kiedy Hal zgasił światło, powiedział do Djamili:

- Jutro przyjdę trochę później. Mam zwolnienie, ale muszę zająć się, katalizatorami - skłamał. - Termin to termin.

- Spij dobrze - odpowiedziała Djamilą, ziewając. Świt zastał Hala już na nogach. Kiedy udał się do wypożyczalni taksówek powietrznych dalekiego zasięgu i oznajmił, że zamierza odbyć podróż liczącą kilka tysięcy kilometrów, wzbudził sensację, tym bardziej że przez roztargnienie nie przedłużył sobie terminu ważności zezwolenia na odbywanie lotów. Na

szczęście Gwen był jeszcze na miejscu. Wystarczyło, aby pokazał specjalny dokument.

On również był zdziwiony, nie pytał jednak o powód tej dziwnej podróży, lecz o Djamilę.

- Znasz ją przecież - wzruszył ramionami Hal. - Jeżeli się okaże, że moja podróż przydała się na coś, będzie uszczęśliwiona. Dam ci jeszcze o sobie znać - dodał tajemniczo.

Niecierpliwie czekał na przydział korytarza powietrznego, którym mógłby lecieć, wreszcie wystartował.

Tym razem był nieczuły na uroki przepływającego w dole krajobrazu.

Dokuczały mu zresztą zawroty głowy, ponieważ nie wolno mu było wznieść SIĘ na większą wysokość. Po dwóch i pół godzinie wylądował. Pobitem własny rekord, pomyślał z satysfakcją. Domek był świeżo odmalowany. -

Chłopcze - powitała go matka - skąd się tu wziąłeś? Trzeba było mnie uprzedzić! Nic nie przygotowałam! - To mówiąc objęła go.

Na jej twarzy widniał znany mu dobrze uśmiech, który uwielbiał już jako dziecko; była to wówczas niezawodna oznaka, że burza przechodzi.

Ilekoć spotykał się z matką, obiecywał sobie, że znajdzie dla niej więcej czasu. Za każdym razem przypominał sobie, jak go wychowywała, jak poświęcała się dla niego. Ojca nie pamiętał w ogóle. Leżał na Marsie, uwięziony w statku kosmicznym, zanurzony w bezdennym morzu piasku...

Potem, kiedy matka zamieszkała z innym mężczyzną, ich wzajemne stosunki znacznie się ochłodziły. W tym właśnie okresie Hal usamodzielniał się. Więz z matką znów się zacieśniła dopiero po przyjściu na świat dzieci. Ale o

wspólnym mieszkaniu matka nie chciała nawet słyszeć. I Hal ją rozumiał.

Z trudem opanowując wzruszenie powiedział, że zaraz musi wracać, gdyż przyleciał tu w tajemnicy przed Djamilą. Poprosił też matkę o pomoc.

Sprawa nie wyglądała na łatwą. Hal chciał przebobrować strych w domu swego dawnego towarzysza zabaw. Matka miała mu to ułatwić.

Z Nickiem nie utrzymywał żadnych kontaktów, a jego rodziców również nie widział już od dawna. Przychylili się jednak do jego prośby i nawet zostawili mu na strychu pełną swobodę.

Hal z trudem powstrzymał się od okrzyku radości, kiedy wśród setek papierowych książek znalazł tę, której szukał. Zdmuchnął warstwę kurzu, zapewnił, że odeśle książkę z powrotem i po wmuszeniu w siebie filiżanki napoju, zaparzonego własnoręcznie przez matkę, oraz obiecaniu jej, że wkrótce przyleci tu z całą swoją rodziną na dłuższy urlop, udał się w drogę powrotną. Matka namawiała go jeszcze, aby poznał jej przyjaciół z Grupy Starszych, którzy w każdej chwili byli gotowi zadziwić szczeniaków, jak się wyraziła. Obecnie budowali Muzeum Krajobrazu, które Hal również miałby obejrzeć. Obiecał i to, przekonany, że rzeczywiście powstaje coś wartościowego i że naprawdę je zwiedzi. Poza tym będzie to dla dzieci ciekawa wycieczka, a jednocześnie okazja do spełnienia obowiązku ojcowskiego.

W każdym razie - przekonywał sam siebie - lecąc po tę starą księgę, której tytułu i autora nawet nie pamiętałem, zyskałem na czasie trzy dni.

Tyle by chyba potrzebowali, żeby na podstawie skąpych danych znaleźć ją w centralnym archiwum.

Hal miał już za sobą wiele kilometrów, Alpy przesuwały się pod nim ustąpiły miejsca równinie, kiedy raptem przyszedł mu do głowy pomysł, który wydał mu się tak ważny, że wstrzymał nagle maszynę. Spojrzał na zegar, ale i tak go nie widział. W głowie miał kompletny chaos. Męczyło go tylko pytanie: czy wolno? Czy mogę poinformować kogoś, kto nie został wtajemniczony przez Gwena lub Fontaine'a? Ale Fontaine postąpiłby tak samo i na pewno nie pytałby nikogo o zdanie.

Nie zastanawiając się dłużej, Hal zawrócił maszynę. Jedną trzecią drogi mam już za sobą! Nie mam jednak korytarza, lot nie jest zgłoszony! Trochę niżej natężenie lotów jest mniejsze, tak, mógłbym zwiększyć prędkość.

A jeżeli natknę się na patrol?

Nie będzie chyba tak źle!

Hal obniżył lot, a kiedy znalazł się dwadzieścia metrów nad ziemią, wcisnął klawisz wysokości, po czym z pełną satysfakcją popuścił cugli silnej maszynie.

Następnie włączył autopilota, szukając czegoś na mapie.

Trzy godziny, zanim znajdę Res, potem jeszcze jedna. Pół godziny u niej, sześć na powrót. Na pewno będzie już noc, pomyślał, po czym przesunął regulator prędkości do oporu.

Res stała w samym środku potoku. W zespawanym, sztywnym kombinezonie z okienkiem na twarzy przypominała Golema.

Uważnie patrzyła przed siebie, jakby szukała grzybów w tej szarej, niemal niepostrzeżenie przesuwał się masie. Nagle zrobiła kilka

nieporadnych kroków, schyliła się tak szybko, jak tylko mogła w tym niewygodnym ubraniu, wepchnęła w masę szpadel i zgarnęła coś do pojemnika, który trzymała w lewej ręce. Zdawało się, że masa pragnie jak najszybciej zsunąć się ze szpadla.

Res wyprostowała się, patrząc znowu przed siebie.

Nagle tuż przed nią pojawił się cień, akurat w tym momencie, kiedy w masie zawirowało ponownie, co wskazywało na obecność jednej z komórek genetycznych. Zanim zdolała zareagować, masa uspokoiła się.

Gniewnie spojrzała w górę. Nad nią wisiał jeden z tych nowoczesnych samolotów. Głupiec! - pomyślała.

Ale w następnej chwili dojrzała za szybą jakąś znajomą twarz. Potem jednak przestała się tym zajmować i wróciła do pracy. Chciała schwytać pięć takich komórek, dopiero wtedy mogłaby powiedzieć, że opłaciło się tkwić w tym idiotycznym kombinezonie do jednorazowego użytku. W pojemniku leżały dopiero trzy komórki.

Res nie dawała za wygraną, chciała bowiem znaleźć klucz, który pozwoliłby rozwikłać tajemnicę tych przeklętych drobnoustrojów.

Wiedziała, że jeżeli nawet jest na właściwej drodze, to oczekują ją jeszcze długotrwałe badania nad tymi komórkami, zanim potok drobnoustrojów zostanie ujarzmiony.

Musi się udać!

Czuła raczej, niż wiedziała, że samolot zakołysał się, Może chciał zwrócić na siebie jej uwagę.

Ponownie spojrzała w górę, chcąc przepędzić intruza. Z zadowoleniem

spostrzegła zbliżający się samolot służby porządkowej. Nareszcie, pomyślała.

Ależ to jest przecież ten młody człowiek z kombinatu gazowniczego.

Hal Reon! Czego on tu chce? Przeszkadza mi tylko!

W górze toczyła się dyskusja. Res włączyła się w pasmo samolotu patrolowego.

- ... już sześć godzin - usłyszała podniesiony głos Hala. - Muszę z nią porozmawiać. I to natychmiast, bo zaraz wracam.

- Ale o co chodzi? - zapytał rzeczowym tonem porządkowy. - Widzisz przecież, że tkwi w tym kombinezonie, a zanim coś znajdzie, może upłynąć sporo czasu.

- O co chodzi, mogę powiedzieć tylko jej samej! - upierał się Hal.

Oczami wyobraźni Res widziała, jak porządkowy wzrusza bezradnie ramionami, ale nie podejmuje przeciwko Reonowi żadnych kroków.

Z zalem i złością spojrzała na szarą masę. A tak dobrze się zapowiadało, pomyślała.

- Dean, niech on poczeka, zaraz będę gotowa - zwróciła się do porządkowego.

Bez pośpiechu skierowała się do przenośnej kabiny, w której mieściła się śluza, sterylizator i natrysk. Po półgodzinie wyszła. Miała na sobie długą, podobną do worka pelerynę, we włosach lśniły jeszcze krople wody.

Hal czekał już na nią z niecierpliwością.

- No, co? - zaczęła trochę uszczypliwie. - Czyżby wasz kombinat rozmyślił się i nie da nam gazu? Ale jeżeli tak, to mogliście powiadomić mnie

o tym w in»y sposób.

- Nie - odparł Hal niepewnie. - Jestem tu, nazwijmy to: prywatnie.

- Och! - w głosie Res zabrzmiała drwina. Wyzywająco przesunęła dłońmi po ciele, a cienka tkanina uwydatniła drobne, jędrne piersi.

Hal uśmiechnął się zmieszany.

- Odkryliśmy coś - wypalił wreszcie. - Takich malutkich ludzików.

Pomyślałem, że może cię to zainteresuje.

Zmarszczyła brwi, spoglądając na niego uważnie. Nikt przecież nie

leci sześć godzin po to, żeby opowiadać głupie kawały, pomyślała.

Stali oparci o kadłub samolotu.

I nagle przyszło olśnienie.

- Myślisz, że to może mieć jakiś związek z... Chyba oszalałeś!

- Możliwe - mruknął Hal. Jego entuzjazm ulatniał się. Teraz żałował, że tu przybył. - Na nic innego nie wpadłem.

- Chcesz zaraz wracać?

- Muszę!

Sięgnęła po swój nadajnik, wiszący na lewym przegubie. - Mark - odezwała się po uzyskaniu połączenia - przyleć do mnie. Jestem przy słuzie.

- Powiedziałem ci to poufnie. - Hal poczuł się zmuszony do poinformowania jej o tym.

- W porządku. - Spojrzała na niego. A więc to tak, pomyślała.

Po kilku minutach wylądował obok nich samolot jednoosobowy, z którego wysiadł dobrze zbudowany mężczyzna, śniady, o szpakowatych skroniach i kędzierzawych włosach.

- Mark - powiedziała Res bez żadnego wstępu. - W pojemniku są chyba trzy komórki. Zajmijcie się tym. Wrócę za parę dni. W razie czego możecie się ze mną połączyć... - Zastanawiała się przez chwilę, po czym podała numer Ewy, partnerki Gwena.

Hal poczuł, że kręci mu się w głowie. Ciekawe, jak się z tego wytłumaczę, pomyślał. Bzdura! To ważna sprawa, a Res powinna wziąć w tym udział. Tak uważam.

- Weźmiesz mnie ze sobą? - zapytała go Res. - Tylko że wtedy musiałbyś się nastawić na półgodzinny postój. Chciałabym odwiedzić dzieci. Machnął ręką.

- Moim zdaniem powinnaś brać w tym udział - odparł i po krótkiej chwili wahania otworzył przed nią drzwiczki samolotu.

Wsiadła tak, jak stała. Potem zastanowiła się przez chwilę.

- Czy u was jest zimno? - Nie czekając na odpowiedź rzekła: - Wszystko jedno, Ewa na pewno znajdzie coś dla mnie. A zresztą macie chyba tam na północy jakieś magazyny. - Zwróciła się jeszcze do Marka: - ~Nie zajmuj się niczym, co by ci zabrało zbyt dużo czasu. Może będziesz mi potrzebny.

Spojrzała jeszcze na niego - dosyć długo, pomyślał Hal - potem zamknęła drzwiczki i wystartowali.

Przenocowali u matki Hala. Po powrocie do domu Hal nie zastał Djamily. Wykorzystał to, aby zająć się książką. Kartkował ją, czytał, sprawdzał, czy jednak się nie mylił. Ciekawe, skąd ta książka wzięła się u sąsiadów matki? Odziedziczyli ją po rodzicach...

Wreszcie znalazł rozdział, który tak bardzo wrył mu się w pamięć.

Czytał rozgorączkowany, ku zdziwieniu Djamili, która wkrótce przyszyła z dziećmi. Prawda, jutro mamy weekend, uświadomił sobie nagle...

- Chyba znalazłem - powiedział niemal uroczyście. - Przynajmniej to jest jakaś ewentualność! Ponieważ dzieci zajęły teraz całą ich uwagę, Hal przerwał ten temat, tym bardziej że Djamila spoglądała na niego ze zdumieniem. Wyjaśnił jej tylko, że nie chodzi o katalizatory i że nie wyjeżdżał służbowo, lecz do matki - ale to w oczach Djamili nie znalazło zrozumienia.

Mieli teraz zresztą coś innego na głowie: syn gadał jak nakręcony, córka wtrącała swoje trzy grosze, a oni sami zadawali mnóstwo pytań, na które otrzymywali niezwykle mądre odpowiedzi. Potem przyszła kolej na najnowsze tańce i piosenki.

Dopiero znacznie później wrócili do książki. Kiedy Hal otworzył ją, płonąc z niecierpliwości, Djamila zapytała:

- A więc, co takiego odkryłeś?

Wskazał na miejsce zaznaczone tłustym drukiem.

- Ludzie o zmienionych wymiarach, albo coś w tym rodzaju - usiłowała przetłumaczyć. Antyczny angielski знаła nie lepiej niż Hal, a więc raczej słabo. Zamknęła książkę i zaczęła sylabizować tytuł. "Doświadczycie tego" Kahn i Wiener? - zastanowiła się przez chwilę. - Nie słyszałam nic o nich. Podana książkę Halowi. - Opowiedz mi to - poprosiła. - Nie mam teraz siły czytać.

- Autorzy są zdania... - zaczął Hal - wiesz, książka napisana w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku.

- Coś podobnego! - wykrzyknęła Djamila.

- A więc oni są zdania - powtórzył Hal - że w roku dwutysięcznym będzie można...

I Hal zaczął opowiadać o Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, ostoje kapitału, oraz badaniach prowadzonych ze szkodą dla ludzkości.

Djamila przysłuchiwała się uważnie.

Oczywiście książka nie zawierała tego wszystkiego, inna też była w niej interpretacja. Ale Hal zdążył już wyszukać potrzebne mu dane w centrali encyklopedycznej i podczas długiego lotu wymienić poglądy z Res Strogel. O tamtej epoce wspomniał również raport Fontaine'a. Kto by teraz obciążał swój umysł tego rodzaju faktami, w dodatku nieistotnymi?

- A jeżeli nasza wiedza ma jakąś lukę? - zastanawiał się głośno Hal. -

Wprawdzie w epoce przejściowej nie było żadnej wojny domowej, ale na pewno był to okres raczej burzliwy. Może jacyś ważni ludzie uratowali się i działali dalej w ukryciu, co?

- Więc uważasz - Djamila podjęła ten wątek z pewnym

niedowierzaniem - że ci ludzie mogliby być tymi przecinkami, które widziałeś? - Sprawiała teraz wrażenie wytrąconej z równowagi, co nie zdarzało jej się często. - Takim owocem tamtych nieludzkich badań? -

Wstrząsnął nią dreszcz. - Jaki by to mogło mieć cel? - W jej głosie znowu zabrzmiało niedowierzanie. Spojrzała na Hala. - Po co mieliby być tacy mali? Nie bujasz czasem?

Milcząc wzruszył ramionami. Skąd miał to wiedzieć? Ludziom chodziły kiedyś po głowach nie tylko takie myśli.

- W każdym razie wiem - odparł gwałtownie - że wtedy popełniono za sprawą takich właśnie ludzi wiele zła i przerażających wprost rzeczy, całkiem zresztą świadomie. Wypróbowywano na kobietach i dzieciach bomby i środki palne, skażano chemicznie całe obszary, rozumiesz, nie jakieś tam wydzielone tereny doświadczalne, ale obszary zamieszkałe przez ludzi, niszcząc przy tym wszelkie przejawy życia, a ludzi nie tylko traktowano jak bydło, ale maltretowano ich i zabijano.

Patrzyła na niego z przerażeniem. Oczywiście słyszała już o tym, ale w szkole, a wiać dawno temu. Teraz natomiast wydało jej się nagle, że czeka ją bezpośrednia konfrontacja z tamtą epoką.

- Pomniejszanie ludzi byłoby w porównaniu z tamtym niewinną zabawą - dodał Hal. - Z punktu widzenia naszej współczesnej nauki nie jest to żaden problem.

- Bzdura! - przerwała mu Djamila. - Do poparcia twojej tezy brakuje argumentów! - Aby podkreślić wagę swych słów, uderzyła w książkę, wzbijając tuman kurzu. - Wszystko dlatego, że przypomniałeś sobie o tej starej księdze. Mogłeś sobie naprawdę darować tę podróż. Na pewno żyli wtedy również ludzie, rozsądni, którzy przeciwstawiliby się takim fantantom. Tak jest! Ostatecznie historia to wyjaśniła!

Jej argumenty nie zrobiły na Halu żadnego wrażenia.

- To, że mówią po angielsku i latają amerykańskimi helikopterami, tłumaczy chyba lepiej ta książka - wzbił z niej kolejny kłęb kurzu - niż twoja bardzo fantastyczna historyjka o gościach z kosmosu, musisz to przyznać.

Poinformuję o tym Gwena.

To, że znalazł w Res sojuszniczkę, zataił, jak również fakt, że zamieszkała u Gwena.

XIII

Nowa baza miała charakter prowizoryczny. Niezbędny materiał został dostarczony z "Oceanu" na pokładzie dużego samolotu transportowego o napędzie odrzutowym. Przedtem trzeba było jednak dniem i nocą porządkować teren pod lądowisko. Podłoże, które Ennil określił jako makrocegłę, wykazywało sporo nierówności. Z braku czasu, jak również odpowiedniego laboratorium, musieli zrezygnować z mutacji bakterii, które zajęłyby się wyrównaniem terenu.

Po otrzymaniu materiału wzniesiono prowizorycznie baraki z prefabrykatów, ludząc się nadzieją, że wkrótce będzie można wprowadzić się z powrotem do "Highlife".

W pobliżu dawnej bazy ustawiono straż. Nieco w górze, w miejscu, gdzie dawniej rosła widocznie gałąź, odkryli jaskinię, z której roztaczał się widok na płaskowyż. Tam właśnie Karl i Charles zaciągnęli wartę. Do własnej dyspozycji mieli nadajnik o dużej mocy oraz helikopter przywiązany do grubego konaru nad nimi.

Nastawili się na długi i nudny okres oczekiwania. Co się mogło wydarzyć?

Zarządzenie Chrisa o likwidacji bazy spotkało się z niezrozumieniem nie tylko ze strony Ennila. Widocznie jego argumenty były mało przekonujące.

Sam Chris natomiast czuł się pewnie, - Makrosi, po odkryciu swoich malutkich braci, na pewno podejmą teraz poszukiwania. A gdzie, jak nie w

“Highlife”? Z pewnością byli w stanie przebadać bazę do ostatniego kamyka. Nie było w tym nic trudnego, zważywszy, że poziom rozwoju makrosów wyprzedzał ich własny o całe stulecia.

Ale jak postąpią potem i czy zaakceptują ich jako braci?

Największym zmartwieniem Chrisa, z którego nie zwierzył się nawet

Geli, było to, że makrosi mogą oceniać ich moralność na podstawie epoki, w której się rozwinęli, i dojść do przekonania, że mają do czynienia z istotami, których moralność odpowiada poglądom ówczesnych kół rządzących.

Nie wiedział, jak mają teraz postąpić. Pierwszy kontakt zaskoczył go całkowicie. Czy teraz, kiedy członkowie ekspedycji znali już testament Toca i wiedzieli, że oni i makrosi są produktami jednej i tej samej ewolucji, prawdziwymi braćmi, teraz, kiedy mogli się spodziewać, że osiągną kiedyś ten sam stopień rozwoju - czy teraz zaakceptują w ogóle tę swoją namacalną przeszłość? Członkowie ekspedycji może tak, ale ludzie, którzy pozostali w ojczyźnie?

Przypomniała mu się rozmowa z Gelą po tym pamiętnym wieczorze, kiedy poznali “drugą możliwość rozmnażania”, jak nazwał to Ennil. Nawet Gela, zazwyczaj wyrozumiała i postępową, zmarszczyła wtedy brwi i doszła do wniosku, że na pewno istnieją jeszcze inne ryzykowne niespodzianki, które mogłyby ukazać przyszłość w mniej nęcącym świetle. Oczywiście, ta “druga możliwość rozmnażania” ma swoje zalety, stanowi ułatwienie i prawdziwą emancypację kobiet - Gela, mówiąc to, patrzyła nieruchomo przed siebie - ale jaki będzie wówczas stosunek matki do dziecka?

Chris wyznaczył teraz do pełnienia warty Karla, chociaż jego obecność

była raczej niezbędna w bazie. Odbiór radiowy w nowej bazie okazał się zły. Mimo to zrezygnowano na razie z pracochłonnej konstrukcji antenowej, ale za to zachowano "tajne ucho" i inne urządzenia podsłuchowe. Dlatego Chris zrezygnował z obecności swego sojusznika, Karla, który dowcipnymi uwagami potrafił zdziałać więcej niż inni rzeczową argumentacją. A przecież właśnie te raz można się było spodziewać wielu dyskusji do tyczących przyszłości.

Karl i Charles przesłuchiwali na zmianę programy makrosów, aby nie pominąć niczego, co świadczyłoby o odkryciu małych braci.

Tylko jedna audycja, a właściwie prośba skierowana do centrali encyklopedycznej wzbudziła ich uwagę. Właściwie był to przypadek, że dostrzegli tu jakiś związek. Pewien instytut zwrócił się do centrali encyklopedycznej z prośbą o informacje dotyczące Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej z okresu od 1960 do 2000 oraz - i to właśnie było najbardziej intrygujące - typów helikopterów. Dla żyjących współcześnie makrosów, którzy latali już samolotami napędzanymi energią pola M, musiała to być informacja dość niezwykła. Może nawet Charles nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie rozmaite pytania pomocnicze, które zadała centrala encyklopedyczna. Było raczej pewne, że ta tocząca się w eterze dyskusja wiązała się ściśle z uprowadzonym helikopterem.

Pomimo nadzwyczaj ciekawych meldunków, które bez przerwy, nawet nocą, odbierali na różnych pasmach, następnego ranka powitali w posepnym nastroju; przede wszystkim ze względu na ową nie kończącą się służbę wartowniczą.

Czy ktoś mógł zapewnić, że makrosi tu wrócą? Może to były dzieci? Ale nie. Karl przypomniał sobie miejsce lądowania. A więc młodzież? To było możliwe. Mieli ich helikopter. Czy dla świata makro było to w ogóle coś, czym warto się zajmować? Może zapomnieli o wszystkim już po godzinie, a helikopter wyrzucili albo dali po prostu do zabawy młodszemu rodzeństwu, gdzie maszyna podzieli wkrótce los innych zabawek?

Charles pełnił służbę nasłuchową, a Karl przyrządzał śniadanie.

Myśli, które chodziły mu teraz po głowie, nie były radosne. Lekki brzęk widelca w naczyniu, gdzie chciał właśnie rozbettać jajka, zmienił raptownie sytuację. Znowu poczuł wstrząsy, jak te wywołane kilka dni temu przez makrosów. Pośpiesznie wyłączył dopływ gazu i pobiegł w stronę wejścia do jaskini. W chwilę później zjawił się tam również Charles, który majstrował coś na zewnątrz przy antenie.

Ze swego miejsca nie mieli dobrego widoku na polanę, toteż nie mogli się zorientować, co się dzieje w dole. Ich cierpliwość nie była wystawiona na długą próbę. Coś owalnego zbliżyło się do płaskowyżu. Pod bezładnym gąszczem widniały kontury twarzy. Po chwili olbrzymie drzewo zaczęło chwiać się rytmicznie. Trudno było z tak małej odległości stwierdzić charakter ruchów i towarzyszących im odgłosów, a przede wszystkim - ich cel.

Potem wydarzenia potoczyły się już błyskawicznie. Cała baza zaczęła nagle wibrować, wreszcie przechyliła się na bok. W polu widzenia pojawiło się coś błyszczącego, większego od płaskowyżu. Powierzchnia przesunęła się, coś zamigotało, potem wszystko ustało. Głowa makrosa zsunęła się w

dół, zniknęła. Ale tam, gdzie jeszcze przed kilkoma minutami mieściła się baza i gdzie spędzili całą długą zimę oraz wzniesli z trudem rozmaite obiekty, lśniła żółtawobiała powierzchnia z niezbyt wyraźnymi słojami. W powietrzu unosił się zapach korzenny.

- Chodź, przyjrzymy się temu z bliska! - zawołał Karl i zaczął wspinać się w stronę helikoptera. Za nim podążył Charles. Szybko zwolnili cumy i wystartowali. Ułynęła dłuższa chwila, zanim wydostali się z kłębowiska gałęzi, a potem na dużej wysokości wzięli kurs na polanę.

W dole widać było głowy makrosów, kręcących się tam i z powrotem.

Wtem, jak na komendę, wszyscy zwrócili się w jednym kierunku i zniknęli za olbrzymimi drzewami.

Karl wziął kurs na nową platformę. Jej powierzchnia była teraz bardziej nierówna niż poprzednio, przypominała pniak, na którym swego czasu obozowali przez kilka dni. Tu również poniewierały się co krok odpadki, trociny.

- Oni po prostu odpiłowali naszą bazę i zabrali ją ze sobą - stwierdził Karl. - Wzdrygnął się. - Wyobraź sobie, co by było, gdybyśmy bazy nie ewakuowali!

- Czy warto w ogóle nawiązywać z nimi kontakt? - zastanawiał się głośno Charles. Zdawał się być wstrząśnięty. - Cóż my dla nich znaczymy? Jest ich siedem miliardów, jak wiadomo.

- Ale my jesteśmy ludźmi tak jak oni!

- No to co!

- Jestem przekonany - mówił dalej Karl, czując, że musi dodać

Charlesowi otuchy - że ludzie na tym stopniu rozwoju co makrosi, a znamy ich na razie niewiele, są bardziej humanitarni. Weź choćby badanie kosmosu. To oznacza współpracę wszystkich ludzi, zbliża ich do siebie, wymaga takiego porządku, który istnieje dla ludzi, a nie zwraca się przeciwko nim, sprawia, że pieniądze wydaje się nie na zbrojenia, lecz w celu zaspokojenia potrzeb, na przykład przekształcenia przyrody. Widzisz, to jest to, do czego my również dążymy. Jestem przekonany, że nie pominą żadnej możliwości porozumienia się z nami, stworzenia podstaw pokojowego współistnienia. No, idziemy! - Przy ostatnich słowach Karl wsunął się do helikoptera. Wkrótce lecieli już z powrotem.

Natychmiast powiadomili o wydarzeniach Chrisa, który zarządził ku zaskoczeniu obydwu:

- Zostaniecie, aby obserwować dalej.

- Ale tam już nie ma co oglądać - zaproponował Charles.

Karl chciał odpowiedzieć Charlesowi, ale wyręczył go Chris:

- Nie zniszczą tego, co wartościowe. Wiedzą przecież, ile trudu

kosztowało nas wzniesienie tej bazy i że teraz nie spuścimy jej z oczu. A więc nie możemy ich zawieść.

Charles musiał przyznać im rację.

Karl wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: No widzisz!

- Ale z was niepoprawni optymiści - mruknął Charles. W jego głosie

brzmiała jednak wyraźnie zaduma.

W trzy dni później dały znać o sobie kolejne wstrząsy drzewa -

nieomyślna zapowiedź nadchodzących wydarzeń. Karl i Charles zajęli swoje

stanowiska obserwacyjne. Po chwili w górze na drzewie pojawiła się głowa; nie ulegało wątpliwości, że ta sama. Świadczył o tym jej kształt i kolor włosów.

Znowu zaczęło się jakieś ożywione manipulowanie, niemożliwe jednak do zidentyfikowania dla obydwu obserwatorów.

Kiedy głowa zniknęła, odsłaniając widok, Charles aż krzyknął ze zdziwienia: w dole widniały trawniki, budynki, śnieżna włócznia, słowem wszystko, co składało się na dawną bazę. Nawet - helikopter stał na swoim miejscu.

- No, proszę - odezwał się uszczypliwie Karl.

- Tam jest jeszcze coś - zawołał nagle Charles. Spojrzeli uważnie przez lornetki.

- Wygląda na tablice, co? - zapytał Karl.

- Chodź, musimy powiadomić resztę! - Charles chciał już odejść, ale

Karl zatrzymał go. - To jeszcze nie wszystko - powiedział.

Pod osłoną gigantycznych gałęzi i rozwiniętych liści coś wznoszono obok drzewa: coś ciemnego, olbrzymiego, połyskującego w promieniach słońca. Panował tam ożywiony ruch, rozlegały się donośne, trudne do określenia odgłosy, gałęzie drzewa zmieniały raptownie położenie, czemu towarzyszyły potężne wstrząsy. Dopiero co rozwinięte liście i strzępy kory toczyły, się na ziemię.

- Oni na pewno coś tam budują, to pewne - szepnął Karl. Wiedział, że ich głosy nie mieszczą się w paśmie przenoszenia słyszalnym przez makrosów, ale sama ich obecność tuż obok stanowiła pewne

niebezpieczeństwo. Co by się na przykład stało, gdyby makrosi chcieli wypróbować swoją siłę również na tej gałęzi, w której znajdowała się jaskinia? Co oni w ogóle teraz przygotowują? A przede wszystkim, co się stanie potem? Te nie wyjaśnione pytania wzmagaly napięcie i stwarzały atmosferę zagrożenia, co nie pozwalało Karłowi mówić głośno.

Tajemnicze, hałaśliwe czynności makrosów trwały dwie godziny, a potem zapanowała cisza. Obok drzewa wznosiły się budowle. Jedyne ich fragmenty połyskiwały poprzez liście. Nowe obiekty stały się częścią składową otoczenia, wtopiły się w tło.

Karl złożył meldunek kierownikowi ekspedycji.

Odpowiedź Chrisa była lakoniczna.

- Możecie to zbadać, jeżeli macie ochotę, ale ze względu na oszczędność paliwa i zużycie maszyn uważam, że to zbyteczne. Z daleka można sądzić, że zbudowali wieżę obserwacyjną, ale właściwych powiązań funkcjonalnych nie odgadniemy nawet z bliska. Może to są optyczne i akustyczne adaptory. Powinniście natomiast niezwłocznie obejrzeć to, co wzięliście za tablice. Sfotografujcie je, a zdjęcia przekażcie mi od razu drogą radiową, o ile oczywiście nie okaże się, że są zupełnie bez znaczenia.

XIV

Raport Gwena przy dokładnym poznaniu okazał się logiczny:

istniały dowody, niezbite fakty. Wersję, według której helikopter został skonstruowany przez jakiegoś wybitnie zdolnego majsterkowicza i przystosowany do zdalnego sterowania, z uwagi na znalezione przedmioty komisja odrzuciła jako absurdalną. Jednocześnie postanowiono sprawdzić dokładnie posiadane dowody.

Do tej pory całą sprawę znaly dwadzieścia trzy osoby. Dwadzieścia cztery, korygował w duchu Hal. Profesor Fontaine, dwóch jego najbliższych współpracowników, którzy przeprowadzili już pierwszą analizę, Djamila i Hal zostali mianowani tymczasowymi członkami komisji ONZ.

Badanie odpilowanej bazy wykazało, że pomieszczenia były całkowicie umeblowane. W szufladach leżała część papierów, jakby mieszkańcom zabrakło czasu na gruntowną ewakuację. Meble, technika biurowa, w ogóle wszystko, co zostało znalezione, pochodziło z ostatniego ćwierćwiecza dwudziestego wieku.

Ziarenka, tkwiące w wydrążonych przez robaki kanalikach, okazały się pustymi pojemnikami na paliwo lub na inne, trudne do zidentyfikowania substancje. Meble pozwalały sądzić, że wielkość tych istot waha się w granicach od siedmiu do dziewięciu dziesiątych milimetra. Było to niemal szokiem dla wszystkich, którzy przeprowadzali badania.

Na niektórych dokumentach znaleziono daty, które odpowiadały teraźniejszości! Papiery osobiste zawierały miejsca urodzenia, nic nie

mówiące, całkowicie nieznanne nazwy miejscowości. Zdumienie wywołał wiek mikroskopijnych przybyszów, obliczony w przybliżeniu: okazało się, że owe "przecinki" mają od dwunastu do dwudziestu pięciu lat.

Nie znaleziono jednak niczego, co mówiłoby o pochodzeniu tych istot.

Komisja ogłosiła uchwałę, zgodnie z którą zaprzestano oficjalnych dyskusji na ten temat. Istnienie przybyszów przyjęto do wiadomości, ale podjęto nadzwyczajne środki ostrożności. Nie prowadzono też na ten temat żadnych rozmów.

W dniu, kiedy baza została z powrotem przyklejona, Gwen zjawił się wieczorem u Djamili i Hala, chcąc przejrzeć tę starą księgę. Hal zadał mu wtedy pytanie:

- Gwen, przypuśćmy, że ja mam rację. Jaki oni mają światopogląd? Do jakiej z istniejących wówczas klas należeli? - Nie ulegało wątpliwości, że ma na myśli owe "przecinki".

Gwen rozłożył się wygodnie na piankowej kanapie. Hal zauważył, że jego przyjaciel przytył ostatnio, widocznie nie dbał o prawidłowe funkcjonowanie gruczołów. Hal zwrócił na to uwagę dlatego, że Gwen użył swego brzucha do podparcia dosyć grubej księgi.

- No cóż - odezwał się po chwili Gwen. - Musimy chyba przyjąć, że należeli wtedy do klasy panującej, bo kto inny mógłby sobie pozwolić na tego typu eksperyment, w dodatku w takich rozmiarach.

Ponieważ do dziś rozwinęli się niewiele pod względem technicznym, o ile możemy to w ogóle ocenić, wolno nam przypuszczać, że ich eksperyment nie miał zasięgu ogólnospołecznego.

- Uważaj! - ostrzegła go Djamila.

- Powinniśmy liczyć się z tym - wtrącił Hal - że oni mogą nie mieć

wobec nas przyjaznych zamiarów.

- Co za głupie gadanie - odezwała się Djamila, energicznie jak zwykle. -

Pomijając już to, że nie traktuję poważnie twojej paplaniny - tu uczyniła w

stronę Hala ruch głową zdecydowanie jednoznaczny - bądźcie łaskawi

uwzględnić fakt, że oni są tacy mali. - Tak jak kiedyś Hal na polanie,

zademonstrowała palcami wielkość owych istot. - Ostatecznie wylądowali

tu - przycisnęła palcem lewą pierś - a ja nic nie zauważyłam.

- Chociaż jesteś w tym miejscu raczej wrażliwa - dodał uszczypliwie

Hal.

Pogroziła mu pięścią. Gwen cieszył się jak dziecko.

- A wy zachowujecie się tak, jakby ludzkość była zagrożona - mówiła

dalej Djamila.

- Nie wszystko jest tak, jak mówisz - powiedział Gwen. - Oni znali już

wtedy broń atomową.

- A jaki był stosunek masy krytycznej do wielkości ich ciał? - Djamila

zapaliła się do sprawy.

- Mila - uspokajał ją Hal. - Oni znali też syntezę jądrową i może nawet

zapłon laserowy. Masa nie odgrywa wtedy żadnej roli.

- A co mogą zdziałać te kilkumiligramowe istoty?

- Jest jeszcze coś - wtrącił Gwen. - Pomijając fakt, że ich wymiary nie

muszą mieć nic wspólnego z posiadaniem przez nich dużych bomb, mieli oni

już wtedy opanowaną broń biologiczną. Jeżeli rozwijali ją dalej, może ona

być poważnym zagrożeniem dla całej ludzkości. Zresztą są tak mali, że łatwiej im było zająć się bakteriami, nawet dokonywaniem ich mutacji, niż bombami.

- Rozmawiałeś z Res? - zapytał ostrożnie Hal. Gwen przytaknęła.

- To, że przywiozłeś ją ze sobą, było jednym z twoich najlepszych pomysłów. Ja też bronię się przed tą myślą, Djamila, chciałbym, aby okazało się to nieprawdą. - Gwen uderzył pięścią w książkę. - Ale nie wolno nam tego zlekceważyć.

Djamila zmarszczyła brwi i opuściła kącki ust; tego typu grymas wystawiał zazwyczaj jednoznaczne świadectwo jej rozmówcy.

- Zobaczymy - powiedziała, po czym zajęła się lekturą aktualności dnia, które pojawiły się akurat na ekranie.

Zadanie, jakie razem z Djamila otrzymali w ramach prac komisji, Hal uznał za niewdzięczne: wraz z pięcioma jej członkami i asystentem profesora mieli systemem pięcio-zmianowym obserwować bazę małych przybyszów, którą Hal z dużym nakładem sił i niezwykle starannie przykleił z powrotem do drzewa.

Obydwaj asystenci profesora musieli nawet pod mikroskopem skleić z powrotem budowlę uszkodzoną podczas badań. Była to robota filigranowa, granicząca z artystycznym.

Tym razem obserwator nie siedział na brzozie. Polana była do tego stopnia obstawiona zamaskowanymi przyrządami, że każdy szelest liści, niemal powiew wiatru, mógł być wzmocniony do piekielnego huku.

Ruchomy pomost był w stanie w mgnieniu oka podnieść dwie osoby na

wysokość, z jakiej cała baza była widoczna. Zrezygnowano ze zdalnie sterowanych kamer. Trudno było przewidzieć, jak może podziałać na małych przybyszów nadmiar techniki.

Na platformie pomostu znajdowało się wszystko, co ułatwiało podczas obserwacji sporządzanie powiększonych rysunków.

Na polanie ustawiono też pawilon dobrze go maskując i urządzono się w nim wygodnie. Hal zaopatrzył się w najnowsze notatki dotyczące korekty katalizatorów w kombinacie, traktując je jako rodzaj odprężenia. Nikt nie liczył się z możliwością rychłego powrotu maluchów.

Następnego dnia, kiedy Hal i Djamila przyszli, aby objąć popołudniową zmianę, od razu zauważyli, że coś się musiało wydarzyć. Przed nimi stały trzy samoloty.

Pomost, na którym znajdowali się profesor Fontaine i jeden z jego asystentów, był uniesiony. Koledzy z poprzedniej zmiany siedzieli w pawilonie przed ekranem, nie myśląc chyba nawet o pójściu do domu.

Djamila i Hal zauważyli od razu, że w górze na lądowisku stoi jeszcze jeden helikopter, a przy tablicach poruszają się dwie osoby, powiększony obraz nie pozostawiał żadnej wątpliwości.

Tak, po tych tablicach obiecywano sobie dużo. Znajdował się na nich tekst w języku antyczno-angielskim, który zawierał przede wszystkim prośbę do maluchów, by nawiązali z ludźmi kontakt.

Ludziki

miały

zawieszane

aparaty

fotograficzne

i

właśnie

fotografowały kolejno jedną tablicę po drugiej.

Profesor Fontaine nalegał, aby zaznaczyć na tablicach pewne fakty z dziejów ludzkości, starczyło też miejsca na propozycje dotyczące sposobu nawiązania kontaktu.

Tekst nie był długi, ale redagowanie go nie obyło się bez trudności.

Profesor nie wypowiedział się, co myśli o mojej tezie, wspominał Hal, tylko pomrukując kiwał głową i wpychał do ust te swoje okrągłe ciasteczka.

Wydawało się jednak, że jest jakiś zamyślony. Ale - tu Hal poczuł przypyływ dumy - moje odkrycie odegrało pewną rolę podczas formułowania tekstu.

Nie możemy się przed nimi skompromitować, ale tamci też nie powinni się wystraszyć, powiedział niedawno Gwen. Bo przypuśćmy, że należeli, wtedy do klasy panującej - w jaki sposób mogliby zrozumieć nasz świat? Pieniądz, Hal uśmiechnął się, podstawa ich egzystencji, przestał już istnieć, a przynajmniej stracił całkowicie swoje znaczenie. Ciekawe, czy oni zdołaliby pojąć, że z większości towarów każdy bierze tyle, ile mu potrzeba? W jaki sposób ci ludzie, którzy prowadzili luksusowe i ekstrawaganckie życie, poradziliby sobie teraz z bonami za wydajność? No i z pracą, jako że nikt by jej za nich nie wykonał.

Ja na przykład, kiedy w zakładzie wszystko jest w porządku, otrzymuję dwadzieścia bonów miesięcznie, Djamila do dwudziestu pięciu.

Czy tamci przestawiliby się na wino, bo jako artykuł spożywczy nie kosztuje nic, podczas gdy za butelkę szampana trzeba oddać jeden bon, a za alkohol mocniejszy nawet trzy? Swego czasu papierosy palił co drugi dorosły człowiek. Czy oni by się teraz odzwyczaili palić tylko dlatego, że za dwadzieścia papierosów ze względu na ich szkodliwość społeczną trzeba zwrócić cztery bony?

U nas też ekonomiką zajmowała się początkowo cała armia ludzi. Ale jaki sens miałyby teraz odpisywanie środków na amortyzację inwestycji, podwyższanie podatków? Zupełnie jak - Hala namyślał się przez chwilę, ale przyszło mu do głowy tylko jedno porównanie - jak chomik, który przekłada swą zdobycz z jednej torebki policzkowej do drugiej. Czy oni by - to zrozumieli? Stale się produkuje i szuka nowych rozwiązań, a Rada kieruje i koordynuje potrzeby. Jeżeli powstaną jakieś nieprawidłowości, do akcji wkraczają terytorialne organa zabezpieczające. Niczego się jednak przy tym nie transferuje, nie przeprowadza się żadnych spekulacji, statystyk, manipulacji. Czy ich mózgi zdołałyby to zakodować? Czy nie trzeba z tym się zżyć?

Wszystkie te sprawy nie mogły być oczywiście opisane na kilku tablicach, przede wszystkim dlatego, że teza Hala nie została jeszcze potwierdzona. Mógł już sobie wyobrazić minę Djamily i uśmiech Gwena, gdyby jego obawy okazały się bezpodstawne, chociaż oni też mieli pewne wątpliwości.

Koledzy z pawilonu, nie odrywając wzroku od ekranu, poinformowali ich, że prawdopodobnie chodzi o patrol maluchów, który dokonuje

przeglądu ewakuowanej bazy i fotografuje z niezwykłym zapalem tablice.

Patrol nie spostrzegł chyba nawet zwróconych na siebie urządzeń, wyposażonych w najdoskonalsze oczy i uszy, jakimi dysponowała współczesna technika. Nie mieściły się w ich polu widzenia. Może maluchy wzięły je za połyskujące w oddali obłoki, albo część jakiegoś olbrzymiego drzewa.

Obydwaj fotografowali niezmordowanie.

Widocznie podzielili się pracą, bo rozpoczęli od tablicy środkowej, po czym ruszyli do następnych, kierując się w przeciwne strony.

Jeden z nich dotarł już do przedostatniej tablicy, kiedy widzowie zgromadzeni przed ekranem wydali niemal jednocześnie okrzyk przerażenia. Nad krawędzią platformy pojawiła się para olbrzymich, drgających, pokrytych szczecią czułków, które znieruchomiały na moment, jakby szukając czegoś, a następnie gwałtownie poderwały się do góry. Czułki mieściły się na okrągłej, pokrytej osłoną chitynową głowie, której część dolna uzbrojona była we wzbudzające trwogę uzębione żuwaczki.

- To mrówka! - krzyknęła nagle Djamila. Reszta odetchnęła z ulgą, ale wkrótce okazało się, że przedwcześnie.

Mrówka nie należała nawet do dużych, była raczej normalnym, małym owadem o długości nie przekraczającej trzech milimetrów. Można to było obliczyć, porównując ją z tablicą. Jednak przy tym maleństwie, które z całkowitym spokojem majstrowało coś przy aparacie - widocznie zakładało nową błonę - wyglądała niczym straszliwy potwór z bajki. I właśnie do niej

maluch był zwrócony tyłem.

Owad posuwał się do przodu stopniowo, w charakterystyczny dla mrówek sposób, to zatrzymując się, to znów poruszając czułkami. Maluch, który nie sięgał mu nawet do oczu, najwidoczniej miał paść jego ofiarą. Jeden z techników kręcił z podniecenia jakąś gałką. Głośnik szumiał, nie było jednak nic słychać. Ale maluch wyczuł chyba grożące mu niebezpieczeństwo. Odwrócił się nagle, znieruchomiał na ułamek sekundy, po czym zaczął biec co sił w stronę helikoptera.

Mrówka rzuciła się do przodu, chybiła.

Drugi maluch skrył się błyskawicznie za tablicą. Od miejsca wydarzeń dzielił go odstęp prawie dziesięciu centymetrów.

Widzowie włączyli drugą kamerę, która przedstawiała widok z drugiej strony tablic. Maluch pędził pod ich osłoną ogromnymi susami. Nie przewidział jednak jednej rzeczy: pośrodku platformy utworzyły się wąskie szczeliny. Jedną z takich rys maluch wykorzystał jako kryjówkę. Ale to nie polepszyło chyba w istotnym stopniu jego sytuacji. Obydwoma rękami trzymał się kurczowo krawędzi szczeliny, lecz mrówka była już tuż, tuż, i kłapnęła żuwaczkami...

Obserwatorzy jęknęli zgodnie, kiedy dłonie rozluźniły uchwyt, a maluch runął na dno szczeliny. Hala ogarnęły smutek i zarazem złość.

Dlaczego Fontaine, który siedział na drzewie, nie wkroczył do akcji? Wtedy nie doszłoby do tej tragedii!

Zamierzał właśnie podbiec do drzewa i powiedzieć profesorowi, co o nim myśli, ale w ostatniej chwili zatrzymał się: drugi maluch, który

zdążyłby podbiec do helikoptera, tym bardziej że mrówka znieruchomiła, poruszając jedynie czułkami, zbliżył się na odległość około półtora centymetra. Uniósł jakiś długi przedmiot - strzelbę! - wycelował w głowę mrówki, w następnej chwili błysnęła drobna iskierka, ale bez rezultatu.

Czyżby chybił?

- Jeżeli nie strzeli w oko - szepnął technik - to niczego nie osiągnie.

Pancerz owada jest za twardy.

Istotnie. Ale mrówka nie zostawiła mu czasu na dokładne celowanie.

Jeszcze raz błysnęło, potem po raz trzeci. Błyskom towarzyszyły wzmocnione przez głośnik trzaski.

Wreszcie maluch, szukając ratunku, rzucił się do ucieczki. Tym razem jednak profesor wkroczył do akcji.

Ludzie wpatrzeni w ekran cofnęli się odruchowo. Coś ogromnego zbliżyło się do mrówki i jakaś płyta - paznokiec profesora - oddzieliła owadowi głowę od tułowia.

Palec zniknął. Kadłub mrówki wił się konwulsyjnie, potem wszystko ustało. Dla tej mrówki wszelkie polowania skończyły się raz na zawsze.

Zwrócili wzrok na malucha. Początkowo przystanął, potem na widok palca profesora, który uznał widocznie za górę, a więc za zjawisko przyrody o niebywałych rozmiarach, rzucił się na ziemię. Następnie wstał powoli, zatrzymał się, z wahaniem podszedł do nieżywej mrówki, obszedł ją nieufnie dokoła, trącił lufą strzelby.

Wreszcie przyszedł do siebie. Podbiegł do szczeliny, w którą wpadł jego kolega, położył się na brzuchu i zajrzał w dół. W głośniku coś

zabrzącało niezrozumiale. Maluch zaczął nagle dawać jakieś znaki, jakby do kogoś w dole.

Djamila i Hal spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Czyżby tamten jeszcze żył? Stojący obok nich technik powiedział z przekonaniem:

- On żyje - po czym dodał z uśmiechem: - Chyba, że dostał ze strachu zawału serca. - Spowaźniał trochę. - Jemu nic się nie stanie, nawet gdyby runął na skałę z wysokości tysiąca metrów.

Zrozumieli to od razu. Ich sposób rozumowania splatał im ponownie figla.

- Czy widziałeś kiedyś - Djamila zadała to pytanie, jakby dziwiła ją niepojętność kolegi - żeby na przykład mrówce, skoro mówimy już o tych istotach, coś się stało przy upadku? Porównaj masę ciała i opór powietrza.

Maluch podbiegł do helikoptera, skąd wyjął linę, po czym opuścił jej koniec na dno szczeliny. Wkrótce rozbitek wydostał się na powierzchnię cały i zdrowy.

Przez chwilę, jakby wstrząśnięty, stał przed olbrzymią martwą mrówką, następnie podszedł do tablic i podjął fotografowanie. dachowanie drugiego zaskoczyło ludzi przed kamerą. Dużym nożem manipulował przy padlinie, odciął nogi od kadłuba, porąbał je i ułożył w stos.

Kiedy jego kolega skończył fotografowanie, pobiegł do helikoptera, wystartował i w chwilę później osiadł tuż przy szczątkach mrówki, które wspólnie załadowali do helikoptera.

- Trofeum myśliwskie - mruknął technik, robiąc przy tym minę, jakby sam miał teraz w ustach dużego trzmiela albo coś w tym rodzaju.

*Helikopter znów wystartował, zatoczył koło, wzniósł się ponad
najwyższe wierzchołki i zniknął w oddali.*

Po krótkim meldunku radiowym o ostatnich wydarzeniach w

“Highlife” Chris odwołał obserwatorów.

Natychmiast po wylądowaniu Charles i Karl zostali poproszeni do sali

zebrań w celu złożenia sprawozdania. Kiedy wyszli z helikoptera, Karl

zawrócił jeszcze i wyjął z kabiny jakąś tablicę.

Cała załoga bazy już czekała.

- No tak, siadajcie i mówcie - powiedział Chris. W sali zapanowała

pełna skupienia cisza. Monitor i kilka mikrofonów wskazywały na to, że

spotkanie miało być nie tylko nagrane, ale również transmitowane

bezpośrednio na “Ocean”.

- Właściwie nie ma o czym tak długo rozprawiać - zaczął Karl. - Dziś

rano, po naradzie z wami, zwiększyliśmy zakres urządzenia odbiorczego, a

potem koło południa zrobiła się ładna pogoda, w sam raz do fotografowania

tych! tablic. Przywieźliśmy jedną z nich, numer cztery.

Karl postawił tablicę. Na białym tle widniały czarne litery.

Wszyscy zaczęli odczytywać tekst, w sali narastał gwar.

Tablica numer cztery, stanowiąca zapewne część dłuższego

komunikatu, zawierała następującą wiadomość:

W zasadzie żyjemy monogamicznie. Nie istnieje u nas jednak

instytucja małżeństwa, tak powszechna u was.

W tym miejscu gwar na sali podniósł się, tu i ówdzie dały się słyszeć

uszczypliwe, żartobliwe uwagi.

Spoleczeństwo nie zajmuje się tym, co obchodzi tylko dwoje ludzi.

Oczywiście potomstwo jest rejestrowane, tak że w każdej chwili można stwierdzić jednoznacznie tożsamość i pochodzenie. Współżycie obojga partnerów opiera się wyłącznie na wzajemnym szacunku, zrozumieniu i miłości. Jeżeli okazuje się, że związek był nieporozumieniem, zostaje rozwiązany, ale bez angażowania w to wszystko społeczeństwa. Liczba tego typu rozstań kształtuje się w granicach dwóch procent.

Wrzawa, jaka teraz wybuchła, uniemożliwiła Nilpachowi zabranie głosu. Charles wykrzykiwał raz po raz:

- A co, nie mówiłem!

Karl roześmiał się i rozłożył ręce, wzywając do zachowania spokoju.

Jego słowa zyskały natychmiast powszechną uwagę:

- Mimo woli dostarczyliśmy im wspaniałego widowiska. Podczas robienia zdjęć zaskoczyła nas mrówka. O dziwo, nie chodziło jej o mnie, ale o tego chudzielca Charlesa. - Na sali rozległ się śmiech. Charles śmiał się razem z innymi. - Potem wpadł w szczelinę i w ten sposób uratował się przed nią.

- Nawet gdybym tam nie wpadł, nie dałaby mi rady - bronił się

Charles.

- Ponieważ zaś była młoda i z gatunku tych, z których udek Harry przyrządza pikantne steki, pomyślałem sobie, że warto by spróbować.

Podszedłem zwierzynę i strzeliłem pociskami eksplodującymi, ale chybiłem.

Możliwe, że to była trema. Świadomość, że oni siedzą sobie przed ekranami i obserwują każdy nasz ruch, wcale nie jest taka przyjemna. W każdym razie

pocisk przeszedł obok, musiałem się więc wycofać. Kiedy odwróciłem się, zobaczyłem taki sam gigantyczny palec jak wtedy, kiedy buchnęli nam helikopter. I właśnie ten stwór oddzielił po prostu mrówce głowę od tułowia. Potem pomogłem Charlesowi wydostać się ze szczeliny, poćwiartowaliśmy mrówkę, załadowaliśmy dziczyznę i oto jesteśmy!

- Może powinniśmy zostać tam dłużej - dodał Charles. - W ten sposób przytrzymałibyśmy ich przy urządzeniach, a wy byście przyszli i przeprowadzili z nimi rozmowę. - Spojrzał z wyrzutem na Chrisa.

Na sali rozległy się okrzyki protestu, ale również aprobaty.

Chris położył kres wrzawie.

- Uczynimy to możliwie jak najprędzej - wyjaśnił. - Ale nie wszyscy i na pewno nie bez pomocy naszej aparatury. Od przyszłego tygodnia będziemy mogli nadawać sygnały o dużej mocy na ich paśmie. To będzie pierwszy krok. A teraz pokażcie te zdjęcia.

To, co ujrzeli na zdjęciach, okazało się krótkim zarysem rozwoju makrosów. Ale o ile pierwsze zdjęcia zachęcały ich jeszcze do żartobliwych uwag i okrzyków, to w miarę oglądania następnych uspokajali się i spoglądali po sobie niemal z zakłopotaniem. Wreszcie na sali zapanowała cisza. Zebrani siedzieli zamyśleni, jakby przygnębieni.

Ogólny obraz makrosów, wynikający z tekstów tablic, nie różnił się zbyt wiele od wizji nakreślonej niedawno przez Ennila na podstawie uzyskanych informacji. Ale niektóre punkty omówiono na tablicach szczególnie dokładnie, jak gdyby makrosi chcieli podkreślić fakty bezsporne, nie podlegające żadnej dyskusji.

Chris odgadł myśli przyjaciół. Przerwał milczenie i powiedział na głos

to, co u pozostałych stało się przyczyną przygnębienia:

- Widocznie wyrobili sobie o nas fałszywe zdanie.

Przytaknęli powściągliwie.

I wtedy odezwał się Charles;

- Oni zapytali swoją centralę encyklopedyczną, taki duży komputer, o

epokę, w której zaczęła się nasza cywilizacja. Przecież musimy sobie z tego

zdać sprawę, że wiele przejawów naszego obecnego życia odpowiada

właśnie tamtym czasom. Zebrali na przykład dane o ówczesnych

helikopterach; okazuje się, że były takie jak nasze, nie wynaleźliśmy nic

mądrzejszego, a przede wszystkim nic mniej kosztownego. Mieliśmy tylko

jeden cel: miniaturyzowanie... Nic więc dziwnego, że oni identyfikują nas

pod każdym względem, nawet społecznym, z tym okresem. Gdyby ten okres,

a zwłaszcza mentalność naszych "ojców", wszystko to, co w testamencie

Tocsa określone jest jako przyczyna, istniało jeszcze do dziś u makrosów, to

wcale bym się nie zdziwił, gdyby po prostu - tu Charles strzelił palcami - nas

wytępili.

Chris machnął ręką. Na sali podniosły się głosy protestu.

- Takie postępowanie byłoby sprzeczne z wysokim, powiedziałbym

nawet, dojrzałym poziomem ludzkości! - zawołał.

- A jak by się zachowali nasi przodkowie? - odparował ostro Charles. -

Gdyby

groziło

im

jakiegokolwiek

niebezpieczeństwo,

nawet

jego

prawdopodobieństwo, od razu zabraliby się do rzeczy. Wystarczy spojrzeć

na nas! Nawet przez chwilę nie zawahali się, aby nas pomniejszyć, zrobić z

nas kaleki. Im więcej mamy do czynienia z makrosami, tym bardziej sobie to

uświadamiam.

Uczynienie

z

nas

duchowych

kalek

w

imię

pseudohumanitaryzmu to bezprzykładna zbrodnia! - W głosie Ennila

brzmiały wściekłość i gorzka ironia.

- Dobrze chociaż, że zdajesz sobie z tego sprawę - powiedziała Gela. -

Może teraz ocenisz właściwie osiągnięcia szaraków. - Widocznie nie

zapomniała jeszcze tamtej uwagi Charlesa. Po krótkiej przerwie zaczęła

mówić dalej: - Ten stopień rozwoju, w jakim znajdują się obecnie makrosi,

wyklucza zupełnie coś takiego! Poza tym nasze dociekania opierają się

jedynie na mglistych przypuszczeniach. Ustawienie przez nich tablic to gest,

inicjatywa nawiązania z nami kontaktu. Wszystko inne można przecież

wyjaśnić w rozmowie. Nie ma sensu łamać sobie teraz nad tym głowy i martwić się zawczasu. Powinniśmy raczej ustalić, co im powiemy. Czekają na to.

Rzeczowe wystąpienie Geli podziałało. Zebrani odetchnęli z ulgą.

Natychmiast padły propozycje, w jaki sposób można by porozumieć się z makrosami. W końcu postanowiono ustawić w "Highlife" tablicę z podanym na niej terminem pierwszej audycji radiowej, emitowanej w znanym im paśmie. Ten sposób nawiązania kontaktu wydał im się najpewniejszy i najmniej zobowiązujący.

Teraz, kiedy ustalono już sposoby postępowania, zapanowało od nowa podniecenie. Na tę chwilę wszyscy czekali, to właśnie było celem ekspedycji, zarówno tej, jak również pierwszej, która wypłynęła na "Oceanie I". Oto spełniła się nadzieja, za którą trzydzieści siedem osób oddało swe życie.

Pełna podniecenia wrzawa trwała nadal. Wysuwano propozycje dotyczące wiadomości, które chcieli przesłać drogą radiową, dyskutowano rzeczowo nad tym, co przywieźli ze sobą Karl i Charles.

Nastąpił wyraźny podział na dwie grupy: jedni pałali chęcią możliwie szybkiego poznania sfery życia makrosów i dopasowania do niej życia ich własnego narodu, inni, rozsądniejsi, zapatrywali się na to sceptycznie. Do tych ostatnich należał Charles, namiętny wyznawca tezy, że kolejne epoki ewolucji społecznej można przyspieszyć, ale nie ominąć.

Kiedy zapytał, jak wyobrażają sobie "rewolucjoniści" - tak bowiem nazwał swoich oponentów - powiększenie swych wymiarów, aby móc się

dostosować do poziomu życia makrosów, nikt nie wiedział, co odpowiedzieć.

A Charles bronił zawzięcie swojego stanowiska, mówiąc dalej:

- Życie uległo na pewno dalszej technizacji. Makrosi dysponują dziś środkami, o których u nas myśleli najwyżej utopiści. Te środki wpływają oczywiście na standard życia. W jaki sposób mielibyśmy uczestniczyć w tym wszystkim, skoro jesteśmy od nich dużo mniejsi? Przekonstruować całą technikę? A koszty takiej operacji? Pomijam już fakt, że to zahamowałoby rozwój naszej mutacji. A nawet gdybyśmy dopięli swego i mogli żyć wśród makrosów, ilu z nas padłoby ofiarą ich nieuwagi? Zapytuję też: czy naprawdę warto dążyć do tego, co oni osiągnęli? U nich wszystko jest produktem długotrwałego rozwoju, którego pewne momenty być może wymknęły się spod ich wpływu. Czy musielibyśmy - nazwę to w ten sposób - powtórzyć ich błędy? Oni żyją w społeczeństwie, którego warunkiem funkcjonowania jest rozwinięta świadomość. Co my im możemy przeciwstawić? Wyobraźcie sobie tylko likwidację naszego systemu pieniężnego. Już widzę ten chaos! Właśnie teraz, kiedy dużo ludzi leczy się na to nieszczęsne ograniczenie myślowe. Nawet ten dziesiętny system dwudziestogodzinnej doby, wprowadzony tu, narobiłby u nas wiele bałaganu. Wyobraźcie sobie...

- Nie chcemy sobie niczego wyobrażać - przerwała mu Gela. - Wydaje mi się, Charles, że wiemy jeszcze zbyt mało. A poza tym zapominasz chyba o jednym: oni nam pomogą. Teraz ja ci coś zaproponuję: wyobraź sobie makro-krowę; Ilu z nas mogłaby taka jedna wyżywić? No?

Na sali rozległ się śmiech. Karl wzdrygnął się.

- Przez całe życie stek i mleko? Co to, to nie! Zresztą podczas nastuchu dowiedzieliśmy się, że oni mają jaz duże odmiany zwierząt i roślin, co umożliwia wyżywienie siedmiu miliardów ludzi. Obawiam się, że jedna taka krowa wystarczyłaby na długo dla całego naszego narodu.

Jego słowa wzbudziły wesołość na sali.

Gela uśmiechnęła się, ale po chwili spoważniała i szepnęła:

- Może i my wrócimy kiedyś do normalnych rozmiarów...

XVI

Wszystkich ogarnęło podniecenie. Djamila, Hal i Gwen mieli powitać sekretarkę generalną i jej sztab i odprowadzić na miejsce obrad.

Ale nie to było najważniejsze. To był dopiero wstęp do największej sensacji stulecia: pierwszej rozmowy z maluchami.

Wbrew pozorom, największą przeszkodą był nie sprzęt techniczny, który modulował dźwięki, wzmacniał je lub osłabiał, ale uzgodnienie tekstów, a przede wszystkim wspólnej linii postępowania.

Nawet w ścisłym kręgu wtajemniczonych odezwały się już głosy wątpliwości. A może mali przybysze są dla ludzi niebezpieczni? Może lepiej pozostawić ich samym sobie? Nie wadziliby wtedy nikomu; stanowiliby coś w rodzaju rezerwatu z umieszczoną u góry dużą lupą - dla turystów. Był to wynik tendencji: sensacji nigdy nie jest za dużo... Oczywiście takie stanowisko reprezentowali tylko nieliczni, którzy zresztą szybko je zmienili.

Ale że taki projekt znalazł w ogóle zwolenników...

Te i inne problemy Djamila przedstawiła sekretarce generalnej, znajdując w niej uważnego słuchacza. Nie przerywała Djamili, nie pytała o nic, tak że nie było w końcu wiadomo, jakie ma na ten temat zdanie.

Pierwszy kontakt został nawiązany za pośrednictwem tablic, "wynalazku" profesora Fontaine'a.

Świadomie zrezygnowano z wykrycia miejsca pobytu maluchów.

Zresztą podrzucenie im jakiegoś mikro-nadajnika albo czegoś w tym rodzaju, co mogłoby wskazać drogę, nie sprawiłoby większych trudności.

Profesor Fontaine pokładał w swych tablicach wielkie nadzieje i nie przeliczył się.

Upłynęły dwa dni, zanim ukazała się odpowiedź: krótka i zwięzła. Na tablicy widniał napis:

Pozdrawiamy was, ludne! Przybyliśmy, aby nawiązać z wami kontakt. Słuchajcie nas w dniu dwudziestego trzeciego kwietnia o godzinie dziesiątej waszego czasu w paśmie 23,943. Wasze miejsce odbioru: polana leśna przy bazie. Noloc, kierownik ekspedycji.

Tablica została ustawiona błyskawicznie. Zanim obserwatorzy uruchomili pomost i włączyli kamery i aparaturę nasłuchową, helikopter już zniknął za wierzchołkami.

Wiadomość zaskoczyła wszystkich. Nie można było wątpić w to, że przybysze obserwują ich od dawna i znają ich, podczas gdy oni sami gubili się jeszcze w domysłach.

Natychmiast zrodziło się pytanie: w jakim stopniu przybysze przeniknęli już do ich sfery życia, jakie mieli możliwości - gdyby sprawdziły się owe niemiłe prognozy - aby im zaszkodzić?

Nie słyszeli jeszcze nawet ich oddechów, tamci natomiast byli w stanie nadawać na ich częstotliwości. To oznaczało, że potrafili prowadzić nasłuch ich audycji. Od jak dawna? Zastanawiano się, w jakim stopniu można poznać ich życie na podstawie wiadomości radiowych.

Hal zaczął tracić swoją pewność siebie. W obecności Djamili sypał coraz to nowszymi argumentami na poparcie swej tezy o pochodzeniu maluchów, ale w głębi duszy czuł coraz więcej wątpliwości. Jeżeli jego

poglądy miały być słuszne, to rozwój społeczny tych drobnych istot znajdowałby się teraz na wyższym etapie, mimo że posługiwały się one antycznymi samolotami i meblami oraz innymi przeżytkami. Do wzniesionego na polanie obszernego pawilonu dotarli w różnych nastrojach. Djamila paplała, Hal był zatopiony w rozmyślaniach, Gwen starał się przez cały czas pełnić tak dobrze jak umiał obowiązki gospodarza, a sekretarka generalna milczała.

Hal rozglądał się dokoła ze smutkiem, wspominając chwile, które spędzili tu we dwoje, z dala od innych. Teraz to już należało do przeszłości. Nowa baza przybyszów mieściła się według ich obliczeń w odległości około ośmiu kilometrów od polany. Wywnioskowano to na podstawie zaproponowanej im częstotliwości radiowej.

Powołano już, o czym Hal dowiedział się od Gwena, służbę pelengową, której zadaniem było wykrycie miejsca pobytu maluchów. Należało działać niezwykle ostrożnie: nikt już nie wątpił, że maluchy obserwują ich przez cały czas.

Za dziesięć dziesiąta zajęli miejsca w pawilonie, urządzonym dosyć komfortowo jak na prowizoryczne pomieszczenie. Krąg wtajemniczonych nie poszerzył się i było tu niewiele osób: profesor Fontaine, Ewa, dwóch techników z zespołu Fontaine'a, trzech nie znanych Halowi członków komitetu oraz - ku zaskoczeniu Hala - Res Strogel. Skinęła mu głową na poły ironicznie, na poły łaskawie.

Zapadła pełna oczekiwania cisza. Technicy w napięciu czuwali przy odbiornikach, gotowi w każdej chwili regulować głośność i uruchomić

samonastawną antenę, aby zapewnić optymalną jakość odbioru.

Za trzy dziesiąta na ustalonym paśmie rozległ się nagle sygnał ciągły.

*Już poprzednio zadbano o to, aby w promieniu dwudziestu kilometrów
ustała na danej częstotliwości wszelka łączność radiowa. Dźwięk, który
teraz usłyszeli, mógł więc pochodzić jedynie od maluchów.*

*Napięcie osiągnęło punkt kulminacyjny. Nawet małomówna
sekretarka generalna nachyliła się do przodu.*

*Punktualnie o godzinie dziesiątej w pomieszczeniu zabrzmiał donośny,
lekko zniekształcony głos, skorygowany momentalnie przez techników. Był
to głos mężczyzny.*

*Hal drgnął gwałtownie, Djamila chwyciła go za rękę. Tym, co go
przestraszyło, nie był okrzyk "Uwaga", ale fakt, że był to głos męski, silny.*

*Nie pasował jakoś do jego wyobrażeń o maluchach. Jednak już po chwili Hal
zdał sobie sprawę z naiwności swojego rozumowania. Czego się spodziewał?
Pisku? Jego zaskoczenie ustąpiło teraz miejsca świadomości, że oto dzieje się
coś niezwykłego.*

*- Prosimy o próbę funkcjonowania aparatów - mówił dalej rzeczowy
głos. - Po odebraniu naszego sygnału wyślijcie impuls.*

Przerwa.

*Ten całkiem oczywisty wstęp zaskoczył ich całkowicie. Przez chwilę
odnosili wrażenie, niezbyt zresztą miłe, jakby działali pod przymusem.*

Po chwili sygnał został wysłany. Znowu niepewność. Kto się odezwie?

*To nie było ustalone. Właściwie powinien był przemówić profesor, ale
najwidoczniej poczuł wątpliwości, gdyż podał mikrofon sekretarce*

generalnej. Potrząsnęła odmownie głową. Fontaine odchrząknął, po czym odezwał się: - Odbiór bez zarzutu. Witajcie! Hal uświadomił sobie nagle, że pierwsze słowa wymieniono w języku niemieckim. A przecież do tej pory wszystko wskazywało na to, że tamci znają jedynie język

antyczno-amerykański! Był to kolejny i istotny w odczuciu Hala cios wymierzony w jego tezę.

Po słowach Fontaine'a nastąpiła krótka przerwa. Potem rozległ się głos innego mężczyzny, jakby trochę młodszego.

- Witamy was!

Przerwa.

- Tu mówi Chris Noloc, kierownik drugiej wyprawy oceanicznej, wysłannik administracji Blessed Island.

Przerwa.

- Cieszymy się, że tak chętnie spełniliście nasze życzenie i nawiązaliście z nami kontakt.

Z głosu zniknęła nagle owa wyraźna rzeczowość, mówca przybrał

teraz łagodny, cichy ton.

- Z prawdziwą radością witamy w was przedstawicieli wysoko rozwiniętej cywilizacji, społeczeństwa humanitarnego, ludzi ponad dwa tysiące razy większych od nas, ale jednak - ludzi.

Przerwa.

- Pragniemy nawiązać kontakt i współpracę z korzyścią dla obydwu stron.

Przerwa.

Hal odniósł wrażenie, że tamten umyślnie mówi z przerwami, aby dać im okazję do odpowiedzi. Dlatego też uporczywe milczenie profesora Fontaine'a zaczynało męczyć go coraz bardziej. Zerknął na Res. Ona też wierciła się na krześle. Wydało mu się, że jej ramiona drżą lekko.

- Tak jest naprawdę - mówił dalej głos - głównym celem naszej ekspedycji jest nawiązanie z wami kontaktu.

Fontaine poruszył się, jakby chciał coś powiedzieć. On również zrozumiał, że nie można wystawiać cierpliwości ich rozmówcy na zbyt długą próbę.

- Pragnieniem każdej cywilizacji humanitarnej jest odszukanie we wszechświecie istot rozumnych - odezwał się wreszcie Fontaine. - Do tej pory to się nam nie udało. Dlatego możemy was zapewnić, że również naszym celem jest kontakt dla obopólnej korzyści. Sądzę - tu Fontaine wymienił spojrzenie z sekretarką generalną - że będę wyrazicielem całej ludzkości, jeżeli powiem, że chcemy nawiązać z wami kontakt możliwie jak najprędzej. - Profesor urwał.

Trochę drętwe to przemówienie, pomyślał Hal. Ponieważ strona

przeciwna nie odzywała się, profesor mówił dalej.

- Prawdopodobnie zdołaliście poznać nas lepiej, niż my was. Sądzę, że myśleliście już o tym, w jaki sposób moglibyśmy nawiązać ten kontakt mimo... - Fontaine zawahał się - pewnych trudności natury biologicznej.

Zręcznie przekazana piłka, pomyślał Hal z uznaniem.

- Ze względów bezpieczeństwa ewakuowaliśmy naszą bazę, którą znacie. Nieco dalej założyliśmy nową, jak zapewne wiecie.

Sekretarka generalna, Gwen i profesor porozumieli się wzrokiem.

Fontaine nerwowo wygrzebał z kieszeni ciasteczko i wsunął je do ust.

- Chętnie wrócilibyśmy do naszej dawnej bazy - mówił dalej ów Chris

Noloc - a potem wysłali do was naszą delegację. Przy waszym poziomie techniki nie będziecie mieli trudności w zorganizowaniu rozmowy, przy

»której partnerzy będą się mogli widzieć nawzajem. Niestety jesteśmy

zmuszeni skorzystać z waszej pomocy, chociaż i my dysponujemy

niezbędnymi do tego środkami. Nie możemy jednak nawiązać łączności z ojczyzną i sprowadzić stamtąd sprzętu. Proponujemy dostosować termin naszego spotkania do waszych możliwości.

Była to właściwie prośba, ale słowa brzmiały pewnie. To, co oni mają

do zaoferowania, to nie tylko poziom techniczny helikopterów, pomyślał

Hal.

Bp wyłączył mikrofon. Teraz porozumiewał się szeptem z sekretarką

generalną i Gwenem. Hial siedział za daleko, aby móc coś zrozumieć.

Widział tylko, że Res przysuwa się powoli w stronę nadajnika, jakby coś

ważnego leżało jej na sercu.

Tamtych troje ustalało widocznie termin. Też mi problem, pomyślał

Hal. Właściwie potrzebny nam jest jedynie sprzęt, jaki znajduje się na platformie, tylko że w podwójnej ilości. Wzruszył ramionami. Nie jest ważne: kiedy, tylko żeby to się wreszcie odbyło.

Z głośnika rozległ się znowu głos kierownika obcej - ekspedycji. Hal zaczął przysłuchiwać się uważnie.

Proponujemy od tego momentu porozumiewać się codziennie drogą radiową o jakiejś ustalonej porze, aby ustalić sprawy organizacyjne.

Wydaje nam się, że godzina dziesiąta byłaby porą odpowiednią.

Nie ulegało wątpliwości, że przybysze przejęli całą inicjatywę w swoje ręce.

Profesor Fontaine zabrał głos. Zgodził się na propozycję i wyznaczył termin spotkania na ósmy dzień następnego miesiąca. A więc daje nam jeszcze ponad dwa tygodnie czasu, pomyślał Hal. Taka zwłoka! Widocznie istnieją jeszcze jakieś wątpliwości, o których nie wiem...

Odniósł wrażenie, że rozmowa się kończy.

Nagle do profesora podeszła Res i gestem poprosiła o przekazanie jej mikrofonu.

Hal obserwował z napięciem całą scenę.

Fontaine był jakby zaskoczony. Spojrzał na Res, na mikrofon, na

Gwena, przeniósł wzrok na sekretarkę generalną. Przerwa zaczynała być kłopotliwa. Wreszcie podał jej mikrofon.

- Noloc - odezwała się Res - wspomniałeś o dwóch ekspedycjach. Kiedy

odbyła się pierwsza?

Przerwa. Pytanie zaskoczyło widocznie drugą stronę. Również towarzysze Res spoglądali po sobie zdezorientowani.

Po chwili zabrzmiała odpowiedź:

- Wylądowała dwadzieścia jeden miesięcy temu zapewne uległa katastrofie.

Res uczyniła gest, jakby zamierzała zadać następne pytanie, ale profesor odebrał jej mikrofon.

Kontakt został również przerwany przez drugą stronę. Po zwięzłej odpowiedzi na pytanie Res, Noloc pożegnał się, przypominając tylko umowę.

Obecni spoglądali po sobie bezradnie. Oto rozmawiali z maluchami, nawet w swoim własnym języku, a mimo to nie wiedzieli ani kim tamci są, ani skąd przybyli. Przecież takie sprawy należało wyjaśnić od razu!

Hal wątpił, czy rozmowy dotyczące organizacji spotkań dostarczą informacji na ten temat. Wyglądało na to, że przybysze chcą na razie zachować swoje incognito. Nie był tym zachwycony. Zależało mu na potwierdzeniu swojej tezy, tym bardziej że sam zaczynał się już wahać.

Ale - tej myśli uczepił się mocno - do tej pory była to jedyną teorią, która jakoś wyjaśniała wszystkie zjawiska związane z przybyszami.

Odczuwał satysfakcję, że wszelkie środki ostrożności, które zresztą wydały mu się nieco przesadzone, będą podjęte dzięki niemu.

Profesor Fontaine był skłonny widzieć w zachowaniu Res przyczyną nagłego zakończenia rozmowy. Powiedział jej wprost, że uważa tę

samowolną ingerencję za niestosowną. Gwen i Ewa starali się go jakoś ułagodzić, sekretarka generalna nie zabierała głosu, a Res, nie próbując się nawet usprawiedliwić, powiedziała zamysłona:

- Drogi profesorze, wydaje mi się, że moje pytanie było istotne. Wcale nie żałuję, że je zadałam! - Odeszła jakby roztargniona, kiwnąwszy jeszcze Halowi ręką.

Ten Noloc nie powiedział wcale, ilu ich jest, pomyślał Hal.

Przypomniał sobie nagle, że ostatnio śledził wzrokiem w domu najmniejsze poruszenie lub zmianę w otoczeniu, poświęcając im mimo woli więcej uwagi niż zazwyczaj, że studiował zachowanie każdego owada, dopóki nie był pewny, że ma do czynienia naprawdę z owadem. W każdej chwili spodziewał się spotkać maluchów. A może oni znajdują się już wśród nas, całe miliony?

Może tkwią w najbardziej czułych mechanizmach naszego życia, okupując wszystkie punkty newralgiczne? Może czekają tylko na hasło, aby zrzucić ze swych helikopterów mikroby, a potem całe ich armie rozprzestrzeniłyby się na ziemi, jak tamten potok drobnoustrojów w Afryce Północnej... Może znają jeszcze inne sposoby?...

Hal nie był przekonany, czy w takiej sytuacji poradziłiby sobie. Życie toczyło się teraz inaczej niż dawniej. Było z pewnością bardziej ustabilizowane, ale mniej bezpieczne.

Czym

natomiast

charakteryzowała

się

epoka,

z

której

prawdopodobnie pochodzili mali przybysze? Wojny, morderstwa i inne przestępstwa kryminalne, wzajemna wrogość niemal wszystkich wobec wszystkich, szukanie własnej korzyści za wszelką cenę, chciwość, wyzysk, pośpiech oraz znieczulica - oto cechy tej epoki występujące w wielu krajach.

Hal odegnał od siebie te niezbyt przyjemne myśli i podał rękę Djamili.

Wstali. Widocznie zbyt długa zajmowałem się tamtym okresem, pomyślał.

Zresztą czy centrala encyklopedyczna jest zaprogramowana tak zupełnie obiektywnie? Czy ocena tej epoki nie jest za bardzo uproszczona? No nic, poczekajmy trochę. Najbliższe tygodnie przyniosą ostateczne rozwiązanie.

Sekretarka generalna poprosiła na naradę do dużego stołu

umieszczonego w pawilonie. Nagle znów pojawiła się Res. Przechodząc obok

Hala podsunęła mu pod nos mały pojemnik z odrobiną szarozielonej substancji.

- Z góry - wyjaśniła.

Dopiero po chwili Hal uświadomił sobie, że prawdopodobnie miała na myśli bazę maluchów.

Nic się nie zmieniło: do decydującego spotkania mieli się przygotować w ciągu dwóch tygodni. Obydwie strony uznały spotkanie za cel główny.

Żadna ze stron nie wykorzystywała możliwości codziennego kontaktu.

Bywały dni, kiedy technicy pozdrawiali się wzajemnie, ale po stwierdzeniu, że nie ma żadnych spraw do omówienia, przerywali łączność. Członkowie

komisji uwzględnili prośbę maluchów, którzy chcieli przylecieć dużym samolotem, potrzebny był im jednak pas startowy. Obiecali udostępnić zarys swojego rozwoju, poprosili jednak o odpowiedni do ich aparatury filmowej powiększający układ optyczny.

Zanosilo się więc na sensację, wydarzenie szczególnej wagi, w miarę zaś upływu czasu rosło coraz bardziej podniecenie wszystkich zainteresowanych - oprócz profesora, który pozornie zachował spokój. Hal odnosił jednak wrażenie, że Fontaine zjada teraz więcej ciastek niż zwykle.

Odkrycie nowej bazy maluchów w ruinach starej leśniczówki przeszło niemal bez echa, tym bardziej że tamci przenieśli swoją bazę z powrotem na brzozę. Makrosi usunęli stamtąd aparaturę, aby nie wzbudzać podejrzeń swoich gości, którzy i tak mogli obserwować ich dokładniej.

Nie kryjąc się już, zamieszkali więc otwarcie na polanie i Hal z żalem spoglądał nieraz, przeważnie z rana, kiedy dla poprawy nastroju gimnastykowano się trochę, na ten piękny zakątek zeszecony przenośnymi domkami, wszelkiego rodzaju sprzętem oraz pojazdami.

Nadciągał piękny, ciepły maj, ale nikt z grupy nie łudził się nadzieją, że skorzysta z pogody. Wystarczyło jednak pomyśleć o oczekującym ich wydarzeniu, aby żal szybko zniknął.

W tym czasie Hal został wezwany do kombinatu. Royl powitał go jowialnie, zapytał o zdrowie. Podczas rozmowy czuło się jednak wyraźnie, że według niego nadszedł już czas, aby Hal powrócił do swych obowiązków w zakładzie. Wreszcie zrzucił maskę. Zauważył jakby mimochodem:

- Wiem, Hal, nie chciałbym nalegać, jeżeli nie chcesz o tym mówić,

dobrze, dobrze - tu uniósł ręce obronnym gestem - ale czy z tej sprawy w ogóle coś się wykluje? Wiesz, jak ważne dla produkcji są te katalizatory. A ty jesteś w końcu za nie odpowiedzialny. I nie miej mi tego za złe, twój zastępca... on nie bardzo się nadaje.

Royl stał się bardziej natarczywy, kiedy dowiedział się, że trudno teraz przewidzieć, jak długo potrwać jeszcze prace komisji.

Hal postanowił poprosić o pomoc Gwena, jednak ta sytuacja niepokoiła go trochę. Z drugiej strony miał nadzieję, że spotkanie z przybyszami pomoże mu rozwiązać ten problem szybciej i skuteczniej.

Tym razem panowało większe podniecenie niż przed pierwszą rozmową. Zresztą zaangażowano też więcej osób: w pawilonie zajęli miejsca w półkolu niemal wszyscy wtajemniczeni. Tylko nieliczni obserwowali urządzenia na zewnątrz.

Już na pół godziny przed wyznaczonym terminem większość uczestników zajęła miejsca. Wrzało jak w ulu, ludzie zachowywali się jak przed wielkim świętem.

Gwen, Ewa, Djamila i Hal siedzieli na skraju polany w skąym cieniu młodego modrzewia, naprzeciwko brzozy, gdzie na wysokości pięciu metrów w miejscu obciętej gałęzi działo się z pewnością coś ciekawego.

Zachowywali się tak, jakby to wszystko nie interesowało ich ani trochę.

Jeżeli mogę ocenić resztę według siebie, pomyślał Hal, to nasza czwórka przypomina paczkę materiału wybuchowego, do której ktoś zbliża właśnie zapalony lont. Co chwila podnosił wzrok, zresztą nie tylko on jeden, spoglądając machinalnie na brzozę.

Nieco dalej rozłożył się na trawie Fontaine. Leżał oparty plecami o zmurszały pień i nie zwracając uwagi na to, że spróchniałe drzewo brudzi mu ubranie, medytował. Spoglądał to w górę, to znów na trawę, ale Hal był pewien, że profesor nie widzi niczego.

- Najbardziej ciekawi mnie, jak oni żyją - odezwał się Gwen. - Na pewno zaaklimatyzowanie się w tym środowisku - tu uniósł prawą rękę i wskazał nią na żdźbła trawy, trzęsawisko i leśne poszycie - jest dla nich bardzo trudne.

- Wydaje mi się, że stanowią przedziwną mieszaninę stagnacji i ewolucji - zauważył Hal, - Przypomnijcie sobie wydarzenie z mrówką i inne, z tym wszystkim muszą się przecież uporać.

- Nadal jesteś przekonany, że oni pochodzą... z tej starej księgi? - zapytała uszczypliwie Ewa.

- Nadal - potwierdził Hal niewzruszenie. Zresztą nie tylko ja - dodał tajemniczo, myśląc o Res.

- A twoja wersja o kosmosie? - nie dawała za wygraną Ewa, zwracając się tym razem do Djamili.

Ta uśmiechnęła się.

- Nie jestem pewna. Chociaż... od ostatniego dziesięciolecia rzadko kto wątpi w fakt, że Ziemia przeżyła w swych czasach prehistorycznych wizytę z kosmosu. Jeszcze do niedawna nikt nie chciał w to wierzyć, jako że takie teorie podkopywały podwaliny starożytnej wiedzy. Może więc oni odwiedzili nas ponownie? Pokryjomu dowiedzieli się wszystkiego, aby móc się łatwiej dopasować...

- A bogowie, którzy wtedy zstąpili na ziemię, byli mikroskopijnymi

istotami, tak? - zapytał ironicznie Hal.

- Na tym właśnie polega dopasowanie - odparła z naciskiem Djamila. -

W ten sposób mogą pozostać niewidzialni. - Roześmiała się swobodnie. -

Uspokój się, to już niedługo! - Spojrzała na zegarek. - Możemy już wejść -

powiedziała, wstając powoli.

Zaledwie

zajęli

miejsca

w

komfortowym

i

przestronnym

pomieszczeniu z plastyku, pojawili się goście.

Wylądowali - prowadzeni przez radiolokacyjne ścianki kierujące - na

stole konferencyjnym, na wyznaczonym miejscu, przed ustawionymi tam

obiektami i ekranami.

Tu także technicy dokonali rzeczy niezwykłej: na ekranach widać było

obraz stereoskopowy makrosów, których wielkość nie przekraczała trzech

milimetrów; w porównaniu z przybyszami byli nadal olbrzymami, ale już w

rozsądnej proporcji.

Przybyła cała eskadra helikopterów - pięć, jak policzył Hal - tworząc

szpaler. Kiedy silniki ucichły, przyrządy kontrolne zameldowały kolejny

przyłot. Tym razem była to duża maszyna, eskortowana przez dwa mniejsze

samoloty w kształcie rakiet.

Hal spoglądał przez urządzenie optyczne na stół. Samolot miał dosyć

pokaźną

długość

wynoszącą

niemal

cztery

centymetry!

Wbrew

wyobrażeniom Hala z samolotu nie wysiadł żaden dostojny brodac, ale

młody, wysportowany mężczyzna, który przeskoczył kilka ostatnich stopni

trapu. Za nim ukazali się młoda kobieta i kilku mężczyzn, w tym również

starszych. Wszystko to Hal mógł obserwować wyłącznie dzięki urządzeniom

optycznym.

Osobliwe ubrania i fryzury gości nie zdziwiły nikogo; wszyscy zdołali

się już zapoznać z tamtą epoką.

Przybysze mieli na sobie solidne ubrania z antycznymi zamkami i

naszytymi kieszeniami. W ogóle wszystko, co nosili, było uszyte z części.

Widocznie nie znali jeszcze ubrań mono-częściowych.

Kobieta odziana była identycznie. Hal z trudem rozpoznał jej pleć. Pod

grubym materiałem jej kształty odznaczały się raczej skromnie. Ubranie nie

miało żadnego prześwitującego miejsca, nie widać było na nim żadnej gry

kolorów, nie sprawiało też wrażenia wygodnego. Prawdopodobnie można

było się w nim spocić.

Hal zerknął na siedzącą tuż obok Djamilę. W porównaniu z tamtą kobietą była odziana jedynie w mgielkę. No cóż, to była nowoczesna tkanina z regulowaną temperaturą. Nawet ten szczegół prowokował do natrętnej myśli: w jakim stopniu będzie możliwe porozumienie? Nie porozumienie, ale wzajemne zrozumienie się?

Uwagę Hala zajęły znowu wydarzenia rozgrywające się na stole. Z helikopterów wysiedli już wszyscy, niektórzy nosili jakieś przyrządy. Teraz tworzyli grupę liczącą dwadzieścia pięć osób, wśród których Hal dostrzegł kilka kobiet.

Na ich czele szedł młody mężczyzna; Hal domyślał się, że jest to ów Chris Noloc, który zamienił z nimi pierwsze słowa.

Nagle przystanął z wahaniem, a za nim reszta.

No tak, nikt z makrosów nie mógł wyjść im naprzeciw, aby ich powitać. Nastąpiła kłopotliwa przerwa. Zresztą jeszcze jedno niezręczne niedopatrzenie dało teraz o sobie znać: goście nie mieli na czym usiąść!

Sytuację uratował jeden z pomysłowych techników. Przeciągnął cienki, miedziany drut, który naprężył się, wyginając lekko. Tak zakrzywiony drut technik wsunął ostrożnie między samoloty.

Goście zrozumieli i usiedli.

Hal spróbował znaleźć się w sytuacji gości: Jak ja bym się czuł, rozmyślał, gdybym siedział na lotnisku przed całym szeregiem gigantycznych przyrządów technicznych, mając za sobą samoloty, a przed sobą, na ekranach, mimo wszystko olbrzymie, pokazane stereoskopowe istoty, wpatrzone we mnie jak w clowna. Wzdrygnął się.

Goście siedzieli stłoczeni w półkolu - tak jak uformował się drut. Część z nich krzątała się dokoła, ciągnąc za sobą kable i przyłączając je do przywiezionych przyrządów. Wreszcie można było zacząć.

Okazało się, że sekretarka generalna i profesor Fontaine studiowali między innymi historyczne języki świata, dzięki czemu znali język antyczno-angielski. Kierując się zasadami grzeczności - przestarzałymi, według Hala i Djamili - postanowili przeprowadzić rozmowę właśnie w tym języku. Reszta mogła korzystać z symultanki.

Halowi wydało się to dziwne, gdyż okazało się, że nie tylko ów Noloc, ale również technicy, z którymi prowadzono rozmowy przygotowawcze, znali język niemiecki i międzynarodowy.

Dlatego też roześmiał się, kiedy Noloc zaczął mówić w języku, międzynarodowym.

To, co ujawniła rozmowa, było właściwie - pominięty niesamowite źródło - zakończeniem całego ciągu logicznych powiązań.

Goście okazali się ludźmi usuniętymi w osobliwy i tragiczny zarazem sposób z grona osobników dużych, pomniejszonymi do skali 1 : 2050 i cofniętymi w rozwoju - biorąc pod uwagę stan obecny - o ponad sto lat.

Po grzecznościowej wymianie słów Chris Noloc zaczął opowiadać brzmiące niemal niewiarygodnie dzieje własnego społeczeństwa:

- Przede wszystkim muszę wam coś wyznać - powiedział. Podniósł się i wyjął z kieszeni arkusz papieru. - Do niedawna, a ściślej mówiąc do śmierci naszego właściwego kierownika ekspedycji nie powiedziałbym nic o naszym pochodzeniu, bo... bo po prostu, tak jak większość z nas, sam nic o tym nie

wiedziałem. Tocs wyjaśnił mi wszystko jako swojemu następcy tuż przed śmiercią. My - tu Chris powiódł ręką, wskazując siedzących współtowarzyszy - uwolniliśmy się wreszcie od klątwy, która ciążyła nad naszą przeszłością. W sprawę wtajemniczeni są wszyscy członkowie ekspedycji, ale nie nasz naród.

Hal spojrział na Djamilę. Sytuacja stała się jasna. Oto, co nas czeka, pomyślał Hal. Czyżby słowa Chrisa oznaczały, że zostaliśmy wciągnięci w jakiś zatarg pomiędzy maluchami? Czy korpus ekspedycyjny odłączył się od tych, którzy ich wysłali? A może żywi teraz jakieś złe zamiary, chcąc wykorzystać fakt, że reszta narodu nie zna własnej przeszłości? Czyżby miało się okazać, że nasze środki ostrożności są konieczne, a nawet niewystarczające?

Z drugiej strony ani ten Chris, ani pozostali przybysze nie wyglądali na takich, którzy knują coś złego. Chociażby ta szczerść, która przebijała już z pierwszych słów...

Hal skoncentrował się ponownie na mówcy.

- Wy i my jesteśmy wytworami tej samej ewolucji! - Chris przerwał.

Djamila szturchnęła Hala w bok, a Gwen ściągnął kąciki ust i rzucił mu pełne uznania spojrzenie. Również Res zerknęła na niego, jakby chciała powiedzieć: "No, proszę!"

- Nasi przodkowie - mówił dalej Chris - byli jeszcze w roku 1980 normalnymi ludźmi, przynajmniej jeżeli chodzi o wzrost - uśmiechnął się. - Przed stu dziewięćdziesięciu laty utworzyli oni, a było ich dwa tysiące zdrowych ludzi, kobiet i mężczyzn, swoje państwo, Blessed Island, czyli

Błogosławiona Wyspa, jak je nazwali. Tak, kraj ten powstał po kryjomu i w ten sposób zaczęła się cała tragedia.

Byli po prostu sektą, jedną z licznych, jakie istniały wówczas w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, marzyli jak wielu ich rodaków o lepszym świecie.

Ta sekta różniła się od innych jednym drobiazgiem, bardzo zresztą istotnym: byli w stanie realizować swoje plany! Część tych ludzi pochodziła z rodzin wielkich biznesmenów, dysponowała więc ogromnymi środkami finansowymi. Ich prorok, profesor Nhak, obiecał im...

Hal przypomniał sobie coś nagle: w centrali encyklopedycznej zakodowany był fakt zaginięcia tego profesora w roku 1981 jako wydarzenie niezwykle. Nie przywiązywał do tego większej wagi, zdziwiło go tylko, że tego typu wypadek przeszedł aż do historii. - ... piękny sielankowy świat zbytku i szczęścia. Jego nauka głosiła: Jedynym ratunkiem ludzkości przed groźbą śmierci głodowej i nuklearnym samounicestwieniem jest - Chris przerwał na chwilę, a potem dokończył podniesionym głosem - miniaturyzacja ludzi!

Nam samym trudno jest dziś zrozumieć naszych przodków. W każdym razie demagodzy pokroju Nhaka znaleźli posłuch i wpływy. Świat był wtedy podzielony na kraje socjalistyczne i kapitalistyczne. Ten drugi obóz rozpadał się, przeżywał kryzysy i wstrząsy. Nie dostrzegał alternatywy, jaką był dla niego socjalizm, system obcy jego istocie.

Nhak głosił następującą tezę: Jeżeli ludzie ulegną pomniejszeniu, zwiększy się niemal nieskończenie przestrzeń życiowa. A bezkresna

przestrzeń życiowa oznacza likwidację przyczyn wojen, umożliwi nowe odkrycia, badania, produkcję - słowem, renesans okresu twórczego.

Nhak wybierał długo, aż wreszcie skupił wokół siebie oddaną gromadkę kobiet i mężczyzn w liczbie około pięćdziesięciu, więcej osób nie chciał wtajemniczać. Oni tworzyli jego sektę, byli władzą ustawodawczą i wykonawczą.

W ciągu zaledwie trzech lat zdołali pozyskać wielu. Dwa tysiące. Byli to młodzi ludzie, pełni zapału, gotowi oddać życie za sprawę.

Profesor dysponował wyspą, którą przekształcono, przygotowano do nowych, oczekujących ich warunków. Olbrzymi teren został zadaszony szkłem, po czym wyznawcy sekty przystąpili do tworzenia nowego świata.

Jednocześnie zatroszczono się o to, aby nikomu niczego nie zabrakło.

Być może przyznacie mi rację, jeżeli powiem, że takie zadanie może wzbudzić entuzjazm. Nic dziwnego, skoro w krótkim czasie pod szklanymi dachami wyprodukowano odmiany roślin i zwierząt użytkowych, jak również duże ilości odpowiednio przetworzonych materiałów.

Kiedy urodził się pierwszy mutant ludzki, nastąpił z pewnością moment najwyższej euforii. Wydarzenie przybrało charakter publicznego, niemal sakralnego aktu! Aktu, który zapoczątkował ustawę regulującą przyrost naturalny według modelu: dwa plus co najmniej cztery! Ponieważ płód był mały, poród nie wymagał najmniejszego wysiłku. Pierwszy noworodek miał długość - Chris urwał, zastanowił! się przez chwilę - czternastu centymetrów, według waszej miary. - Tu skinął głową ku swoim współtowarzyszom. Kilku z nich właśnie przygotowywało aparaturę

filmową.

Po chwili zademonstrowano widzom film, wprowadzie nieostry, gruboziarnisty, ale wstrząsający. Fragmenty owego święta. Euforia, uniesienie, ekstaza - nieprawdopodobne i odrażające. Widzowie patrzyli na ekrany zafascynowani. Oto mieli przed sobą fragment żywej przeszłości, coś, czego nie można było porównać z innymi dokumentami. To, co oglądali, było filmem nakręconym wyłącznie dla tajnego archiwum.

Teraz ukazał się kawałek materiału, trzymany w dwóch rękach, a na nim poruszało się maleństwo, pierwszy sukces: człowiek, który miał osiągnąć wzrost najwyżej czterdziestu centymetrów.

Widocznie rodziny zaczęły stawiać sobie za punkt honoru przekroczenie ustalonej liczby dzieci, tym bardziej że państwo włączyło się aktywnie w proces wychowania, począwszy już od wieku niemowlęcego. Na filmie widoczna była teraz klinika położnicza, promieniejące ze szczęścia rodziny, narodziny dziecka. Poród był sprawą prostą, opieka nad dzieckiem przypominała raczej zabawę, ludzie zaczęli żyć w zbytku. Musieli wprowadzić pracować ciężko, ale na tym właśnie polegał ich misja. Po projekcji Chris ponownie zabrał głos.

- Tylko nieliczni zaufani profesora mieli śledzić wydarzenia na świecie. W końcu w umysłach pozostałych zagnieździła się nieufność, tym bardziej że nie wszystko przebiegało zgodnie z planem. Kolonia zasklepiła, się w sobie, zniszczono wszelką aparaturę radiową, a Nhak i jego grupa zaczęli usuwać systematycznie ślady przeszłości. Coraz więcej młodych wykazywało alarmujący zanik pamięci. Ogólny entuzjazm sprawił, że na

pewien okres zdołano to zamaskować. Potem tłumaczono to jako los, nieuchronne następstwo procesu miniaturyzacji.

Zdaniem niektórych zanikowi pamięci nie przeciwdziało się dlatego, że pomagał on wymazać przeszłość. Tych, którzy głosili ten pogląd, pozbyto się dyskretnie. Zostali, że tak powiem, wygnani z raju, przekonani, że nadszedł ich koniec. Potem właśnie oni z pomocą innych uratowali nas.

Zapowiadało się coś straszego - wytyczono sobie cel: wzrost ludzi miał nie przekraczać dziesięciu centymetrów. Potem nastąpiło otrzeźwienie i fiasko: administracja straciła panowanie nad procesem miniaturyzacji.

Profesor Nhak umarł. Nie było właściwie naukowej kadry następców.

Nieufność sprawiła bowiem, że wtajemniczano tylko nielicznych. Życie zaczęło toczyć się szybciej. Spójrzcie na mnie! - Chris znowu podniósł głos. -

Sądziлиście, że przekroczyłem już trzydziestkę, prawda? Mam teraz dwanaście lat, a to oznacza prawie połowę życia!

Po raz pierwszy, odkąd Chris zabrał głos, podniósł się szmer. Halem również wstrząsnęło to wyznanie. Ich rozmówcą było dziecko! Ale już po chwili Hal uświadomił sobie bezsens tej myśli. Tamten kieruje przecież grupą ludzi w niezwyklej, skomplikowanej sytuacji i na pewno ponosi wielką odpowiedzialność, jak również musi podejmować doniosłe decyzje.

- Poza tym tego procesu miniaturyzacji nie można już było zatrzymać, nawet wtedy, kiedy przestano wreszcie oddziaływać na nas genetycznie.

Zmniejszaliśmy się z pokolenia na pokolenie, aż do dziś.

Ludzie w pawilonie przysłuchiwali się jego słowom wstrzymując

niemal oddech. Przytłoczył ich smutek zmieszany ze współczuciem...

Chris zaś opowiadał dalej.

Halowi nasunęło się nagle pytanie: dlaczego ów proces miniaturyzacji nie został odwrócony? Noloc, jakby czytając w jego myślach, powiedział:

- Pierwotnie było ich dwa tysiące, ale jeszcze za życia profesora Nhaka osiągnęli już liczbę ponad pięciu tysięcy. Każdy, kto wyraziłby chęć powrotu, byłby wyklęty. Powiedziałem już, co się stało z tymi, którzy odważyli się sprzeciwić.

Potem zaczęła się walka o życie. Musieli teraz stale dostosowywać otoczenie do swojego wzrostu. Do tego potrzeba było jednak umysłów badaczy, a administracja, bojąc się o własną egzystencję, wolała nie likwidować

bariery

pamięciowej,

aby

nie

powiększać

grona

wtajemniczonych. O tym wiemy dopiero od kilkunastu lat. Wtedy nie byli w stanie prowadzić konsekwentnie badań, zmniejszać stale przyrządów i tak dalej... W pewnym sensie ten stan rzeczy przetrwał do dziś. Z biegiem czasu nasz zadaszony świat stykał się coraz częściej z waszym światem makro.

Zaczęły się kłopoty. Raz był to deszcz, innym razem mrówki i inne groźne dla nas zwierzęta, ale nie chcę zanudzać was takimi sprawami.

Administracja dostrzegła niebezpieczeństwo grożące istnieniu narodu,

a więc również jej samej. Czuli, że wzrasta buntownicze pragnienie powrotu, chociaż ostatnie metody zastraszenia były skuteczne. Zdecydowali się wtedy na jedyny właściwy - z ich punktu widzenia - krok: ogłosili sensacyjną wiadomość, że świat makro przestał istnieć. Nie zapominajmy bowiem, że żyli jeszcze nieliczni przedstawiciele tamtego pokolenia, które nie cierpiało na amnezję.

Mikrosi byli więc jakoby jedynymi istotami, które miały zapewnić przetrwanie gatunku ludzkiego. Do roku 2050 nie byli jednak w stanie prowadzić planowych badań nad genetyką. Całą ich zdolność pochłaniała walka o byt. Wynajdywali więc broń przeciw największym wówczas wrogom: owadom.

Są i inne kłopoty. Jeszcze trochę i siłą rzeczy dojdzie do rewolucji przemysłowej, osiągnięto już bowiem szczytowy poziom obrabiania różnych metali i tworzyw sztucznych. Dlatego też nawiązanie kontaktu z wami jest częścią naszej misji.

Hal przelknął ślinę. Zaczął teraz rozumieć lepiej położenie przybyszów. Noloc mówił dalej zmienionym tonem:

- Mieliśmy duże straty, kiedy zaczęliśmy odkrywać nasz świat, a odkryliśmy go na wyspie pośród nieprzebytego dla nas - jak to się wtedy wydawało - bezmiarów wód.

Mówiąc "my", mam na myśli ówczesną elitę, kilkuset okrutnych, opętanych żądzą władzy ludzi, kierujących kilkutomowym narodem półidiotów. Ten stan rzeczy trwał długo, aż wreszcie, mniej więcej przed pięćdziesięcioma laty, władcy zaczęli prowadzić gorączkowe badania.

Okazało się, że miniaturyzacja ludzi powoduje coraz większe obciążenie ludzkiego mózgu. Teraz, kiedy granica została już osiągnięta, zaczęli się obawiać o swój poziom umysłowy, zresztą całkiem słusznie. W tym czasie odnieśliśmy duże sukcesy w dziedzinie badania genów. Dziś możemy powiedzieć, że w dużym stopniu opanowaliśmy świat mikroorganizmów.

Naprzeciw niego powstało jakieś poruszenie. To Res zerwała się z miejsca, po chwili jednak nieco zakłopotana usiadła.

- A potem, w tajemnicy przed administracją, coś zaczęło się rozwijać.

Przecież wśród uciskanych robotników też byli ludzie uświadomieni.

Impuls przybył z zewnątrz: ci wygnani przed laty nie zginęli.

Wytrzymali niewymowne trudy, rozmnożyli się, bezpieczni nad zatoką na zbawczej wysepce, a więc w świecie makro.

Stamtąd przybyli do naszego odizolowanego świata, aby uświadomić nas. To właśnie oni, chociaż brzmi to nieprawdopodobnie, skłonili tych robotników, których pamięć wykazywała mniejszy zanik niż innych, aby wychowywali dzieci zdrowe, nie rejestrując ich, a więc chroniąc je od samego początku przed machiną administracji. Oni roztaczali też wizje przeszłości, zniekształcone, pozbawione podstaw naukowych, niemal mityczne. Nie zapominajcie, że było to już dziesiąte pokolenie, a pierwsze zostało na samym początku przeniesione, jeżeli chodzi o środowisko, w warunki społeczeństwa pierwotnego. W każdym razie większość trzonu naszej ekspedycji, ja również, rekrutuje się spośród tamtych wygnanych.

Powstała klasa robotników uświadomionych, którzy zdołali się zorganizować, zanim o ich istnieniu dowiedziała się administracja. A potem

wyszło na jaw, że robotnicy schronili się przed represjami w świecie makro.

Poza granicami swojej ojczyzny nie musieli obawiać się prześladowań, tam też zbroili się.

W tym czasie przeszła na ich stronę znaczna część naukowców, niektórzy z własnej woli, innych udało się zaagitować. Badacze ci ujawnili swoje najnowsze odkrycia, dając tym samym broń do walki z elitą. Doszło do rozłamu, do zerwania z administracją, do jej zagłady.

Czy możecie sobie wyobrazić, co otrzymali w spadku robotnicy? Było ich około dwudziestu tysięcy; wobec dziesięciu tysięcy członków elity i ponad dwustu tysięcy ludzi ograniczonych.

Jest to proces, który do dziś nie został zakończony, ale z pewnością możecie sobie wyobrazić jego przebieg.

Kiedy zbadaliśmy już naszą wyspę i przystosowaliśmy ją lepiej do naszego życia, kiedy mogliśmy wreszcie odetchnąć i zająć się mniej palącymi sprawami, zaczęły nurtować nas pytania: jaki świat leży za oceanem? Czy istnieje jakiś gigantyczny świat, odpowiadający owym latającym, pełzającym i pływającym potworom, które widywano na peryferiach naszej wyspy? Na ten temat krążyły tylko podania, legendy i baśnie...

Przed trzema laty przygotowaliśmy ekspedycję. Olbrzymi statek pochłonął czterdzieści procent naszego dochodu narodowego. Przez pewien czas utrzymywaliśmy łączność radiową; sygnały nadeszły do nas po dłuższym czasie z jakiegoś odległego, bliżej nie określonego wybrzeża.

Wtedy usłyszeliśmy po raz pierwszy o ogromnych istotach, mglistych w

oddali, przypominających swym wyglądem ludzi. Urojenia? Nadmiar fantazji? Czy może jednak potwierdzenie wizji, jakie przekazali nam dawni wygnańcy? Nasze środowisko, wyspa, wąskie pasmo między wybrzeżem a naszym szklanym domem, metalowe druty, wypalane cegły - wszystko świadczyło o tym, że na tej planecie istniała kiedyś cywilizacja. Raport z "Oceanu I" pozwalał mieć nadzieję, że poza zasięgiem naszego bytu jest coś, co posiada cechy rozumne, dla nas, grzebiących się i żyjących wśród mchu, traw i brył kwarcu, które wy nazywacie piaskiem, pozostaje jednak nieosiągalne. "Ocean I" zamilkł, zaginął. To już właściwie wszystko. Nasz statek nosi nazwę "Ocean II".

Chris powiódł wzrokiem po zebranych. Potem dodał:

- W naszym państwie żyje nas obecnie trochę ponad dwieście tysięcy.

Nie ma już u nas właścicieli środków produkcji.

Halowi wydało się, że w pawilonie wszyscy razem z nim głośno odetchnęli.

- Co dwa lata naród wybiera rząd. Nasz naród jest zdrowy.

Osiągnęliśmy już jednak granicę pojemności mózgu. Nie jesteśmy już w stanie dokonywać odkryć, powielamy jedynie stare. Czy wiecie, jak to jest, kiedy chce się wykonać jakąś logiczną czynność i nagle zabraknie programu? Nie można ustalić z góry gdzie, kiedy... Czy wiecie, jakie wiąże się z tym niebezpieczeństwo? To paraliżuje, stwarza psychozy. Jesteśmy wybrańcami, ale i nas to w końcu nie ominie. Naszym zadaniem jest nawiązanie z wami kontaktu, potrzebna nam jest wasza pomoc. Na razie nasz naród nie zna tego niebezpieczeństwa w całej rozciągłości, nie zna też

jego źródła. Może to błąd, tak przynajmniej sądzimy my, na "Oceanie II".

Ale ten brak informacji jest oczywiście uzasadniony; przede wszystkim nie można rozbudzać fałszywych nadziei. Nazbyt liczą na nas inni.

Ostatnie słowa Chris wypowiedział ciszej. Usiadł.

Nastąpiła przerwa. Wszyscy byli wstrząśnięci tym, co usłyszeli przed chwilą i próbowali to wszystko zrozumieć.

Hal miał właściwie wszelkie powody ku temu, aby triumfować. Oto tamci potwierdzili jego główną myśl, a przynajmniej podali wersję bardzo zbliżoną do jego rozumowania. A jednak nie mógł się cieszyć. Los maluchów poruszył go. Potworne i nieprawdopodobne, że ludzie byli kiedyś zdolni do takich machinacji.

Oczywiście słyszało się o takich sprawach. Ale oto siedzieli poszkodowani, niewidzialni niemal gołym okiem, świadomi swego rychłego końca.

Spojrzał na Djamilę. Wstrząśnięta jak on, wpatrywała się nieruchomo przed siebie.

Sekretarka generalna wstała z miejsca. Nie mówiła dużo, ale za to konkretnie. Obiecała, że zrobią wszystko, co tylko możliwe, aby pomóc w spełnieniu misji "małych braci", jak się wyraziła. Zaproponowała utworzenie w niedługim czasie wspólnego gremium, w celu omówienia następnych kroków.

Chris poprosił jeszcze o zbudowanie dachu nad bazą i ochronę przed owadami.

Jedno i drugie było drobnostką, zresztą pomoc dla maluchów nie była

chyba skomplikowana.

Trudniejsze wydawało się Halowi włączenie ich do społeczeństwa ludzi dużych. Dzieli ich prawie półtora wieku. Na ten proces nie starczy życia jednego pokolenia. Oczywiście oni też nie stali w miejscu, musieli rozszerzać znacznie swój potencjał techniczny w porównaniu z rokiem 1990, ale tego postępu nie można chyba uznać za wystarczający? Z armatami na mrówki czy mechanicznymi nożycami do przecinania pajęczyn trudno coś zdziałać. Ale ich działalność w mikrokosmosie? Przypomniał mu się nagle potok drobnoustrojów, to straszne szare pasmo, nad którym znajdował się wtedy w szybowcu i w którym brodziła Res tkwiąca w zespawanym kombinezonie. Spojrzał na nią. Notowała coś pilnie, na twarzy widniały rumieńce.

Może odkryli również nowe materiały do obróbki... Jak powiedział Noloc? Opanowaliśmy mikrokosmos. Hal poczuł nagle, że krew uderza mu do głowy. Dopiero teraz uświadomił sobie, jakie to może mieć znaczenie na przykład dla medycyny. Poczekał, Royle, pomyślał z zawziętością, niedługo podsuną ci pod nos takie katalizatory, że ci oko zbieleje.

Ustalili jeszcze stały kontakt radiowy i pożegnali się.

Halowi zrobiło się ich żal, kiedy śmiejąc się i machając rękami wsiadali do swych maszyn. Cieszyła go jednak perspektywa następnych spotkań: obiecali przywieźć ze sobą książki i inne filmy, które pokazałyby coś więcej z ich życia.

Gwen wypchnął ostrożnie na pas startowy większy samolot, a jeden z techników uczynił to samo z mniejszymi.

Najpierw uniosły się helikoptery i szumiąc cicho zawisły nad ich

głowami. Potem wystartował duży samolot z eskortą.

*Niczym nieduża, migotliwa ławica ryb, mini-eskadra leciała w stronę
okna, prowadzona promieniem światła.*

XVII

Był ciepły wieczór. Blask księżycy załamywał się w kroplach rosy wiszących na pojedynczych źdźbłach mchu i sprawiał wrażenie, jakby błysnął promień słońca. O dach, zamontowany przez makrosów rankiem, nazajutrz po pierwszym spotkaniu, ocierał się liść. Odgłos przypominał kartkowanie dużej gazety tuż w pobliżu.

Chris stał w progu, rozkoszując się widokiem i wonnym powietrzem.

Nie opodal widniały sylwetki śmigłowców, jakby uśpionych ze zwieszonymi łopatomi wirnikowymi. Kadłub odrzutowca lśnił matowo.

Przez przezroczysty dach przebłyskiwały gwiazdy. Jakaś skaza na materiale sprawiała, że kiedy Chris poruszał głowę, niektóre z nich zdawały się tańczyć.

Z korytarza za nim dobiegały go przytłumione głosy. Problemy dotyczące współpracy z makrosami, ostatecznej formy kontaktu z nimi i właściwej oceny życia makrosów wywoływały nadal ożywione dyskusje.

Mimo nadmiernego wysiłku minionych godzin Chris czuł się lekki i pełen energii. Cel wydawał się bliski, a od momentu śmierci Toca wiedział, jak ważny jest każdy dzień, który zbliżał ich do podjęcia twórczej współpracy z synami niebios. Każdego bowiem dnia rodziły się dzieci, prawdopodobnie z postępowym zanikiem pamięci.

Przesunął dłonią po czole i oczach. Dokonałiśmy niemało, pomyślał.

Dobrze, że w dniu pierwszego spotkania udało się nawiązać łączność radiową z ojczyzną. Chrisa zapewniono, że teraz, kiedy został już

stwierzony stopień winy ich przodków, naród zostanie poinformowany o swym prawdziwym pochodzeniu. Było to zresztą konieczne również ze względu na dalsze kontakty. Szczerość mogła jedynie zwiększyć zaufanie narodu do rządu. Katastrofie można więc zapobiec. Nareszcie uporamy się z przeszłością i zaczniemy tworzyć wspólnie lepszą przyszłość, w której pokładamy tyle nadziei!

Rozprostował się, chciwie wciągnął do płuc wonne, rześkie powietrze.

Chyba tak właśnie wygląda szczęście, pomyślał.

Wtem jego prawa dłoń wyczuła jakieś poruszenie na kępie mchu.

Natężył wzrok. Czyżby mrówka? Makrosi owinęli wprawdzie drzewo lepiącą wstęgą i opylili jego koronę, ale nie można było wykluczyć, że jakieś zwierzę przedostało się tu. A jednak nie! To po prostu ktoś z załogi siedział na leżaku.

Powoli podszedł bliżej. Po chwili poznał Gelę. Obszedł dokoła, żeby jej nie przestraszyć.

- Nie przeszkadzam? - zapytał.

Wyczuł raczej, niż zauważył, że potrząsnęła przecząco głową. Potem powiedziała:

- Jest cudownie, prawda?

Nie był pewny, czy chodziło jej o ciepły wieczór, czy też rozpamiętywała jeszcze rozmowę z makrosami.

Usiadł obok niej na dosyć dużej bryle. Makrosi powiedzieliby na nią: ziarnko piasku, pomyślał ubawiony.

- Co zrobimy z zaproszeniem? - zapytała Gela.

- Ja chyba nie będę mógł z niego skorzystać - odparł. - Będzie ci

potrzebny helikopter, weź ze sobą Karla.

Milczała chwilę, potem powiedziała:

- Rozumiem, ale wolałabym iść z tobą.

Serce zabiło w nim mocniej, krew uderzyła do głowy, po skórze

przeszło mrowie. Poczul się jak w transie: wstał, nachylił się nad Gela, objął

ją i pocałował. Dopiero po chwili wyprostował się nieco, pozostając jednak

na leżaku w pozycji półleżącej. Długo milczeli.

- Ja... jestem szczęśliwy, Gela. - Chris powiedział to cicho, nieco

urywanie. Patrząc na odległą gwiazdę, świecącą nad krawędzią

plaskowyzu, ujął dziewczynę za rękę.

Gela nie odpowiadała. Z odrzuconą do tyłu głową patrzyła w czerń

nocy.

- Gela, kocham cię! Oparła głowę na jego piersi.

- Czy oni na pewno będą nam mogli pomóc? zapytała.

Przez chwilę czuł się rozczarowany. Potem jednak zrozumiał. Czy

mogli być kiedykolwiek szczęśliwi bez pomocy z zewnątrz?

- Pomogą nam, Gela, jestem tego pewien!

- Ale czy reszta będzie tego chciała?

- My oboje na pewno! - powiedział Chris zdecydowanie. - A chyba

wszyscy pragniemy zahamować utratę pamięci!

- Boję się, Chris. Wszystko się zmieni, to okropne! To, co trwałoby

wieki, będzie się teraz musiało dokonać w ciągu kilkadziesiąt lat.

Powstaną konflikty...

- O to nam chodziło. Tobie również, Gela. Zresztą nie będziemy działali pochopnie.

Zapadła cisza.

- Chris, czy tamci z "Oceanu I" żyją jeszcze? - Gela mówiła cicho, jakby do samej siebie.

Nie odpowiedział od razu.

- Nie sądzę - odparł wreszcie - ale to nie jest wykluczone. - Głaszcząc ją po włosach, dodał ciszej: - Przekonamy się o tym. Wierz mi, że nikomu nie zależy na tym bardziej niż mnie.

Uścisnęła jego dłoń. Potem powiedziała zdecydowanie:

- Nie, Chris. Nawet, gdyby Harold jeszcze żył, ja... ja cię kocham! - Po chwili dodała: - On by to zrozumiał!

Gełę cieszyła perspektywa odwiedzin, chociaż miała tam iść bez Chrisa.

Zaproszenie otrzymała od jakiejś ciemnowłosej makroski, która uczestniczyła w pierwszej rozmowie, a więc musiała pełnić ważną funkcję. Swoim wyglądem wzbudzała zaufanie, a jednak Gela poczuła, że ogarnia ją niepokój.

O ustalonej porze odnaleźli bez trudu wiodący promień świetlny. Karl siedział przy sterach, Gela i Carol stały za fotelami pilotów.

Ani jedna, ani druga nie tały podniecenia, jakie wzbudzało w nich oczekujące je wydarzenie. Natomiast Karl, nie tracąc swego pogodnego nastroju, pogwizdywał cicho.

Promień wiodący, wysłany przez gospodarzy, składał się z wiązki

splecionych ze sobą promieni. Cały system wiodący pulsował - od podstawy stożka aż do jego wierzchołka. Karl miał jedynie uważać podczas lotu, aby oś stożka przechodziła stale przez środek wziernika. Wiedział, że w ten sposób najpewniej dostanie się na przygotowane lądowisko.

Lecieli w stronę miasta. Znowu wyrastały przed nimi niebotyczne ściany, rozstępujące się ku dołowi, a nad nimi i wśród nich widniały korony olbrzymich drzew oraz liczne o tej wczesnej porze popołudniowej pojazdy i samoloty.

W miarę zbliżania się do miasta Karl koncentrował się coraz bardziej, ale chyba niepotrzebnie. Żaden z samolotów nie skrzyżował swego kursu z ich promieniem wiodącym, nikt w ogóle nie zwrócił na nich uwagi.

Gela była podniecona i szczęśliwa. Po raz pierwszy lecieli do miasta makrosów bez żadnej obawy.

Zaufali im, oddając się w ich ręce, chociaż nawet wśród członków załogi rozprawiano jeszcze głośno o potrzebie zachowania wszelkich środków ostrożności i rezerwie. Do chwili nawiązania wszechstronnych kontaktów mogło jeszcze upłynąć wiele czasu, ale Gela nie żywiła podejrzeń, a Chris dodał jej otuchy.

W ogóle ten Chris! Gela często zadawała sobie pytanie, co by było, gdyby okazało się nagle, że Harold żyje, gdyby odnalazł się nieoczekiwanie.

Poprzedniego wieczoru powiedziała Chrisowi szczerze, że go kocha, ale...

Czy można przewidzieć własną reakcję, kiedy raptem następuje to, w co dotychczas się nie wierzyło?

Czy naprawdę Harold zrozumiałby? Jak dalece ktoś, kto wyjeżdża,

aby zrobić coś dla innych, ufa tym, którzy pozostali? Co czuje, kiedy tamci zawiodą jego zaufanie? Gela zadawała sobie to pytanie setki razy - i nigdy nie znalazła na nie odpowiedzi.

To, że podobne sytuacje zdarzały się w historii ludzkości, nie było żadną pociechą. Zawsze bowiem potępiano tych, którzy okazali się słabi. Ale czy właśnie ta decyzja, podyktowana poczuciem odpowiedzialności, nie świadczyła o odwadze i sile? Wybrać kogoś, kogo się kocha, na przekór wyrzutom sumienia i wymówkom - to przecież znaczy więcej, niż pielegnować w pamięci czyjś obraz, hołdując egoistycznie przeszłości.

Carol pociągnęła Gelę za rękaw, przerywając jej rozmyślenia. Lecieli na umiarkowanej wysokości. Carol wysunęła przez okno transopter, jak nazwał Ennil wynaleziony przez siebie przyrząd, którego system optyczny pomniejszał znacznie widziane obiekty.

W ten sposób mogła teraz ogarnąć wzrokiem makrobudowlę.

Z lewej i prawej strony wisały osobliwe wieżowce. Przypominały trochę kręcone schody, których stopnie utworzone są z poszczególnych kostek. Po takich schodach mogliby chodzić giganci, przy których makrosi wyglądaliby jak karły. Każda kostka opierała się o drugą jedną krawędzią. Z oddali cały ten kompleks sprawiał wrażenie szczęściennej brukselki osadzonej na stosunkowo cienkiej łądydze. Łodyga przerastała budowlę. Z jej szczytu odchodziły do rogów kostek błyszczące liny.

- Wszyscy mieszkańcy mają tu oddzielne domy - zauważyła Carol. -

Tylko że one stoją jeden nad drugim, każdy z nich z ogródkiem na dachu i widokiem na wszystkie strony.

- Strata energii i materiału - odparł Karl, nachylając się również do transoptera. Włączył autopilota. Helikopter leciał powoli wzdłuż promienia.

- To nie będzie już odgrywało roli - zaproponowała Gela. - Słyszałeś przecież: ludność ziemi utrzymuje swój stan, nie powiększa go. Mam na myśli makrosów, A to doprowadzi w końcu siłą rzeczy do nadwyżek; przy tak intensywnej produkcji! Dlaczego więc nie można by sobie pozwolić na coś takiego?

- W każdym razie udało im się przy ich dużych rozmiarach współżyć ze sobą. Wcale nie musieli być zmniejszeni do wielkości mrówek - powiedział Karl,

- Co też za bzdurę wymyślili sobie nasi praojcowie! - Carol potrząsnęła głową.

- Takie małe rozmiary też mają swoje dobre strony! - Karl uśmiechnął się. - Kiedy tak sobie pomyślę, gdzie mógłbym przebywać, nie będąc zauważonym... No i jaki prosty staje się problem wyżywienia. Pamiętacie naszą dyskusję o krowach?

- A gdyby takiej krowie wypadła sierść i jeden włos upadłby ci na głowę?

Roześmieli się.

Z lewej strony, z któregoś wieżowca, wystartował samolot makrosów, uniósł się pionowo do góry, znieruchomiał przez chwilę pod ich trasą, zszedł z kursu, uniósł się jeszcze wyżej i potężnym zrywem oddalił się, znikając im z oczu.

- Widocznie nasz promień to dla nich tabu - powiedział Karl,

obserwując bacznie cały manewr.

- Z czego wynika, że w makroświecie lepiej jest z makrosami niż bez nich. Pamiętasz Czerwońca? Wzdłuż tego promienia leci się bezpieczniej niż wtedy z tą naszą latarnią. - Wkrótce znaleźli się na jednej wysokości ze szczytami wież.

Budowle ustawione były w dwóch przecinających się wzajemnie rzędach. Przelatywali teraz tuż nad dachami szczytowych domów. Z tyłu rozciągały się planty. Pomiędzy drzewami a zieleńcami wznosiły się dziwaczne domy w kształcie talerzy. Kolejna wieża pełniącą rolę osi. Wokół niej wisiały w dosłownym tego słowa znaczeniu pierścieniowate domostwa, około dwudziestu w jednym kole. To były również pojedyncze mieszkania, które - podpierając się wzajemnie pozwalały uzyskać widok na trzy strony świata. Karl naliczył pięć do siedmiu takich pierścieni. Pionowo usytuowana przestrzeń pomiędzy pierścieniami umożliwiała start i lądowanie szybowców na dachach. Całość sprawiała wrażenie systemu obrotowego.

Helikopter kierował się ku górnemu pierścieniowi jednego z tych domów.

- Chciałabyś mieszkać w czymś takim? - zapytała Carol, krzywiąc się.

- Dlaczego nie? - odparła Gela. - Pod warunkiem, że będzie czynna winda.

Karl roześmiał się. - Wydaje mi się, że im winda nie jest potrzebna. Do tego mają swoje latające bułki. - Nie odrywając się od transoptera wskazał na lewo. Z dachu jednego z mieszkań wystartował znowu samolot. Z

wyglądu przypominał istotnie bulkę.

Karl zredukował szybkość. Przed nimi wyrosła raptem olbrzymia, różowa, niezwykle porowata ściana. Karl przejął stery. Gela, patrząc przez transopter, zauważyła, że lecą ku prostokątnemu otworowi w ścianie. - Oni pilotują nas przez okno - powiedziała.

- Jeżeli je zamkną... - powiedział z obawą Karl. - Po co by to robili? - wzruszyła ramionami

Carol. Widać było jednak, że czuje się trochę nieswojo.

- Bzdura! - odezwała się Gela. - Przecież przedwczoraj mieli jeszcze łatwiejszą sytuację. A poza tym, po co by to mieli robić? Carol ma rację.

Nagle zapadła ciemność. Karl przygotował się do lądowania, kobiety spoglądały przez transopter. Przed nimi widniał duży stół, którego blat był uprzątnięty. Na wierzchu leżał jedynie jakiś szklany przedmiot, pryzmat kierujący promieniem. Właściwy emiter, niewątpliwie większy od pryzmatu, mieścił się gdzieś dalej. Krawędź stołu zajęta była przez przyrządy, które widocznie miały pomóc przy rozmowie, przypominały zresztą tamte, które zostały użyte w tym samym celu podczas spotkania z makrosami.

A więc wszystko wskazywało na to, że i tym razem rozmowa przebiegnie bez zgrzytów i trudności.

O wygody zadbał Chris. Przed odlotem z bazy własnoręcznie załadował na helikopter trzy fotele, wyjaśniając:

- Może nie będą mieli w mieszkaniu drutu!

Ale makrosi postarali się odrobić swoje poprzednie przeoczenie.

Goście zostali zaskoczeni od razu po wyjściu z helikoptera: gospodyni, którą

momentalnie

poznali,

powitała

ich

za

pośrednictwem

ekranu

pomniejszającego, po czym wskazała na stojące pod wysokimi roślinami

kostki do siedzenia i stół, przystosowane do rozmiarów maluchów.

- Coś podobnego! - mruknął Karl. Ujął podobny do miecza liść

najbliższej rośliny i wyjął z uznaniem wargi. - Spójrzcie tylko! Skąd, do

diabła, oni to wzięli?

Gela i Carol byli również zaskoczeni. Z pewnym zażenowaniem

odstawili przyniesione ze sobą fotele.

- Proszę usiąść - zaprosiła ich gospodyni. Okazało się, że czeka ich

jeszcze druga niespodzianka: odnieśli nagle wrażenie, że gospodyni siedzi

razem z nimi przy stole. Obok niej wyrosły jakby spod ziemi dwie kobiety i

dwóch mężczyzn.

- Taka gościnność to rozumiem! - szepnął Karl. - Tak, staraliśmy się! -

Gospodyni usłyszała jego szept, widocznie zainstalowano tu wspaniale

działającą aparaturę akustyczną. - Tylko że mamy ograniczoną swobodę

ruchów. Wystarczy jeden krok na lewo albo na prawo, i wypadniemy z

hologramu. Witam was serdecznie! Nazywam się Djamila Buchay, to jest

mój partner Hal Reon i moi przyjaciele; Ewa Man, Gwen Kasper i Res

*Strogeł. - Mówiła swobodnie, jakby spotkanie z kimś dwa tysiące razy
mniejszym było dla niej zupełnie normalne. To właśnie stwarzało
odpowiedni nastrój i budziło zaufanie.*

- Jak wy do tego doszliście? - Karl trzymał jeszcze w ręku liść rośliny.

*- Dziękujemy za miłe zaproszenie - odezwała się Gela. Przedstawiła
swoich współtowarzyszy. Kiedy wymieniła nazwisko Karla, dodała: - Pilot,
rzemieślnik do wszystkiego i w ogóle diabeł, nie człowiek, przeważnie
bardziej wygadany niż dziś.*

Karl uśmiechnął się i usiadł na elastycznej kostce z gąbki.

- To jest nasze specjalne pozdrowienie dla was, nazwijmy to: ośmielacz

- odpowiedziała Djamila na pytanie Karla.

*- Można to też nazwać efekciarstwem - zauważył Gwen, uśmiechając
się.*

- Posiadamy kilka odmian tej rośliny i silny środek powiększający. A

*oto wynik. Powinno to wam dodać otuchy! - Djamila spojrzała na Gwena i -
skinęła głową. Miała na sobie trykot, obcisty i lśniący, mieniący się różnymi
kolorami.*

Strój równie atrakcyjny co osoba, pomyślał Karl. Tylko te włosy! Dwie

kobiety miały fryzury jakby z zupełnie prostych włosów, krótkich na czubku

głowy, wystrzyżonych niemal całkowicie w obrębie czoła, nieco dłuższych

na karku. I ten połysk, tworzący coś w rodzaju aureoli. Wprawdzie pasuje

wspaniale do całości, rozmyślał dalej Karl. Ale kto by się ośmielił pogłaskać

ją po głowie... Wolę już tę trzecią! Tu przynajmniej nie musiałbym się

obawiać o całość fryzury. No, ale to i tak nie dotyczy żadnego z nas. Ten trafny wniosek zakończył jego rozważania. Zajął się teraz obserwacją ubrań: Ewa Mań nosiła... tak, właśnie co? Jedyne jej surowa twarz o wydłużonym nosie i blisko siebie osadzonych oczach miała wyraźne kontury. Wszystko inne było u niej zamazane. Mimo wyteżania wzroku, wrażenie nie zniknęło. Wydawało się, że kobietę przesłania dopasowana ściśle do ciała bariera cieplna, powodująca drganie powietrza, fale przebiegające po jej ciele w górę i w dół. Najprawdopodobniej nie miała poza tym nic na sobie, ale nie można było tego stwierdzić z całą pewnością.

Karl zerknął na Gelę i Carol. Wyglądały na zafascynowane. A Karl nie mógł pozbyć się myśli, że ze strony gospodarzy coś się za tym wszystkim kryje - wieczna kobiecość... Zaprzeczał jednak temu strój tej trzeciej, Res Strogel. Tak jak mężczyźni miała na sobie podobną do tuniki błyszczącą szatę, białą, stroje mężczyzn były w kolorach różowym i turkusowym.

Karl pomyślał o swoim zaczynającym się już odznaczać brzuchu i doszedł do przekonania, że tego typu ubiór jest bardzo korzystny i wygodny. Obserwacje nie przebiegały tak niepostrzeżenie, jak by życzyły sobie tego obydwie strony. Rozmowa zaczęła się rwać.

- Wybaczcie nam - powiedziała otwarcie Carol - ale jesteśmy jednak trochę zaskoczeni.

To przełamało lody. Wszyscy roześmieli się szczerze. Wydawało się teraz, że kolory na sukni Djamily zmieniają się już nie tak często, a biegnące po ciele Ewy fale ustąpiły miejsca poruszającej się lekko gęstej mgle.

- Słuchajcie, w jaki sposób zauważyliście naszą obecność w waszym

świecie? - zapytała Gela. - Czy to naprawdę dwoje naszych zwróciło na siebie waszą uwagę na jakiejś polanie leśnej?

- To dobre: leśna polana! - Hal nie krył swego rozbawienia. -

Zazwyczaj nazywam inaczej tę część ciała Djamili, na której wylądował helikopter.

Makrosi roześmieli się serdecznie, goście natomiast spoglądali na nich przez chwilę z zaskoczeniem, potem zrozumieli wszystko i również wybuchnęli śmiechem.

- Jak to, to byliście wy, naprawdę? - Gela, nie przestając się śmiać, bez żenady wskazała palcem na Djamilę. - A wiesz, kto po tobie spacerował?

On! - Ostentacyjnie wyciągnęła ręką w stronę Karla, po czym dodała: - I ja.

Karl śmiał się wprawdzie wraz z innymi, ale czuł się jakoś nieswojo.

Mimo woli spojrział na Djamilę. Pod jej lekką szatą rysowały się piersi, osłonięte migotliwą grą barw. Ogarnęło go zakłopotanie.

Kiedy minął już atak wesołości, Djamila powiedziała:

- Hal ostrzegł mnie wtedy, że na mojej piersi wylądował helikopter, ale pomyślałam, że po prostu żartuje. No cóż, zaskoczyliście nas swoim, pojawieniem się, to pewne. Nie wszyscy ludzie na świecie wiedzą o waszym istnieniu, ale to się wkrótce zmieni. A teraz inna sprawa: Czym mogłabym was ugościć, albo raczej w jaki sposób? Karl roześmiał się.

- Właściwie wszystkim - odparł - jeżeli tylko porcje będą odpowiednio małe.

Djamila wstała. Natychmiast zniknął jej obraz hologramowy. Tuż

obok stołu wyrosła ściana o porowatej strukturze, na której migotały i odbijały się fluoryzujące barwne punkty światła laserowego. Następnie w ich polu widzenia ukazał się paznokieć, który wsuwał na olbrzymi stół, będący dla nich podłogą, chybotliwą tacę. Stały na niej, nieco topornie wykonane, trzy małe pojemniki, zawierające po jednej kropli brunatnej cieczy. Karl ujął tacę i postawił ją na stole. Po chwili ukazała się Djamila, znowu w rozmiarach mikro. Na twarzach gospodarzy rysowała się napięta uwaga.

Karl przejął inicjatywę. Podbiegł do helikoptera. Po chwili wrócił z dwiema metalowymi płytkami, przywiązanymi sznurkami do kieszeni, i zanurzył je kolejno w naczyniach. W momencie dotyku kopulasta kropla skurczyła się. Napięcie powierzchniowe, które mogłoby utrudnić picie, zniknęło.

- Wypijemy za naszą owocną współpracę! - powiedziała Gela, widząc niezdecydowanie gospodarzy, którzy widocznie nie byli pewni, jak goście poradzą sobie z poczęstunkiem. - I za to, żebyśmy znowu upodobnili się do ludzi.

Unieśli naczynia. Goście musieli posłużyć się obydwoma dłońmi.

Kielichy gospodarzy były podobne, ale dla nich mniejsze i misterniej wykonane. Karl, przytykając kielich do ust, pomyślał mimo woli, ile trudu musiało kosztować makrosów wykonanie takich naczyń.

Wypili. Był to napój trudny do zidentyfikowania, ale smaczny i - jak się wkrótce okazało - bardzo pobudzający.

Teraz Djamila skierowała rozmowę na temat, który intrygował ich

najbardziej: pochodzenie maluchów.

- Opowiedzcie coś o swojej ojczyźnie - zaproponowała wprost.

- To, co najważniejsze, znacie już chyba - odparła Gela. - Wydaje mi się, że powinniście odnaleźć w naszej społeczności swoją własną historię, bo my żyjemy teraz chyba tak, jak wasi przodkowie w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku.

- Może nie tak dokładnie - zauważył Gwen. - Wtedy ludzkość dzieliła się właściwie na trzy obozy, ścierające się wzajemnie, co wpływało na wiele decyzji. Tego już chyba nie macie.

- To prawda - potwierdził Karl - ale istnieją różne prądy. Na przykład dawna sekta nie jest już przy władzy, ale jest jeszcze dosyć silna i ma zwolenników niestety nie tylko wśród ludzi starszych, przy czym jest oczywiście odsunięta od rządów. Władzę posiadamy my, wszyscy postępowi robotnicy w sojuszu z przychylnymi nam członkami dawnej elity, widzimy jednak, że za pozorną świadomością obywatelską kryją się u niektórych niechęć do nowości, wzajemna nieufność, maskowanie zła, zakłamanie i egoizm. Nawet rząd walczy teraz o odpowiednie kryteria, które pomogłyby odróżnić wroga od przyjaciela. Możecie sobie teraz wyobrazić, ile zależy od powodzenia naszej ekspedycji, której celem jest nawiązanie kontaktu z wami.

- Cóż, wydaje mi się, że nasza pomoc dla was jest bez wątpienia możliwa. - Partnerka Gwena wyciągnęła rękę, wskazując na mutanty roślin, przy czym jej dłoń wymknęła się z zasięgu hologramu. Przez chwilę wydawało się, że od ściany odrywa się olbrzymi głaz, przechylając się nad

stołem.

Ewa spojrzała na Hala, który skinął z aprobatą głową, i dopiero wtedy zaczęła mówić dalej:

- Jestem też przekonana, że chcemy wam pomóc. Nie zostałam wprowadziona do obiecywania wam czegokolwiek, ale nie sądzę, aby był to problem. A czy u was wszyscy będą chcieli naszej pomocy?

- Wydaje mi się - wtrącił Gwen - że takie małe rozmiary mają również swoje zalety. Być może niektórzy z was nie będą chcieli wzorować się na nas, lecz zapragną po prostu powstrzymać upadek.

- Gadasz bzdury! - oburzyła się Ewa. - Mógłby ktoś pomyśleć, że popierasz tę idiotyczną naprawę świata, głoszoną przez dawnych proroków.

- Mało będzie takich, którzy nie poprą zmiany. Nasza bezpieczna mikroprzestrzeń staje się za ciasna, a makroświat jest zbyt wrogi - powiedział zdecydowanie Karl.

- Tych, którzy się wahają - powiedziała Carol - odstrasza nie tyle wielkość ciała, co sposób, w jaki wy żyjecie!

- Jak to? - To pytanie padło niemal jednocześnie z ust Gwena i Djamili.

- Przecież żyjemy dobrze - dodała Djamila. Mała lekarka uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Owszem - odparła przeciągle - z waszego punktu widzenia! -

Wzruszyła ramionami. - U nas pieniądze stanowią nadal ekwiwalent wszystkich towarów, chociaż nie wszystko można kupić. Ogólny poziom życia jest wysoki, ale istnieją dysproporcje. Trudno jest ustalić

sprawiedliwe płace. Niedawno - tu poprawiła się momentalnie - a właściwie przed dwoma laty zdarzył się wypadek porzucenia pracy przez chłopów uprawiających makropola.

Gospodarze spojrzeli po sobie pytająco. Carol pośpieszyła z wyjaśnieniem.

- Za strefą ochronną mamy duże obszary pól uprawnych z makro roślinami, na przykład warzywami.

- I truskawkami - wtrącił Karl. - To bardzo praktyczne. Jedna makrotruskawka wystarczy na kompot dla czteroosobowej rodziny na cały rok.

Znowu wybuchnęli śmiechem.

- Oczywiście żniwa wymagają specjalnej technologii i wielkich maszyn

- mówiła dalej Carol. - I wtedy zaczął się strajk. Mikrorolnicy otrzymywali dodatek za ciężką pracę, bo nie posiadali takich urządzeń technicznych. Ale za to makrorolnicy mieli pracę bardziej ryzykowną. Doszło niemal do kryzysu żywnościowego.

- Ale przecież przy waszym, wybaczcie mi to określenie, małym społeczeństwie mieliście wspaniałe warunki, lepsze - niż my, aby znieść system pieniężny i różnice socjalne! - Res z podniecenia aż nachyliła się do przodu. - Właśnie dlatego, że dzięki makrouprawie możecie produkować w nadmiarze Czy wiecie, jak długo to trwało u nas? Najpierw musieliśmy rozwiązać problem wyżywienia. Potem zniesiono opłaty w środkach komunikacji publicznej. Wszystko pasowało. Nikt przecież nie jeździ w nieskończoność dla samej przyjemności, tylko dlatego, że to nic nie kosztuje.

Następnie przyszła kolej na artykuły gospodarstwa domowego, tylko że musieliśmy wprowadzić jeszcze coś w rodzaju bonów. Każdy mógł otrzymywać cały sprzęt, ale tylko raz na dwa lata wolno mu było wymieniać starą rzecz na nową. Tymczasem produkcja samochodów rozwinęła się do tego stopnia, że można było wprowadzić system wynajmu. Nikt nie otrzymywał samochodu na własność, było ich jednak do dyspozycji tyle, że każdy, kto potrzebował i oczywiście miał prawo jazdy, mógł sobie jeden wziąć. Po zakończonej podróży zostawiało się go po prostu, żeby inny mógł skorzystać. Te, które nie nadają się już do użytku, organa terytorialne wymieniają na nowe. Jeszcze dziś postępujemy w ten sam sposób, również z samolotami o napędzie E i M. Okazuje się, że to zdaje egzamin. Początkowo istniały pewne trudności, ale w rezultacie ludzie otrzymali do swojej dyspozycji bardziej komfortowe środki komunikacji. Dziś to wszystko przebiega już bez zgrzytu.

Różnorodny rozwój poszczególnych krajów świata doprowadził do olbrzymich trudności. Kiedy kraje socjalistyczne wzięły górę nad kapitalistycznymi, i to we wszystkich dziedzinach życia, nastął okres czegoś w rodzaju wędrówki ludów do krajów socjalistycznych. Ludzie przybywali milionami, ale brakowało im odpowiednio rozwiniętej świadomości.

Zdarzały się niepowodzenia. Kiedy w naszym świecie pieniądź zaczął tracić stopniowo znaczenie, nastąpił prawdziwy najazd turystów na kraje wspólnoty socjalistycznej. Musieliśmy wprowadzić ograniczenia, zakazy administracyjne, znowu powstało "wąskie gardło". Przypadło to akurat na okres, kiedy zdołaliśmy wywalczyć totalne, obowiązujące na całym świecie

rozbrojenie. Kraje kapitalistyczne przeżywały nieopisane kryzysy gospodarcze, groziła im nędra. Ta sytuacja wymagała radykalnych środków zaradczych.

Po klęsce kapitalizmu nastąpiła faza powszechnego opowiadania się po stronie socjalizmu i nadrabiania przez kraje zacofane strat w stosunku do państw najbardziej rozwiniętych, przy nie zmienionym tempie rozwoju. No, a naszą terażniejszość będziecie poznawali coraz lepiej. - Res wyprostowała się. Jej włosy zniknęły za górną krawędzią ekranu. - Ale tym, co mnie najbardziej interesuje, są wasze badania nad mikroustrojami...

- Res - przerwał jej z wyrzutem w głosie Gwen. - Nasi goście też by chcieli dojść do słowa.

Zmarszczyła brwi. Widać było, że właśnie teraz nie chciała, by ktoś jej przeszkodził. Może nawet mówiłaby dalej, wbrew uwadze Gwena, gdyby nie Gela.

- Tak, tak - wtrąciła się do rozmowy, kiwając głową. - Wprawdzie nie wiem dokładnie, kiedy kapitalizm został przewyciężony, ale chyba nie ulega wątpliwości, że wasz rozwój zaczął się po wielkiej wojnie u progu ery atomowej. Widzicie, poszliśmy za waszą radą i ostatnio korzystaliśmy często z usług waszego centrum encyklopedycznego. Teraz wiemy o wiele więcej, również to, że nasi prorocy pochodzą z okresu, kiedy kapitalizm nie był już najsilniejszy, ale chyba najbardziej niebezpieczny.

- Około roku 1980? - przerwał Hal.

- Tak. Ale miniaturyzacja należała jeszcze do najbardziej humanitarnych zamierzeń, jeżeli chodzi o machinacje genetyczne.

- Widocznie jednak jedynym, jaki został zrealizowany tak masowo, czego smutnym przykładem jesteśmy my! - rzekła Gela.

- To prawda - przyznała Carol. - Planowali jeszcze gorsze rzeczy!

Hal wiedział o tym, słyszał o zaprogramowanych mutantach wojennych, zdolnych do wycięcia w pień wszystkiego, co stanęłoby im na drodze. Zmodyfikowane mutanty robocze miały zapewnić garstce panujących nie tylko życie, ale również zbytek i władzę. W porównaniu z tym miniaturyzacja istotnie robiła wrażenie niewinnej zabawy.

Dla Hala nie były to sprawy obce, potwierdzały też jego pierwotną tezę, a mimo to czuł się nieswojo. Taki sam nastrój wyczuwał w Djamili.

Dręczyły go jakieś niejasne, absurdalne wyrzuty sumienia, że sam należy do tych dużych... Czy wtedy można było coś zrobić?

- Że też ludzie próbują zawsze wykorzystać to, co postępowe, do swoich nieludzkich machinacji! - zawołała Ewa z naiwnym oburzeniem.

- To nie jest tak! - Djamila potrząsnęła głową. - Trzeba wiedzieć, kto tak postępował. I dla czyjego dobra. Dziś to jest nie do pomyślenia, chyba że gdzieś istniałby nie wykryty chory mózg. Ale wtedy defekt mieścił się w wielu mózgach, ideologiczny.

- Dziękuję! - W głosie Ewy zabrzmiała ironia. - Ale jednak byli to ludzie. I chyba po dziesiątkach lat wolno mi nie rozumieć, co im chodziło po głowie i co skłoniło ich do miniaturyzowania innych. - Niezbyt uprzejmym gestem wskazała na gości. My również przeprowadzamy mutacje, ale nigdy ze szkodą dla ludzi. Nikomu z nas nie przyszłoby do głowy dokonywać tego na innych. Badaniom genetycznym zawdzięczamy istnienie społeczeństwa

bez raka, cukrzycy i debilizmu, większą część naszego dobrobytu...

- Tak, tak, już dobrze! - uspokajał ją Gwen. - Masz rację, tylko że mówisz rzeczy znane, oczywiste. A ja na przykład chciałbym bardzo dowiedzieć się, skąd właściwie pochodzą nasi goście!

- To wcale nie jest takie oczywiste! - burknęła Ewa.

Goście wyglądali teraz na nieco zakłopotanych, widać to było również po minie Geli, kiedy próbowała odpowiedzieć na pytanie Gwena.

- Badaliśmy to długo, nawet za pośrednictwem waszej centrali encyklopedycznej, ale nie wiemy nic pewnego. Prawdopodobnie jest to wyspa w północnej części archipelagu Małych Antyli, należąca do Wysp Podwietrznych, maleństwo otoczone kipiela i rafami koralowymi.

Najbliższa większa wyspa to chyba Antigua. Ale brak dokładniejszych danych nie jest tragedią. Z odległości dwustu do trzystu kilometrów można odebrać nasz radiowoświetlny sygnał nawigacyjny. Kontakt radiowy jest możliwy nawet stąd... Ale mamy jeszcze jedno pytanie - tu Gela spojrzała przenikliwie na Hala. - Co będzie z naszym dalszym pobytem u was? Czy przewidzieliście coś jeszcze? - Zawahała się przez chwilę, a potem dodała: -

Na pewno to zrozumiecie. Teraz, kiedy właściwie wykonaliśmy nasze zadanie, większość z nas. myśli tak: musimy zgromadzić jak najwięcej danych, a potem szybko z powrotem, do domu!

- I znowu przy waszej pomocy - wtrącił Karl. - Kiedy pomyślę o naszej podróży w tę stronę... Kto wie, dokąd poniosłyby nas tym razem te żarłoczne ryby!

Gospodarze spojrzeli po sobie znowu pytająco. Karl wyjaśnił:

- No tak, trzy razy byliśmy żerani, a potem wydalani. Nie ustalaliśmy też z góry miejsca lądowania. Po prostu czysty przypadek. W ten sposób dotrzemy do naszej wysepki dopiero za dziesiątki lat, mimo świateł nawigacyjnych na brzegu.

- Jak to, nie macie w waszym pojeździe żadnego napędu, żadnej możliwości sterowania? - zapytał naiwnie Hal.

- Mamy i jedno, i drugie - odparł Karl. - Możemy rozwinąć nawet dużą prędkość. Mniej więcej dwa węzły według waszych norm. Ale jak i dokąd sterować, kiedy przez jakiś czas jest się wewnętrznym, podrzędnym elementem ryby?

- Opowiedzcie o tym - poprosiła Djamila, nachylając się do przodu.

Karl opowiadał zwięźle, okraszając fakty dowcipnymi uwagami. Był już późno, kiedy zakończył swoje wywody słowami:

- Resztę widzieliście sami.

Przez pewien czas gospodarze milczeli, zaskoczeni niezwykle losami gości, wreszcie odezwał się Gwen: - Nie odpowiedzieliśmy na wasze pytanie.

Nie zapadły jeszcze decyzje, ale mamy dla was propozycję: pokażemy wam w skrócie nasze możliwości, powiemy wam, co potrafimy. Potem odwieziemy was do domu na Wyspy Podwietrzne. Jeszcze w drodze powiadomicie swój rząd, a my ustalimy wtedy wspólne postępowanie.

Przedstawię ten projekt sekretarce generalnej, a ona zgłosi odpowiedni wniosek na zebraniu plenarnym. Jestem pewien, że jeżeli zgodzicie się na to, dojdzie w ten sposób do rozwiązania problemu. Wkrótce nastąpiło pożegnanie. Daremnie Res, szepcząc coś gorączkowo do Gwena, usiłowała

przedłożyć inne, ważne dla niej sprawy. Hal zauważył, że Gwen odradza, kręcąc z uporem głową. Wreszcie Res ustąpiła, pamiętając, że nie należy do komisji kontaktowej, a została jedynie zaproszona przez Gwena. Dla Hala cała ta scena stała się kłopotliwa, goście natomiast nie zauważyli chyba niczego. Ładowali właśnie na helikopter zielone rośliny, prezent od gospodarzy.

Po chwili pryzmat zamigotał, emitując przez okno promień wiodący.

Minihelikopter brzęcząc zniknął w oddali.

XVIII

Res Strogel była rozgniewana. Zarzucała Gwenowi nadmierny pośpiech, z jakim obiecał maluchom odwiedzić ich do domu. Obawiała się, że goście będą teraz myśleli tylko o tym, zamiast pomóc w rozwiązaniu innych problemów.

Swej prywatnej wizycie nadała teraz charakter oficjalny, tłumacząc jednoznacznie, że według niej przybysze są w stanie zniszczyć potok drobnoustrojów, który najprawdopodobniej, i to podkreślała z naciskiem, wziął swój początek właśnie u nich.

Hal tylko częściowo zgadzał się z jej wywodami. Jeżeli chodziło o to ostatecznie, przychylił się do argumentów Gwena, które Res, choć z oporami, w końcu zaakceptowała: bez dowodów czy uzasadnionego przypuszczenia takie bezpośrednie pytanie mogłoby ich obrazić i wzbudzić nieufność. A tego typu podejrzenie mogłoby wywołać panikę, stworzyć dystans pomiędzy nimi a gośćmi.

Ze swej strony Gwen zaproponował, żeby Res wraz z grupą swoich współpracowników, o ile będzie chciała, wzięła udział w ekspedycji towarzyszącej przybyszom w drodze powrotnej. Gdyby wynikły tam jakieś punkty zapalne, można by było przedsięwziąć odpowiednie kroki.

To wyjście odpowiadało Res, tym bardziej że obecnie potok parł - naprzód pod ich kontrolą i w wytyczonych granicach.

Po długich rozważaniach postanowiono odbyć podróż do Wysp Podwietrznych nie drogą lotniczą, lecz jednym z nowoczesnych

katamaranów i zabrać ze sobą trzy samoloty.

Wszystkim marzyło się dotarcie do Antiguy i wypłynięcie tam na morze, ale właśnie ta wyspa cieszyła się szczególnym uznaniem turystów i stanowiła ośrodek wypoczynkowy. Dopóki zaś nie były znane zamiary rządu maluchów, należało działać dyskretnie. Hal głosował za statkiem powietrznym. Ich pojęcie o ukształtowaniu i wielkości wyspy było jednak zbyt mgliste, a goście znali swoją ojczyznę oczywiście z innej perspektywy. Na przykład przeliczenie jednostek miary, a co za tym idzie ustalenie proporcji wielkości nie wypadły zadowalająco. Nie udało się również określić, o którą z licznych sąsiadujących z Antigua wyspek chodzi, przy czym nikt nie mógł zagwarantować, że głównym punktem rozpoznawczym jest istotnie Antigua. Wreszcie wyznaczono trzy wyspy, które ewentualnie mogły wchodzić w rachubę.

Gwen i profesor Fontaine, którzy przygotowywali ekspedycję, wysłali samolot rozpoznawczy i zgodnie z teorią prawdopodobieństwa, na podstawie zdjęć lotniczych ustalili kolejność badań. Wyspy leżały zresztą obok siebie, w kierunku północnowschodnim od Antiguy: Gujana, North Sound i Long Island. Na wszystkich trzech wyspach były resztki budowli o wspólnych cechach, które jednoznacznie świadczyły o pochodzeniu makro, wszystkie trzy były też uważane za bezludne i niedostępne. Ponieważ za czasów Nhaka wyspy te znajdowały się pod panowaniem Wielkiej Brytanii, Gwen zmobilizował za pośrednictwem sekretarki generalnej Radę Koordynacyjną wysp brytyjskich. Po stosunkowo długim okresie czterech dni nadeszła wiadomość, że w wyniku uporczywych starań odnaleziono

dokumenty archiwalne, z których wynika, iż wymienione wyspy należały wówczas do “terytorium nadzwyczajnego”, ale są nadal bezludne.

Informacja wydała się Gwenowi niejasna. Co to za “terytorium nadzwyczajne”? W odpowiedzi na powtórne pytanie okazało się, że chodziło o obiekt wojskowy.

Ponownie skorzystano z usług centrum encyklopedycznego. W końcu uformował się pewien obraz całości: bazy wojskowe nie były wprawdzie dostępne dla osób cywilnych, musiały jednak być przez kogoś, zaopatrywane, w związku z czym nie można było utrzymać ścisłej tajemnicy. Poza tym tego typu jednostki wojskowe pędziły w pobliżu szalone “dolce vita”, czemu psychostratedzy nie sprzeciwiali się zupełnie.

Biorąc to pod uwagę, Gwen nie rozumiał ostrożnego tonu w przekazywanych im wiadomościach. Pertraktacje za pośrednictwem wizji nie dałyby niczego. W związku z tym Gwen, Djamila i Hal zdecydowali się na wizytę w centralnym archiwum. Nie znając Londynu, kierowali się promieniem wiodącym, i w ten sposób doszli do samego archiwum, posępnego, ciemnego budynku w nieprzytulnym rzędzie ulic. Wizyta miała być możliwie jak najkrótsza. Z promienia wiodącego mogły wprawdzie korzystać jedynie najwyższe czynniki administracji, ale Gwen wykorzystał swoją aktualną funkcję.

W archiwum przyjął ich naczelnny archiwariusz, mężczyzna w podeszłym wieku. Wyglądał tak, jak zwykle się wyobrażać archiwariuszy. Hal na jego widok nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, za co otrzymał od Djamili dosyć mocnego kuksańca w bok.

Archiwariusz sprawiał wrażenie, jakby ostatnie sto lat nie pozostawiło na nim śladu. Chodził pochylony, nosił przedpotopowe okulary, a łysinę okalały mu szare kosmyki. Miał chytre, rozbiegane oczy, wąskie jak kreska usta i Hal nie zdziwiłby się wcale, gdyby po każdym jego ruchu z ciała wznosiły się kłęby kurzu.

Ten właśnie człowiek usiłował niedługo potem, kiedy zajęli już miejsca w ciemnym, przeladowanym meblami pokoju, odprawić ich zręcznie z kwitkiem. Wypytywał długo o ich życzenia, mimo że już wcześniej złożyli szczegółowy meldunek, wreszcie wyciągnął dwa pliki o grubości około dziesięciu centymetrów, owiązane i zabezpieczone tekturowymi okładkami. Były to luźne kartki, mocno już sfatygowane i pożółkłe. Widocznie związano je już dawno i przenoszono często z miejsca na miejsce.

Hal wyciągnął szyję, aby odczytać wyblakłe litery na okładce.

Wydawało mu się, że było tam napisane: "ściśle tajne". Aha, pomyślał ubawiony.

Na razie stary nie przekazywał im papierów. - To było laboratorium wojskowe - powiedział. - Wtedy chodziło o to, aby mieć stale coś w zanadrzu, dla uniknięcia równowagi sił. - Uśmiechnął się, zadowolony widocznie ze swego sformułowania. - A Wyspy Podwietrzne miały korzystne położenie, niedaleko od kontynentu amerykańskiego, w pobliżu Kuby, która wylała się pierwsza.

Hal zastanawiał się nad nim. Jego słowa brzmiały tak, jakby żałował tego stanu rzeczy, a przecież fakt ten mógł mieć jakieś znaczenie najwyżej dla jego pradziadka.

- Pozwoli pan? - zapytał Gwen, sięgając szybko po leżącą na wierzchu księgę.

Nie pozwolił. Nawet przesunął ją niby przypadkowo dalej, poza zasięg jego ręki. Po chwili zapytał:

- Dlaczego tak bardzo zależy panu na odkryciu celu, jakiemu służyły te wyspy?

- A dlaczego panu zależy tak bardzo, żebyśmy się o tym nie dowiedzieli? - odparował ostro Gwen.

W przeciwieństwie do Hala, który był już gotów przeboleć czterogodzinną podróż do Londynu i wrócić nie wskórawszy niczego, Gwen chciał widocznie przeprowadzić próbę sił. Wyciągnął swoją legitymację członkowską ONZ i podsunął ją pod nos parna McOld, jak przedstawił się archiwariusz. Tamten oglądał ją na wszystkie strony, aż Gwen zniecierpliwiony chwycił za telefon.

- Chciałbym połączyć się z kancelarią waszego premiera. Pan pozwoli!

Dopiero teraz McOld się ożywił. Skrzywił się, jakby poczuł niemiły zapach, posunął księgę ku Gwenowi, po czym powiedział układnym tonem:

- Mogą państwo udać się do czytelnicy. - Co też bez zbędnych rozmów uczynili.

Mimo dziwnego zachowania się tego żywego zabytku, jakim był McOld, Hala nie interesowała zbytnio treść ksiąg. Ostatecznie to, czym zajmowała się angielska armia na Wyspach Podwietrznych, miało wspólnego z ich misją tyle co nic. Dlatego też bez zapału kartkował z Djamilą pierwszy foliał, przeglądając stare szkice, rachunki za dostarczony

prowołant, plany służbowe i inne papierzyska. Zapach był trudny do zniesienia.

Wreszcie Gwen znalazł chyba coś interesującego, bo zatrzymał się dłużej, zagwizdał kilka razy przez zęby i zawołał:

- Aha!

Hal i Djamilą spojrzeli na niego.

- Hm? - zapytał Hal.

- To była wytwórnia trucizn! - wyjaśnił Gwen. - Zajmowano się tu udoskonaleniem i produkcją gazów, gazów psychicznych i innego świństwa.

Tfu!

Hal zaczął rozumieć wahanie archiwariusza przed udostępnieniem im tych staroci. On się wstydzi, pomyślał, wstydzi się za swoich przodków! Na pewno odgrywał tu też rolę tak pielęgnowany przez Anglików konserwatyzm. Mimo woli uśmiechnął się.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - powiedział szorstko Gwen. - To jest bezprzykładne świństwo!

- Tak, tak - zgodził się Hal. - Ale po co rozpamiętywać sprawy, które należą już do przeszłości. Również wśród Anglików, i to na zawsze. -

Zamknął gwałtownie książkę. Kurz podrażniał mu gardło. - Powinniśmy raczej szukać odpowiedzi na bardziej istotne pytanie: W jaki sposób udało się maluchom pozostawać tak długo w ukryciu?

- Właśnie - ton głosu Gwena nadal nie był uprzejmy. - A klucz do tej zagadki może leżeć w księdze.

Znaleźli jednak tylko informację, na której mogli oprzeć

przypuszczenia: końcowa część drugiego tomu zawierała dokumenty na temat likwidacji bazy. Z godną podziwu dokładnością wpięte tu były pokwitowania i raporty, zapiski i rachunki za sprzedaż lub kasację urządzeń i maszyn. Tu i ówdzie widniały nawet liczby dotyczące wartości produkcji. Hal obliczył w przybliżeniu, że produkcja z jednego miesiąca mogłaby zniszczyć całą ludzkość. Wynalazki stanowiły poważną groźbę, nawet jeżeli pomijało się hodowlę niebezpiecznych dla życia bakterii. Poprzez rzeczowy ton raportów przebijała duma z odkrycia nowych środków zagłady.

Znaleźli to dopiero na końcu: akt kupna. Za dosyć zawrotną kwotę dolarów Zjednoczone Królestwo oddawało bezludne wyspy należące do archipelagu Wysp Podwietrznych - tu następowały dokładne dane geograficzne - wraz z ruinami niejakemu panu Gladford. Umowa była podpisana przez lorda strażnika pieczęci Jej Królewskiej Mości Elżbiety królowej Anglii oraz przez jakiegoś amerykańskiego adwokata. Stosownie do tego, tym bardziej że następna strona zawierała pokwitowanie, umowa nabierała mocy prawnej.

- To na pewno te trzy wyspy, o których oni mówili.

Hal wiedział, że Gwen ma na myśli maluchów.

- Owszem - potwierdził - ale o którą chodzi, nadal nie wiemy. Nie sądzę, aby osiedlili się na wszystkich trzech wyspach. Musimy to wyjaśnić na miejscu. Rozumiemy już wprawdzie niektóre powiązania, ale moglibyśmy dowiedzieć się o tym również później. Ten Gladford to na pewno ktoś podstawiony. Zresztą wydaje mi się, że pójdzie tym tropem to

strata czasu. Podobno w Stanach Zjednoczonych istnieje do tej pory prywatna własność gruntu?

- Tak, z pewnym ograniczeniem! - Gwen zmarszczył brwi. - W przeciwnym razie musielibyśmy starać się o zgodę rządu.

- Kto za wiele pyta... Zresztą misja będzie przebiegała pod patronatem ONZ.

Hal stał na pokładzie rufówki katamaranu. W górze furkotała flaga ONZ. Widok szalejącej na horyzoncie kipieli przywiódł mu na myśl różne wspomnienia, również o archiwariuszu, którego foliały rzuciły nieco światła na tajemnicę wysp.

Statek płynął na najniższych obrotach. Nad wodą wisiała mgła, fale przed ciemnym pasmem rozbijały się wysoko i groźnie, mapy wskazywały lokalne mielizny. Nie prowadziła tędy żadna regularna linia żeglugi.

Katamaran miał wprawdzie minimalne zanurzenie, ale należało wystrzegać się wszelkiego ryzyka.

Pochmurna pogoda powstrzymała ich również przed wysłaniem samolotu rozpoznawczego bliskiego zasięgu. Musieliby lecieć zbyt nisko, a mali pasażerowie odradzili im to. Bali się, że samolot mógłby przy locie kosztującym uszkodzić zadaszanie wyspy.

Tuż po uzyskaniu łączności radiowej poczyniono przygotowania do wizyty makrosów w Blessed Island - z mieszanymi uczuciami, jak zauważyła poprzedniego dnia Gela w rozmowie z Halem.

Na samo wspomnienie o tym Hal spojrzał mimo woli w górę na mostek kapitański. Z lewej strony wystawał szklany pojemnik, nie większy od

przeciętnej walizki. Tam znajdowali się wszyscy członkowie ekspedycji maluchów. Jeżeli chodzi o środowisko naturalne, mieli nawet lepiej niż makrosi, gdyż w pojemniku mieścił się prawdziwy modelowy krajobraz z roślinami i niedużym jeziorem. Za mieszkanie posłużył im ich pojazd specjalny "Ocean II".

Hal uśmiechnął się mimo woli na wspomnienie "Oceanu II". Karl mówił o nim zawsze jak o cudzie techniki, co sprawiło, że wszyscy zapragnęli go zobaczyć. Zresztą pojazd nie mógł leżeć tak bez końca na wybrzeżu. W związku z tym Gwen zobowiązał Hala do sprowadzenia go. Hal poleciał samolotem dalekiego zasięgu. Z przodu u góry, jak teraz na mostku katamaranu, , umieszczona była mała skrzyneczka, w której znajdowali się Karl i Chris. Zainstalowano również transopter, a kurs wytyczał im promień wiodący, wysłany z "Oceanu II".

No, a potem ujrzeli to cudo w małym zagłębieniu nadbrzeżnej skarpy. Widok tej zabawki przypomniał Halowi czasy dziecięce, kiedy u babci natknął się na model samochodu leżący w jakiejś szufladzie. Babcia nie chciała mu go dać; była to ulubiona pamiątka dziadka, kiedy jeszcze żył, gdyż stanowiła kopię samochodu, który kupił sobie z oszczędności. Hal uśmiechnął się ponownie, kiedy przypomniał sobie, jak to go wtedy zasmuciło. Zaraz, jak się nazywała ta seria modeli? Matchbox. Pewnie dlatego, że modele były rozmiarów pudełka od zapalek. Hal niejednokrotnie zastanawiał się, co to takiego "zapalki".

Ten doskonały technicznie, dumny "Ocean II" przypomniał mu teraz tamten model samochodu. Co prawda pojazd miał długość niemal pięciu

centymetrów, był więc kolosem, biorąc pod uwagę wielkość pasażerów.

“Ocean II” miał kształt pontonu, z dwoma niezwykle giętkimi łańcuchami gąsienicowymi, przechodzącymi przez całą długość.

Na życzenie Hala wszyscy członkowie ekspedycji mieli znajdować się we wnętrzu statku, zamkniętego hermetycznie. Chris postanowił udać się na pokład, a Karl nie odstępował Hala.

Wreszcie Hal wyjął skrzyneczkę. Transopter musiał oczywiście zostać na swoim miejscu. Na Hala uderzyły siódme poty. Na szczęście utrzymywał z maluchami łączność radiową, w przeciwnym razie całe przedsięwzięcie zakończyłoby się fiaskiem.

Skrzyneczkę przesunął jak najbliżej “Oceanu II”. Żałował, że nie wzięli ze

sobą

helikoptera.

Skrzyneczkę

trzymał

według

wskazówek

otrzymywanych drogą radiową.

- Co tak drżysz! - zawołał z żartobliwą ironią Karl. - W końcu to Chris ma przeskoczyć na pokład!

Hal starał się trzymać skrzyneczkę spokojnie i zachować możliwie jak najmniejszy, a zarazem stały odstęp od statku, nie mógł więc obserwować, co się dzieje dokoła. Nie widział też maluchów, krzątających się na pokładzie

rufówki, ani tego, który przeskoczył. Zdziwił się, ale jednocześnie odetchnął

z ulgą, kiedy Karl zauważył ironicznie:

- No, możesz się już odprężyć.

- Już wszystko załatwione? - zapytał z lekkim niedowierzaniem i właściwie zbyt mocno Hal.

Czubkami palców ujął ostrożnie "Ocean II", ale okazało się, że źle ocenił jego ciężar. Pojazd zachwiał się między kciukiem a palcem wskazującym. Aby ująć go obydwoma rękami, odstawił na piasek skrzyneczkę z Karlem, uczynił to jednak zbyt raptownie. Ciekawe, co oni sobie o mnie pomyślą, przemknęło mu przez głowę.

Natychmiast rozległ się w słuchawkach głos:

- Byliśmy już wtedy w niebezpieczeństwie, kiedy nie wiedząc nic o nas, nie uważaliście zbyt dobrze. Ale teraz zdaje mi się, że jest jeszcze gorzej! -

Karl zachichotał przy ostatnich słowach, a Hal poczuł że krew uderza mu do głowy. Pomyślał o pasażerach "Oceanu II", skazanych z jego winy na gwałtowne wstrząsy.

- Przepraszam - powiedział. Pragnąc się zrehabilitować, dodał: -

Uważaj, włożę teraz statek do skrzyneczki.

Reszta czynności odbyła się już zgodnie z planem.

Hal przyłapał się na tym, że przekrzywiając głowę spoglądał ciągle w górę na mostek, gdzie stała skrzynka. Potem powoli przeszedł do przodu, na dziób.

Również na prawej burcie stali ludzie. Czerwona kontrolka sondy akustycznej świeciła się na znak, że urządzenie jest włączone.

Hal zajął miejsce za Djamilą, tuż obok nich stali Ewa i Gwen.

Mimo ograniczonej do minimum prędkości od czasu do czasu

przelatywały przed nimi bryzgi. Morze kłębiło się, tworząc niezbyt wysokie

fale. Dziób statku zakreślał jednak według wyrażenia Hala rozległe

amplitudy, o których wiedział, że mimo pastylek, które zażył, nie wyjdą na

dobrze pracy jego układu trawiennego.

To jednak nie mogło już trwać długo. Kipiel zbliżyła się znacznie. Hal

odniósł wrażenie, że pomiędzy kolejnymi plaśnięciami zanurzającego się

dziobu, w powietrzu słychać jednostajny szum.

Wyspa odcinała się we mgle ciemną plamą od białego muru kipieli.

Już teraz można było zauważyć, że jest bardzo mała. Z lewej i prawej strony

rozciągał się graniczący z nią ocean. Na południu widniały wątle, wysokie

palmy, a teren wznosił się ku środkowi wyspy. Z pokładu nadeszło

polecenie:

- Hal Reon, profesor Fontaine, Djamilą Buchay, proszę na pokład

samolotu.

Hal nie ukrywał zaskoczenia.

- Wydawało mi się, że o locie nie ma mowy? - zapytał niepewnie.

- Na razie macie się tylko tam udać - odparła drwiącym tonem Ewa.

Hal spojrział w górę. - Zobaczcie - trącił innych - jeden z techników

majstruje - tam, coś wyciąga!

- W każdym razie coś się wreszcie dzieje - zawołał w ślad za nimi

Gwen.

Machinalnie zwiększyli tempo, jakby się bali, że dojdą za późno.

Musieli przedostać się jeszcze przez łącznik na prawej burcie.

Kiedy nieco zadyszani dobiegli do samolotu, stał tam już Fontaine.

Samolot znajdował się na platformie startowej.

Po raz pierwszy Hal widział profesora wytrąconego z równowagi, można też było zauważyć, że Fontaine je coraz więcej ciastek. Jego ręka wędrowała stale do kieszeni, a szczęka poruszała się nieprzerwanie.

- Lecimy - powiedział.

Uwagę, którą Hal niezbyt fortunnie zaczął od "Wydawało mi się", zbył energicznym ruchem ręki.

Od strony łącznika zbliżał się do nich technik, który poprzednio majstrował przy skrzynce. Przed sobą dźwigał pojemnik, starając się łagodzić wstrząsy wywołane lekkim kołysaniem katamaranu. Wcisnął Halowi skrzynkę do ręki, ostrzegając go jednocześnie:

- Uważaj! Karl i Gela są na zewnątrz!

Hal zajrzał do pojemnika: obok "Oceanu II" stał minihelikopter.

Zanim jednak zdołał rozeznać się w sytuacji, profesor zniecierpliwił się:

- Szybko, szybko, daj mi tę skrzynkę! - Sam siedział już w fotelu drugiego pilota.

Hal podał mu machinalnie skrzynkę, którą profesor postawił na półce nad tablicą rozdzielczą.

Djamiłą wsiadła do środka. Hal ruszył za nią, ale zanim podszedł do samolotu, technik podał mu coś o wyglądzie klipsów. - Oni chcą zachować łączność radiową - wyjaśnił.

Z mieszanymi uczuciami Hal opadł na fotel. Zazwyczaj nie czuł

niechęci do lotów, wprost przeciwnie, zawsze upajał go ten cichy lot nad rozciągającym się w dole krajobrazem. Ale tu, teraz? Stawka była duża.

Jeszcze raz zapytał:

- Ale dlaczego zmieniono plan?

- Startuj wreszcie! - nalegał profesor. Raptem Hal poczuł narastający w nim gniew. Po co ten pośpiech? Przecież godzina wcześniej czy później nie miała już znaczenia. Wszystkiemu winna jest zrozumiąca wprawdzie, ale całkowicie niestosowna niecierpliwość profesora! W lusterku wstecznym Hal dojrzał jego szczęki poruszające się jak zwykle żującym ruchem. Hal wystartował posłusznie, po chwili jednak zatrzymał samolot nad katamaranem i spojrzał wyzywająco na profesora.

Tamten, nieco niechętnie, zdecydował się wreszcie na wyjaśnienie:

- Przeszukaliśmy cały brzeg, oczywiście za pomocą radaru i optycznie; nie ma tam żadnych urządzeń, które moglibyśmy zniszczyć, a więc możemy na niej wylądować! Nasi współpasażerowie ze zrozumiątych względów nie znają tak dobrze stosunków wielkości na wyspie. Kierujemy się do brzegu! Wskazówek udzielą nam Karl i Gela. W odpowiednim miejscu spuścimy na wodę ich statek.

- Uważam też, że oni powinni nas zapowiedzieć - zauważyła Djamila. -

Tak będzie lepiej niż drogą radiową. Oni mają ze sobą dużo materiałów na nasz temat.

Fontaine nie zwracał uwagi na jej słowa. Z wyciągniętą szyją siedział pochylony do przodu i obserwował zbliżającą się powoli wyspę.

Nagle odezwała się Gela:

- Hal, słyszysz mnie?

- Słyszę - odparł, poprawiając sobie laryngofon.

- Mógłbyś nastawić dla nas transopter? Spróbuj ją pokierować.

Hal przesunął okular przyrządu na wysokość tablicy rozdzielczej. W ten sposób mieszkańcy małej skrzyneczki mogli przez niego patrzeć.

- W porządku - rozległ się głos w słuchawkach.

- Wolalbym jeszcze okrążyć wyspę - poprosił Hal.

- Zgoda - odpowiedziała natychmiast Gela. Trzymaj się linii brzegu.

- Po co to! - syknął gniewnie profesor. - Zbyteczna strata czasu!

- Wyspa chyba nie jest aż tak duża - odparł zuchwale Hal, dodając

uszczypliwie: - Trzeba było wziąć innego pilota. Ja muszę wyszukać sobie lądowisko.

- Hm - mruknął profesor i sięgnął do kieszeni.

Gryząc, zerkał na Hala z boku i uśmiechał się.

- Nerwy, co? - zapytał.

Chcąc nie chcąc Hal odpowiedział uśmiechem. Dotarli nad pas kipieli.

Hal zadrżał na widok fal, które nadciągały spiętrzone, aby po chwili wchłonąwszy wszystko po drodze, opaść. Grzmot dobiegał aż do samolotu, przenikał poprzez szczelnie zamkniętą kabinę. W miejscach odsłanianych przez cofającą się wodę sterczały z piany skały. Hala przerażała również myśl o statku wielkości pudełka od zapalek, który leżał teraz w skrzynce, o którym wiedział jednak, że już raz przedostał się przez tę kipieli.

Z góry widać też było miejsca o mniej groźnym wyglądzie, ale w jaki

sposób tamci na nie trafili? A zresztą woda nawet tam nie była spokojna.

Pasma przyboju łączyło się ze stosunkowo cichą strefą oceanu, który w miejscach wolnych od kipieli odsłaniał barwny świat podwodny, pełen lśniących ryb. Właściwy brzeg tworzył wąski pas piachu, który przechodził nieco dalej w gruby żwir i płataninę spiętrzonych skał.

Lecąc nad wyspą zdołali stwierdzić, że trzy czwarte wybrzeża to podmyte przez fale urwiska.

Hal wzbił się nieco wyżej. Teraz mógł ogarnąć wzrokiem całą wyspę.

Miała kształt elipsoidalny, o średnicy nie większej chyba niż kilometr. Jej wnętrze usiane było wybujałymi krzewami i ruinami.

- Tam, tam - zawołała nagle Gela podnieconym głosem - ta matowa powierzchnia, chyba to tu! Istotnie, z daleka ujrzeli coś, co przypominało zaniedbany zakład ogrodniczy utrzymany w dawnym stylu. Był to cały kompleks otoczony krzewami, roślinami pnącymi i rozpadającym się murem.

Hal dostrzegł przez lornetkę, że większość dachów pokryta była niemal całkowicie mchem, zaroślami i białym ptasim kałem.

Jeszcze jedną rzecz wykryli z góry, rozszyfrowując ją po długim namyśle: wokół wyspy ciągnęła się formacja, która mogła być potężnym parkanem, a raczej jego resztkami. W dziwny sposób przechodziła przez ostre skały i piargi urwistego wybrzeża, nie odcinała więc górnego, względnie równego płaskowyżu od stromego stoku. Poza tym został ustawiony w ten sposób, żeby nie widziano go od strony morza.

Wyspę okrążyli w ciągu kilku minut. Jedyнным pewnym lądowiskiem

okazało się piaszczyste pasmo wybrzeża. Hal podzielił się swoim spostrzeżeniem z Gelą, zyskując jej aprobatę. Według niej tam właśnie powinno być znajdować się miejsce, skąd wyruszyli na wyprawę.

Mimo stałej łączności radiowej pomiędzy "Oceanem II" a centralą na wyspie i ujawnieniem przybycia makrosów, Hal starał się wylądować jak najostrożniej, aby strumień gorącego powietrza z dysz samolotu owionął możliwie jak najmniejszą powierzchnię.

Wylądowali w miejscu, gdzie nie mogły ich już dosięgnąć lekkie, wybiegające na ląd fale. Piaszczyste podłoże usiane było żwirem. Tu i ówdzie rósł pojedynczo oset. Dopiero po chwili dostrzegli grupy mew i innych ptaków morskich, przyglądających im się z zaciekawieniem ze wszystkich stron, również z raf, dokąd schroniły się, spłoszone pojawieniem się samolotu.

Z lewej strony, nieco dalej, plaża się rozszerzała. Przed laty merze wdarło się bardziej w głąb wyspy, podmywając ją i tworząc wśród skał piaszczystą zatokę. Stało tam kilka najeżonych palm, a z góry po skałach wiodło coś, co przed laty mogło służyć za schody. Widoczne też były resztki ogrodzenia. Hal powiódł po nim wzrokiem i odkrył je również na rafach w pobliżu miejsca lądowania. Budowa tego ogrodzenia kosztowała z pewnością wiele wysiłku.

Hal spojrział przez lornetkę i zawołał ze zdumieniem:

- Ogrodzenie jest w zupełnie dobrym stanie, z nierdzewnego drutu kolczastego. Czekaście, tam są jakieś tabliczki! - Zaczął sylabizować, odganiając ruchem ręki Djamilę, która chciała odebrać mu lornetkę.

- Uwaga - zaczął tłumaczyć po chwili. - Wstęp grozi śmiercią. Cały obszar wyspy jest skażony bronią chemiczno-bakteriologiczną... Aha - mruknął po chwili, po czym wyjaśnił: - Co pięćdziesiąt do stu metrów stoi taka tabliczka.

- Wydaje mi się, że gdybym niespodziewanie natknął się na coś takiego, uciekłbym stąd jak najdalej - powiedział profesor.

- Taki był też chyba cel tych napisów - odparła zamyślona Djamila.

- Właśnie - pokiwał głową Hal.

Żadne z nich nawet przez chwilę nie pomyślało o realnym niebezpieczeństwie. Po prostu był to straszak, który miał utrzymać z dala od wyspy przypadkowych gości. Mieszkańców nie było tu z pewnością od dawna. O prowadzonych tu kiedyś badaniach wojskowych wiedziano wtedy przynajmniej na Antigui, mimo ścisłej tajemnicy. A naczelny prorok Nhak uczynił na pewno wszystko, aby jeszcze bardziej podkreślić niedostępny charakter wyspy. Bez wątpienia ogrodzenie i tabliczki były jego dziełem: Użycie na pokaz tak trwałego, nierdzewnego drutu nie dopuszczało innych wniosków. r Może spróbujemy tamtędy? - Hal wskazał na schody.

Nikt się nie sprzeciwił. Dopiero teraz Halowi przyszło coś do głowy.

- Gela - powiedział do mikrofonu - w jaki sposób znieśliście "Ocean" po tej stromej skale? - Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: - Wydaje mi się, że mimo stosunku masy do oporu powietrza statek zostałby uszkodzony, gdybyście po prostu go zepchnęli.

Gela roześmiała się.

- Statek powietrzny - wyjaśniła po chwili. - Zbudowaliśmy specjalnie

w tym celu olbrzymi sterowiec, który przeniósł nas nad kipiela.

- Tak, ale... - w głosie Hala brzmiało zdumienie. - Dlaczego w takim razie od razu nie...

- Statek powietrzny może coś zdziałać jedynie podczas pogody bezwietrznej - przerwała mu. - Musielibyśmy mieć niezwykle silne maszyny, żeby zachować zdolność manewrowania podczas wiatru. Czy wiesz, ile byśmy czekali, aż on ustanie?

Hal dał za wygraną.

- Czy znacie te schody, które prowadzą pod górę?

Gela nie odpowiadała. Dopiero po chwili zapytała:

- Co masz na myśli?

Dopiero teraz Hal uświadomił sobie, jak niedorzeczne było jego pytanie. Skąd tamci mogli wiedzieć, że to schody? Transoptery wynaleźli dopiero niedawno. Dlatego wyjaśnił:

- Tędy wiodą schody wykute w skale. Może w ten sposób uda nam się wydostać pieszo na górę i tam puścić "Ocean" na wodę.

- Poczekaj - powiedziała Gela i zamyśliła się. - Mówisz: schody? Może to właśnie nazywamy Wielką Kaskadą? Podczas ulewnych deszczy tworzy się tu schodkowy wodospad. Tak przynajmniej twierdzili śmiałkowie, którzy odważyli się wyjść na zewnątrz tuż po deszczu. Dawniej zginęło tu wielu naszych, wielu wygnańców. Jeżeli to jest ta kaskada, to na górze prowadzi aż do jej źródła żeglowny szlak. Chwileczkę, pomówię z Chrisem.

Wkrótce Gela odezwała się ponownie:

- Jest tak, jak mówiłam. Spróbujemy. Na górze "Ocean II" może

dopłynąć do domu o własnych siłach.

- Dobrze - powiedział Hal, po czym zwrócił się do pozostałych,

przysłuchujących się uważnie całej rozmowie. - Oni chyba znają te schody.

Idziemy! Uwaga! - odezwał się znowu do Geli. - Wyjmę was teraz z samolotu.

Trzymajcie się mocno!

Wolałby, żeby skrzyneczkę niósł kto inny, ale rozmowa, którą

przeprowadził, sprawiła, że postanowił zrobić to sam. Przypomniał mu się

moment, kiedy tak niezręcznie podniósł "Ocean", i oblał go pot.

W miarę zbliżania się do schodów, plaża sprawiała wrażenie bardziej

uporządkowanej. Dokoła leżało mniej żwiru, wał, raczej sztucznego

pochodzenia, ciągnął się na kształt tamy aż do wody. Gaj palmowy był nieco

zaniedbany, ale wykazywał pewien określony układ. U podnóża schodów

stały parami betonowe słupy, niewątpliwie pozostałości po ławkach.

- Tu zabawiali się mikserzy Jej Królewskiej Mości od gazów i bakterii -

powiedziała drwiącym tonem Djamila. - To plaża.

W miejscu, gdzie zaczynały się schody - z bliska ten pofalowany tor

żwiru o szerokości jednego metra nie przypominał już schodów - widniała

również tabliczka ze znanym obwieszczeniem. Zatknięta na palu i osłonięta

plastikiem przetrwała do dziś.

Profesor Fontaine poświęcił jej więcej uwagi. Kilkakrotnie zagwizdał z

uznaniem przez zęby.

- Mieli w tym swój cel - powiedział wreszcie. - Napis zabezpieczono

dodatkowo, umieszczając go między dwiema płytkami ze szkła

organicznego, a więc miał służyć nie tylko ludziom współczesnym Nhakowi.

- Wchodzimy? - zapytała Djamila.

- Czy twoje wahanie oznacza, że napis na tabliczce działa jeszcze do dziś? Gdyby było tu napisane: "Miny", nie miałabyś chyba tyle obiekcji, co?

- zadrwił Hal. - W każdym razie mewy nic sobie z tego nie robią.

- Przecież oni wynaleźli to świństwo nie przeciw mewom, a przeciw ludziom.

- Nie słyszałem też jeszcze nigdy, aby mewy zachorowały na gripę, cholera albo jak to się tam nazywało - Hal nie ustępował.

- To wszystko bzdury - wtrącił niecierpliwie profesor Fontaine. -

Przecież oni nie narażaliby siebie samych!

- Może nastąpiła jakaś awaria - upierała się przy swoim Djamila.

- A pochwały, jakie zebrali, to za co? - Profesor machnął ręką. Dla niego sprawa była jasna. - Chodźcie - dodał i zaczął wspinać się po schodach na górę.

W połowie wysokości, zadyszani - zwłaszcza Hal, który musiał dodatkowo uważać na skrzynkę - natknęli się na ogrodzenie. Drut nie był bardzo zniszczony, tylko od spodu przetarty o skały.

Tam, gdzie schody stykały się z ogrodzeniem, nie znaleźli żadnego otworu.

- A więc założyli to później. W głębi wyspy musi jeszcze być lądowisko - rozumował logicznie profesor.

Ogrodzenie miało wysokość około dwóch i pół metra, a u góry wygięte było na zewnątrz. Słupy, zespolone ze skalnym podłożem, miały taką samą osłonę, jak tamten u podnóża schodów. Tablica ostrzegawcza rzucała się w

oczy z daleka.

- I co teraz? - zapytała Djamila.

Ale Fontaine szedł już dalej. W odległości kilku metrów od schodów utworzyła się rynna erozyjna, czego nie mogli przewidzieć budowniczowie.

Ogrodzenie było podmyte w tym miejscu przez wodę i żwir.

Fontaine niczym kozica skakał i wspinał się do góry, po czym precisnął się przez otwór. W chwilę potem, już po drugiej stronie ogrodzenia, niezmordowany biegł w stronę schodów.

Hal musiał głośno krzyżeć, aby go zatrzymać, ł podał mu przez mniejszy otwór skrzyneczkę.

- Nie macie zamiaru dojść wreszcie na samą górę? - zapytała ubawiona Gela. - W ciągu całej ekspedycji nie przeżyliśmy tylu wstrząsów, co teraz. Spokojniej było nawet w żołądkach ryb.

- Zaraz będziemy na miejscu - dyszał Hal. - Ja też bym wolał znajdować się teraz w statku powietrznym. - Precisnął się przez otwór w parkanie. Na schodach czekał już zniecierpliwiony profesor ze skrzynką w ręku. Nie wyglądało na to, aby zamierzał wyręczyć Hala w dźwiganiu jej.

- Nieźle was tu umieścili - odezwał się Hal do Geli. - Wcale się nie dziwię, że przez tyle czasu nikt was nie odkrył. Te chytne tablice...

- Jakie tablice? - zapytała Gela.

Hal uświadomił sobie, że tamci nie znają w ogóle tych napisów ostrzegawczych, a przynajmniej nie wiedzą nic o ich przeznaczeniu.

Wspinając się dalej i dysząc ciężko, zaczął opowiadać jej o wszystkim, co dotychczas odkryli na wyspie. Przysłuchiwała się uważnie, nie przerywając

mu ani na chwilę. Jedyne na samym początku wtrąciła, że wywoła również radiostację na "Oceanie", aby cała załoga mogła wysłuchać interesujących wieści.

Wkrótce znaleźli się na górnej krawędzi skał. Stali na lekko spadzistej platformie, pokrytej zaroślami i ptasim kałem. Przed nimi widniała rozległa, wznosząca się łagodnie równina, porośnięta karłowatymi, tuż na urwiskiem nawet poszarpanymi krzewami i ułomnymi, przeważnie kolczastymi drzewami. W wielu miejscach sterczały z ziemi zwietrzałe, czerwono-brunatne skały koralowe. Pomiędzy nimi, na skąpych, wyplukanych warstwach osadowych, rosła gdzieś trawa, oraz mech i oset. Chmara różnorodnego ptactwa gnieździła się w zaroślach, hałasując przeraźliwie, ale bez przesadnej trwogi. Od czasu do czasu jakaś zielona, połyskliwa jaszczurka przemykała do swej kryjówki.

Trójka podróżników zapuszczała się coraz bardziej w głąb wyspy.

- Jeszcze trochę i możecie spuścić na wodę "Ocean II" - odezwała się znowu Gela. - Niedługo nadlecą tu nasze helikoptery, który będą nam towarzyszyły. Ale nie weźcie ich za muchy, zresztą tych już raczej nie ma. Wytępiłszy je chyba skutecznie. Dlatego też nie obawiamy się już tak bardzo ptaków, które musiały przestawić się na inne pożywienie. Wiecie przecież, jak bardzo jesteśmy zależni od naszych samolotów, bez nich bylibyśmy strasznie nieporadni.

- Przejdźmy jeszcze kawałek - powiedział Fontaine, kiedy Hal chciał już zdjąć skrzynkę.

Łatwo mu mówić, pomyślał Hal, w końcu to nie on ją dźwiga.

Tuż za pobliską grupą krzaków zaczynały się ruiny. Tutaj również teren przypominał raczej twierdzę.

Kolczasty drut, który niegdyś wieńczył tu mury, był już od dawna skruszały. Widocznie nie wykonano go z tego samego trwałego materiału, co ogrodzenie. Tym, że kiedyś istniał, pozwalały jedynie przypuszczać brunatne ślady na przeżartym, pokrytym algami betonie.

W wielu miejscach natykali się na szerokie wylomy w murach. Za nimi widniały ruiny niskich domków, z których wewnątrz wystawały korony wspaniale rozwiniętych, bo osłoniętych tu od wiatru krzewów drzew. Za tym dosyć rozległym kompleksem błyszczało coś jasnego.

Z tego właśnie kierunku rozległo się brzęczenie, które nagle zabrzmiało wokół nich. Odgłos wydał się Halowi i Djamili znajomy.

- Są już twoi ludzie - poinformował Gełę.

- To dobrze - szepnęła. - Jestem naprawdę podniecona! Żałuję prawie, że obiecałam towarzyszyć wam przez najbliższy czas.

- Coś podobnego! - udał oburzenie Hal.

- Chyba to, rozumiesz, prawda? - zapytała.

- Oczywiście. Zresztą mamy czas, tak że możesz wziąć sobie trochę urlopu. Musicie nam tylko powiedzieć, gdzie możemy się zatrzymać, nie stwarzając dla was niebezpieczeństwa.

- Poczekaj, nasi coś nadają - przerwała mu Gela. Po chwili

powiedziała: - To dla was. Kilka metrów dalej zobaczycie otwartą przestrzeń. Tam zostawcie "Ocean" i poczekajcie na wiadomość ode mnie.

Możecie poruszać się bez obawy. Nikt z naszych nie znajduje się poza

zadaszeniem.

Hal przekazał instrukcję Geli, Djamili i profesorowi. Fontaine

mruknął coś pod nosem, ale skinął na znak zgody głową.

Tymczasem doszli do niemal całkowicie wolnego od rumowiska

miejsca, skąd roztaczał się widok na szczytowy front okazałych szklarni.

Hal postawił skrzynkę ostrożnie na ziemi, obracając ją stroną

wejściową ku szklarniom, po czym otworzył klapę. I oto znajdujący się

wewnątrz "Ocean II" ruszył do przodu gwałtownie, nawet jak na pojęcie

makrosów.

Poprzedzały go trzy helikoptery wysłane jako eskorta. Pozostałe

cztery lub pięć wzbily się już nad ziemię.

"Ocean II" lawirował zręcznie po nagich miejscach nierównej ziemi,

prześlizgiwał się między liśćmi ostu, zdążał najkrótszą drogą do następnego

nie porośniętego odcinka, zahamował ostro, kiedy drogę przebiegła mu

jaszczurka, po czym wjechał do najbliższej szklarni. Helikoptery wzleciały

wyżej, a po chwili spuściły się do wystającego ucha, pełniącego

najwidoczniej rolę wywietrznika.

- Uff! - jęknął Fontaine. - Odpocznijmy. - To mówiąc przetarł sobie

czoło chusteczką odświeżającą.

Pozostałym było również gorąco, ale w tym podnieceniu nie zdawali

sobie nawet z - tego sprawy. Twarz Djamili błyszczała od potu. Kiedy nie

było wiatru, bliskość równika dawała się we znaki.

- Mam nadzieję, że to nie potrwa długo - profesor, płonąc z

niecierpliwości, kontynuował swój monolog. - Ale i tak nie posiadamy

uprawnień do prowadzenia rozmów! Wezwijmy Gwena - zaproponował, zwracając się do Hala.

- Przecież Gela wie, że nie jesteśmy kompetentni - odparła Djamila. -

Jakoś to będzie! A z Gwenem możemy porozmawiać.

Profesor połączył się z nim. Wspólnie doszli do przekonania, że mimo najlepszych chęci maluchów upłynie i tak sporo czasu, może nawet kilka dni, zanim dojdzie do oficjalnych rozmów. Gdyby jednak sprawę przyspieszono, można było powiadomić szybko sekretarkę generalną, która w takim wypadku przeprowadziłaby oczywiście wszystkie rozmowy. Tak ustaliła z Gwenem.

Zresztą Gela, która razem z Karlem miała utrzymywać z nimi łączność, zarezerwowała dla siebie trochę czasu. Ostatecznie nie widziała się ze swoimi bliskimi od kilku lat.

Na katamaranie zaroilo się od ciekawskich. Chcieli przynajmniej być jak najbliżej ekranów. Czas wykorzystano na przygotowania. Lądowanie musiało odbyć się na szczytowej platformie schodów, bez narażania na niebezpieczeństwo samolotu lub szklarni. Pilotowania podjęła się Djamila.

Profesor i Hal podeszli do szklarni. Nie mogli przeboleć faktu, że tak blisko celu są zmuszeni do bezczynności.

Pierwsze wrażenie, jakie odnieśli na widok szklarni, potwierdziło w pełni obawy maluchów: nie przetrzymaliby kolejnej burzy.

Trudno było ocenić teraz stan dachu, ale ramy szczytowe i krokwie były całkowicie przegniłe. Szyby były jednak z małymi wyjątkami całe.

Jedno nie ulegało wątpliwości: gdyby obiekt nie był tak osłonięty,

jakby w martwym zakątku raf, za murami i gęstymi zaroślami, katastrofa nastąpiłaby już dawno. A maluchy - i to właśnie przejmowało grozą obydwu mężczyzn - nie byli nawet w stanie ani rozpoznać niebezpieczeństwa, ani mu zaradzić.

Hal uświadomił sobie, że pod tymi dachami, które pierwszy silny wiatr zerwałby w jednej chwili, żyje ponad dwieście tysięcy ludzi. Połowa z nich nie przeżyłaby takiego kataklizmu. Ile ofiar spowodowałyby same odłamki szkła! Teraz, kiedy niebezpieczeństwo było znane, ale nie można było mu zapobiec, pozostawało tylko jedno wyjście: ewakuacja.

- No dobrze - zauważył Fontaine, który widocznie rozmyślał nad tym samym. - Jedna taka krokiew to dla nich wysokość naszych dziesięciu wieżowców ustawionych jeden na drugim. Trzeba najpierw opanować technologię! Wydaje mi się, że nie dadzą sobie rady.

- Wtedy pozostanie ewakuacja - upierał się Hal przy swoim wniosku. - W przeciwnym razie nie można za nic ręczyć.

Profesor wzruszył ramionami.

- Dla mnie istotna jest rozbieżność między ich wielkością a prędkościami, jakie osiągają. Swoimi helikopterami potrafią w ciągu kilku minut przelecieć nad obszarem, który zamieszkuje sto tysięcy ludzi. Wydaje mi się, że tylko dzięki temu udało im się przekroczyć ocean. - Po tym spostrzeżeniu profesor sięgnął do kieszeni po kolejne ciasteczko.

Po raz pierwszy Hal zauważył, że składają się one z białej masy, która, sądząc po zjadanych przez profesora ilościach, rozpływała się chyba bardzo szybko w ustach. Od dalszych rozważań został nagle uwolniony.

Brzęcząc, nadleciał minihelikopter Geli. Natychmiast wznowiono

łączność radiową. Gela podnieconym głosem mówiła:

Nasz rząd prosi o krótkie spotkanie jutro o dziesiątej waszego czasu.

Jednocześnie chcielibyśmy prosić o wykorzystanie w tym celu waszej techniki.

Wybierzcie

miejsce

spotkania.

Niestety,

ze

względów

bezpieczeństwa nie może się ono odbyć pod naszym zadaszeniem.

- Ach - westchnął rozczarowany profesor, kiedy Hal przekazał mu słowa Geli. - Zapytaj ją o transoptery.

Hal powtórzył to pytanie.

- Ależ oczywiście - odparła Gela. - Możecie zainstalować transoptery i nawet wchodzić tam po kolei, ale po odpowiednim przygotowaniu.

Profesor skinął głową. Obliczał coś w myślach, po czym odparł:

- Rozmiar buta czterdzieści dwa to około dwudziestu tysięcy milimetrów kwadratowych. Na każdym z nich mógłby znajdować się jeden mikroczłowiek, nie mówiąc już o innych istotach i rzeczach. W porównaniu z tym nawet ruch wielkomijski u nas może wydać się niczym. A więc bardzo mi przykro, ale ja tam nie wejda.

Hal skinął głową na znak zgody. Jemu również te wszystkie

przygotowania wydały się zbyt skomplikowane.

Gela wzbiła się wyżej i zawołała po chwili:

- Wasi ludzie już są!

Pierwszy przedarł się przez zarośla, niczym słoń, Gwen. Za nim biegły spocone Ewa i Res, taszcząc części przyrządów. Z tyłu nadbiegło jeszcze dwóch techników z resztą aparatury.

Gwen ogarnął sceptycznym spojrzeniem szklarnię, wybrał z jednego z nośników kawałek rdzy, zamyslił się, po czym spróbował zajrzeć do wnętrza domu. Ślepe okna uniemożliwiły mu ten zamiar. Hal i profesor zdążyli się już o tym przekonać.

- Dajcie tu transopter z obiektywem o zmiennej ogniskowej! - zawołał tuż obok nich jeden z techników, uderzając przy tym pięścią w krokiew.

Budowla zadygotała, posypała się rdza.

- Człowieku, uważaj! - zawołał Fontaine. Gela słyszała widocznie wszystko dzięki mikrofonowi Hala. Roześmiała się.

- To nie takie straszne - powiedziała. - Znamy już sytuację i pomyśleliśmy o środkach zaradczych. Zobaczycie sami! Jedyne siła powierzchniowa lub nacisk na dach mogą być groźne. Inna sprawa, że to nie będzie się trzymało wiecznie! - Gela spoważniała. - To był jeden z powodów, dla których chcieliśmy się z wami skontaktować.

- Odbudować coś takiego byłoby drobnostką - zauważył Gwen. -

Pytanie tylko, czy oni tego chcą?

- Rozejrzyjcie się po zachodniej części wyspy, za szklanymi budowlami; znajduje się tam jakieś podupadłe osiedle, którego

przeznaczenie było dla nas prawdziwą zagadką. Ale coś takiego przydałoby się nam.

Podczas gdy technicy zajęli się montowaniem transoptera na ścianie, w miejscu wskazanym przez Gelę, reszta, z profesorem na czele, podążała w ślad za wolno lecącym przed nimi helikopterem Geli.

Nie było to wcale łatwe, śledzić wzrokiem tak mikroskopijny punkt.

Kilkakrotnie profesor potykał się o leżące wokół kamienie. Klął cicho, ale robił wszystko, aby nie stracić kontaktu.

Gela prowadziła ich wokół kompleksu szklarni. Cierpliwie czekała, aż z trudem przedostaną się przez krzaki i gruzy. Kiedy dotarli na tyły szklarni, znaleźli się na górnej krawędzi kotliny o spadzistych zboczach.

Ruiny udostępniały widok na morze. Według Hala znajdowali się teraz mniej więcej w środku wyspy.

- To wygląda na jakieś historyczne budowle - zawołała Djamila na widok ruin, ciągnących się przed nimi w dół zbocza. - Tam z tyłu... zupełnie jak dla siedmiu krasnoludków!

- Tylko że tu było ich trochę więcej niż siedmiu - zauważył Hal. - To te maluchy - zamyślił się. - Kiedy mieszkania stały się dla nich za duże...

- Nie - przerwała mu Djamila. - Kiedy oni stali się za mali do tych mieszkań, do stworzonych przez siebie środowisk.

- Tak, tak - przyznał szorstko Hal. - W każdym razie po przygotowaniu nowego, jeszcze mniejszego środowiska, musiał przeprowadzić się cały naród. Tyle wysiłku! I to - zaczął obliczać - raz, dwa... pięć razy, o ile można tu mieć pewność!

*Przed
nimi
rozciągało
się
rumowisko,
zajmujące
większą
powierzchnię niż cały kompleks szklarni. Tu i ówdzie wznosiły się resztki
murów i filary, delikatniejsze od tych, jakie Hal widział u swojego syna w
modelu starodawnego pociągu.*

*- Wygląda na to, że te domy ze szkła to ich najnowsze mieszkanie -
stwierdził Fontaine. - Ostatnie schronienie, jeżeli to tak można nazwać.*

*- Owszem - potwierdziła Gela, która przysłuchiwała się rozmowie. -
Ale jednocześnie jest to nasz najdłużej trwający etap: trzy razy dłuższy niż
wszystkie poprzednie okresy razem wzięte.*

- A domy? - zapytała Djamila.

*- One już stały gotowe do zasiedlenia. Zobaczycie potem trzy
segmenty, różniące się od siebie przeznaczeniem, taki układ zastaliśmy już
tutaj, a wszystko z najlepszego materiału, odpornego na korozję. Jedno
musieliśmy zrobić: domy zamieszkiwały dzikie szczepy groźnych mikrobow.*

Trzeba je było zniszczyć.

*- Nieprawdopodobny wysiłek, budowa tych formacji - stwierdził
Gwen.*

Gela wyjaśniała dalej:

*- Związek pomiędzy istnieniem tych ruin a rozwojem naszego narodu
zrozumieliśmy dopiero po przejrzeniu dokumentów, tak długo dla nas
niedostępnych, i oczywiście po nawiązaniu kontaktu z wami. Na pewno
trudno wam będzie wyobrazić sobie, jak zareagował naród na odkrycie
prawdy. Bez wątpienia przeważająca większość jest za odwróceniem
kierunku rozwoju. Ale są i inni, którym taka perspektywa nie trafia do
przekonania.*

*Są też wśród nas grupy radykalne, które domagają się, aby zaniechać
wszystkiego, czym zajmowano się do tej pory, i natychmiast przystąpić z
waszą pomocą do procesu powiększania. Inni znowu żądają więcej
informacji na wasz temat, aby móc podjąć ostateczną decyzję: czy warto
wrosnąć w wasz świat tak gwałtownie.*

*- Gela - przerwał jej łagodnym tonem Gwen. - Chciałbym, żebyś
wiedziała: ten proces nie odbędzie się gwałtownie. Bezpieczniejszą metodą
jest stopniowe przekształcanie kolejnych pokoleń. Całą tę zmianę można
więc traktować jedynie perspektywicznie. Gela przez pewien czas milczała. -
Szkoda - powiedziała po chwili cicho, jakby zrezygnowana. - A tak
marzyłam o tym.*

*Makrosi poczuli się nagle nieswojo. Gwen naruszył tym wyjaśnieniem
swoje kompetencje, ale Hal rozumiał go. Gela jest naszym przyjacielem,
pomyślał, nawet czymś więcej, jest nam bliska, chociaż właściwie znamy ją
od niedawna. Polubiliśmy ją i dlatego teraz współczujemy jej i podziwiamy
zarazem.*

Gela zwierzyła się przed chwilą ze swoich najskrytszych marzeń.

Gdyby chociaż można było wreszcie wypowiedzieć walkę tej okropnej chorobie, amnezji. A przecież zdanie Gwena nie musiało być wcale miarodajne. Komisja Naukowców rozważa jeszcze rozmaite warianty. Hal wiedział też, że niektórzy członkowie komisji reprezentują pogląd, iż pomoc udzielona maluchom ma ograniczyć się do wyleczenia ich z tej choroby.

Gwen miał zakłopotaną minę. Był zły na siebie, że nie potrafi trzymać języka za zębami.

Nie wątpili wprawdzie, że Gela zachowa dla siebie to, co usłyszała, ale wiedzieli też, jak to na nią podziałało.

Gela odezwała się znowu swoim zwykłym głosem: - Tym bardziej stanie się nam potrzebna budowla podobna do tej. Myślałam, że jest to tylko rodzaj kwarantanny, do czasu...

Zrozumieli, że chodzi jej o ruiny i konieczność wybudowania od nowa czegoś w tym rodzaju, odpowiednio do procesu powiększania.

Gela dała swym gościom pełną swobodę poruszania się po wyspie, po czym pożegnała się z nimi. Z naciskiem podkreśliła jednak, że jest upoważniona, aby umożliwić im wgląd w życie maluchów. Jeszcze raz zaznaczyła, że nikt z jej ziomków nie przebywa teraz poza zadaszeniem.

Zamyśleni wrócili na plac przed frontem szklarni. Gwen nawiązał łączność z katamaranem i wydał polecenie, aby przygotować na następny dzień naradę.

- Gotowe - zameldował po chwili jeden z techników. W ciągu tak krótkiego czasu dokonano niemal cudu: zainstalowano centralny transopter z niezależnym sprzężeniem, tak że zbyteczne stały się ekrany i

okular. Dzięki temu mogło z niego skorzystać więcej widzów. Pomyślano też o transmisji z pamięcią, przeznaczonej dla załogi katamaranu.

Z pewną dumą Fontaine rozdał hełmy sondujące, co nasunęło Halowi podejrzenie, że profesor przygotował ten brawurowy wyczyn techniczny z góry, prawdopodobnie z pomocą maluchów.

W jego przypuszczeniach utwierdziła go kolejna czynność profesora:

Fontaine nawiązał łączność z nie znaną im do tej pory centralą maluchów, która widocznie miała bezpośredni kontakt z transopterem. - Jeżeli są jakieś pytania - powiedział swobodnym tonem - to naciśnijcie tylko klawisz i pytajcie.

Rozkoszował się zdumieniem pozostałych, nakładając sobie na głowę z nieprzeniknioną miną, ale bez pośpiechu, hełm sondujący.

Teraz Hal już wiedział, o czym profesor rozmawiał stale na pokładzie katamaranu z małymi pasażerami. Wszystko inne, nawet centrala i przygotowania drogą radiową, było już drobnostką.

W każdym razie z jego zdolności przewidywania korzystali teraz wszyscy. Hal zaczął podziwiać profesora, mimo że tamten wkładał sobie akurat do ust jedno z tych dziwnych ciastek.

Hal usiadł między Djamilą a Res na nadmuchiwanym krześle, wcisnął sobie głęboko na czoło hełm sondujący, odchylił się do tyłu i z zamkniętymi oczyma zaczął oczekiwać wydarzeń, które miały nastąpić.

XIX

Widok był początkowo naprawdę osobliwy: pęcherze, nieprzejrzana masa matowo-perłowych tworów; w kształcie baniek mydlanych.

Hal obliczył w przybliżeniu skalę - mniej więcej trzy centymetry średnicy. Przestrzeń jaśniała światłem.

Potem obraz przesunął się dalej. Hal stwierdził, że przy pierwszym ujęciu transopter był skierowany na konstrukcję dachową domu i że kule bujały swobodnie pod dachem tworząc półmetrową warstwę.

Niemiły dla ucha zgrzyt i rozległ się głos Fontaine'a:

- Centrala, co to jest? Mam na myśli pęcherze.

Z automatu zabrzmiał metaliczny głos:

- Podpora dachu. Balony o cienkich ścianach wypełnione sprężonym helem. W razie czego złagodzą skutki katastrofy.

Potem nikt już nie zadawał pytań. Przed nimi otwierał się zdumiewający, fantastyczny świat.

Operator zmienił soczewkę w ten sposób, że widzowie odnieśli wrażenie, jakby lecieli przez ten świat. Przybliżał obiekty dalekie, umożliwiając dokładną obserwację najdrobniejszych szczegółów, zmieniał położenie osi optycznej, śledził każde poruszenie, zatrzymywał obraz, przeskakiwał dalej, omijał dyskretnie.

Nawet największy sceptyk musiałby teraz skapitulować. Kto mówił o maluchach, którzy nie mieli nic do powiedzenia ani pokazania! Przed nimi rozciągał się trzypiętrowy świat, nie kompleksowe miasto, jakich w świecie

makrosów było dopiero cztery. Cała przestrzeń życiowa dzieliła się na trzy poziomy, z których górny był niewątpliwie właściwą sferą życia, oświetlaną przez trzy duże, sztuczne i liczne małe, przytłumione słońca. W miejscach, gdzie wieżowce przebijały poszczególne piętra, roilo się od ludzi, którzy nie byli jednak zaganiani, lecz odpoczywali, z dala od zgiełku i czynników zatruwających środowisko naturalne.

Pomiędzy domostwami rozciągały się pagórkowate krajobrazy, lasy, jeziora i rzeki, nie było jednak ulic! Tu i ówdzie, wtopione dyskretnie w otoczenie, widniały budowle przypominające swym wyglądem poczekalnie. Dopiero po pewnym czasie Hal pojął ich sens: były to stacje wind, łączących górne piętro z dolnym, które pełniło rolę poziomu komunikacyjnego. Tam pędziły samochody i pociągi, modele bez wyjątku z dwudziestego wieku, nie pasujące do supernowoczesnego podziału przestrzeni. Całość tonęła w jednostajnym żółtozielonkawym świetle, które przenikało rozproszone z góry. Między ciągami komunikacyjnymi mieściły się tereny uprawne: plantacje owoców i warzyw, pastwiska z owcami i krowami, jak również różnego rodzaju pola. Widoczne też były pasma lasu i małe wzgórza. Ogólnie rzecz biorąc, teren był jednak płaski.

Obserwatora musiał uderzyć od razu fakt, że większość roślin użytkowych jak również zwierząt domowych była dużo większa od maluchów. Oni patrzą pewnie na taką krowę, jak ja na słonia, pomyślał Hal.

Między równiną a sztucznym, przypominającym matowe szkło niebem, istniała na terenach mieszkaniowych przestrzeń mogąca pomieścić

pięć pięter. Prawdopodobnie znajdowały się tam punkty usługowe wszelkiego typu. Hal zauważył, że nie ma filarów podtrzymujących poziom górny. Widocznie funkcję tę spełniały przechodzące na wylot wieżowce i szyby od wind.

Przebywający tu ludzie trudnili się wyłącznie pracą produkcyjną, ale bez zbytniego wysiłku fizycznego. Tłumy widoczne były tylko na szlaku handlowym, w innych miejscach dominowały urządzenia techniczne i maszyny. Życie pulsowało w środkach komunikacji, poruszających się na ulicach, linach i szynach.

Hal wykorzystywał każdą okazję, aby przyjrzeć się ludzkim twarzom, co ułatwiał mu teleobiektyw transoptera. Od Geli dowiedział się już, że jedna trzecia społeczeństwa nie jest jeszcze w pełni władz umysłowych, a dwadzieścia procent ogółu cierpi na amnezję. Ale oprócz uduchowionej miny u kilku osób Hal nie zauważył niczego osobliwego. Dopiero po pewnym czasie wydało mu się, że jakiś przechodzień idzie przed siebie bez żadnego celu, kręci się bezsensownie w koło jak - Hal bronił się przed tym porównaniem - mrówka, zatrzymuje się i zawraca niezdecydowanie do punktu wyjścia.

Hala zaczęły ogarniać ponownie smutek i wściekłość. Biedacy, myślał, zaciskając pięści na samo wspomnienie o Nhaku, tym fałszywym proroku. Jednak po chwili, zdając sobie sprawę z tego, że wszystko weźmie dobry obrót, zaczął na nowo upajać się egzotyką miniświata.

Operator podłączył dolny obiektyw transoptera. Pojawił się całkiem inny obraz: widok zasłaniały rozległe, jasno oświetlone kompleksy

budynków, z których niczym ogromne kolumny wyrastały wieżowce mieszkaniowe. Tereny produkcyjne! Za oknami wirowały koła, pracowały łożyska, zapalały się sygnały i układy połączeń, załadowywano i rozładowywano kontenery. Całość otaczała przerastająca ją niejako zieleń. Rośliny pnące, nie zminiaturyzowane w tej samej skali, obrastały wokół budynki, pokrywały drogi i wolną przestrzeń. Tu także nie było ulic, tylko podnośniki, próżniowe rury transportowe i tory suwnicowe.

Hal doszedł do przekonania, że ma oto przed sobą urzeczywistnienie odkryć technicznych dwudziestego wieku, ale dokonane z perfekcją, o jakiej historycy nawet nie marzyli.

Operator przełączył znowu transopter na górny poziom, przybliżył jakąś dzielnicę mieszkaniową, wyodrębnił z niej jeden z tych okrągłych wieżowców, które wznosiły się nad górną równiną na wysokość piętnastu pięter, zatrzymał obraz na szerokim, okrągłym dachu, gdzie mieściły się place zabaw dla dzieci, ośrodki wypoczynkowe i park, po czym zademonstrował wewnątrz.

Hal poczuł nagle rażący ból oczu, kiedy na moment oślepiło go małe słońce, wiszące pośrodku pomieszczenia. Wkrótce obraz się zmienił. Teraz odnosiło się wrażenie, jakby obserwator spoglądał na to pomieszczenie z pozycji owego słońca.

Kiedy wzrok Hala oswoił się wreszcie, ujrzał rozległy szyb, którego ścianki upstrzone były oknami i balkonami, i który najwidoczniej sięgał w dół aż do dolnego poziomu, do terenów produkcyjnych. Z dołu połyskiwała zieleń, jakby znajdowała się tam woda; może były to tereny rekreacyjne dla

mieszkańców domu.

Nieco wyczerpany Hal zdjął z głowy hełm sondujący. Znowu ujrzał brzydką ścianę szczytową szklarni, dziwaczne połączenia przewodowe aparatury, plecy operatora, który naciskając klawisze regulował potencjometry transoptera. Z lewej strony Hal dostrzegł Djamilę, odprężoną, z zachwytem malującym się na twarzy, a po prawej Res, podnieconą, z czołem lśniącym od potu.

Co za przeżycie! Na pierwszy rzut oka odnosiło się wrażenie:

doskonale zorganizowany świat, z wszelkimi warunkami niezbędnymi do harmonijnej wspólnoty, jaką my dopiero zaczęliśmy tworzyć. Natychmiast nasuwało się jednak pytanie: Jaki jest ich rzeczywisty stosunek do siebie?

Co osiągnęli?

Czy z tej złowieszczej przeszłości pozostało coś pozornie pozytywnego?

Co nowego wywalczyli?

Z jednego Hal zdał sobie sprawę: przestrzeń wykorzystano tu do

perfekcji, urzeczywistniono obiekty, które pod względem rozmiarów i znaczenia nie ustępowały w niczym bazie Jupitera ani wyspie ekliptycznej.

Zaczął rozumieć teraz, dlaczego wśród maluchów istnieją ludzie, którzy ze swego punktu widzenia i znając słabo świat makrosów zapatrują się

sceptycznie na projekt powrotu. Zaczął pojmować też niejasno, ile by oni

sami potrzebowali czasu, nawet przy olbrzymim wysiłku, żeby uchwycić

sens zdobyczy maluchów i zastosować część z nich w świecie makro. Poczul

nagle respekt! To przecież oni, te maluchy, oszukani ludzie dobrej woli,

okaleczeni, uwięzieni. Okazało się jednak, że nie tylko zrzucili z siebie

brzemie przeszłości, nie tylko stali się świadomi swej siły, która jest motorem wszelkiego rozwoju, ale również dzięki swej woli przeżycia otworzyli przed całą ludzkością nowe horyzonty. Tak, w ten właśnie sposób będę argumentował, jeżeli zapytają mnie o zdanie, postanowił w duchu.

Wszyscy muszą zdać sobie z tego sprawę!

Obok niego powstało jakieś poruszenie. Res, a tuż za nią Djamila, nacisnęły guziki przy swoim pulpicie. Hal wcisnął ponownie na głowę hełm, nie dostrzegł jednak nic. Szybko przycisnął guzik. Akurat odbywała się projekcja filmu, widocznie w centrali maluchów. Prawdopodobnie poprzedziło go jakieś objaśnienie, które Hal przepuścił. Uplynęło trochę czasu, zanim zrozumiał, o co chodzi. Im więcej jednak rozumiał, tym bardziej się podniecał i tym silniejsze stawało się jego postanowienie, aby poprzeć maluchów, jak to obmyślił już sobie poprzednio. Film ukazywał cały zestaw narzędzi organicznobiologicznych, wykonanych z perfekcją, która usuwała w cień najśmielsze wyobrażenia.

Pewien

fragment

zapadł

Halowi

głęboko

w

świadomości,

pozostawiając niezatarte wrażenie: ukazał się las, wielki, widocznie jeszcze nie pomniejszony, pozornie kamienistym podłożu. Nadjechały dwa

traktory, które z zamontowanych beczek opryskały czworokąt wokół lasu.

Następnie zjawił się duży, zmotoryzowany zbiornik i opylił część czworokąta. Odbyło się to bardzo szybko. I oto las umarł - jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nie umarł jednak, jak od trucizny, lecz zniknął, został zżarty. Liście i gałęzie pokryła szara masa, przewalająca się wszędzie i zostawiająca po sobie gołe pnie, z których ponuro sterczały ku niebu nieliczne gałęzie. Kiedy ta fala wtargnęła już na głębokość trzydziestu metrów, zbiornik nadjechał ponownie. Wzdłuż swej poprzedniej trasy rozlał teraz jakąś rzadką ciecz, która stopniowo, ale niepowstrzymanie zaczęła żyć, otaczała sobą nagie pnie i gałęzie, pokrywając je bielą. Zbliżenie: Niezliczone, żywe włókna oplótły drzewo, delikatny, nieprzejrzany splot przenikał szczeliny i pory, niczym grzybnia! Powstawał, rozrastał się, wędrował, niszczył - i ginął! Gałęzie pnie butwiały. Dokoła unosił się w powietrzu gęsty pył, a biała fala parla naprzód, zostawiając za sobą brzydką, brunatnoczarną równinę, pozornie martwą, nieurodzajną. Znowu nadjechał zbiornik. Tym razem opryskał wszystko czymś żółtym. Po kilku chwilach zaczęło tam kipieć, parować i fala ruszyła do przodu.

Nagle Hal przypomniał sobie Res, stojącą w specjalnym ubraniu wśród potoku drobnoustrojów w Afryce.

Teraz nastąpił widok ogólny: Hal poczuł się nieswojo, oblał go pot. Widział zielone pasmo lasu, w które bezlitośnie wgryzała się już pierwsza fala. W kilku miejscach spożyła wszystko i - zginęła pod działaniem rozpylanej przez traktor substancji. To samo stało się z białą grzybnią.

Zginęła po zaatakowaniu ostatniego pnia. Hal nie wątpił, że w ten sam sposób zginie również parująca fala. Wszystko odbywało się niezwykle szybko, ale nie dzięki kamerom do zdjęć przyśpieszonych. Stosując tu pojęcia makrosów, można było stwierdzić, że fala zniszczenia parła do przodu szerokim frontem z szybkością jednego metra na dziesięć minut.

Trzecia fala pozostawiła po sobie - co ujawniło wyraźnie zbliżenie - luźną ziemię o strukturze drobnoziarnistej. Teraz ukazały się kombajny z pługami, bronami i siewnikami, sprzężonymi w jeden kompleks. Nastąpił komentarz: w ciągu sześćdziesięciu godzin wszędzie tu każde dowolnie wybrane ziarno... Hal zastanawiał się nad losami fauny z tego obszaru, ale nie pytał centrali; nie wątpił, że również ten problem został już rozwiązany.

Obraz zmienił się: po grubej blasze przesuwiał się walec, zraszając ją w niektórych miejscach i zostawiając w ten sposób za sobą deseń. Hal zaczął się już dziwić, dlaczego to ujęcie trwa tak długo, kiedy zauważył, że nawilżone miejsca uwydatniają się coraz wyraźniej, rozrastając się bujnie.

Wyglądało to tak, jakby przypalały się tam i zwęglaly omlety. Czarniawe pęcherzyki pękały, opadały i ulatniały się w postaci czarnej próchnicy, zakłócając ostre kontury desenia. Wkrótce z blachy opadł na ziemię ciemny pył. Teraz pojawili się dwaj mężczyźni i unieśli płytę, aby umożliwić widok kamerze. Hal nie wiedział już, czy śni: odcisnięty poprzednio deseń przeżart blaszaną płytę na wylot. To, co pokazywali mężczyźni, wyglądało na skrzydło tworzonej w ciężkim trudzie filigranowej, artystycznej bramy.

Hal zerwał z głowy hełm. Skóra piekła go. Pot sprawiał, że ubranie i włosy kleiły się do ciała. Niesamowite! Co za opanowanie mikrokosmosu,

jakie perspektywy! Rozentuzjasmowany zaczął wyobrażać sobie, co można by zmienić, jakie rozwinąć katalizatory! Najchętniej zerwałby się z miejsca, obiegłby szklarnię i wyściskałby tych, którzy to odkryli. Spojrzał niecierpliwie na Djamilę, potem na Res. Widocznie jednak projekcja trwała nadal. Djamila chłonęła obraz z takim samym podnieceniem, jak poprzednio on sam.

Hal zapragnął nagle podzielić się z kimś swymi wrażeniami, chciał, aby jego zachwyty stały się udziałem wszystkich. Res! Siedziała pochylona nienaturalnie do przodu, z półotwartymi ustami, rozgorączkowana, z twarzą błyszczącą od potu. Zacisnęła kurczowo pięści, aż zbieleły jej kostki dłoni. Wyglądała na tak podekscytowaną, że Hal poczuł o nią przez chwilę strach i postanowił przerwać tok jej rozmyślań. Potem zmienił jednak zdanie: Res, która wtedy brodziła wśród potoku drobnoustrojów, nie załamie się tak łatwo!

Nie musiał już obserwować filmu, wszystko stało się jasne. Nawet jeżeli tamci pokazali im kilka przykładów, choćby najbardziej przekonujących, to Hal wiedział doskonale, że jego wyobrażenie w tym kierunku nie jest wcale pełne. I co tu się dziwić, że owe drobnoustroje pożerają nasz beton. Powstrzymanie tego potoku będzie śmiesznie łatwe. Ani Hal, ani prawdopodobnie Res nie wątpili już w to, że ów pochód drobnoustrojów mogli spowodować ich obecni gospodarze. Ale w jakim celu?

Poczuł nagle, że ogarnia go radość połączona z satysfakcją. To dobrze, że Mexer poniósł porażkę. Kogoś takiego jak Res nie splania się jak

pierwszego , lepszego! Ale teraz nadeszła już pora, żeby ona zaczęła działać!

Nareszcie! Gwen spocony zdjął hełm. Zerknął na Hala, ich spojrzenia spotkały się. Prawdopodobnie myśleli o tym samym, wstali bowiem i podeszli do siebie.

- Sądźysz?... - zapytał z podnieceniem Gwen.

- Tak. - Hal skinął głową.

- Przerywamy? - Gwen wskazał na transopter.

- Nie odbieraj im tej przyjemności - zaprzeczył Hal z uśmiechem, wskazując na Djamilę i Res. - Tymczasem nic złego nie może się wydarzyć, potok jest zahamowany.

- To nic - odparł Gwen. - Ale może mają środki zapobiegawcze. Wsiądną raz, dwa do samolotu, opryskają i gotowe!

- Tak, a ten środek załadują do napastrka - zadrwił Hal. - Ciekawe tylko, po co by to robili.

Gwen spojrział na niego zaskoczony.

- Właśnie - odparł zamyślony, po czym podszedł do radiostacji.

Taka była właśnie Res: kiedy Gwen połączył się z nią przez wideofon, opalała się właśnie. Nie zadała sobie nawet trudu, aby się ubrać. Widocznie, słysząc sygnał, wcisnęła przycisk aparatu nogą, a teraz witała go niedbale:

- Cześć, Gwen, a jednak się odezwałeś? - Jej obojętny ton klócił się z uniesionymi i zmarszczonymi brwiami, które regularnym rysom jej twarzy nadawały wygląd jakby zaciekawionej wiewiórki. Domyślała się, po co się z nią skontaktował.

- Wytępimy je - powiedział Gwen niezbyt jasno i jakby zbity nieco z tropu.

- Kogo chcesz wytępić? - zapytała ironicznie Res.

- Do diabła, rusz trochę głową. Siedzę na tych Wyspach Podwietrznych i jest mi cholernie ciężko cię złapać! - ofuknął ją bez złości Gwen. -

Postanowiliśmy policzyć się przy pomocy maluchów z tymi twoimi zaprogramowanymi bestiami.

- Ach! - Res z całym spokojem uniosła się trochę. - Już? - zapytała ironicznie. - No więc! - Wstała i rozejrzała się wokół, szukając ubrania.

- Co znaczy: no więc?

- To znaczy, że po pierwsze prześlę znowu moją pracę do Akademii, z takim pismem w załączeniu, że im pójdzie w pięty, a po drugie masz powiedzieć mi natychmiast, kiedy oni tu będą.

- Najlepiej byś zrobiła, gdybyś przybyła tu jak najszybciej - powiedział Gwen nieco zakłopotanym tonem - i odleciała potem razem z nami!

- Coś podobnego! - Res powiedziała tylko tyle. Po jej twarzy przemknął cień triumfu.

- Nie było też o co się dąsać - zauważył Gwen. - Tydzień wcześniej czy później nie odgrywa już roli.

- Widać, że nie masz do czynienia z ludźmi w tym mieście. - Machnęła ręką. - A poza tym, czy nie” mogłam się stęsknić za dziećmi? Zresztą zostawmy to. Przylecę do was. Ale postaraj się, żeby to nie trwało długo, proszę cię.

Jeszcze tego samego wieczoru przyleciała samolotem. W jaki sposób uzyskała tak szybko zgodę na Jot transoceaniczny, pozostało zagadką, tym bardziej że leciała maszyną sterowaną ręcznie. Pilot śpieszył się, nie mógł doczekać się już powrotu, widocznie czuł się nieswojo wśród tych licznych promieni wiodących i blokujących wokół wyspy.

W pawilonie przygotowywano się właśnie do ważnego spotkania z Radą Naukową maluchów, kiedy nieoczekiwanie zjawiała się Res. Hal stał akurat przed wejściem. Kiwnęła mu głową, wskazała kciukiem na pawilon i zapytała:

- Gwen?

Kiedy Hal odpowiedział twierdząco, wtargnęła do środka. Hal usłyszał okrzyk Gwena, a kiedy wszedł również, zobaczył, że Res rozsiadła się na stole, odsuwając na bok nastawioną już na odpowiednią odległość aparaturę. Kiedy Gwen zaprotestował, uśmiechnęła się z ubolewaniem.

- No, to jestem. Opowiadaj!

Gwen poradzi sobie z nią lepiej niż ja, pomyślał Hal. Gdyby to ode

mnie zależało, wyprosiłbym ją chyba grzecznie. Gwen natomiast, nie tracąc

zimnej krwi, ustawił na nowo jakąś ramę i rzekł jakby mimochodem:

- Hal powie ci, jak mamy zamiar postąpić i będzie cię popierał, jeżeli

chcecie zacząć działać od razu.

- Czyżbym podjął się tego? - Hal nie mógł powstrzymać się od tej

uwagi.

- Co znaczy: "zacząć działać od razu"? - zapytała dosyć ostro Res.

Marszcząc brwi, spojrzała na Hala z uśmiechem. W odpowiedzi uśmiechnął

się do niej niepewnie.

Zadanie nie byłoby dla niego przykre. Res była kobietą atrakcyjną,

może tylko za bardzo ascetyczną, chudą, ale Hala interesowała przede

wszystkim pracą. Res znajdowała się tak blisko narodzin nowej epoki w

nauce, jak nikt inny, a on miał szansę być przy tym, dowiedzieć się czegoś

bliższego. Na razie jednak była to jeszcze sprawa przyszłości.

- Z kim rozmawialiście? - zapytała wprost.

Gwen i Hal spojrzeli po sobie.

- Na ten temat jeszcze z nikim - odparł Gwen. Wyglądało na to, że

odpowiedź przecząca, jakiej musiał udzielić Res, sprawiła mu przykrość.

Kiedy zaczęła powątpiewająco marszczyć brwi, dodał pośpiesznie: - Nie

chcieliśmy działać bez ciebie. Zrozum, nawet nie wiemy, jak postąpić.

- Tak - powiedziała Res. - A więc nic się nie zmieniło od czasu mojego

wyjazdu! - Umilkła na chwilę. - A jeżeli oni też nie wiedzą? Hm? W takim

razie nie mogliby nam nic powiedzieć!

- Właśnie - przyznał Gwen. - Dlatego ty powinnaś ruszyć to z miejsca,

zając się tym od samego początku.

Spoglądała to na jednego, to na drugiego. Wyglądała już na udobruchaną.

- No, to możecie mnie wtajemniczyć.

Hal zaprosił ją do stojącego w pobliżu samolotu bliskiego zasięgu, wskazał na ekran, po czym wydał polecenie do katamaranu, aby puścili taśmy z ostatnimi wydarzeniami. Następnie przyłączył się do innych, którzy hałasując brali wieczorną kąpiel.

Kiedy rozmawiając z Gwenem nie ukrywał, że zdziwiło go szorstkie zachowanie się Res, tamten uśmiechnął się tylko.

- Mylisz się! Ona jest teraz opętana tą pracą, a poza tym ma kłopoty.

Normalnie jest bardzo miła. Ewa zna ją dobrze. Jestem pewny, że się uspokoi, kiedy będzie już miała wszystko za sobą.

Hal poszedł do Res. Siedziała jeszcze nieruchomo przed ekranem.

- No i co? - zapytał.

Spojrzała na niego. Zanim powróciła do rzeczywistości, upłynęła chwila. Potem powiedziała powoli:

- Czy możesz sprawić, żebym nawiązała szybko kontakt z tymi, którzy waszym - ostatnie słowo wypowiedziała z ironią - zdaniem mają przyłączyć się do maluchów?

- Oczywiście - powiedział Hal wzruszając ramionami. - Ale czy dzień wcześniej lub później odgrywa tu rolę?

Spojrzała na niego przenikliwie. - Tak - odparła zdecydowanie. - Mimo waszego gazu te bestie pokonują w ciągu godziny metr. Są podstępne i

wyrafinowane. Nie jestem pewna, czy aktualnie przepadają jeszcze za betonem! I tak straciliśmy już sporo czasu!

- Dobrze, spróbuję - obiecał Hal.

Połączył się z Djamilą i powiedział, że jest zajęty. - Długo -

odpowiedział na jej pytanie, bo kiedy popatrzył na zdecydowaną twarz Res, już coś niecoś przeczuwał. Następnie próbował połączyć się na ustalonym paśmie z Gelą. Zamiast niej zgłosiła się centrala i upłynęła chwila, zanim usłyszał głos Geli:

- Masz coś ważnego? Jestem u rodziców.

Początkowo nie wiedział, co odpowiedzieć. Spojrzał z wyrzutem na

Res, ale ta wzruszyła ramionami. Hal zmieszał się.

- A Chris? - zapytał.

- Udał się do Rady na specjalne zebranie. Chodzi o jutrzejszy dzień. -

Nagle zreflektowała się. - Ale Hal, ja nie to miałam na myśli, nie gniewaj się.

Tylko że helikopter mogę wezwać jedynie w ważnych wypadkach, uzasadnionych. Właściwie pod zadaszeniem loty się nie odbywają.

Musiał więc podjąć decyzję. Wzgląd na Res przeważał jednak i Hal, nie myśląc już o ewentualnych konsekwencjach, opowiedział o potoku mikrobow, po czym poprosił o pomoc w ich zwalczaniu.

Gela przysłuchiwała się tylko, tak że Hal przerywał kilkakrotnie, chcąc się upewnić, czy jeszcze tam jest. Początkowo przytakiwała "mu z wyraźnym podnieceniem, potem z wahaniem, myśląc nad czymś. Nagle przerwała mu porywczo i powiedziała, raczej zawołała:

- Bądźcie gotowi do odbioru za godzinę. Zamelduję się. Koniec.

Hal osłupiały spojrzal na Res.

- Prawdziwa przyjaciółka - powiedziała ironicznie.

- Poczekaj trochę - odparł bardziej szorstko, niż zamierzał. Co się Geli stało? Nie poznawał jej teraz. Powinniśmy byli zagrać w otwarte karty od razu podczas pierwszej wizyty, pomyślał. Ale przyznać się teraz do tego to tak, jakby dolać oliwy do ognia.

- Nic innego nam nie pozostaje - powiedziała Res.

Kręcili się po plaży tam i z powrotem. Reszta siedziała na pokładzie katamaranu obradując. Djamila machnęła do niego ręką. Hal chętnie przylączyłby do nich, gdyż w ten sposób dowiedziałby się od razu, co zaproponują jutro maluchom, ale towarzystwo Res pociągało go teraz bardziej. Nigdy nie zrezygnowała ze swego zamiaru, pomyślał. Była przekonana swej racji i - co najważniejsze - głosiła ją wszędzie i broniła jej, podczas gdy ja nadal babrzę się w tych katalizatorach. Nagle uświadomił sobie, że właśnie dlatego podziwia Res.

Res kroczyła energicznie obok niego. Wiatr rozwiewał jej króciutkie, połyskujące srebrem włosy podwiewał sięgającą ud bluzę. - Coś mi u nich nie pasuje - powiedziała nagle. - To, że się niepokoją, jest zrozumiałe.

Ostatecznie w naszej prośbie o pomoc tkwi również oskarżenie, a przynajmniej podejrzenie.

- Nie insynuowaliśmy im niczego.

- Myślisz, że są głupi?

- Powiedzieliśmy tylko, że po tym, co widzieliśmy, przypuszczamy, iż poradziliby sobie z tym niepojętym dla nas zjawiskiem.

- A to niepojęte zjawisko dziwnie przypomina mikroby z ich filmu. -

Res kopnęła do wody leżący na drodze pusty pancierz jakiegoś kraba.

- Faktem jest, że mnie również zastanawia reakcja Geli - przyznał Hal.

Zawrócili i właśnie szli w kierunku samolotu, kiedy nagle, niemal równocześnie, zaczęli biec co sił. W maszynie migotał rytmicznie, doskonale widoczny w półmroku, sygnał urządzenia wywoławczego. O dwadzieścia pięć minut za wcześnie, stwierdził Hal rzuciwszy okiem na zegarek.

To była Gela. Głos jej brzmiał oficjalnie.

- Halo, łączę z Chrisem Nolokiem.

- Tu Noloc. - On również mówił jakoś inaczej, jakby podniecony. -

Zastanówcie się, proszę, czy w najbliższym czasie moglibyśmy się spotkać z waszymi wysłannikami. Chcemy dostać się jak najszybciej do tego potoku drobnoustrojów. Dla nas ma to bardzo duże znaczenie.

Res spojrzała na Hala wyzywająco. On zerknął na zegarek i powiedział:

- Za pół godziny na górze obok naszego transoptera. Resztę omówimy już tam.

Zanim jeszcze Hal zdążył zapytać o szczegóły, Chris odparł spieszenie:

- Zgoda. Na razie. Koniec. - Po czym wyłączył się.

Hal położył palec na przycisku alarmowym, ale spojrzał jeszcze pytająco na Res. Kiwnęła głową i powiedziała niecierpliwie: - No, na co czekasz?

Kiedy przybyli na miejsce, był tam już Chris, ale nie sam. Reflektory oświetlały całą eskadrę helikopterów w liczbie około dwudziestu.

Gospodarze zrezygnowali z transoptera, tak że trudno się był» zorientować, gdzie w tej chwili przebywają. Zaledwie doszli na miejsce, Chris zawołał:

- Słuchajcie, możliwe, że to my spowodowaliśmy ten potok

drobnoustrojów,

o

którym

sądzicie,

że

jest

zaprogramowany.

Przypuszczamy, że zachodzi tu jakiś związek z naszym zaginionym

“Oceanem I”. Nie muszę chyba podkreślać, jakie to może mieć skutki.

Jesteśmy zdani wyłącznie na waszą pomoc, bo sami nie możemy tak szybko

być na miejscu. Prawdopodobnie jesteśmy w stanie zlikwidować ten potok.

- A jutrzejsze spotkanie? - zapytał Gwen.

- Z naszej strony nic nie stoi, na przeszkodzie - odparł Chris.

- Kto od was poleci z nami? - zapytał Hal.

- Karl Nilpach i ja. Gela będzie reprezentowała ekspedycję na

spotkaniu. Zresztą jest jeszcze inny powód, żeby pozostała tu. - Ostatnie

słowa Chris wypowiedział cicho, jakby z wahaniem.

Wkrótce znaleźli się przed gotowym do startu samolotem. Gwen

włączył nadajnik kieszonkowy i powiedział do Chrisa:

- Właśnie nadeszło zezwolenie na lot. Hal Reon ma wszelkie

pełnomocnictwa - o tym Hal dowiedział się dopiero teraz - możecie

startować.

- Dziękuję - odparł Chris. - Proszę dać zezwolenie na wlot do waszej maszyny.

Podczas gdy Res kierowała minihelikopterami, Hal czekał przed samolotem.

- Co to za pełnomocnictwo? - zapytał Gwen. Gwen spojrział na niego, uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Następnie powiedział poważnie:

- Jesteś upoważniony do takiego postępowania, jakie uznasz za słuszne. - Jego następne słowa brzmiały znowu bardziej żartobliwie: -

Uważaj na Res, żeby nie przebrała miary!

- Głuptas! - zawołała Res już z samolotu. Wczesnym rankiem dotarli nad kontynent afrykański. Pod nimi leżał Nouakchott ze swym

historycznym portem, budynkami z dwudziestego wieku, podlegającymi

ochronie zabytków, i z miastami satelitami o wieżowcach ze szkła i

plastyku. I niestety z fundamentami z betonu, jako że takie były najbardziej efektywne.

Lecieli na niedużej wysokości i na zmniejszonych obrotach. Ruch był jeszcze mały.

We wschodnich częściach miasta stały kolumny autocystern,

agregatów pompownicznych i wiertniczych. Jednostki ochotników usiłowały

dniem i nocą zahamować żarłoczność mikrobow, nasycając profilaktycznie

beton - jako że potok znajdował się jeszcze przed miastem - specjalną cieczą,

która miała odebrać bestiom apetyt.

- Czy to coś da? - zapytał Hal, kiedy przelatywali nad tymi dzielnicami.

- Na dłużej nie. - Res potrząsnęła głową. - One okrążają spryskany teren, przegrupowują się, a potem atakują znowu, tak są wytrwale i uparte.

Zawsze zwyciężają.

- A ogień? - zapytał naiwnie Hal.

- To nie była udana próba - odparła Res. - One zasklepiają się, tworząc kule, które ciepło unosi do góry. Oczywiście te z zewnątrz spalają się. Kule pękają jeszcze w powietrzu, a tam, gdzie upadną ich cząstki, tworzą się nowe stada. Diabelski pochód!

- Gorzej niż myślałem - włączył się do rozmowy Chris.

- Zaraz będziemy na miejscu - powiedziała Res. Pod nimi ukazały się znowu autocysterny i baza lotnicza, z której bez przerwy startowały samoloty w kierunku wschodzącego słońca.

- Tam! Widzisz? - zapytała Res.

- Tak - odparł Chris.

Ani Res, ani Hal nie widzieli Chrisa, byli jednak pewni, że wraz ze swymi towarzyszami stoi teraz przed soczewką małego transoptera, przyklejonego do szyby panoramicznej.

W dole rozciągało się aż po horyzont szerokie, szare pasmo, przy którym roilo się od samolotów i ciężkich spychaczy.

Res, która przejęła stery, krążyła tuż nad nimi.

Mimo woli Hal przypomniał sobie nagle swój pierwszy pobyt obok potoku i film wyświetlony przez maluchów. Sceneria niemal się powtarzała

- nawet owa gorączkowa krzątanka na skraju strefy zagrożenia.

- Wypróbujemy nową metodę - wyjaśniła Res. - Od przodu

spychamy na potok materiał, tam, gdzie przeszła już główna fala. Dzięki temu tworzą się wysepki, które wymierają po spożyciu materiału, a mikroby posuwają się wolniej.

- Nosiciele genów mogą się otorbić i przeżyć - wtrącił Chris. - Ta metoda jest bardzo niebezpieczna.

- Wiem... Kilka z nich odizolowaliśmy już i przeprowadzimy na nich badania. Czy jesteś pewny, że znasz się na nich? - zapytała nagle ostro Res.

- Jeżeli pochodzą od nas, co nie jest wykluczone, to jest to najlepsza odmiana. Nie zrozum mnie źle: są najbardziej agresywne i najlepiej zorganizowane. W krótkim czasie można je przestawić na różne rodzaje pożywienia. Możliwe też, że robią to same, jeżeli, tak jak tu, nie znajdują się pod kontrolą. Bardziej jednak interesuje mnie, skąd one się wzięły. Lecimy dalej.

Hal spojrział na Res. Wyglądała na zaskoczoną.

- Chris, myślałem, że możemy przedsięwziąć coś przeciw nim! - Hal wskazał na dół, zapominając, że

Chris nie jest w stanie ogarnąć wzrokiem tego widoku.

- Jeżeli przystąpimy do dzieła, to poradzimy sobie z nimi w ciągu kilku godzin - odparł niecierpliwie Chris. - Ale do ich uaktywnienia przyczynił się na pewno "Ocean I". Musimy sprawdzić, czy ktoś z załogi przeżył, zrozumiecie to!

- Niedługo całe miasto zostanie ewakuowane. Czy wiesz, co to znaczy?

Pomijam już sprawę kosztów. Ale to wywołuje panikę, niepewność, strach, sieje zwątpienie...

Zaległa pełna napięcia cisza. Potem Res powiedziała sarkastycznie:

- Nie znajdziesz żadnego śladu. One przybywają z pustyni. W piasku wszelki ślad ginie.

- Wybacz - odparł Chris - ale wolałbym przekonać się o tym osobiście.

- Ale nie teraz! - Głos Hala brzmiał zdecydowanie. - Najpierw trzeba zatrzymać ten potok.

Res spojrzała na niego, a potem na transopter.

- W ten sposób do niczego nie dojdziemy - powiedziała łagodząc sytuację. - Czy nie można pogodzić jednego z drugim?

Hal poczuł wdzięczność za jej propozycję.

- Przepraszam cię, Chris, ale w takiej sytuacji trudno jest zapanować nad sobą.

- W porządku - odparł Chris. - Oczywiście możemy przeprowadzić jednocześnie obydwie rzeczy, mamy wystarczająco dużo specjalistów. Tylko że tak jak ty, Hal, ja też mam swoje instrukcje, a najważniejszym nakazem jest bezpieczeństwo, przede wszystkim tych ludzi, którzy biorą udział w akcji.

- Sądysz, że wpłynie na to twoja obecność? zawołał Hal rozdrażniony i natychmiast pożałował tych słów. Na szczęście przetwornik nie był w stanie oddać wszystkich niuansów.

- Nie, ale tylko ja mogę interweniować. Na przykład przerwać akcję.

- Wystarczy już! - szepnęła Res, a na głos dodała: - Oczywiście, Chris, zadbano już o pełne bezpieczeństwo. Uczyniono wszystko, na co stać ludzi.

- Makroludzi - roześmiał się Chris. - Dobrze. Rozpocznę akcję, a potem

wystartujemy. Lądujemy!

Tuż obok nich opuścił się drugi samolot, z którego wysiadł Mark.

Przywitał się przelotnie z Halem i krótko z Res, ale zbyt wylewnie, jak na kolegą z pracy, tym bardziej że z pewnością widzieli się poprzedniego dnia.

Hala ucieszył ten fakt ze względu na Res. Nie mógł powstrzymać się od uwagi:

- Za kilka godzin będzie po wszystkim. Wszystko, co tu się znajduje, cofnijcie na odległość stu metrów od potoku. Zaniknijcie teren i wydajcie współpracownikom zakaz wstępu. Ciekawscy są również niepożądani w strefie zagrożenia.

- Ale... - wtrącił Mark.

- Bardzo proszę - przerwał mu Hal - przyjdzie pora i na wyjaśnienia.

Ale teraz mamy bardzo mało czasu.

- Tak przecież nie można - protestował niepewnie Mark.

- A jednak, Mark, nieraz trzeba tak postąpić - perswadowała Res.

Mark wzruszył ramionami, uśmiechnął się do niej i wsiadł do samolotu, po czym wydał polecenia drogą radiową. Pojazdy ożywiły się, spryskano tarcze spychaczy, które wkrótce się wycofały. Nasilony jeszcze niedawno ruch lotniczy zamarł. Załogi stały w odległości stu metrów, przypatrując się przez lornetki.

Już dłużej niż rok męczyli się tu, odnosząc jedynie mierny skutek, a teraz sukces miał być osiągnięty w ciągu kilku godzin? Patrząc tak na nich, rozczarowanych, ale ogarniętych nową nadzieją, Hal poczuł niepokój. Czy maluchom uda się przegnać duchy, które sami wywołali?

- Postarajcie się dla nas o jakieś lądowisko z boku - poprosił Chris.

Hal znalazł kawałek plastyku i ułożył go jako lądowisko. Potem podeszli do potoku. Res trzymała w ręku Chrisa wraz z jego helikopterem i transopterem; w ten sposób Chris miał lepszy widok.

I oto stali przed frontem potoku. Tuż u ich stóp kończyła się wegetacja.

W odległości trzech metrów od nich teren zapadał się na głębokość dziesięciu centymetrów. Był szarobrazowy i wyglądał tak, jakby ogrodnik przygotował starannie swoją grządkę pod zasiew. Wszystko kipiało w mikrorozmiarach, ziarnka piasku i grudki ziemi zmieniały swoje położenie, opadały żdzbla trawy, zmieniając kolor i rozkładając się.

To była istotnie armia, sunąca do przodu, niszcząca bezszelestnie.

Hala przeszedł dreszcz.

- Na pewno chcesz tu zostać? - zapytał Res. Z zapalem skinęła głową i zwróciła się do Chrisa:

- Jestem gotowa.

- Chwileczkę, przeczekajmy pierwszy atak. Helikoptery wystartowały z samolotu. Leciały powoli na wysokości około dziesięciu centymetrów nad frontem. Trudno było dostrzec ich poczynania, ale wzdłuż linii lotu wykwitwały obłoki dymu, jakby ktoś rozdeptywał purchawki.

- Bomby z antyciałami - wyjaśnił Chris. - Odwrotnie ukierunkowana struktura komórek. - Hal wyczuł w jego słowach dumę. - Następuje złączenie jąder i ciała tracą zdolność do życia! Trzeba tylko postępować bardzo szybko, żeby nie zdążyły się przestawić. No, Hal, możemy zaczynać!

Hal odebrał ostrożnie transopter z rąk Res i odniósł go do szybowca.

Z daleka widział niewyraźnie, jak kilka helikopterów ląduje tuż za frontem wśród potoku. Chris, jakby wyczuwając nie wypowiedziane pytanie

Hala, wyjaśnił:

- Trzeba zabrać nosicieli genów. To jest coś w rodzaju królowych w waszych pszczelich rojach. Spróbujemy ich uratować. Ich wyhodowanie kosztowało nas niemało potu.

Hal uśmiechnął się. On mówił o pocie, pomyślał. Porządna kropla mojego potu byłaby, dla ciebie prawdziwym szokiem, słonym jeziorem...

Lecieli wzdłuż trasy przemarszu drobnoustrojów. Początkowo ślad był bardzo wyraźny, następnie pojawiły się wysepki roślinności, które nieco dalej, tam gdzie docierał jeszcze wpływ klimatu morskiego, zwyciężyła nad pustynią. W miejscach, obfitujących swego czasu w bujną roślinność, były obecnie jasnozielone, rzadkie pasma.

- Opuść się trochę niżej - poprosił Chris. Widzisz te okrągłe, gołe miejsca na szlaku? Tam siedzą nosiciele genów. Stamtąd może w każdej chwili nastąpić nowy atak. Musimy wylapać ich wszystkich.

Przelecieli nad Boutilimitem, miastem odrodzonym. Ślad po żarłocznym potoku rozszerzał się w dole jak cielsko węża z przelkniętą zdobyczą, jak węzeł na taśmie. Tam mikroby szalały, pożerając fundamenty, zawalając domy.

Wiele budynków zdołano uratować. Podpierały je teraz nowe filary gruntowe. Życie nie tętniło jeszcze w pełni, jak kiedyś, ale to była już tylko kwestia czasu...

- Nie będziemy mieli łatwej sprawy - zauważył

Chris. - Tutejszych nosicielei genów musimy wytepić...

Za miastem ślad zważał się znowu, jakkolwiek nie do pierwotnej szerokości. Brzegi były poszarpane. Był to skutek nieudanych prób tamowania pochodu. Wreszcie znaleźli się nad pustynią. Hal z trudem trzymał się kursu. W dole nie było widać żadnego śladu, co najwyżej łańcuch wysepek, rozciągający się niekiedy na szerokość kilku kilometrów.

Tu nikt nie widział mikrobow, widocznie w poszukiwaniu pożywienia rozeszły się, aż natrafiły na opuszczone obozowisko i betonową drogę wiodącą do Boutilimitu. Hal leciał coraz wolniej i niżej, mimo to wkrótce całkowicie stracił ślad z oczu. Właściwie kierował się już tylko wskazówkami Chrisa i Karla. Wreszcie zapytał:

- Skąd wiecie, którądy mam lecieć?

- Nosiciele genów są szczepieni radioaktywnie. A poza tym tam, którądy przeszli, brakuje w ziemi tlenu glinu.

- Mój licznik nie wykazuje niczego - odparł Hal i w tym momencie wyobraził sobie uśmiech rozmówców. Milczeli jednak.

Cóż mogli odpowiedzieć!

Po pewnym czasie Chris i Karl zaczęli również tracić orientację.

Przelatywali nad wydmami. W dole przesuwiał się jednostajnie drobny piasek.

Powietrze

migotało.

Nie

dostrzegli

niczego

oprócz

charakterystycznych fałd piasku utworzonych przez wiatry.

Coraz częściej Hal otrzymywał polecenia, aby lecieć niżej i wolniej. Od dawna już nie lecieli w linii prostej, lecz zygzakiem, nieraz nawet zawracali.

Wkrótce mikrosi poprosili o wylądowanie, w samym środku obszaru wydmowego. Chodziło jednak wyłącznie o przymocowanie transoptera na zewnątrz maszyny. Ścianka pochłaniała zbyt wiele promieni.

Hal poczuł uderzenie rozżarzonej fali powietrza. Mokry od potu spełnił życzenie.

Istotnie, sytuacja poprawiła się, ale niestety nie na długo. Wkrótce

Halowi wydało się, że zgubił już trop ostatecznie. Wtedy mikrosi skłonili go do wylądowania, po czym polecieł dalej własnym helikopterem. Od czasu do czasu przywoływali Hala drogą radiową. Cała procedura zaczęła go w końcu nudzić. Wątpił już w sukces, w odnalezienie źródła potoku i śladu po "Oceanie I". Chris odzywał się coraz rzadziej, Hal zajął się więc z nudów wskaźnikiem kursu i stwierdził, że w pobliżu przebiega Transtrada, nowoczesna droga o nawierzchni ze sztucznego tworzywa, która łączyła Nouake-Jaott z Moudjerią w głębi kraju.

Po następnym starcie Hal ujrzał ją wreszcie: wstęga wijąca się łagodnymi łukami pozornie bez końca, o średnim nasileniu ruchu.

Znowu przywołano go. W dole widniał spalony wrak dużego samochoducysterny. Nad wrakiem krążył mini-helikopter Chrisa.

Nikt nie wiedział, w jaki sposób "Ocean I" znalazł się tak daleko.

Wiadomo było jedynie, że pierwotnie wylądował na wybrzeżu. Czyżby kierowca cysterny podniósł go i zabrał ze sobą, myśląc, że ma przed sobą jakąś dziwną zabawkę? Dlaczego wybuchł pożar? A może spowodowali go sami uczestnicy ekspedycji, na przykład podczas próby ratowania się z kłopotliwej sytuacji?

Eksplozja musiała spowodować natychmiastową śmierć ludzi, dużych i małych, a z rozbitego "Oceanu" wyswobodziły się drobnoustroje.

Po "Oceanie I" pozostała jedynie pusta, wypalona, przedziurawiona na wylot metalowa łuska, pokryta popiołem i stopionym plastykiem cysterny.

Lot nad pustynią upewnił mikrosów o tragicznym losie poprzedniej ekspedycji. W drodze powrotnej Chris i Karl niemal nie otwierali ust. Hal respektował to, mimo licznych pytań, cisnących mu się na język. Kiedy dotarli już prawie nad potok mikrobów, Hal usłyszał głos Karla:

- Dobrze, że nie było przy tym Geli. Przeżyłaby wszystko od nowa. O ile ją dobrze znam, długo by wspominała obraz katastrofy. To istotnie straszne...

Przez chwilę panowało milczenie. Potem Chris zwrócił się do Hala:

- Mówiłem wam już o tym? Na "Oceanie I" znajdował się przyjaciel Geli...

Poszukiwania "Oceanu I" trwały około sześciu godzin. Kiedy nadlecieli nad czoło potoku, a raczej nad miejsce, gdzie potok znajdował się poprzednio, eskadra helikopterów Chrisa stała równo na skrawku plastyku. Widocznie zadanie zostało już wykonane. Hal wylądował tuż przed wyraźną

linią, która jeszcze niedawno oznaczała front potoku. Na pierwszy rzut oka nie widać było żadnych zmian. Wystarczyło jednak spojrzeć dokładniej, żeby dostrzec niezwykle spokojny na ziemi. Nic się nie sypało, nie łamała się trawa, nic nie zniknęło. Nie było już żadnego frontu. Armia najeźdźców przestała istnieć.

Res nie posiadała się z zachwytu. Siedziała na trawie po turecku, sortując gorliwie filmy i mówiąc przy tym do mikrofonu magnetofonowego. Kiedy Hal podszedł do niej, spojrzała na niego i bez żadnego wstępu powiedziała: - Teraz mogą przybyć znowu. Nie będziemy już bezradni. Hal naradził się z Chrisem. Do narady wciągnęli również kolektyw kierowniczy Res, który w całości - oprócz Marka - wysłuchał biernie sprawozdania z zakończonej pomyślnie operacji. Jedyne Mark wiedział, że akcję przeprowadzili mikrosi, a Hal uważał, że nie powinien udzielać wyjaśnień. Przekazał tylko innym instrukcje Chrisa, dotyczące sposobu gromadzenia lub likwidacji nosicieli genów, przy czym makrosom przypadło właściwie w udziale jedynie zabezpieczenie akcji.

Oszołomieni

członkowie

kolektywu

nie

tylko

zaakceptowali

propozycje Hala, ale przyrzekli również z entuzjazmem, że wszystko będzie przeprowadzone ściśle według zaleceń. Hala zaczęły dręczyć wyrzuty

sumienia: czuł się tak, jakby przypisał sobie zasługi innych. Postanowił wyjaśnić z Gwenem jak najszybciej całą tę sprawę. Mimo że nie mógł się już doczekać wyjazdu na Wyspy Podwietrzne, zaakceptował życzenie Chrisa, który pragnął, aby to on kierował akcją "Geny". Res też byłaby na niego zła, gdyby uparł się przy natychmiastowym wyjeździe. Po tym całym rozgardiaszu ostatnich dni kilka godzin odprężenia nie wydało się Halowi od rzeczy, postanowił więc rozejrzeć się dokładnie po Nouakchott, uratowanym mieście. Żałował tylko trochę, że nie będzie przy nim Djamili. Umówił się z Res i Chrisem, po czym załatwił sobie pokój.

Wieczorem miała odbyć się uroczystość z okazji zażegnania niebezpieczeństwa.

W radosnym nastroju przekazał automatowi całą swoją odzież, wpadł na trakt kosmetyczny, następnie wybrał sobie pieczołowicie nowe ubranie, zdając sobie sprawę z tego, że jest ono trochę ekstrawaganckie, i udał się do restauracji. Niezwykle starannie dobrał przyprawy i wkrótce przyrządził sobie nieprzyzwoicie wystawne danie. Po wyjściu z restauracji natknął się na roztańczoną grupę trzymających się za ręce afrykańskich piękności.

Obwiesiły go wstążkami, wciągnęły do swego łańcucha i porwały ze sobą.

Dawno już nie przeżyłam tak konstruktywnej serii spotkań, pomyślała

Djamila. Hal zrezygnował z zapisków i słuchał jej uważnie.

- Będziesz działał w grupie badawczej u Res - powiedziała mimochodem. - Chodzi o zastosowanie zdobyczy maluchów w makroświecie.

- Hm - mruknął Hal. Był zadowolony. W ten sposób osiągnął dwie

rzeczy: kontynuowanie pracy w zakładzie i kontakt z miniświatem.

- A ty? - zapytał Djamilę.

- Ja zostanę jeszcze przez pewien czas tu na budowie. Trzeba tam wiele rzeczy naprawić i jeszcze więcej wznieść od nowa.

- Hm - powtórzył Hal. Będzie mi jej brakowało, pomyślał, i dzieciom też, chociaż to nie potrwa długo. Djamila jest wobec nich bardziej wymagająca niż ja. Wystarczy kilka dni, żeby się trochę rozbisurmaniły. A jeżeli nawet, to co?

- Już się zdecydowałaś? - zapytał, nie czekał jednak na odpowiedź, którą znał przecież z góry, lecz zaczął nalegać:

- Opowiedz mi o wszystkim! Nagle zmienił zdanie:

- Poczekaj, Res też się tym interesuje! Wezwał Res, ale nie było jej w kajucie. Znalazł ją w audytorium katamaranu, gdzie tkwiła po uszy w zapiskach.

- Teraz nie przyjdzie - powiedział Hal, opierając się wygodniej w fotelu.

- Właściwie nie ma tu wiele do opowiadania.

Część z nas zajmie się amnezją i odwróceniem procesu pomniejszania.

- Ale jak? - zainteresował się Hal. Wzruszyła ramionami. - Zupełnie indywidualnie. Kto chce, pozostanie mały. Kto zechce, ale to jeszcze nie jest pewne, otrzyma jako dorosły specjalną kurację. Decyzję podjęto jedynie w stosunku do jeszcze nie narodzonych dzieci: zostaną powiększone. Rodzice mogą tylko wybrać, czy ma to dotyczyć embrionu, który w tym przypadku musiałby rozwijać się dalej poza ciałem matki, czy też proces ten ma polegać

na naturalnym cyklu rozwojowym już po porodzie.

- Po co ta zabawa w demokrację? - zapytał Hal.

- Bo nie można nikogo zmusić, aby urodził swojego potomka w sposób inny, niż to uświęciła tradycja. Znasz przecież nasze poglądy na ten temat.

- Tak, tylko że u nas to nie stwarza problemu - odparował Hal. Widząc jednak, że Djamila szukaje nowe argumenty, machnął ręką na znak zgody.

- Wiadomości na ten temat będą oszczędne i cenzurowane. Położenie wysp pozostanie tajemnicą. Po co tamci mają być oglądani jak jakieś dziwolągi? Mimo wysokiego stopnia świadomości znalazłoby się wśród nas na pewno wielu, którzy nie potrafiliby się zachować właściwie.

- Ale oni powinni przecież znaleźć się wśród ludzi! - wykrzyknął Hal i w tym momencie uświadomił sobie, jak błędne jest jego rozumowanie.

Przecież oni są wśród ludzi!

- Najbliższe pokolenia zasiedlą okoliczne wyspy. Tam czeka nas jeszcze sporo roboty. Proces powiększania ma przebiegać możliwie jak najszybciej.

Ale niewykluczone, że upłyną lata, dziesiątki lat...

Czuł, że Djamila przepojona jest entuzjazmem.

- A sukces całej akcji? Czy jest pewny?

- Pewny - odparła zdecydowanie.

EPILOG

Wyruszyli jako rozbawione, wesołe towarzystwo. Ponieważ od ich ostatniego spotkania upłynęło wiele czasu, nagromadziło się mnóstwo spraw, których nawet teraz woleli nie puszczać w eter.

Res Strogel była jak odmieniona. Na kilka dni przed podróżą w olśniewający sposób uzyskała jednocześnie - rzecz niemal bez precedensu - drugi i trzeci stopień naukowy, co tym bardziej zasługiwało na uwagę, że swego czasu otrzymała z trudem pierwszy. Podróż chciała wykorzystać - jak sama się wyraziła - do nabrania rozpędu. Opowiadała o niewiarygodnych wprost wyczynach śmiałków, którzy postanowili nawodnić Saharę. - Ale to wszystko nic w porównaniu z tym, co rozpocznie się teraz, prawda, Mark? - I spojrzała na niego czule.

Okazało się, że wyhodowała nowy szczep - każdy z obecnych wiedział, jaki to szczep - który wyjada piasek pozostawiając czarnoziem i gromadzi przez całe miesiące wodę.

Hal nosił w kieszeni wyróżnienie otrzymane z zakładu pracy, które zezwalało mu na prowadzenie ze swoim kolektywem prac według własnego uznania. A przecież Royle wiedział doskonale, że chodzi im o budowę traktu bioczyszczącoflotacyjnego,

który

będzie

wykorzystany

potem

w

kombinacie. Sam zresztą przestał już wątpić w sukces, o ile kiedykolwiek w niego wątpił. Za osiągnięcia przyznano im tyle bonów, że trudno by je było wszystkie wykorzystać.

Gwen Kasper nie mógł wykazać się czymś konkretnym w sensie zadań fachowych, ale i on wydawał się zadowolony z osiągnięć. Opowiedział o trudnościach, jakie napotkał proces zastosowania na całym świecie mutacyjnych mikroorganizmów o wrodzonej agresywności. Ludzie podchodzili z nieufnością do wszystkiego, co działa, ale jest niewidoczne. Gwen był jednak pewny, że dzięki wytrwałości można pokonać owe przeszkody.

Djamila i Ewa zachowywały się tajemniczo. Pierwsza z nich opowiedziała Halowi od razu na początku spotkania o swojej pracy, ale w centrum uwagi znajdowały się oczywiście dzieci. W miarę zbliżania się katamaranu do Wysp Podwietrznych jedna i druga stawały się coraz bardziej tajemnicze, usiłując jednocześnie zainteresować innych tym, co ich oczekiwało.

Zagadkę stanowiła działalność profesora Fontaine'a w tym czasie. Ku zdumieniu większości przyjął spontanicznie ich zaproszenie. Jego partnerka, cicha kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat, rzadko brała udział

w

ich

rozmowach,

choć

podobno

była

znakomitym

genochirurgiem. Jedna rzecz u Fontaine'a uderzała wszystkich: nie jadł już swoich ciastek. Hal tak bardzo przyzwyczaił się do tego stereotypowego gestu profesora, że jego brak drażnił go niemal.

W miarę zbliżania się do archipelagu, gasła naturalna wesołość.

Odgrzebywano wspomnienia, pytania "Czy pamiętasz jeszcze..." stawały się coraz częściej zaczątkiem rozmowy, a napięcie wzniecane przez Djamilę i Ewę rosło coraz bardziej.

Hal zastanawiał się, co też mogło się wydarzyć w tym czasie. On też nie mógł się już doczekać chwili, kiedy dotrą na miejsce.

Djamila i Ewa nawiązały już dawno łączność z wyspą, nie ujawniały jednak jeszcze swej tajemnicy. Nikt nie chciał zepsuć zabawy, toteż nie robiono użytku z nadajników kieszonkowych. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się im w oczy, był prowadzący przez kipieli pomost, który przyciągnął katamaran w swoje pole siłowe. Kiedy łamacze fal skryły się z powrotem, woda była spokojna, jak na jeziorze śródlądowym,

- Idziemy pieszo! - Ewa zawołała profesora, który podązał już w stronę wagoniku kolejki linowej. Z żalem spojrział na pojazd i teraz, ku radości

Hala, jego ręka powędrowała do kieszeni. Oczywiście daremnie...

To, czego dokonano, graniczyło istotnie z cudem. Udostępniono archipelag wszystkim, podwodne tunele łączyły ze sobą poszczególne

wyspy, ponad zarośla wznosiły się kopuły dachów, pomiędzy wieżami wisiała delikatna sieć połączeń.

Mikrosi brali udział w życiu kulturalnym Ziemi, a ich programy radiowe docierały już regularnie do najdalszych zakątków planety.

Bardziej jednak, niż tych wszystkich wspaniałych urządzeń technicznych, goście spragnieni byli widoku swoich przyjaciół z miniświata.

I oto na spotkanie wyszli im Gela i Chris trzymając się za ręce. Wokół nich podskakiwało dwoje ludzi o wyraźnie dziecięcych rysach, którzy jednak przewyższali tamtych o więcej, niż całą głowę. Gdyby nie linia na podłodze tarasu, zaznaczająca zakres soczewki polowej transoptera, złudzenie, że ma się do czynienia z ludźmi o normalnym wzroście, byłoby całkowite.

Ogólną radość mącił fakt, że to serdeczne, wzruszające powitanie przebiegało siłą rzeczy na odległość. Musieli ograniczyć się do machania dłońmi, śmiechu i słów.

Następnie Gela przedstawiła olbrzymów znajdujących się w jej otoczeniu:

- To nasze pięcioletnie bliźniaki.

Początkowo Hal czuł się dziwnie poruszony, ale potem uznał, że nie ma w tym nic osobliwego. To stanie się ich naturą, pomyślał. Czy my nie jesteśmy dumni, kiedy nasze dzieci przerastają swoich rodziców, również pod względem wzrostu? Nic się nie stanie, jeżeli tu skala przesunie się jeszcze bardziej, i to tylko z naszego punktu widzenia.

- Zobaczcie, jak urosliśmy! - powiedział nie bez dumy Chris, naciskając

przycisk, który wyłączył soczewkę. Wprawdzie wzrok makrosów musiał się do tego przyzwyczaić, ale potem wszyscy dostrzegli Gelę i Chrisa, mających wzrost około pięciu milimetrów. A więc udało się reaktywować geny wzrostu u dorosłych!

- Mogą jeszcze urosnąć do dziesięciu milimetrów - szepnęła Ewa do Hala, ale on wiedział już o tym od Djamili.

Dzieci zachowywały się po prostu jak dzieci. Raz przeturlały się nawet przez linię. I oto istoty, które przed chwilą wyglądały na bardzo duże dzieci, przybrały raptem rozmiary ziarnka grochu.

Hal zdawał sobie sprawę z tego, że kiedy te dzieci dorosną, będą przewyższały swoich rodziców przynajmniej cztero - lub pięciokrotnie. A za pół wieku o mikrosach pozostaną już tylko rozprawy naukowe, sprawiające wrażenie fantazji, jako dowód niedopuszczalnej i bałamutnej myśli ludzkiej i nieludzkiego sprawowania władzy. Ludzie przeżyli wiele cierpień, ale stali się jednocześnie bogatsi o nowe doznania, a dzięki triumfowi nad przeszłością odnieśli nawet korzyści.

Kiedy goście zaczęli się żegnać, byli przeświadczeni, że dokonali czegoś bardzo pożytecznego i wartościowego: sprawili, że ludzkość stała się bardziej ludzka.

A potem, już w ostatniej chwili, profesor Fontaine ujawnił dwie niespodzianki: jedna z nich pochodziła właściwie od towarzyszącej mu kobiety, która przekazała mikrofilm z dokumentacją dotyczącą aktualnej wiedzy z dziedziny sprzężenia genów; miało to wpłynąć na przyśpieszenie wzrostu embrionu rozwijającego się poza ciałem matki. Fontaine natomiast

wyciągnął niedbałym gestem z kieszeni, w której zazwyczaj przechowywał ciasteczka, pudełko, mówiąc przy tym:

- *To kieszonkowy transopter. Zabezpieczy was przed... naszą nieuwagą. Każdy, kto będzie go nosił, ukaże się jako osobnik półmetrowej wysokości. Ale uwaga! To będzie tylko złudzenie!*

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Kiedy żegnali się po raz ostatni, nie wyglądało to aa pożegnanie makrosów z mikrosami, ale na pożegnanie ludzi z ludźmi...